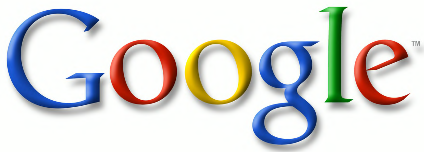
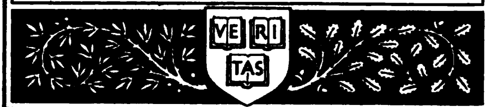



VE RI
TAS

50

Flis

STUDYA I SZKICE

Z DZIEJÓW LITERATURY POLSKIÉJ.

SERYA I.

STUDYA I SZKICE

Z DZIEJÓW LITERATURY POLSKIÉJ

SKREŚLIŁ

Piotr Chmielowski.

SERYA I.

Artyści i artyzm. — Sobótka. — Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego. — Zapomniany poemat Wacława Potockiego. — Epopeja z czasów saskich. — Charakterystyka Ignacego Krasickiego.

KRAKÓW.
NAKŁAD KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA.
POZNAŃ. — J. K. ŻUPAŃSKI.
1886.

KRAKÓW. — DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

Książka, którą obecnie czytelnikom przedstawiam, składa się z zarysów literackich, kreślonych w przeciągu lat 14. Podejmowałem pracę koło nich nie w myśli powtórzenia tylko innemi słowami tego, co dawniéj w tym względzie powiedziano, ale ażeby wiedzę o dziejach literatury naszéj choć w części przynajmniéj rozszerzyć lub pogłębić. Stąd mówiłem o takich przedmiotach, do których znalazły się nowe, dotychczas wcale nieznane lub mało zużytkowane materyały; stąd tam, gdzie kreśliłem szczegóły działalności autorów nieraz opracowywanych, pomijałem z umysłu rzeczy dobrze już przez innych opowiedziane, albo też zaledwie napomykałem o nich; szerzéj natomiast rozwodziłem się o takich stronach w ich zawodzie piśmienniczym i obywatelskim, na które dotąd uwagi nie zwracano, lub téż które zbywano słowy pobieżnemi.

Ponieważ od czasu, kiedy rozprawki te pisałem pierwotnie, niewiele pojawiło się materyałów nowych lub studyów krytycznych, któreby spowodować mię musiały do zmian ważnych, mogłem więc jedynie zaprowadzić w nich małe, raczéj stylowe niż rzeczowe, poprawki. Tylko studyum o Brodzińskim uległo znacznemu rozszerzeniu, a do rozbioru pism zgasłego w roku obecnym Bohdana Zaleskiego dodałem wspomnienie biograficzne, na jakie przy obecnym stanie wiadomości naszych w téj mierze stać mię było.

W zbiorze niniejszym starałem się skupić zarysy działalności osób na jedném mniéj-więcéj polu; wybrałem więc

poetów, albo takich autorów, którzy obok innych dzieł poetyckie również pozostawili po sobie. Poprzedziłem je uwagami nad artystami i artyzmem, ażeby dać teoretyczne uzasadnienie niektórych przynajmniéj sądów, jakie o poetach i poezyi w dalszym ciągu książki wypowiadam. Uwagi to luźne na pozór, lubo wewnętrznym węzłem myśli połączone; nie wyczerpują one przedmiotu, ale są dostateczne dla celu, jaki im naznaczyłem.

Jeżeli ten zbiór zarysów literackich znajdzie wśród ogółu czytającego uznanie pójdą za nim i inne, poświęcone rozbiorowi różnych stron piśmiennictwa naszego.

Warszawa, 13 kwietnia 1886 r.

Piotr Chmielowski.

I.

ARTYŚCI I ARTYZM.

I.

Wyznania artystów.— Świadomość i bezwiedza.—Teoretycy.

Jeżeli się zapytamy wykształconego rzemieślnika albo konstruktora maszyn, *jakim sposobem* dochodzi on do ułożenia wielolicznych szczegółów w pewną całość, celowi swemu odpowiadającą, odrzeknie nam bez wahania i bez zająknienia, opisując wszystkie przygotowania, wszystkie fazy powolnéj formacyi przedmiotów do jego fachu należących. On wié doskonale, *jak* robi i *jak* robić powinien.

Jeżeli zaś takie samo pytanie wystosujemy do któregobądź poety, do artysty wogóle t. j. do kapłana sztuki, to on (darujcie czytelnicy porównanie, które się wam może niestosownem wyda) znajdzie się w położeniu rzemieślnika wykonywającego *mechanicznie* swoję robotę, rzemieślnika, który daleko lepiéj potrafi objaśnić rzecz w czynie, natychmiastową robotą, niż ją *słowami* bliżéj określić. Całość złożyć umié, ale ze związku szczegółów sprawy innym zdać nie jest w stanie. Zastosowując w tym względzie słowa Mochnackiego, który powiada, że w literaturze naród dochodzi „do uznania się w jestestwie swojém“ (t. j. do świadomości), możnaby twierdzić, że poeci i artyści nigdy *„do uznania się w jestestwie swojem“ nie dochodzą...*

Że tak jest po większéj części, możemy się przekonać zarówno z codziennego doświadczenia, jak i z tego wszyst-

kiego, co nam dzieje o artystach przekazały. Zazwyczaj artyści umieją tylko powiedzieć, kiedy mają najlepsze uspósobienie do tworzenia; umieją np. nas poinformować, że w jesieni i zimie więcéj i łatwiéj tworzą niż na wiosnę i w lecie (jak Słowacki), lub, że natchnienie przychodzi im przy dźwięku pewnéj melodyi (jak Mickiewicz), albo na spacerze, przy uczcie (jak tylu innych)... Jedni pracują najchętniéj w samotności, inni wśród przyjacielskiego otoczenia; jedni rano, inni wieczorem... i t. p. i t. p. i t. p.

Każdy widzi, że są-to rzeczy całkiem zewnętrzne, okoliczności uboczne, mogące mieć wpływ, nieraz nawet bardzo znaczny, na cały proces tworzenia, ale nie objaśniają bynajmniéj jego gruntu, jego podstawy. Niema tu nawet różnicy pomiędzy gieniuszami, talentami i talencikami: wszystkim nieświadomość albo zamyka zupełnie usta albo też wkłada w nie dźwięki pompatyczne, górnolotne, które słuch łechcą i duszę w krainy nadziemskie unoszą, lecz istotnego poznania sprawy wcale nie dają.

Odważniejsi i śmielsi mówią oczywiście o natchnieniu, gdyż z powodu elastyczności swojéj jestto wyraz mogący być nazwą niezmiernie wielkiéj ilości działań i zjawisk, a zatém sam nieobjaśniony, używać się może dla objaśnienia wielu innych... Szczersi zaś przed sobą i przed ludźmi wyznają najskromniéj, na wzór Sokratesa, że *nic nie wiedzą*... Niema może dobitniejszego na to przykładu, nad prostoduszne wyznanie Mozarta w liście pisanym do uczonego przyjaciela, który go badał o tajniki jego twórczości. „A teraz — pisze autor Don Juana [1]) — przychodzę do

[1]) *Jahn*: Mozart, t. III, str. 423 do 425, cytowane u Hartmana: Philosophie des Unbewussten, 5 wyd. 1873 str. 242. Wiele właściwości poufałego sposobu wyrażania się Mozarta musiało zniknąć w przekładzie; radzimy odczytać w oryginale.

najtrudniejszego punktu w twoim liście, którybym nawet chętnie pominął, bo mi pióro dla czegoś podobnego *(für so was)* posłuszeństwa odmawia. Ale spróbuję, choćby na to, żebyś się miał z czego uśmiać. Pytasz się, *jak* ja się biorę do pisania i wypracowywania wielkich i porządnych rzeczy? Ja sam doprawdy nic więcéj nie wiem i nie mogę się niczego dobadać nad to, co ci zaraz opowiem. Kiedy mi jest dobrze i znajduję się w dobrym humorze, np. jadąc powozem, albo przechadzając się po dobrém jedzeniu, albo téż w nocy, kiedy spać nie mogę; wtedy jak potok przypływają mi myśli i to najlepsze. *Skąd i jak — tego nie wiem i nic na to poradzić nie mogę.* Te, co mi się podobają, zatrzymuję w głowie i nucę je sobie pod nosem, jak mi przynajmniéj inni powiadali. Jeżeli je dobrze zatrzymam, to przychodzą mi zaraz jedna po drugiéj, podług kontrapunktu, podług dźwięku różnych instrumentów i t. d. i t. d., jakby tylko okruszyny jednéj potrzeba było, ażeby z niéj pasztet zrobić. To mi rozgrzéwa duszę, zwłaszcza gdy mi nie przeszkadzają; wówczas stają się one coraz większe, a ja rozszerzam je coraz daléj i coraz jaśniéj i cała rzecz staje w głowie prawie gotowa, choćby była długa, tak, że ją potém w duchu przeglądam jednym rzutem, jakby piękny obraz jaki albo pięknego człowieka, a w wyobraźni słyszę nie tak jak przychodziło jedno po drugiém, *lecz odrazu wszystko w połączeniu.* To mi to dopiero biesiada! *Całe owo wynajdywanie i robienie odbywa się we mnie jakby tylko w pięknėm silném marzeniu sennėm;* ale przesłuchiwanie owéj późniejszéj całości jest przecie rzeczą najlepszą. Co się już tak stało, tego już łatwo nie zapominam, i to może najlepszy dar, jakim mię Pan Bóg ubłogosławił. A kiedy następnie zasiądę do pisania, wydobywam z torby mojego mózgu *(aus dem Sack meines Gehirns),* com tam poprzednio wpakował. To téż późniéj dosyć szybko przechodzi to

na papier, bo, jak powiedziałem, wszystko już jest właściwie gotowe i rzadko inszém się staje, niż było wprzódy w głowie. Stąd to mogą mi przy pisaniu przeszkadzać, i może się nie wiem co dziać koło mnie, ja wciąż piszę; mogę nawet przytém gadać, zwłaszcza o kurach i gęsiach i t. p. *Jak* zaś przy opracowywaniu moje rzeczy przybierają właśnie *tę* postać czy manierę, że są mozartowskiemi, nie zaś manierowanemi na wzór kogoś innego, to chyba tak samo jak to, że mój nos jest właśnie tak wielki i tak wygięty, iż się stał mozartowskim, nie zaś czyimś innym. Nie poczytuję tego za coś szczególnego, nie umiałbym téż swojéj właściwości bliżéj określić. Ależ to rzecz naturalna, że ludzie mający rzeczywiście jakąś powierzchowność, inaczéj téż od innych wyglądają tak zewnętrznie jak wewnętrznie. Wiem przynajmniéj, że ani jednego ani drugiego sam sobie nie dałem. Stąd téż daj mi już raz nazawsze z tém pokój, najdroższy przyjacielu, i nie myśl, że z innych powodów na tém poprzestaję, jak tylko dlatego, że nic więcéj nie wiem. Ty, jako uczony, nie możesz sobie wyobrazić, jak mi już i to obrzydło (*wie sauer mir schon das geworden ist)*".

Słowa te są tak proste i tak jasne, że nie potrzebuję do nich dodawać żadnego komentarza. Czytelnik może się dokładnie i naocznie niemal przekonać, że Mozart nie był świadom tego procesu psychicznego, jaki się w nim odbywał podczas tworzenia genialnych pomysłów muzycznych.

Tak samo artyści wszelkiego rodzaju, wielcy i mali, europejscy i prowincyonalni, tworzą bezświadomie, nie pojmując, *jak* robią. Wiedziano o tém oddawna. Platon w jednym dyalogu swoim („Jon") przedstawia cały szereg ironicznych uwag Sokratesa, które tenże miał wystosować przeciwko wędrownemu rapsodowi (rodzaj egzekutora utworów poetycznych), wykazując mu, że na żadnéj z tych rzeczy, które opiewa, najzupełniéj się nie zna i że cała jego sztuka

polega na *biernêm poddaniu się* wpływowi duchów, wytwarzających w nim najprzeróżniejsze kombinacye idei... Sokrates atoli nie uważa tego rapsodowi za złe, bo rozumienie wszystkich specyalnych przedmiotów, jakie do poezyi wchodzą, bynajmniéj nie należy do zakresu działalności rapsoda. Jest on maszyną kierowaną ręką cudowną...

Rzecz istotnie godna uwagi, że to, co w rzemieślniku np. poczytuje się za pewną, dosyć nawet znaczną niedoskonałość, u artysty staje się zaletą, podziwem śmiertelnych przejmującą. Na rzemieślnika, mechanicznie odrabiającego swoję pracę, patrzymy z pewném politowaniem nad upośledzoną stroną umysłową; artystę, ulegającego stokroć wyższéj bezwątpienia maszyneryi, bo duchowéj, ale zawsze maszyneryi, uwielbiamy. Różnica sfer działania zdaje się znosić zupełnie głęboką sprzeczność sądów, jakie w tych dwu wypadkach mimowolnie wydać jesteśmy zmuszeni.

Więcéj nawet można powiedzieć. Owę nieświadomość, owo bierne poddawanie się wpływowi bogów czy wpływowi natchnienia uważają pospolicie za niezbędny warunek każdéj gienialnéj twórczości. Kto czytał szóstą księgę Enejdy, przypomni sobie owe konwulsyjne drgania Sybilli, mającéj wydać wyrocznią, owe przygotowywania do przyjęcia Boga — *Deus, ecce Deus!...* Wyrażenia łacińskie *deum pati* t. j. poddawać się pokornie wpływowi bogów, *furor poëticus* (szaleństwo poetyczne), mogą służyć za przykłady takiego zapatrywania się na działalność poety-artysty. Wszak Platon, ów boski Platon, w *Fedrusie*, gdzie swoję teoryę piękna przeprowadza, powiada wyraźnie: „Co wykonywa człowiek doskonały *w boskiém szaleństwie, które jest lepsze od trzeźwego zastanowienia,* mianowicie rzecz boską, w tém poznaje nanowo dusza, jakby w świetnym obrazie, to, czemu się w godzinie zachwytu przypatrywała, idąc za Bogiem; a patrząc na to, napełnia się z konieczności rozkoszą i miło-

ścią!!... I daléj: *„Szaleństwo nie jest złém* zwyczajném, bo *przez nie spłynęły największe dobra na Helladę“*.

Większego uwielbienia dla bezwiednéj bierności trudno się drugi raz w dziejach spodziewać. Platon łączy to uwielbienie ze swoją nauką o ideach, które od wieków na łonie Boga spoczywały a w duszy ludzkiéj stopniowo tylko i bardzo niedokładnie się odbijają... Zaiste taki pierwowzór piękna odwiecznego, gdyby był możliwym i gdyby schodził do duszy śmiertelników w godziny zachwytu, możeby był godnym ubóstwienia, bo dawałby odrazu i bez pracy to, za czém ludzkość goni od lat tylu tysięcy...

Lecz, niestety! ludzkość skazana jest na pracę, a jeden z jéj synów, sławny poeta i krytyk niemiecki Lessing, był dotyla zarozumiałym, że przenosił pracę i badania nad używanie swobodne ich owoców. Gdyby mi Bóg, powiadał on, dał do wyboru dwie rzeczy: prawdę zupełną, gotową i pociąg do jéj badania, odpowiedziałbym: zatrzymaj sobie pierwszą, o Boże, bo to jest cechą twojéj wszechwładzy, ja wezmę drugą.

A chociaż nigdy i nigdzie nie brakło i nie brakuje ludzi, którzy przeciwnego niż Lessing są zdania, to przecież rzeczywistość, nauczająca wielu nader przykrych ograniczeń się, zmusza ich do oględniejszego wygłaszania przekonań, tak jaskrawo przez Platona wypowiedzianych. Myśl pozostała wprawdzie do dziśdnia całkiem niemal nienaruszona, forma jedynie nieco się zmieniła. Gdybym chciał cytować wszystkich autorów, którzy pod tym względem zdanie swe objawili, musiałbym gruby tom zapisać. Odsyłając więc ciekawych do teoryj estetyki: Vischera, Zimmermana, Schaslera a choćby tylko do ustępu w dziele *Aleksandra Baina:* „Mental and Moral Science“ (str. 304 do 315); ograniczę się na dwu najnowszych, jakkolwiek niejednakowo głośnych przykładach.

Jeden wezmę z naszéj własnéj literatury.

A. Tyszyński, znany i powszechnie poważany krytyk literacki, w dwutomowém swém dziele p. n. „Pierwsze zasady krytyki powszechnéj“ rozwija między innemi myśl, że człowiek składa się właściwie z trzech części: z ciała, z myśli i z *ducha*. Jako jeden z dowodów, mających uzasadnić różnicę pomiędzy *duchem* a *myślą*, przytacza, „iż są nieraz wypadki, w których jednocześnie *co innego działa duch a co innego myśl*... dosyć dla objaśnienia tu wspomnieć na stany *artyzmu*, proroctwa i t. p. *Wieszcz* i prorok nieraz co innego *myśli* wyrażać a co innego wyraża“ (str. 62). Jako przykład działania *ducha* niezależnie od myśli, opowiada daléj zdarzenie z własnego życia, które tu dlatego tylko powtarzam, ażeby lepiéj uwydatnić naturę *owego ducha*, co to jest także natchnieniem artystów. „Znajdując się na dni kilka w obszerném a nieznaném mu mieście — opowiada A. T. w 3-éj osobie — odwiedzał w niém codziennie w wieczór jednego ze swoich znajomych daleko mieszkającego. Pierwszego dnia, *zamyślonym* będąc, wrócił prędko i bez omyłki do siebie, nazajutrz kiedy *się zastanowił* którędy ma iść, błądził; i tak bywało co dnia: ciało *wtedy* wykonywało zamiar *ducha*, kiedy nie *przeszkadzała* mu *myśl*“ (tamże, w przypisku).

Otóż taki-to *duch*, któremu *przeszkadza* myśl, jest sprawcą, oprócz wielu innych rzeczy, wszystkich utworów artystycznych (str. 63 i we wszystkich wogóle ustępach, gdzie mowa o sztuce). Duch ten nie może się rozwijać, nie może się zwiększać ani pomniejszać: „jestto pierwiastek *rządca*, jest-to ta część człowieka, która mimo odmiany myśli, pozoru, jest w nim wewnętrznie niezmienna i jest głównie nim samym, to jest stanowi znaczenie, charakter, zasługę lub hańbę (?) jednostki“. Jak coś, co jest *wewnętrznie niezmienném*, może stać się zasługą lub hańbą, nie

wiemy; lecz tém lepiéj się przekonywamy o zasadniczym owego ducha przymiocie, który ma się przenosić i na dzieła sztuki, t. j. o zupełnéj jego bezświadomości. Taki przynajmniéj wyciągnąć musimy wniosek, według prawideł zwykłéj logiki.

Drugi przykład wezmę z rozsławionéj od lat kilku w Niemczech „Philosophie des Unbewussten" Edwarda *Hartmanna*, którego poglądy, z powodu zainteresowania się niemi i u nas nawet, dokładniéj przytoczyć zamierzam.

Hartmann wychodząc z zasady, że wszystkiém na świecie *rządzi* i kieruje zasada bezwiedna (das Unbewusste), [1]) nie mógł oczywiście pominąć tak obfitego w plon odpowiedni pola, jakie się w artyzmie szeroko przed nami rozciąga. To téż poświęca rozwiązaniu zasady bezwiednéj *w sądzie estetycznym i artystycznéj produkcyi* rozdział osobny (str. 233—253).

Walczy on przeciwko idealistom, niechcącym przyznać ważnéj roli, jaką odgrywa w utworach artystycznych doświadczenie i obserwacya, zgadza się z realistami, że nawet w najwyższych, najbardziéj powikłanych utworach fantazyi „nie napotykamy nic, czegobyśmy nie poznali przez

---

[1]) Przy rozbiorze filozofii Hartmanna nie zwrócono u nas uwagi, że „Duch" Tyszyńskiego ma niezmierne podobieństwo do „das Unbewusste" będącego w mowie pesymisty. W szczegółach mianowicie, w dowodach różnicy „ducha" od myśli, napotykamy mnóstwo przykładów, które Hartmann zapomocą zasady bezwiednéj a Tysz. zapomocą „ducha" wyjaśnia. Różnica na tém polega, że „duch" Tysz. ma swój początek w Twórcy wszechrzeczy a ostatecznie w Bogu chrześcijańskim, das Unbewusste zaś Hartmanna jest siebie samego przyczyną. Pierwsze wydanie teoryi Hartmanna wyszło 1868, dzieło Tyszyńskiego 1870; lecz zdaje się, że wówczas nie znał jeszcze T. filozofii zasady bezwiednéj, pomysł więc jego jest zupełnie oryginalny, tém bardziéj, że podobne myśli wypowiedział już w 1854 r. w pierwszym tomie „Rozbiorów i krytyk".

zmysłowe doświadczenie i nie przechowali w pamięci“, że „wszystko ogranicza się na rozdzielaniu znanych wyobrażeń i na *kombinacyi rozdzielonych kawałków w sposób zmieniony*“; mówi nawet, że „kto tylko ma żywą wyobraźnią“ i „zmysł dla piękna“ — ten przy pracy może tworzyć dzieła artystyczne. Zaraz jednak filozof nasz dodaje, że taki tryb pracy znajduje się tylko u „zwyczajnego talentu“, że „*rozumny wybór i kombinacya,* kierowane *sądem estetycznym*“ są przymiotem dyletantów jedynie i większości *artystów fachowych*... „Wszyscy oni — powiada Hartmann — nie mogą jeszcze pojąć, że te środki, wsparte techniczną rutyną, mogą zdziałać coś porządnego, ale nie dojdą nigdy wielkości, nigdy deptaka naśladownictwa nie przekroczą, nigdy nie będą w stanie stworzyć czegoś *oryginalnego;* — gdyż z takiém przekonaniem musieliby porzucić swój zawód i życie swoje za chybione uważać. Tutaj wszystko robi się jeszcze *świadomie,* brak *boskiego szału*, brak *ożywiającego tchnienia bezwiedzy*, przedstawiającego się świadomości jako *wyższy, niewyjaśniony wpływ*, który uznać potrzeba za fakt, nie mogąc nigdy odgadnąć, *jak* on przychodzi do skutku“...

„Świadomą kombinacyę — mówi dalej Hartmann — można sobie wreszcie przyswoić zapomocą natężenia świadoméj woli, pracą, wytrwałością i wprawą tym sposobem zdobytą; pomysł gieniusza jest bezwolném bierném *poczęciem*, nie przychodzi mu, gdy go najusilniéj poszukuje, ale całkiem niespodziewanie jakby z nieba spadając, w podróży, w teatrze, w rozmowie, wszędzie, gdzie się go najmniéj spodziewa, a zawsze nagle i na chwilę tylko. Świadoma kombinacya wypracowuje mozolnie z najdrobniejszych szczegółów i buduje całość powoli, wśród mąk, wsród zwątpienia i łamania głowy, zarzucając nieraz i znowu ujmując pojedyncze kawałki; pomysł gienialny otrzymuje całość z jednego odlewu jako podarunek bogów, żadnych trudów niewymagający;

i właśnie szczegółów mu brakuje i już dlatego brakować musi, że w większych kompozycyach (obrazach grup, poematach) duch ludzki jest zaszczupły, ażeby mógł objąć jednym rzutem więcéj nad najogólniejsze wrażenie całości. Kombinacya stwarza sobie jedność całości zapomocą mozolnego dopasowywania i doświadczania w szczegółach, stąd téż pomimo całéj pracy nie dochodzi do niéj nigdy w zupełności, lecz w robocie swojéj daje rozpoznać konglomerat wielu szczegółów; gieniusz, mocą pomysłu poczerpniętego ze źródła nieświadomości, otrzymuje tak doskonałą jedność pod względem konieczności, celowości i wzajemnego stosunku wszystkich pojedyńczych części, że ją można jedynie porównać z jednością organizmów w przyrodzie, jednością wypływającą również z zasady bezwiedzy" [1]).

Po takiéj charakterystyce pracy zwykłego talentu i gieniuszu, Hartmann chcąc uniknąć zaczepek ze strony estetyków, którzy piękna i warunków twórczości chcieliby się dopatrzyć trochę bliżéj niż w obłocznych sferach nieświadoméj zasady, podaje kilka ograniczeń ze względu na swoję daleko sięgającą tezę. Zwraca on mianowicie uwagę, że gieniusz potrzebuje również ćwiczeń i wprawy, że oprócz idei ogólnéj, zarodkowéj, potrzeba mnóstwa pojedyńczych pomysłów, ażeby stworzyć jakieś wielkie dzieło, że nie może przyjść gienialna kompozycya do głowy, kiedy duch w jakimkolwiek oznaczonym kierunku jest już zajęty, że do *wprawienia w ruch nieświadomości (!)* potrzeba jakiéjś *pobudki* zewnętrznéj lub wewnętrznéj, że wreszcie nawet w pracach zwykłego talentu nigdy nie brakuje zapładniającego pomysłu, przychodzącego ze sfer bezwiednych, tylko, że te sfery są dla podobnych umysłów bardzo niełaskawe i takie *mi-*

[1]) Hartmann: Philos. des Unbewussten, wydanie 5, str. 241

nima owych pomysłów im udzielają, iż pospolita obserwacya samego siebie zauważyć ich nie może... [1]).

Ustępstwa te i omówienia nie znoszą jednakże zasady. Bezwiędność zostaje zawsze na wierzchu i odbiera hołdy najwyższe. Zaledwie się powie, że rozum jest potrzebny, ażeby zaprowadzić pewien ład i porządek wśród chaotycznie napływających „koncepcyj“; zaledwie się pochwali energią, wytrwałość, pilność i sąd zdrowy; zaraz należy zastrzedz sobie, żeby to nie ubliżało, broń Boże, wszechmocnéj bezwiedności. I tak np. stawia sobie Hartmann pytanie: jak daleko sięgać winna *praca rozumu*, ażeby nie przeszkodzić „koncepcyi nieświadomości“ — i odpowiada, „że tego sam rozum oznaczyć nie może, lecz tylko *smak estetyczny* czyli *takt sztukmistrza*, to jest poczucie piękna *nieświadomie w nim ustalone*“. I dlatego téż — dodaje — podczas *całego trwania* pracy rozumu musi znów „bezwiedność jako strażnik graniczny *czuwać (!)* (Wache halten) nad *świadomym siebie rozumem*“ [2]). Widocznie podług pana Hartmanna strażnicy powinni *spać, ażeby czuwać*...

Tak tedy po więcéj niż dwu tysiącach lat wracamy do platońskiego szału, ubranego wprawdzie podług ostatniéj mody w szmatki nauk przyrodniczych i rezultaty ściśléj nauki, ale niemogącego wykazać w swém drzewie gienealogiczném nic innego prócz *bezwiednego wyobrażenia i woli bezwiednéj*. Smutna byłaby perspektywa przyszłości, gdyby się tylko *takie* poglądy w dziejach rozwoju umysłowego napotykały; doszlibyśmy w końcu do przekonania, że lepiéj było żadnych badań nie podejmować, lepiéj było wcale się nie trudzić i nie mozolić

[1]) Hartmann: Philos. des Unbewussten, str. 244—245.

[2]) Tamże, str. 240. Że wiele rzeczy ludzie wykonywają bezświadomie, nie myślimy przeczyć; tylko objaw ten tłomaczymy sobie inaczéj. W dalszym ciągu pracy będziemy mogli jeszcze o tém wspomnieć.

nad rozwiązaniem zagadki, bo wyobrażenie bezwiedne i wola bezwiedna mogą się bez tego obejść, a co mają zrobić, to zrobią...

Szczęściem tak nie jest; i dawniéj, przed dwoma tysiącami lat, i dzisiaj są ludzie, którzy usiłują wyjaśnić sobie wszystko na podstawie *wyobrażenia świadomego* i *woli świadoméj*... Ale o nich późniéj; obecnie musimy jeszcze na chwilę zatrzymać się nad tą dziedziną ciemną i chmurną, która jest ulubioném miejscem pobytu artystów i większości estetyków europejskich.

Wprzód nim system zasady bezwiednéj został rozwinięty do tego stopnia, że całość wszechprzyrody i wszechludzkości objąć w swe ramiona zamierzył, istniały w wykształconém społeczeństwie pokrewne mu pojęcia, na innéj drodze rozumowania zdobyte. Wyrażały się one w tém przekonaniu, że *refleksya, zastanowienie rozumne* wpływają szkodliwie na proces twórczości artystycznéj. Innemi słowy: artysta, zastanawiając się, jak ma wykonać swoje pomysły, byłby w położeniu, o jakiém wspomina Tyszyński: myliłby się i robiłby źle. Jak Tyszyński nie mógł trafić do domu, kiedy się zastanowił, którędy miał iść; tak artysta nie mógłby trafić do ładu, gdyby się zastanawiał nad sposobem wykonania swéj pracy...

Mniemanie to jest bardzo rozpowszechnione i, co więcéj, ma wszelkie pozory prawdy za sobą. Przypomnijmy tylko sobie dane historyczne — powiadają zwolennicy antyrefleksyjnéj sztuki — a znajdziemy stwierdzenie powyższego poglądu. Przecież-to wraz z Arystotelesem, który był pierwszym uczonym greckim w ścisłém słowa tego znaczeniu, który pierwszy napisał *teoryą* poezyi, znika istotna twórczość poetycka. Czasy Homerów, Pindarów i Sofoklesów stają się bezpowrotną przeszłością; swobodne, wielkie, świeże i oryginalne poczucie artyzmu przechodzi w zakres podań, ule-

gając dysekcyi w szkolarskich, suchych i bezdusznych podręcznikach. Poezya dydaktyczna, gramatyka rymowana, urzędowe kadzidło hymnów śpiewanych na cześć bogów, w których poeta wierzyć nie chciał i nie mógł — oto są przedmioty zajęcia dla tych, co skrzywione i wypaczone uczucia swoje w równo odmierzoną sukienkę przystrajać pragnęli.. A jeżeli się kiedy odezwie jędrniejsza i zdrowsza myśl, jeżeli wśród jednakowo, płaskich i jednakowo ulanych szeregów wyrazowych posłyszy się dźwięk przypominający lepsze czasy twórczości, to chyba tylko w rodzaju satyrycznym, zgryźliwym i nienawistnym, który z natury rzeczy najmniéj czynników poetycznych w sobie zawiera. Przykład Hellady, któréj synowie z urodzenia już byli artystami, najlepiej dowodzi — powiadają — że sztuka i nauka, natchnienie i rozwaga zostają w stosunku wzajemnie sobie nieprzyjaznym.

„Wdając się w refleksyą — mówi jeden z najbystrzejszych psychologów niemieckich, W. Wundt — i poddając krytyce swoje własne utwory, sztuka traci tę naiwną bezpośredniość, wskutek której utwory jej stają się podobne do utworów przyrody. Skoro tylko sztuka zaczyna tworzyć świadomie, z zamiarem, wówczas zamiar ten staje się widocznym, a dzieła sztuki dają już karm' nie dla uczucia, nie dla instynktowego poznania, lecz zajmują wyłącznie rozum, zamieniają się w zagadnienia umysłowe. Stąd-to krytyk tak rzadko bywa artystą, a *czasy krytyki w dziejach sztuki bywają często najbezpłodniejsze*“ [1]).

---

[1]) *W. Wundt:* Vorlesungen über die Menschen und Thierseele. Lipsk 1866 r., t. II, str. 52. „Deshalb ist der Kritiker so selten ein Künstler und die kritischen Zeiten in der Geschichte der Kunst sind so häufig die unfruchtbarsten“. Zresztą muszę dodać, że Wundt stwierdza tylko fakt, że tak było dotąd, na przyszłość zaś inny stawia ideał; o czém późniéj.

Zwolennicy sztuki anty-refleksyjnéj z lubością cytują te dane, z zapałem podnoszą samotwórczą stronę gieniuszów, ukrywając o ile możności wszystko, co zbyt wyraźnie zdradza pracę samowiedzy, nabytki doświadczenia i nauki. Z uniesieniem mówią o fakcie, że Homer w żadnych szkołach się nie kształcił, że Szekspir uniwersytetu nigdy nie kończył, że Dante po grecku nie umiał; lękają się atoli wspomnieć o naukowém znaczeniu Goethego, albo o wszechstronném wykształceniu Mickiewicza. „Szkoła dla gieniusza — to klatka dla orła!“ — wołali zapaleni romantycy, kontenci, że wynaleźli frazes, rozgrzeszający ich od znajomości wielu przedmiotów, będących podstawą każdego naukowego myślenia. Wielcy ludzie, ludzie wogóle zdolni, którzy późniéj w życiu odznaczyli się szczególnemi talentami i wiele dobrego dla społeczeństwa zrobili, mieli częstokroć w szkołach najgorsze stopnie i byli uważani za tępych... Jest-to również fakt, który udowodnić można licznemi (a choćby kilku) przykładami... Romantycy na poparcie swego założenia i ten fakt również przytaczali. Stąd mogła powstać nader wygodna maksyma, że, ażeby zostać gieniuszem, trzeba tylko być najleniwszym uczniem, bo nauka i natchnienie znoszą się nawzajem...

Les extrêmes se touchent... Nieuctwo i najwyższa twórczość artystyczna, *podług teoryi, o któréj mówimy* (kładziemy na to nacisk, lękając się nie bez powodów, żeby nas źle nie zrozumiano), muszą sobie podać ręce, bo oba te stany wyznają jedne i te same zasady. Oczywista rzecz, że zarówno zwolennicy teoryi bezświadomości, jak i sztuki anty-refleksyjnéj usiłują wyrzec się podobnego braterstwa; zdaje się przecież, że bezskutecznie, bo logika domaga się wykonania nieubłaganych praw swoich. Trzeba wyciągnąć konsekwencye z postawionych założeń, chociażby konsekwencye te niezbyt pochlebnie dla miłości własnéj wypadały.

*
* *

Pytaliśmy się tedy artystów o sposób wykonywania ich prac; odpowiedzieli nam, że *nic o tém nie wiedzą.*

Pytaliśmy się również o to samo kilku teoretyków, których można uważać za najjaskrawszych przedstawicieli większości dzisiejszych estetyków; odpowiedzieli nam, że wytłomaczenia téj zagadki szukać należy w *szale boskim*, w *zasadzie bezwiednéj*, w *nieświadomości*, w *uchylaniu się wreszcie od wszelkiéj refleksyi, od wszelkiego rozumowego zastanowienia.*

Jak widzimy, od teoretyków otrzymaliśmy gorszą odpowiedź niż od samych artystów, bo nas chcieli poprostu oszołomić dźwiękiem niezrozumiałych frazesów. My pytaliśmy się ich w dobréj wierze o wytłomaczenie procesu artystycznéj twórczości, a oni, jakby drwiąc, odpowiadają nam: szukajcie wytłomaczenia w *nieświadomości!!* Ależ my, dlatego właśnie że *nieświadomi*, prosiliśmy was o objaśnienie. Nie, panowie, nie godzi się żartować z uczciwych ludzi. A toż gdybyśmy się w *nieświadomości* zatopili, tylebyśmy wiedzieli, co i przedtém. Byłoby to trochę zamało... Na nic nam wasza odpowiedź...

Więc w drogę... Zapukajmy do przybytku dziejów sztuki, śledźmy jéj początek; — może w ten sposób dowiemy się czegoś więcéj...

II.

Sztuka Parweniuszem.

Wszystkie objawy na świecie najlepiéj się objaśniają, jeżeli zdołamy dosięgnąć ich początku, jeżeli wyśledzimy ten mikroskopijny kłębuszek, z którego ciągnie się nić wzorzysta poprzez całe stulecia. Zastanawiając się zaś nad początkiem sztuki, musimy się udać po radę do *paleontologii* i *etnografii.*

Nauki te młode a więc ochocze i żwawe poodkrywały w ostatnich czasach niezmierne mnóstwo wielce interesujących rzeczy, które jakby jasna pochodnia rozświecają pomrokę dziejów przedhistorycznych, ukazując nam albo całkiem nowe przedmioty albo w zupełnie inném niż przedtém oświetleniu.

Jedna z tych nauk — paleontologia, uzbroiwszy się nietylko w cierpliwość ale w rydel i świder, przedziera się w głąb ziemi, zapuszcza się w jaskinie, pluszcze się po jeziorach, zapiera w sobie oddech w podziemiach, — i szuka śladów, choćby okruchów śladów z życia, które już dawno przebrzmiało, a o którém kroniki ani słowa nie wspominają. Szuka i znajduje.

Druga nauka — etnografia ubrała się w płaszcz podróżny i gotowa na ofiary, zwiedza kraje dalekie, skwarne albo lodowate, tryskające bujną wegietacyą albo połyskujące drobnym rozpalonym piaskiem; zachodzi do papuasów, botokudów, do malajczyków i bantu-negrów; przypatruje się im, jak żyją, co robią, czém się bawią, co czczą i czego nienawidzą... A wróciwszy do staréj Europy, dumnéj swoją tradycyjną cywilizacyą, powiada jéj: Patrz, taką i ty byłaś przed laty; nie wstydź się swego pochodzenia; nazywasz tamtych barbarzyńcami, a sama niczem więcéj nie byłaś; wiedza cię podniosła, uszlachetniła, starajże się innym do tego dopomagać.

Obie zaś nauki podają nam nieocenione wskazówki co do początku wszystkich ludzkich dorobków, a więc i co do sztuki.

Oto pod lasem wśród bujnych traw siedzi przy ognisku mężczyzna napół nagi i na piersiach ma wyrznięte dziwaczne kreski i kółka w przeróżne zygzaki i kulasy pokombinowane, farbą czerwoną napuszczane, tak, że właściwego ciała ani się domyśleć; na głowie ma kitę z różnokoloro-

wych piór ptasich, jaskrawo przy ogniu połyskujących. Koło niego drużyna, podobnie choć nie tak *wspaniale (!)* ustrojona, gwarzy wesoło, dzikiemi okrzykami często sobie przerywając. Kobieta niepozorna, wybladła, z dzieckiem u piersi stoi zdala i nie śmie przerywać rozmowy, nie śmie się mieszać do zabawy swego pana... Mężczyzna ów obtarł toporek kamienny, którym dopiero co rozłupywał kości jakiegoś zwierza, ażeby się dostać do *szpiku* zjedzonego z wielkim apetytem; odłożył go na bok, wziąwszy w rękę coś nakształt niezgrabnego dłuta; zaczął nim suwać po najgrubszéj kości tego zwierza, który stanowił jego pożywienie. Robił tak samo jak student, gdy go lekcya nie bardzo zajmuje. Coś wyrzynał. Student zazwyczaj wyrzyna swoje nazwisko albo imię swojéj kochanki. Ów dziki wyrzynał obraz zwierza; on go najwięcéj obchodził: dając mu jadło, utrzymywał go przy życiu; on najwięcéj zajmował jego wyobraźnią, bo nieraz stał mu przed oczyma, nieraz mu uciekał, nieraz może go skaleczył; jakżeby go nie miał zapamiętać! Wyrzeźbił go też dokładnie; w grubych wprawdzie i niezgrabnych zarysach, ale zawsze wyrzeźbił.

Prosty obrazek... nieprawdaż? Zdawałoby się, że tak być już musiało od początku ludzkiego istnienia na ziemi: że człowiek chcąc stanąć na tém stanowisku, na którém się znajdował ów dziki, nie potrzebował robić żadnych wysiłków, nie potrzebował ponosić żadnych trudów: przychodziło mu to łatwo, do czego stworzonym być się zdawał. A jednak — zapytajcie paleontologów, ile to tysięcy nie lat lecz wieków upłynąć mogło od czasu pojawienia się człowieka na ziemi, aż do téj chwili, w któréj ów dziki mógł jako tako rzeźbić na kości zwierza, którego zabił i zjadł...

Naprzykład. Dowiedzioną jest dziś rzeczą, że człowiek istniał już w *trzeciorzędowéj* epoce, to jest przed jakiemi tam paru milionami lat. Otóż *Desnoyers* w trzeciorzędowym pia-

sku na dolinie Sommy znalazł kości słonia południowego (elephas meridionalis) z wyraźnemi *narznięciami*, które uważał za dzieło ręki człowieczéj. Tymczasem Karol *Lyell* dowiódł przekonywająco, że podobne narznięcia dokonywane bywają w tameczném okolicy przez pewne zwierzęta gryzące (tak zwane gryzonie [1]). Można sobie wyobrazić, co to były za narznięcia, jeżeli równie dobrze ręką ludzką jak zębem zwierza do bytu powołane być mogły!.. Od prostych kresek, linij łamanych i kółek do jakiego-takiego *obrazu* zwierzęcia, choćby najniezgrabniéj wykonanego, przestrzeń olbrzymia. A przecież tak jak dziecko, które się uczy rysować, musiał człowiek w najodleglejszych czasach zaczynać od owych kresek, linij łamanych i kółek, ażeby z biegiem czasu po wielolicznych trudach i próżnych wysiłkach dojść do jakiejkolwiek choć cokolwiek zadowalniającéj całości, pewną postać przedstawiającéj. Ile zaś czasu było potrzeba ludziom, ażeby od tych pierwiastków, od tych elementarnych początków przejść wyżéj, na to niekoniecznie wśród epok gieologicznych grzebać nam odpowiedzi wypada; dosyć spojrzeć po dzisiejszych ludach barbarzyńskich, których ucywilizować dotąd się jeszcze nie udało. Wszak na niektórych wyspach oceanu Wielkiego dziś jeszcze broń kamienna jest w użyciu obok żelaznéj; co więcéj, można tam nawet mówić o epoce kościanéj, jaką wogóle *Combos de Fumel* jako poprzedniczkę epoki kamiennéj ustanowić usiłował. Na wyspach Karolińskich jeszcze w końcu zeszłego stulecia mieszkańcy budowali swe domy przy pomocy siekier kamiennych [2]. Naturalnie wraz z temi narzędziami związane są ściśle i owe rzeźby na kościach zwierzęcych...

---

[1]) Zob. Vierteljahres-Revue der Fortschritte der Naturwissenschaften. Cöln und Leipzig, 1873, tom I Nr. 1, str. 77.

[2]) Vierteljahres-Revue, str. 95.

Rzecz dziwna i godna uwagi, że wśród obrazów niedźwiedzia jaskiniowego, jelenia, rena i t. p. nigdzie nie napotkano dotąd obrazu samego człowieka... Na plastyczną fantazyą ówczesnych więcéj widocznie działała natura zewnętrzna, aniżeli on sam lub do niego podobni. Żył on w nader ścisłych stosunkach z matką-przyrodą; cierpiał od niéj dużo, ale też i przyjemności mnóstwo doświadczał... Czy ją kochał, czy nienawidził, nie możemy rozstrzygać, bo są zarówno ślady jednego jak i drugiego uczucia, we czci błogich jak i okropnych objawów natury; dosyć, że się od niéj oderwać nie mógł, że ona mu ciągle stała na myśli i nakłaniała go niemal przemocą, żeby ją sobie uzewnętrzniał. Nawet potęgi natury tajemnicze, które go wdzięcznością i przestrachem napełniały, a które on wraz z postępem rozwijającego się myślenia za bóstwa poczytywać zaczął, przybierały u niego postać albo rzeczy martwych albo też zwierząt. Prawie niepodobna wątpić, że u wszystkich narodów pierwotną formą kultu religijnego był *fetyszyzm* t. j. cześć przedmiotów nieożywionéj natury. Cześć zwierząt była i jest również rozpowszechniona na całéj kuli ziemskiéj. Jeżeli zaś w późniejszych czasach napotykamy postaci ludzkie, to przedewszystkiém w karykaturze: z kilku głowami, z kilku ramionami i t. p. Dopiero powoli człowiek uznał w sobie najwyższą formę istnienia, i bogom, których czcił, postać tę nadawał, postać, co w nieśmiertelnych dziełach rzeźby greckiéj nadziemskim niemal zajaśniała blaskiem.

Zanim się jednak człowiek wzniósł do tych wyżyn, poprzestawał na przedmiotach otaczającego świata. Musiał zaspakajać najbliższą swoję potrzebę, potrzebę pożywienia: łapał mięczaki i zjadał je[1]); dla ulżenia sobie pracy przy

---

[1]) Że istotnie jednym z najdawniejszych pokarmów ludzkich były muszle, świadczą tak zwane *Kjökkenmöddingi* t. j.

ich otwieraniu, brał leżące napodorędziu kawałki ostro zakończonego krzemienia, który mu musiał zastępować nóż przy otwieraniu ostryg. Ale mięczaki i owoce wystarczyć mu nie mogły; zapragnął innego pokarmu; musiał wynaleść stosowne narzędzia, ażeby ten pokarm (zwierzęcy naturalnie) mógł sobie zdobyć. Siekiera, którą wkładano pierwiastkowo w rozłupane drzewo, nie umiejąc przedziurawić kamienia; łuk z elastycznych gałęzi i strzała z drzewa, z kamienia albo też z zębów i kości: oto środki, któremi od zwierząt się bronił i zwierzęta zabijał, ażeby je następnie pożreć...

Przy dalszém ulepszeniu pożycia pokazała się potrzeba *naczyń*. Z początku znowu matka-natura była tu przewodniczką i nauczycielką. Twarde łupiny ze świata roślinnego, muszle i skorupy żółwie ze świata zwierzęcego stanowiły dawniéj wszędzie a obecnie u wielu narodów dzikich naturalny środek przechowywania rzeczy płynnych. Ale bardzo wcześnie pokazują się już naczynia gliniane. Dzisiaj powszechnie przyjmują, że pierwszą ku temu myśl mógł podać taki np. wypadek. Na gliniastym gruncie rozkładały częstokroć hordy ognisko, po większéj części w najniższych miejscach; gdy się to powtarzało kilkakroć, najwyższa warstwa gliny przemieniała się na zbitą twardą masę. Z téj masy robiono naczynie na podobieństwo łupin lub muszli, wypalano ją jeszcze raz i robiono miskę i t. p. Niekształtne z początku naczynie udoskonalało się z postępem czasu.

Po zaspokojeniu najpierwszych potrzeb zjawiała się chęć *przyozdobienia* zarówno siebie jak narzędzi i naczyń, któremi się człek posługiwał i potrzeby swoje opędzał. Tak powszechne u ludów żyjących w sferach gorących *tatuowanie*,

---

ogromne, murawą pokryte, kupy skorup muszlowych, kości zwierzęcych i naczyń kamiennych, jakie w ziemi napotykamy.

przystrajanie głowy w różnokolorowe pióra ptasie, przekłówanie nozdrzy i zawieszanie w nich jakichś świecących przedmiotów, noszenie kolczyków i bransolet przez płeć piękną: w owéj właśnie chęci ma swój początek; a widocznie chęć ta była nieprzeparta, kiedy dotychczas przedmiotów, zadowoleniem jéj będących, nie brak nawet u cywilizowanych narodów... Człowiek sam był pierwszém płótnem, na którém występowały pierwotne dzieła malarskie, a ich wykonanie połączone, niestety! było z bólem niemałym. Tatuowanie bowiem nie jest zwykłém malowaniem. Skóra nacina się ostrém narzędziem, punktuje się niejako w nader małych odstępach, a powstałe w ten sposób otworki napuszczają się barwnym sokiem roślinnym. Jestto małżeństwo rzeźby z malarstwem.

Podobnie jak ze sobą, postępował człowiek i ze swemi narzędziami.

Kto zwiedzał jakie zbiory etnograficzne choćby w Berlinie a nawet w Dreźnie, gdzie w muzeum historyczném jest mały pokoik etnograficznym okazom poświęcony; niezawodnie wpadły mu w oko jaskrawe barwy maczug, pałek, łuków, zbroi i t. d. Wszystkie one są malowane, niektóre nawet (np. z wysp malajskich) wcale nie brzydko się prezentują. Gdy się tym malaturom bliżéj przypatrzymy, łatwo będzie odkryć, że one po większéj części nic więcéj nie przedstawiają prócz kresek długich i krótkich, kół i kółek w rozmaity sposób pokombinowanych. Inne, daléj już w postępie posunięte, przedstawiają albo usiłują przedstawiać liście, drzewa, ptaki i czworonogi. Egzemplarze tych wszystkich narzędzi są najpospoliciéj z czasów bardzo niedawnych, i dlatego właśnie zwróciłem na nie uwagę; przypominają one nam bowiem wyraźnie owe kreski, co mogły być przez gryzoniów zrobione i owe reny i niedźwiedzie jaskiniowe, jakie na ich własnych kościach napotykamy.

Nic sobie człowiek pomyśleć, nic wyobrazić nie może, czegoby nie było w naturze. Owszem dowiedzioną jest rzeczą, że nawet w rozwiniętém wysoko budownictwie wszystkie pierwiastki składowe z natury są wzięte. Znany artysta budowniczy *Semper* wyznaje np., że kształt kolumn na grobowcu w Beni Hassan jest wyraźném powtórzeniem czterech połączonych łodyg roślinnych; że daléj kapitel w Karnaku przedstawia szeroko roztwarty kielich kwiatu lotosu, co nawiasem mówiąc, było zwykłym strojem główek u pięknych pań egipskich [1]). Tak samo sądzi znany powieściopisarz i znawca sztuki Teofil *Gautier*. Wspominając o ograniczonéj sferze twórczości fantazyi ludzkiéj, powiada: „Najbardziéj cudackie pomysły są rzeczywiste; wydają się one nam napozór dziwnemi, ale dlatego jedynie, że części prawdziwe oddzielnie połączone są w jednę całość. Lew, koza i wąż mogą się upomnieć o jeden ze swych członków u okropnego zwierzęcia, zabitego przez Bellerofonta. Megaloniksy, ichtyozaury, pterodaktyle, mamuty, paleonterye w epoce przedpotopowéj; a w bliższéj dla nas, dziwaczna fauna Nowéj Holandyi, nie licząc już owego mrowiego świata odkrytego pod mikroskopem, zadowolniły zgóry wszystkie zachcianki ołówka i dłuta. Gryfy, hydry, smoki, harpije, meduzy, syreny, trytony należą do historyi naturalnéj. Na polu zaś *ornamentacyi*, które, jakby się zdawało, nie ma żadnych granic, roślinność wraz ze swemi liściami, kielichami, gałęźmi, pączkami — dostarcza motywów do wszystkich zagięć, do wszystkich zaokrągleń, do wszystkich rozgałęzień... Owe cudowne jeziora wężykowato spływające po murach Alhambry, owe stalaktyty zwieszające się ze sklepień sali Abenseragów i Dwu-

---

[1]) Semper: Der Stil in den technischen und tektonischen Künsten. Monachium 1860 do 1863, t. I, str. 13 i n. Cytow. u *Neumann'a:* Die Kunst in der Wirtschaft. Wiedeń 1873, str. 19.

Siόstr, nie zawierają ani jednéj formy, z którejby nie mogła zdać sprawy trygonometrya albo krystalografia. W urabianiu naczyń typów dostarcza jajko próżne, kielich kwiatu i właściwość tego, co ma naczynie wypełniać. Największy nawet artysta nigdy jeszcze nie stworzył nowéj formy; a kiedy chcemy przedstawić przedmioty oderwane jak Bóg, duchy niebieskie, musimy się zwrócić do typów ludzkich, gdyż wynalezienie innéj postaci jest rzeczą niemożliwą“ [1]).

Cokolwiek moglibyśmy myśleć o pochodzeniu ludzkich pojęć, cokolwiek o zdolności twórczéj; to jednak faktów powyższych zaprzeczyć nie możemy. Sąto rzeczy wykryte zarówno przez paleontologią i etnografią jak i przez głębsze wniknięcie w rozwój sztuki takiéj, jaką się nam wśród biegu dziejów przedstawiła. O pojęcia i poglądy można bardzo długo się sprzeczać, zacięte nawet i długotrwałe walki na arenie literackiéj lub salonowéj staczać, a jeszcze nie przyjść do żadnego, kojarzącego dwie przeciwne strony, rezultatu. Przeciwnie rzecz się ma z faktami. Tu nie może już być mowy o żadnych wykrętach dyalektycznych, o żadnych naciąganych lub przewrotnie tłomaczonych figlach krasomówstwa: fakty przemawiają za siebie i stają we własnéj obronie.

Czegóż nauczają nas powyżéj przytoczone fakty? Odpowiedź, zdaje się, dwuznaczną być nie może. Pokazują nam one, że w *pewnych* gałęziach działalności ludzkiéj, które poźniéj z biegiem czasu i postępem rozwoju umysłowości ludzkiéj, na osobne sztuki piękne się przetworzyły, *zarówno pomysł jak i środki, do urzeczywistnienia tego pomysłu służące, były wprost z natury brane.* W tych gałęziach działalności ludzkiéj najbliższą i bezpośrednią *pobudką* skłaniającą ludzi do zajmowania się niemi była chęć *zwiększenia własnéj przyjemności.*

---

[1]) *Th. Gautier:* L'art moderne. Paryż 1856; str. 155—6.

Powtarzamy z naciskiem: w *pewnych*, bo dotąd przywiedzione fakty nie pozwalają nam uogólnić naszego zdania i powiedzieć: *we wszystkich*. Byłby to wniosek zanadto pośpieszny i niedający się usprawiedliwić. Zarazby nam można było zarzucić: a wszakże są inne sztuki, do których powyższe dane bynajmniéj się nie odnoszą; cóż powiedzieć o muzyce, o poezyi? toż to są najwyższe objawy ducha ludzkiego w artystycznéj dziedzinie; one się podciągnąć nie dadzą pod powyższą formułę!

Zarzut byłby zupełnie słuszny. Nie można nic wypowiadać napewno, jeżeli się na to nie ma dostatecznych dowodów.

Rozejrzyjmy się więc w téj nowéj dziedzinie.

Przedewszystkiém uprzedzić muszę, że mówić tylko będę o poezyi, gdyż traktowanie o muzyce z wielu względów przedstawia trudności, a nigdy tak jasno i zrozumiale nie da się sformułować jak w téj sztuce, któréj za materyał służy dźwięk, słowo, ludzka mowa.

Ta mowa ludzka sama w sobie — to najszczytniejszy utwór sztuki, jaki ludzkość wogóle stworzyć potrafiła. W niezliczonych stopniowaniach, od bełkotu dziecka do najszczytniejszego poematu, przedstawia nam ona usiłowanie przyodziania w zewnętrzną formę tego, co wewnątrz nas, w duszy naszéj i sercu zachodzi, wszystkich naszych myśli i uczuć. Każdy wyraz jest pomnikiem stawianym dla jakiegoś wyobrażenia czy pojęcia, jest obrazem uczucia i poezyą naszéj duszy, która inaczéj objawićby się w całéj swéj doskonałości nie mogła. Jeżeli ktoś uważa sztukę za urzeczywistnienie idei albo też za uwydatnienie najcharakterystyczniejszych cech pewnego przedmiotu, ten mowę za dzieło sztuki poczytać musi, bo w niéj także jest urzeczywistnienie idei (myśli lub uczucia) i uwydatnienie cech najbardziéj stanowczych.

Jak długo ludzie pracowali nad wytworzeniem języka, niepodobna oznaczyć. Niektórzy, jak np. znakomity lingwista *August Schleicher* [1]), naznaczają osobną epokę w rozwoju ludzkości, nazywając ją epoką *formacyi mowy*. I pogląd ten ma nadzwyczaj wiele za sobą, a głównie tę okoliczność, że język nadzwyczaj powoli się kształcił i bogacił w wyrazy. Jeżeli dowiadujemy się (od Maksa Müllera), że dzisiaj wieśniak irlandzki obchodzi się 200 do 300 wyrazami w życiu swojém zwyczajném,, a bądźcobądź wysoko nad poziom dzikości wzniesioném, to możemy sobie wyobrazić, jak szczupłym zapasem słów posiłkował się człowiek piérwotny, dziki. Z drugiéj strony wiemy, że języki z małéj stosunkowo liczby *piérwiastków*, t. j. takich dźwięków mających pewne znaczenie, które już na mniéj proste lingwistycznie rozłożyć się nie dają, potrafiły rozwinąć się do 60 a nawet 100 tysięcy *wyrazów*!... To nam pokazuje, jak wielka przestrzeń czasu leżeć musi pomiędzy małym początkowo zasobem a późniejszém niezmiernie rozrośniętém bogactwem. Zdaje się, że nazwa epoki dla owego stopniowego rozrastania się mowy nie będzie nieodpowiednią.

Badacze języka, począwszy od Boppa aż do Maksa Müllera, wszyscy bez wyjątku zgadzają się na to, że wszystkie pierwiastki, a zatem i wszystkie złożone z nich wyrazy, miały początkowo znaczenie *zmysłowe*, t. j. przedstawiały w sobie, odbijały niejako przedmioty i zjawiska przyrody. Króciutkim przykładem postaramy się to wyjaśnić. Weźmy najabstrakcyjniejsze wyrazy t. j. takie, którym nie odpowiadają nigdzie w przyrodzie zmysłowe przedmioty, mogące podlegać naszemu doświadczeniu zapomocą zmysłów. Takie wyrazy są np. *duch*, *Bóg, anioł*. Bezwątpienia nikt i nigdy

[1]) Ueber die Bedeutung der Sprache für die naturgeschichte des Menschen 1865.

ducha, Boga, anioła, nie widział, nie słyszał, nie dotykał się, ani wogóle nie doświadczał żadnym ze swoich zmysłów. Pytamy się, skąd te wyrazy powstały. Językoznawstwo odpowiada: *duch* ma ten sam pierwiastek co i *dech* (tchu); gdyż prawdopodobnie ludzie oddawna zrobili spostrzeżenie, że to, co zewnętrznie charakteryzuje istoty żyjące, jest oddychanie, które zupełnie ustaje, jak tylko istota żyjąca umiera. Dech zaś, jak każdemu wiadomo, jest rzeczą dającą się zmysłowo zaobserwować zarówno na sobie jak i na innych. *Bóg* ma w zendzkim (t. j. staroperskim) języku odpowiednie słowo a nawet pojęcie: *bagas*, co znaczy: *jaśniejący, świecący*, przymiotnik, odnoszący się przedewszystkiém do *słońca*, które u staro-persów (pod nazwą *Mithra*) a prawdopodobnie i u Słowian czci boskiéj doznawało. Zarówno słońce jak i światło, jego przymiot, są rzeczami zmysłowemi. *Anioł* wreszcie jest przepolszczeniem greckiego wyrazu: *angelos*, co znaczy poprostu *poseł*, którego zmysłowość (bez kalemburu...) każdemu jest znana.

Oczywiście jak na tych trzech wyrazach, tak i na wszystkich innych prawdy powyższego twierdzenia z łatwością dowieść można. Jestto zresztą pewnik lingwistyczny, fakt językowy, który trudno przemienić.

Język był początkowo wynikiem potrzeby czy porozumienia się z ludźmi, czy z wyższemi jeszcze potęgami; w dalszym swoim rozwoju, po zaspokojeniu potrzeb, służył do uprzyjemnienia życia towarzyskiego, do opowiadania wzajemnych radości i smutków, wzajemnych przygód łowieckiego, pasterskiego, rolniczego i wojowniczego (a względnie rycerskiego) żywota. Opowiadania te, przechodząc z pokolenia na pokolenie, olbrzymiały dodatkami, które każdy opowiadacz niejako z obowiązku dotwarzać z własnego doświadczenia musiał; a łącząc się z pieśniami na cześć bogów, otaczały się świętością i urokiem tajemniczym, jaki ma za-

mierzchła przeszłość rodzinna, a w dalszym rozwinięciu narodowo-dziejowa. W ten sposób w ogólnych rysach możemy sobie tłómaczyć powstanie zarówno drobnych jak i wielkich poematów ludowych.

Zastanówmy się pokrótce nad jednym z nich, który był księgą mądrości jednego ludu najbardziéj może wrażliwego na piękno, a który z powodów cywilizacyjnego znaczenia stał się własnością wszystkich narodów ucywilizowanych. Mówimy o „*Iliadzie*“. Wiem, że są inne dawniejsze płody piśmiennictwa zwłaszcza w literaturze indyjskiéj, zendzkiéj (staro-perskiéj) i egipskiéj; lecz ponieważ utwory te mało komu są znane, wolę zatrzymać na chwilę uwagę czytelnika na zbiorze pieśni, których wprawdzie sam może nie czytał, ale przynajmniéj z ich treścią bliżéj jest obeznany.

Treść Iliady rozpada się na dwa niejako, odrębne wprawdzie, lecz ściśle ze sobą nierozerwalnemi węzłami spojone światy: świat ludzi i świat bogów. Świat ludzki przedstawia oczywiście osoby i zdarzenia, jakie nieraz nawet za czasów piewcy miały miejsce; a chociaż uidealizowane t. j. podniesione nad zwykły poziom śmiertelników, co nawet wyraźnie w pieśniach niejednokrotnie zaznaczono; — trudno atoli nie uznać w nich naszych sióstr i braci, naszych wypadków z życia codziennego i z życia ogólnie-dziejowego.

Świat bogów jest — jak wiadomo — jedną świetną tkaniną mitów. Homer i Hezyod, powiadali niektórzy mężowie greccy, stworzyli bogów dla Hellady. Czyż-to prawda? Nikt teraz nie wątpi, że tak nie jest. Mity brali piewcy z wyobrażeń ludowych, a zatém i ze swoich własnych, gdyż sami spośród tego ludu wychodzili. Skąd zaś lud czerpał? jestto inne pytanie, na które nie tu miejsce odpowiadać. Można sobie wyobrażać, że były one ludom wrodzone, można mniemać, że powstały z powolnego rozwijania poglądów na zjawiska przyrody; kwestya czysto teoretyczna, nie zmieniająca

w niczém istoty rzeczy, o którą tu idzie. My tylko wiemy, że w mitach greckich najwięcéj się uwydatnił tak zwany *antropomorfizm* bogów t. j. wyobrażanie sobie istot wyższych pod postacią ludzką. Sam ten fakt, powszechnie uznany, wskazuje, że bogów wyobrażano sobie jako ludzi, w stokrotny sposób zolbrzymionych, wprawdzie nie pod względem zewnętrznéj postaci, lecz pod względem przymiotów takich jak potęga, mądrość i t. p. Wszystkie czyny bogów wyobrażano sobie i tłómaczono w sposób zupełnie ludzki: miłość, nienawiść, zazdrość, gniew, lubieżność, kłamstwo, wiarołomstwo, krzywoprzysięstwo i cały szereg cnót i występków przypisywano bogom taksamo jak i ludziom. Nawet nieomylność, wszechwiedza nie były przymiotem każdego boga w szczególności; tak jak pomiędzy ludźmi byli tacy i owacy: jeżeli który czego nie wiedział, pytał się drugiego, a ten trzeciego i t. d., dopóki nie natrafił na właściwego znawcę pewnego przedmiotu: wtedy ten ostatni odkrywał całéj rzeszy zgromadzonéj wszystko, co się do jego fachu odnosiło. Co do innych własności bogów np. niewidzialności, to przenoszono tylko na większą skalę to powszednie zjawisko, jakie w życiu zwyczajném nieraz zaobserwowano. Jak jeździec, tumanami kurzu zasłonięty, ginie dla naszych oczu, tak Zeus gromowładny, otuliwszy się obłokiem, ukrywa się przed oczyma śmiertelników, jeżeli przez nich widzianym być nie chce, np. kiedy swe miłostki ze śmiertelniczkami do skutku doprowadzić się stara. Zresztą pospolite, codziennie widziane zjawisko *zachodu słońca* mogło podać pierwszą myśl o władzy bogów stawania się niewidzialnymi. Cała tajemniczość, jak zawsze i wszędzie, polegała na niemożności wytłómaczenia sobie pewnego zdarzenia na mocy faktów, które wchodzą w zakres wiadomości pewnéj jednostki albo pewnego społeczeństwa.

Z takich pierwiastków złożona i takiemi wyobrażeniami

przepełniona Iliada może być uważana jako utwór, do którego z przyrody i ze społeczeństwa brano wzory i obrazy. Nam przyzwyczajonym do innego szeregu myśli, do zupełnie innych wyobrażeń, dziwném może się wydawać, jak takie cudowne rzeczy o stosunkach bogów z ludźmi, o ich istotném przestawaniu z niemi i t. p., mogły być wypływem *naturalnego* t. j. z natury branego poglądu. Ale pomyślmy, że piewca czy piewcy Iliady żyli w czasach, kiedy w te cudowne rzeczy najmocniéj *wierzono*, kiedy one były tak popularne i tak zwyczajne; że zatém opiewając je, byli zupełnie w zgodzie ze stanem umysłowym swego ludu i z poziomem jego wykształcenia. Dziś wiele scen z Iliady śmieszy tylko, niegdyś przejmowały one uroczystym nastrojem wszystkich, co je słyszeli śpiewane lub sami czytali. Nigdy nie należy zapominać o względności naszych wyobrażeń, o tém np., że *naturalném* jest to, co się z danemi pojęciami o naturze i społeczeństwie zgadza, co nie stanowi z niemi przykréj dysharmonii umysłowéj.

I znowu muszę zrobić nacisk na okoliczność niezmiernie ważną a tak łatwo pominąć się dającą. Od pierwszego opowiadania przy ognisku o wyprawie na jelenia lub niedźwiedzia, od pierwszego wyobrażenia o bóstwie jako o czémś co przechodzi siły zwykłego człowieka, do tego szeregu skombinowanych opowiadań, do tych szeroko i cudownie rozwiniętych mitów, jak je w Iliadzie napotykamy, naród grecki przebyć musiał lat setki i lat tysiące. Jak poprzednio od krések i nacięć na kościach zjedzonego rena, od niezgrabnych fetyszów do nieśmiertelnych utworów plastyki greckiéj; tak i tu od prostéj opowieści albo też od prostego frazesu („byłem tam i zrobiłem to“) do olbrzymiego eposu, przestrzeń ogromna, przestrzeń wypełniona ciągłą, nieustającą prometeuszowską pracą ducha ludzkiego, który pod przewodnictwem mistrzyni przyrody, biorąc z niéj wzory

i materyały, ucząc się od niéj sposobu wykonywania swych dzieł, dąży ku uwiecznieniu swéj pamięci i ku przymnożeniu ogólnego, powszechnego zasobu szczęścia...

III.

Kiedy się ludzie sztuką zabawiają.

Kiedy się człowiek może *bawić?*

Gdybyśmy pytanie takie rzucili wśród naszego salonowego towarzystwa, połowa nie zrozumiałaby nas, a połowa rozśmiałaby się naiwnie zdziwiona.

Kiedy się można bawić?... Cha, cha! w każdéj dnia porze, w każdym stosunku życiowym, byleby tylko służyło zdrowie i dopisywał humor; damy nawet nie bardzo potrzebują mieć dobry humor, mogą go tylko udawać... dla jakiegokolwiek powodu. Po co się o takie rzeczy pytać; nad rozwiązaniem podobnych zagadnień niech sobie głowy suszą ci, którzy *się nie mogą bawić;* ale dla nas *c'est une question oisive.*

Tak: wśród naszych wyrafinowanych obyczajów, wśród naszéj cywilizacyi, nie zawsze i nie wszędzie można poruszać kwestyę zabawy. Taki, co nie ma grosza przy duszy a tylko frak i lakierki, tańczy do upadłego i bawi się nazabój. Taki, co należy do kategoryi „błyszczącéj nędzy“, co straciwszy majątek, wypożycza swe imię, swe ciało lub swój honor, zabija się zabawą, przechodząc od jednéj do drugiéj — od nocnéj do południowéj i znowu do nocnéj.

Tak wśród naszych obyczajów i wśród nader złożonych żywiołów, tworzących społeczeństwo, powstają nieraz bardzo dziwne stosunki. Np. kiedy nie było dobrego podręcznika historycznego, kiedy uczeń z trudem musiał na cudzoziemskich atlasach jeograficznych odgrzebywać krajowe nazwy; kiedy drzeworytnictwo nasze krztusiło się jeszcze

w pieluchach: wtedy wychodzić u nas mogły *wzory sztuki średniowiecznéj* przewyższające *przepychem i wykwintem paryskie* tego *rodzaju* wydawnictwo, choć mu pod względem *naukowym* bynajmniéj nie wyrównywało.

Tak wśród dzisiejszych, po większéj części nienormalnych kierunków duchowych, wytworzonych przez wieki całe cywilizacyjnego pochodu, możliwe są skoki wszelkiego rodzaju. Teraz mogą artyści umiérać na poddaszach zimnych i brudnych, pozostawiając w spadku płótno, na którym wymalowana śmiejąca się rozkosznie bachantka lub piwosz zasypiający nad dwunastym kufelkiem. Teraz może literat w wytartym tużurku wypracowywać iskrzące się dowcipem i tryskające humorem feljetony, spoglądając z apetytem na kajzerkę i serdelek — jedyny wieczorny posiłek. Teraz można rzeźbić cudowny nagrobek z kararyjskiego marmuru dla śp. nieboszczki żony jakiego magnata, nie mając pięciozłotówki na kupienie rękawiczek, ażeby módz pójść i upomnieć się o honoraryum u tegoż samego magnata... Tak... teraz wszystko być może.

Istotnie, spółczesna kultura i cywilizacya nie nadaje się wcale ku temu, ażeby się można było zapytać o warunki, wśród których zabawa jakakolwiek — wyższa czy niższa — jest możliwa. Postawisz jakąś odpowiedź ogólną, którą w zarozumieniu swojém uważać zechcesz za prawo, a tu ci przytoczą tyle faktów bijących w oczy, takie spustoszenie robiących w gmachu twego prawa, że wpadając z jednéj ostateczności w drugą, zmuszony będziesz zawołać: świat ten — to chaos, cywilizacya nasza — to galimatyas; ładu ni składu w nich nie dopatrzysz.

Cóż to znaczy?.. To znaczy, że cywilizacyja nasza nie przedstawia stosunków prostych; nie przedstawia widocznego związku przyczyny i skutku z niéj wynikającego; nie przedstawia, słowem, prawidłowości odrazu namacalnéj. Tysiące

przyczyn i tysiące stosunków tak się splątały, tak się pokrzyżowały, tak się rozdrobniły; że trudno je teraz rozplątać, trudno je wyprostować, trudno na jaw wydobyć. Dużo téż jeszcze czasu upłynie, zanim będzie można ułożyć i usystematyzować wszystkie objawy naszéj cywilizacyi i wogóle każdéj cywilizacyi, długim szeregiem lat przygniecionéj.

Przekazy jednak na przyszłość są bardzo zawodne. Co będzie za lat kilkadziesiąt, to może wchodzić w sferę bardzo pouczających może przypuszczeń, ale zawsze... przypuszczeń tylko. A tymczasem każdy człowiek pragnie jakiéjś pewności, bez któréj żyć nie może, jakiéjś podstawy do wydawania sądów, bez któréj umysł jego pozostawałby w stanie wcale niemiłéj chwiejności.

Cóż trzeba zrobić, ażeby sobie zdobyć taką podstawę i taką pewność?

Jeżeli ktoś uważnie śledził poprzedzający bieg rozumowania, łatwo odpowiedzieć może: potrzeba poszukać zupełnie innych stosunków aniżeli te, jakie się wśród naszéj obecnéj cywilizacyi widzi powszechnie. Potrzeba poszukać stosunków prostych, więcéj ustalonych, nie szybujących po zmiennéj fali czasu, zapadłych w przeszłość i skamieniałych niejako; stosunków, którymbyśmy swobodnie przypatrzyć się mogli, obejrzeć ze wszystkich stron, nie spotykając się ciągle z zagadką jakąś, z jakiémś nagłém poruszeniem życia, które wszystkie nasze dotychczasowe wnioski w niwecz obraca, bo wskazuje nową powikłaną przyczynę.

Spróbujmy tak zrobić.

Dwu bardzo wiarogodnych mężów starożytności, którym większość naszych wspomnień dziejowych z tamtéj epoki zawdzięczamy, Herodot i Dyodor sycylijski, opowiadają nam, że w Egipcie 2000 ludzi *przez trzy lata* pracowało nad tem, ażeby *jeden-jedyny* kamień przewieźć z Elefantyny do Sais;

opowiadają nam daléj, że budowa *jednéj piramidy* wymagała pracy 360.000 ludzi *w przeciągu 20 lat!..*

Zapewne, dla tych trzystu sześćdziesięciu tysięcy ludzi nie byłato wcale zabawa. Pocili się oni i wytężali siły, co się zowie; pracowali straszliwie. Ale pocóż pracowali? Ażeby jednemu jakiemuś Ramzesowi czy Cheopsowi sprawić przyjemność, ażeby zadosyć uczynić jego dumie, ażeby uwiecznić jego pamięć w *dziele sztuki.* Zbudować piramidę znaczyło: uwiekopomnić się. A uwiekopomnienie się — toćto zadowolnienie nielada.

Ażeby więc jeden Ramzes lub Cheops mógł być zadowolnionym, ażeby mógł się bawić, potrzeba było pracy 360.000 ludzi w przeciągu 20 lat; czyli innemi słowy: ażeby *jeden* Ramzes czy Cheops mógł się bawić, potrzebaby było, ażeby *jeden* zwyczajny człowiek ciężko pracował przez 7,200.000 (siedm milionów, dwakroćstotysięcy) lat!... Jeżeli wiadomości podane przez Herodota i Dyodora sycylijskiego są prawdziwe (a za takie wszyscy je przyjmują), to nasze obliczenie jest najzupełniéj ścisłe... Warto się nad nim zastanowić. Nie nasza rzecz wchodzić w stosunek Cheopsa do 360.000 ludzi; to zupełnie inna kwestyja: my się tylko przypatrzymy zajęciu tych właśnie 360.000 ludzi.

Ażeby oni mogli przez 20 lat zajmować się obciosywaniem i układaniem brył kamiennych w pewną oznaczoną formę, a wskutek tego nic nie wytwarzać pod względem ekonomicznym, bo nie sieli, nie orali, nie piekli chleba, nie krajali mięsa, nie uprawiali ogrodów; to inni ludzie musieli przez ten czas wytworzyć tyle, ażeby nakarmić, napoić, przyodziać i schronić pod dachem i Cheopsa i siebie i te 360.000 ludzi, co obciosywali i układali bryły kamienne.

Stąd wniosek: ażeby Cheops mógł się bawić, potrzeba było: nietylko pracy 360.000 ludzi przez 20 lat, ale także pracy kilkunastu milionów innych ludzi, gdyż inaczéj ani

Cheops bawić się, ani 360.000 ludzi pracowaćby nie byli w stanie, z téj prostéj przyczyny, że z głodu-by pomarli.

Gdybyśmy rozumowanie, w tym przykładzie przeprowadzone, zastosowáli do większéj liczby ludzi i do większéj liczby krajów, otrzymalibyśmy cyfry coraz pokaźniejsze. Cyfry te możnaby było uszeregować w dwie kolumny: jedna z nich przedstawiałaby liczbę ludzi *mogących* się bawić, a druga liczbę ludzi *zmuszonych* pracować. I tak byłoby zawsze i wszędzie; napróżnobyśmy usuwali daty w ciemną głąb' przeszłości, napróżnobyśmy wynajdowali coraz to inne stosunki.

Ale tu właśnje zjawia się wątpliwość i zarzut. Przypuśćmy na chwilę, że tak jest rzeczywiście; jakiż stąd należałoby wyciągnąć wniosek? Inny, zdaje się, jest niemożliwy jak tylko ten, że niektórzy ludzie *z przeznaczenia* (z predestynacyi) są skazani na zabawę, inni zaś (w ogromnéj większości) na pracę. Oczywiście określenie takie byłoby bardzo wygodne i usuwałoby wiele trudności, ale niczegoby nas nie nauczyło. Przeznaczenie samo jest rzeczą ciemną i niewyjaśnioną; zamiast więc istotnego rozwiązania kwestyi, postawilibyśmy sobie tylko nierozwiązalną zagadkę. Każdy, kto lubi badać, będzie usiłował albo obejść tę zagadkę albo téż wykazać, że jest niedorzeczną; bo samą zagadką zadowolnić się w żaden sposób nie potrafi.

Potrzeba więc raz jeszcze poszukać przyczyny.

U ludów dzikich, żyjących w małych hordach, zabawa następuje zazwyczaj dopiero wtedy, gdy naglejsze potrzeby zaspokojone już zostały. Kiedy dzicy najedzą się i napiją (a w klimacie zimnym ciepło się okryją), zaczynają dopiero skakać, tańczyć, krzyczeć, wyć, tatuować się, rzeźbić kości, malować strzały i t. p. Taki stan rzeczy bardzo długo nie zmienia się w krajach, gdzie pożywienie zdobywa się z wielką trudnością i mozolnéj wymaga pracy. W krajach zaś, gdzie

ziemia obfitszego i łatwiéj zdobywanego dostarcza pokarmu, stosunki po pewnym przeciągu czasu zmieniają się. Nie możemy się wdawać w obliczenia, chcąc wskazać, jakiegoto mianowicie potrzeba na to przeciągu czasu; bezwątpienia wyraża się on w cyfrach dość pokaźnych, ażeby nakazać poszanowanie; w każdym jednak razie ma on swoję granicę dosyć widoczną. W takich bowiem krajach ukazuje się *naprzód* to, co nazywamy *cywilizacyą*.

Postaramy się rzecz tę wyjaśnić na kilku przykładach. Najdawniejsze pomniki sztuki znajdujemy w tak bogatych, tak płodnych, tak świetnie przez naturę uposażonych okolicach jak dolina eufratowa, dolina nilowa, dolina pendżabu (w Indyjach wschodnich), meksykańskie wreszcie równiny, które w całéj Ameryce przedstawiają największą płodność i największą łatwość zdobycia pożywienia i nagromadzenia bogactw.

Na dolinie Eufratu napotykamy prawdopodobnie najstarożytniejsze zabytki sztuki architektonicznej. Cytowany już przez nas *Semper* opowiada nam o tarasach z cegły, podobnych do skał, z właściwém upiększeniem mas budowlanych zapomocą różnego rodzaju inkrustacyj; i dodaje zarazem, że budowle te sięgają daleko po za dziejową epokę państwa babilońskiego i asyryjskiego [1]). W późniejszym czasie świątynia Baala wspaniałością swoją przewyższała nawet piramidy egipskie; pałace królów asyryjskich pełną smaku formą i bogactwem ozdób i rzeźb zdumiewały widza; zwaliska zaś Persepolidy i perskich grobów (królewskich) „są niemymi świadkami rozrzutnego zamiłowania sztuki“ [2]).

Wśród wspaniałéj delty nilowej wznoszą się ku niebu

---

[1]) Semper: Der Stil in den technischen und tektonischen Künsten. str. 223 do 337, u Neumanna: Die Kunst in der Wirthschaft, str. 25.

[2]) *Neumann:* die Kunst in der Wirthschaft, str. 26.

memfiskie piramidy, będące piérwszym *wykończonym* pomnikiem architektonicznym na ziemi. Piramidy w Gizeh i mnóstwo wielkich budowli (jak obelisk w Heliopolis, groby w Beni Hassan ze świetnéj epoki rozwoju państwa egipskiego, epoki przypadającéj na 300 lat przed Chrystusem, wykazują najdobitniéj, że tam musiał być już nagromadzony dostateczny zapas bogactw, łatwą pracą zdobytych, jeżeli na takie przedsięwzięcia dostateczne już było przygotowanie. Na dowód zaś, jak małym kosztem zaspakajano potrzeby, jak wiele przyroda dostarczała zadarmo, niech nam posłuży wiadomość, podana przez Dyodora sycylijskiego, że wychowanie dziecka na człowieka *nie więcej kosztowało jak 20 drachm* to jest około 12 (dwunastu) *złotych* (!), na nasze pieniądze. Chcąc mieć wyobrażenie, co to za bajeczna była taniość, potrzeba ją tylko porównać z dzisiejszemi wydatkami. Jeden ekonomista angielski, *Senior*, piszący w roku 1835, obrachowuje koszta łożone na wychowanie dziecka z najniższéj klasy społeczeństwa angielskiego na 1600 złotych (40 funtów szterlingów), a na wychowanie szlachcica (gentlemana) 81600 złotych (2040 funtów szterlingów). Francuski zaś ekonomista, Maurycy Block, piszący już w r. 1869, licząc podług cen dzisiejszych, powiada, że wychowanie dziecka z klasy robotniczéj do 15 roku życia kosztuje najmniéj 6400 złotych; młody zaś człowiek, co się zawodowi umysłowemu poświęca, zanim dojdzie do 25 roku i może mieć nadzieję zabezpieczonego utrzymania, kosztuje najmniéj 44000 złotych [1]). Zestawiwszy ze sobą te obliczenia, i biorąc tylko miarę z dzisiejszego dziecka robotniczego, otrzymamy taki szereg wydatków: w starożytnym Egipcie 12 zł.; w Anglii z r. 1835—1600 zł., we Francyi z 1869—6400 zł.

---

[1]) Porównaj *Engel:* Cena pracy, w przekładzie polskim. Powyższe dane są wzięte z Neumanna: Die Kunst, etc., str. 24.

Bezwątpienia ostatni skok nie mniéj jest dziwny jak pierwszy (od 12 do 1600 i od 1600 do 6400) i pokazuje nam warunki cywilizacyjne, wśród których człowiek żyć, pracować i bawić się jest zmuszony. Nie biorąc tu innych względów pod uwagę t. j. przypuściwszy, że wszystkie inne warunki są takież zarówno w Egipcie jak w Anglii i we Francyi, łatwo wywnioskujemy, że w Egipcie łatwiéj się było bawić albo poświęcać dziełom sztuki niż w Anglii, w Anglii zaś łatwiéj niż we Francyi. Rozumie się, że przypuszczenie takie jest całkiem fikcyjne; niepodobna bowiem porównywać naszych dzisiejszych stosunków ze stosunkami w starożytnym Egipcie; przypuszczenie to atoli wyjaśnia dobitnie tę prawdę, że gdzie utrzymanie życia łatwiejsze, tam możność zabawy większa; chociaż inne warunki możności téj taki nadadzą kierunek, że właściwie bawić się będzie jeden, a 360.000 ludzi przez 20 lat ciężko pracować będą zmuszeni. My rozważamy tu tylko pierwszy stosunek: możność zabawy: — stąd inne względy mogliśmy pominąć.

Podobnie rzecz się miała i w Indyach. Nad bujnością wegietacyi, nad niezmiernie łatwym sposobem wyżywienia się nie potrzeba długo się rozszerzać; jestto rzecz powszechnie wiadoma. Otóż najdawniejsze epopeje rodu ludzkiego, jakie do wiadomości naszéj doszły, Ramajana i Mahabharata, wspominają o budowlach i rzeźbach, które, jak powiadają znawcy, świadczą bardzo wyraźnie, że są jedynie wytworem wyrafinowanego końca bardzo długo ciągnącej się fazy artystycznéj w Indyach. Faza ta o jakie parę tysięcy lat wyprzedza prawdopodobnie znane nam historycznie początki naszéj cywilizacyi ogólno europejskiéj.

W Meksyku jeszsze w XVI-ym wieku znaleźli odkrywcy i zdobywcy europejscy całkiem oryginalną kulturę w naczyniach, w piśmie, w pałacach i w świątyniach (tak zwane *teokali*), w rzeźbach. Kultura ta rozwijała się zupełnie

niezależnie od wszelkich wpływów, była zupełnie samoistną. A pierwszą podstawą, na której się rozwinąć mogła, była urodzajność gruntu, dająca sposobność i możność pomyślenia o przyozdobieniu i umileniu życia towarzyskiego...

Na Europę rzucimy już tylko okiem bardzo pobieżnie, gdyż tu skomplikowane znacznie warunki wymagałyby wejścia w szczegóły, któreby nas zadaleko od naszego przedmiotu odprowadziły. Pomimoto jednak i w Europie znajdujemy podobne zjawiska. Cywilizacyja rozpoczęła się najpierw w krajach, które od przyrody szczodrzejsze otrzymały wiano. Półwyspy: grecki, włoski i hiszpański, gdzie klimat łagodny a ciepły mniéj dokuczliwie domagał się wynalazków, zaspakajających pierwsze potrzeby, a więcéj pozwalał oddawać się swobodnemu sił cielesnych i duchowych rozwojowi, były siedliskiem narodów, którym najwięcéj obecne europejskie narody zawdzięczają pod względem sztuki, prawodawstwa i życia państwowego.

Z tego krótkiego przeglądu czytelnik przekonać się może:

1) Że tam, gdzie natura sama przedstawia łatwiejsze warunki swobodnego rozwoju dla człowieka, powstawały najpiérwéj ogniska cywilizacyi; ponieważ szybkie zadośćuczynienie piérwszym, nieodzownym potrzebom pozwalało zająć się takiemi pracami, które służyły przedewszystkiém i głównie do zaspokojenia umysłowych popędów ludności, sprawiając zadowolenie i rozkosz duchową. W tém miejscu muszę przytoczyć krótkie zdanie *Buckle'a*, któremu należy się zasługa, że piérwszy położył *większy nacisk* na materyalne warunki rozwoju oświaty, a zatém i sztuki. Powiada on: „Dopóki każdy człowiek zajęty jest zbieraniem materyalnych środków na swe utrzymanie, dopóty nie ma ani wolnego czasu, ani smaku do wyższych poszukiwań; żadna umiejętność nie może powstać, a, co najwięcéj, mogą się pojawiać próby oszczędzenia sobie pracy przez wynalezienie

prostych i niezgrabnych narzędzi, jakie u najdzikszych znajdujemy ludów“ [1]). Stąd téż tam, gdzie gromadzenie środków materyalnych odbywa się z większą trudnością, a zatém powolniéj, i cywilizacyja również opróżnia się, choćby inne warunki jak np. uzdolnienie umysłowe wyrównywało najzupełniéj warunkom odpowiednim u szczęśliwszych pod względem materyalnym ludów.

2) Że kiedy naród pewien nagromadzi jakiś zasób bogactwa, którego ilość nie da się zresztą jak dotychczas ująć w cyfry, niektórzy ludzie mogą najzupełniéj zaniechać ciężkiéj i mozolnéj pracy fizycznéj, a oddać się zabawie albo téż pracy umysłowéj. Jako prosty wniosek z téj właśnie uwagi wypada, że zasób ów materyjalny określa liczbę ludzi niepracujących fizycznie. Uważny czytelnik, przebiegłszy myślą przytoczone przez nas przykłady, łatwo odkryje, że we wszystkich tych krajach, w których powstały pierwsze ogniska cywilizacyi, zagasły one już oddawna, albo zaledwie widocznćm błyskają światełkiem. Zrobiwszy sobie tę uwagę, pójdzie we wnioskach daléj i powie: wszakże natura w tych miejscowościach nie zmieniła się, a jeżeli się zmieniła, to bardzo nieznacznie, warunki więc powstania i rozwoju oświaty istnieją tam tak samo jak przed kilku tysiącami lat; dlaczegóż widzimy zupełnie odmienne objawy?... Przeciwnie zaś cywilizacyja kwitnie i rozwija się, zataczając coraz szersze kręgi tam, gdzie z pozoru bardzo trudno powstaćby jéj było można — w okolicach chłodnych, gdzie każdy kawałek chleba potrzeba oblewać potem i znojem.

Nie przeczymy bynajmniéj, że zarzut to ważny i bacznéj godzien uwagi. Odpiérać go atoli na tém miejscu nie

---

[1]) Historyja cywilizacyi w Anglii, rozdział II. Radzimy odczytać cały ten rozdział, zawierający mnóstwo nader trafnych spostrzeżeń i głęboko pomyślanych zestawień.

mamy zamiaru; przewidzieliśmy go na samym początku rozdziału, zwracając uwagę czytelników na tę okoliczność, że badanie cywilizacyi spółczesnéj jest z niezmiernemi połączone trudnościami; że niéma w niéj tych stosunków prostych, w których najdobitniéj się wykazuje związek przyczyny ze skutkiem. Dlaczego cywilizacyja, powstawszy w jedném miejscu, znika po pewnym dłuższym lub krótszym przeciągu czasu i w inne miejscowości się przenosi, powinny to objaśnić dzieje oświaty. Dlaczego zaś w szczególności sztuka pojawia się wśród pewnych warunków, a wśród innych nie, mając główną podstawę w pewnym zasobie nagromadzonego bogactwa — to rozwiązanie tego pytania należy do dziejów sztuki. Tutaj zamierzyliśmy tylko wskazać wogóle warunki *możliwości pojawienia się* sztuki, a zrobiliśmy to na przykładach, wziętych z historyi tych narodów, u których najlepiéj było śledzić te warunki; nie twierdzimy zaś wcale, żeby *koniecznie* zawsze wśród takich warunków takie właśnie a nie inne powstawały objawy. Cywilizacya spółczesna, jak powiedzieliśmy, jest wynikiem bardzo rozmaitych i bardzo złożonych żywiołów; stąd można napotkać naród bogaty, który nie ma np. znakomitych malarzy, ale zato w innych gałęziach sztuki może mieć nader świetnych przedstawicieli.

Powtóre, muszę na to nacisk położyć, że mówiłem tu o warunkach możliwości pojawienia się sztuki *przy wszystkich innych warunkach równych.* A więc nie zwracałem uwagi na taki np. warunek, jak uzdolnienie umysłowe. Wiadomo przecież, że nie wszystkie rasy ludzkie są pod tym względem równe. Murzyni np. nie grali dotychczas w historyi cywilizacyi żadnéj roli jako żywioł czynny, zawsze tylko jako bierny. Toż samo powiedzieć można o szczepach malajskich, zamieszkujących wyspy oceanu wielkiego. Rzecz naturalna, że taki czynnik jak uzdolnienie umysłowe, czy je rozpatry-

wać będziemy ze stanowiska idealnego czy realnego, czy jako objaw samoistnego ducha czy też jako wynik organizacyi — w każdym wypadku waży ciężko na szali dziejów i na szali sądów naszych. Tylko więc *przy innych warunkach równych* nagromadzenie bogactwa pozwala pewnym ludziom zajmować się sztuką, jak również pozwala Cheopsom zatrudniać 360.000 ludzi przez 20 lat układaniem brył kamiennych.

IV.

Słówko o tajemniczości.

Takie są wskazówki dane nam przez przeszłość.

Czy nikt ich dawniéj nie zauważył, nikt z nich nie skorzystał w interesie rozwoju i ustalenia niektórych punktów, twórczości artystycznéj dotyczących? Czy nikt nie starał się ująć w pewne, jakotako określone karby owych fantastycznych na sztukę poglądów, o jakich na początku tych luźnych uwag wzmiankowaliśmy?... Czy wśród owéj bujnéj wegietacyi, nieokiełznaną fantazyą do życia powołanéj, nie znalazła się ręka czujnego ogrodnika, zaprowadzająca w niéj ład i porządek?...

W odpowiedzi na powyższe pytania ciśnie mi się na usta imię wielkiego filozofa starożytności, będącego powagą we wszystkich niemal dziedzinach wiedzy, we wszystkich rodzajach umysłowéj działalności ludzi. Wymawiam to imię: *Arystoteles*, i czuję na sobie zdziwione spojrzenia tych, co obeznani powierzchownie ze wszystkiemi przedmiotami, o jakich mówić można, żadnego nie zgłębiają gruntownie.

Arystoteles!... Na jego potężne barki można włożyć cały ciężar wypowiedzianych dotychczas zdań, wygłoszonych opinij. Kto chce się podawać za uczonego, niechaj bezpiecznie cytuje Arystotelesa; a jeżeli nie wszystko, co na karb

jego powie, znajdzie się w nim istotnie, to w każdym razie może liczyć na pobłażanie...

Nie mówię pomiędzy uczonymi, ale pomiędzy literatami urosło przekonanie, że w Arystotelesie znaleść można wszystko, czego tylko kto sobie życzy, on ma nibyto wszystkim przyznawać słuszność, kto tylko tego zażąda.

A jeżeli mówią tak wogólności o wszechstronnéj nauce mędrca greckiego, to powtarzają tożsamo z większym jeszcze naciskiem o estetycznych jego poglądach.

Arystotelesa cytowali tak zwani *pseudoklasycy* jako swego prawodawcę i nauczyciela. Arystotelesa cytowali *idealiści* w poglądach na sztukę. Arystotelesa cytowali również i realiści... i t. p. Teoryja jego, w niektórych okresach czasu uwielbiana, w innych ośmieszana, w innych broniona lub zapomniana — przedstawia się nam w karykaturalnéj postaci pogańskiego bożka... z kilkunastu głowami. Czy rzeczywiście Arystoteles pozował na takiego bożka?...

„Teoryja jego — powiada *Zimmermann* w swoich Dziejach estetyki [1]) — wykrzywiana, źle rozumiana, źle wyjaśniana i źle zastosowana, pozostała przecież źródłem niewyczerpaném, ku któremu niezaradność estetyczna zawsze a więc i dzisiaj wzrok swój zwracała; i jeżeli wzrok ten nie był przesądami przyćmiony albo uprzedzeniem zamknięty na lepsze rzeczy pojęcie, zawsze i bez wyjątku mógł w owém źródle zaczerpnąć rady i pomocy. Nieśmiertelne to dzieło, pokarm duchowy naszych (t. j. niemieckich) największych i najgłębszych myślicieli, jest szczególniéj dla naszych czasów, zataczających się w spekulatywném upojeniu, zbawczą przeciwtrucizną na mistyczne marzenia i estetyczne miste-

---

[1]) *Robert Zimmermann*: Geschichte der Aesthetik als philosophischer Wissenschaft. Wiedeń, 1858, str. 73.

rya. Proste, trzeźwe i skromne, ściśle odróżniające treść od formy, kwestye estetyczne od moralnych, stanowi wyraźną przeciwstawność względem pompatyczności, napuszystości, frazeologicznego wyuzdania w formie i treści w tym spustoszeniu pojęć, mieszającém kwestyje estetyczne z moralnemi, jakie widzimy w wielu nowożytnych systemach piękna".

Do tych wyrazów sumiennego historyka estetyki nie dodamy ani słowa. Zarówno jego zdanie jak i zdania tych, co w Arystotelesie zarodki wszystkich choćby najróżnorodniejszych poglądów dostrzegli, sprawdzimy sami, udając się do owego niewyczerpanego źródła, w którém się mieści przeciwtrucizna na „spekulatywne upojenie". Otwórzmy osławioną „Poetykę" i czytajmy:

„Dwie są przyczyny, które wogóle powstanie poezyi wywołały: obie zaś mają swój grunt w naturze ludzkiéj. Od dzieciństwa spoczywa w naturze ludzkiéj *popęd do naśladowania* — gdyż więcéj niż wszystkie inne istoty żyjące jest człowiek do naśladowania usposobiony, i naśladując, uczy się naprzód — a także *radość z postrzegania naśladowań*. To objawia się w dziełach odtwarzających tym mianowicie sposobem, że przedmiotom, których widok wstrętny jest dla nas, chętnie się przypatrujemy w najwierniejszych możliwie *obrazach*, jak n. p. postaciom bardzo nizko stojących zwierząt, albo też trupów" [1]).

W tych kilku zdaniach, które możnaby poprzeć paru innemi jeszcze cytatami, zawarty jest pogląd Arystotelesa na początek sztuki: jest ona *naśladowaniem natury;* nie jest więc ani szałem boskim, ani bezświadomą, choć jasną i promienną ducha działalnością. Takie jednak suche i nie-

---

[2]) *Poetyka,* rozdział IV. Tłómaczę podług poprawionego tekstu, który wydał *Ueberweg* w Berlinie 1870.

dostateczne określenie mogło dać powód do tysiącznych nieporozumień.

Naśladować naturę?... A więc kwiaty sztuczne, woskowe figury z rumianemi policzkami i śmiejącemi się oczyma — to chyba największe, najwspanialsze dzieła sztuki! Na to się oburza nasze poczucie estetyczne, które nie wiadomo skąd i z jakiéj racyi stawia opór tak niesmacznym i wstrętnym zestawieniom! W niewolniczém naśladownictwie zjawisk przyrody nie bierze udziału duch ludzki, ta najwznioślejsza cząstka nasza, co stanowi naszę potęgę i chwałę! On jest prostym tylko parobkiem zaprzęgniętym do wozu, na ktorym rozpiera się wszechwładne, ciężkie cielsko...

Powtóre: naśladować przyrodę — to wyrażenie bardzo nieścisłe, któreby mogło dać do myślenia, że tylko kamienie, rośliny i zwierzęta mają wchodzić w zakres dzieł sztuki. Cały zaś niezmierny obszar ludzkiéj działalności ze wszystkiemi jego bólami i przyjemnościami, z całą sławą i upokorzeniem, z całym bogactwem i nędzą moralną powinienby być wyłączony z téj pięknéj, uśmiechającéj się do nas, uroczéj krainy artyzmu... Któżby wówczas dbał o *takie* dzieła sztuki! Wprawdzie są lubownicy rodzajowych obrazków, scen holenderskiéj szkoły malarstwa, gdzie pełno zarzniętych kaczęk i biegających psów, kóz i cieląt; — ale ci lubownicy nie stanowią jeszcze ogółu, nie są przedstawicielami owéj niezmiernéj masy ludzi, którzyby się pragnęli napawać słodyczą harmonijnie dobranych tonów, słów czy kolorów!... Niech się sobie ci lubownicy bawią kaczkami, psami, kozami i cielętami; — my potrzebujemy wyższych duchowych rozkoszy, jakie tylko w słowach i czynach jednostek, w piorunujących ruchach społeczeństwa znaleść można!...

Gdyby takie ciasne pojęcie naśladowania natury mo-

żna było przypisać Arystotelesowi, trudno byłoby się dziwić, jeżeliby go chciano z tego powodu uważać za najbardziéj ograniczonego ze wszystkich estetyków świata. Jednakże byłby to sąd zarówno pośpieszny, jak najzupełniéj mylny. Traktat Arystotelesa o poezyi doszedł do nas, jak wiadomo, w postaci ułamku, któremu brakuje kilku środkowych rozdziałów i końca; nie podobna więc mieć z niego dokładnego wyobrażenia o wszystkich szczegółach nauki Stagiryty; tyle jednakże pewna, że nie myślał nawet o zacieśnianiu zakresu sztuki do przedstawiania utworów martwéj, roślinnéj i zwierzęcéj natury; że nie myślał o wyłączaniu pracy ducha ludzkiego z utworów artystycznych. Wypływa to naturalnie z historycznego rozważania sztuki greckiéj, która w ubóstwieniu *ludzkiéj* postaci najdobitniejszy swój wyraz znalazła; wypływa téż równie z wymagania, jakie Arystoteles stawia artyście, ażeby utwory jego były skończoną całością. „Części téj całości — powiada on — powinny być ze sobą tak spojone, ażeby, jeżeli jedna z nich zmienioną albo odjętą zostanie, i całość podobnież uległa zmianie i przekształceniu; gdyż to, czego istnienie lub brak niczémby się nie ujawniały, nie jest istotną częścią składową całości“ [1]). A daléj, rozróżniając działalność historyka od działalności poety, mówi: „Zadanie poety nie na tém polega, ażeby *rzeczywiste wypadki* przedstawiać, ale takie, któreby *mogły się zdarzyć*, które są możliwe *wedle praw prawdopodobieństwa albo konieczności.* Historyk i poeta różnią się od siebie nie używaniem wiązanéj lub niewiązanéj mowy... ale tém, że jeden opowiada wypadki rzeczywiste, a drugi takie, które się stać mogły. Stąd téż poezya jest czémś filozoficzniejszém i poważniejszém, niż dziejopisar-

[1]) Poetyka rozdz. VIII.

stwo, gdyż piérwsza ukazuje więcéj ogół, dziejopisarstwo zaś więcéj szczegóły“ [1]).

Z tego się pokazuje, że Arystoteles doskonale rozumiał czynność ducha kombinującego różne szczegóły i układającego je w taką całość, któraby pewną prawidłowość wypadków wykazywała, rozumiał ją i sformułował. Zaszczyt więc pierwszego jasnego, jakkolwiek niewyczerpującego sformułowania głównéj zasady sztuki jemu się należy.

Naśladować naturę znaczy: brać materyjał ze świata zewnętrznego albo zupełnie surowy, albo też przerobiony już w duchu ludzkim w postaci myśli, uczuć i popędów. Jednakże czynność artysty na tém się ograniczyć nie może; on musi zmieniać ten materyał stosownie do swoich planów i widoków, stosownie do swéj idei, którą w utworze pewnym urzeczywistnić postanowił.

Naśladować naturę znaczy: znać zarówno świat martwy, roślinny, zwierzęcy jak i ludzki ze wszystkiemi jego właściwościami tak historycznemi jak spółczesnemi, znać potrzeby i wymagania czasu, znać dążności i pragnienia epoki i kraju, w którym artysta pracuje. Ale nie dosyć na tém. Działalność jego ducha wymaga jeszcze, ażeby utwory swoje oblał światłem swego umysłu, ogrzał ciepłem własnego serca, ukochał i wypiastował je tak, ażeby były istotnie duchowemi jego dziećmi. Nie dosyć jest być fotografem, trzeba być i myślicielem.

Jeżeli ktoś dobrze wyjaśnienia powyższe zrozumiał; jeżeli ich z umysłu spaczyć i skrzywić nie będzie się starał; jeżeli wreszcie zna nietylko początek, ale i rozwój ludzkich wyobrażeń i pojęć: ten z łatwością się przekona, jak nieuzasadnione są wyrzekania ludzi, wyprowadzających z określenia sztuki jako naśladowania natury ten niedorzeczny

---

1) Tamże, rozdz. IX.

wniosek, że prowadzi ono do zbezczeszczenia świątyni muzom poświęconéj, do postawienia brzydoty na piérwszym a piękna na ostatnim planie. Ci wszyscy, co zdrowo i krytycznie pojętemu realizmowi zarzucają upadek smaku i sztuki, wyprowadzenie na jaw cynicznéj nagości i cuchnących ran społecznych, albo z pojedyńczych całkiem odosobnionych przykładów wnioskują o całości, albo téż, przekonawszy się o mylności swego sądu, wolą zamknąć oczy na prawdę, byleby uratować zagrożoną, wedle ich pojęcia, moralność. Tymczasem o zagrożeniu moralności mowy tu nawet być nie może. Poznanie świata nas otaczającego i własnego naszego ducha nie jest jeszcze wcale, jak każdy to widzi, podniesieniem *samych* stron ujemnych, samych cieni, boby to sprzeciwiało się nawet *technicznym* kardynalnym zasadom artyzmu, który wymaga, ażeby światła i cienie były ze sobą w harmonijnéj zgodzie, ażeby strony dodatnie i strony ujemne dopełniały się wzajem. Poznanie świata może doprowadzić jedynie do wszechstronnego na rzeczy poglądu, do głębszego wniknięcia we wszystkie zjawiska natury, a co główniejsza we wszystkie objawy życia społecznego. A w takim razie o grubym cynicznym materyalizmie, o zabijaniu ducha w całopaleniu dla ciała, żaden teoretyk ani praktyk sztuki nie myśli. W produkcyach np. malarskich okrzyczanego dziś realisty *Courbet'a*, jak Proudhon wykazał, więcéj się znajduje głębokich i wszechstronnych myśli, więcéj poglądów zdrowych na społeczeństwo dzisiejsze, aniżeli we wszystkich utworach szkoły klasycznéj francuskich malarzów!...

*
* *

Dotąd zastanawialiśmy się nad jedną tylko stroną artyzmu: nad jego bierną połową, nad materyałem dostarczanym nam przez zewnętrzność t. j. świat otaczający,

wspomnieliśmy atoli i o drugiéj stronie artyzmu: o umyśle naszym, który kombinuje i nowe tworzy dzieła. Nad tym jednakże przedmiotem nie możemy się tutaj rozpisywać. Nad jedną tylko kwestyą zastanowimy się bliżéj.

Wiadomo, że artyści odznaczają się wogóle możnością niesłychanie szybkiego przeskakiwania z jednego przedmiotu na drugi, wielką zdolnością dopatrywania podobieństw i różnic, zestawiania ze sobą najsprzeczniejszych pojęć i zdań. Ażeby jednak z tą własnością umysłu zaznajomić się, nie potrzeba koniecznie szukać towarzystwa artystów a mianowicie poetów; dość znać ludzi dowcipnych. Nieraz nasłuchawszy się kilku dowcipnych zdań, zjawiających się niespodziewanie, mocno się dziwimy przytomności umysłu tych ludzi, którzy je wypowiedzieli, i pytamy z podziwem: *skąd im się to wzięło?* Jeżeli się zastanowimy nad owemi zdaniami, spostrzeżemy bardzo łatwo, że istnieje rzeczywiście jakieś podobieństwo w rzeczach na pozór najsprzeczniejszych, albo różnice w rzeczach na pozór najpodobniejszych do siebie; podobieństwa te i różnice spostrzegamy wtedy bardzo łatwo — gdyż w przeciwnym razie zdania dowcipne wcaleby nam dowcipnemi się nie wydawały. A jednakże, rzecz dziwna i prawie tajemnicza: *przedtém* myśmy tego wszystkiego nie widzieli, nie dostrzegli, a zatém nie rozumieli. Stąd wynika nasze zdziwienie i ciekawe pytanie: skąd im się to wzięło?..

Tak samo i u poetów... Czytasz, czytasz, aż tu nagle strzeli jakaś myśl, nieoczekiwana przez ciebie, z którą nie wiesz co począć — tak ci się to przynajmniéj zdaje, dopiero po głębszéj rozwadze spostrzegasz związek z tém, co poprzedzało. Skądże takie pomysły nagłe, błyskawiczne?

Na te pytania niektórzy psychologowie odpowiadają wyrażeniem, które jakkolwiek niebardzo rozpowszechnione i używane, znajduje się przecież w wielu ustach. Wyrażenie

to brzmi: utajone kojarzenie się wyobrażeń i pojęć (asocyacya utajona). Cóż to jest ta asocyacya utajona? Czy zamiast tajemniczego natchnienia chcą owi psychologowie wprowadzić nowy tylko mniéj znany wyraz, ażeby się pozbyć kłopotu objaśniania i tłómaczenia się przed rozciekawionymi czytelnikami; czy jest to proste ominięcie trudności rzeczywistéj przez zestawienie drugiéj rzeczy nieznanéj obok pierwszéj nieznanéj?..

Nie! Psychologowie, o których wspomnieliśmy, odrzucili podobną metodę postępowania i gdy czego nie wiedzą, przyznają się do tego bez ogródki. W powyższém wyrażeniu: asocyacya utajona, kryje się myśl inna. Oto spostrzeżono fakt niedający się zaprzeczyć, że wśród wyobrażeń i pojęć, które stanowią materyał naszego umysłu, pojawiają się przy pewnych sprzyjających okolicznościach, niewyjaśnione na pozór przeskoki, to sprawiające, że słuchacz, a nawet sam ów człowiek, co przeskoki te na jaw wyprowadził, nie może sobie zdać sprawy, dlaczego taka właśnie a nie inna myśl po głowie mu się przesunęła. Narazie nie umiemy odpowiedzieć stanowczo na owo ambarasujące *dlaczego*, i możemy jedynie przypuszczeniem naszę nieświadomość poratować; gdy jednakże zważymy wszystkie okoliczności, wszystkie myśli poprzednie; gdy znamy usposobienie i wychowanie myślącego, wówczas prawdopodobnie odkryjemy źródło, skąd wypłynęła owa myśl, która nas tak zadziwiła. Mówimy: prawdopodobnie, gdyż w większéj liczbie wypadków nie jesteśmy w możności znać wszystkich wpływów, jakie na osobę pewną działały, nie możemy znać jéj usposobienia, nie możemy wreszcie spamiętać wszystkich wyobrażeń, jakie w pewnym przeciągu czasu po jéj umyśle się przesuwały. Dla wymienionych powodów wyjaśnienie początku jakiéjś niewytłómaczonéj dla nas myśli staje się niemożliwém; nie znaczy to jednakże, żeby ona bezwzględnie tajemniczo się

pojawiała. Znane nam fakty kojarzenia się wyobrażeń nie pozwalają robić takich przypuszczeń. Skarżyć się tylko należy na brak uwagi lub na brak sprzyjających okoliczności, któreby nam do rozwiązania zagadki dopomódz mogły.

Jeżeli zaś my sami nie możemy częstokroć wytłómaczyć początku naszych własnych myśli, to cóż dopiero powiedzieć o wytłómaczeniu wielu myśli artystów, po których zostały nam tylko ostateczne rezultaty całego procesu, który przy tworzeniu jakiegoś dzieła w umyśle ich zachodził. Znana wrażliwość artystów potęguje stokrotnie siłę asocyacyi utajonéj, zjawia się im na usługi częściéj aniżeli osobom mniéj wrażliwym. Artyści korzystają z tego; powtarzająca się nieraz asocyacya wyrabia w ich umyśle pewien *nałóg* umysłowy, który ich od innych śmiertelników odróżnia. — Stąd tak często oni nas zadziwiają. Wiadomo, że można się przyzwyczaić przez częstą wprawę do pisania *wierszy*, nie mając najmniejszego talentu poetycznego, — można się także przyzwyczaić do takiego lub innego myślenia.

Nie należy tylko przesadzać słów naszych i twierdzić, że podług tego, cośmy tutaj powiedzieli, wszystkie pomysły artystów należy policzyć do kategoryi niewytłómaczonych. Owszem, artyści są ludźmi jak inni — muszą myśleć podług przyrodzonych praw myślenia, a zatém *większa* część ich pomysłów da się bardzo łatwo przy pomocy tych praw wytłómaczyć; znajdują się jedynie czasami pomysły, których wyjaśnić nie możemy albo dlatégo, że nie znamy dokładnie ich życia, albo dlatego, że znając nawet dokładnie to życie, niepodobna nam wyśledzić, jaki był bieg ich myśli w pewnéj oznaczonéj chwili. Powszechnie wiadomo, że największe dzieła sztuki powstały z przeróbki rzeczywistych faktów zewnętrznych (Iliada, dzieła Szekspira, Faust, Dziady, Pan Tadeusz). Całość tych utworów możemy sobie wyjaśnić, ale niektóre myśli w nich zawarte pozostają dla nas zagadką,

jak owa mistyczna cyfra 44 w „Dziadach“ Mickiewicza... Wszakże nigdy nie można twierdzić na pewno, że te myśli *na zawsze* zagadką dla nas pozostaną, bo albo historyczne (bijograficzne) albo psychologiczne badania mogą ją nam kiedyś rozwiązać.

Zdaje nam się, że do tego szczupłego zakresu zredukować wypada wszystkie górnolotne poglądy tych, którzy utrzymują, że kraina twórczości artystycznéj kąpie się w mgle tajemniczéj, że do niéj nie mogą nigdy przedrzeć się promienie jasnego słońca prawdy, badanej sumiennie i bez uniesień.

V.

Czy nauka może szkodzić twórczości?

Od najdawniejszych czasów, kiedy umysł ludzki zaczął rozwijać swe skrzydła na wszechświat cały, sądy o poetach i wogóle o artystach dosyć wybitnie w dwu formach się przedstawiały.

Poeci i artyści rozjaśniają naszę duszę, uszlachetniają nasze serce, podnoszą ponad niziny tuzinkowego żywota, a wskazując w oddali idealne wzory, któremi umysł nasz zachwycić potrafią, przyczyniają się do zmiany naszych obyczajów zawsze na lepsze. Czy wspomnieć pieśni Tyrteusza, czy marsyliankę, czy poematy Homera, czy trubadurów pienia miłosne; wszędzie odszukamy owe tętnice silnie pulsujące, bez których życie istotne, życie ducha niemożliwémby się stało, bez których wyschłoby źródło rozkoszy, zachwytu, natchnienia! Znane są wszystkim szczegóły z dziejów artystycznego życia starożytnéj Hellady. Tam na biesiadach królewskich jedno z najpoczestniejszych miejsc zajmował śpiewak (aojdos), on opowiadał o przygodach bogów i bogiń, o ich pobycie na ziemi, o miłostkach nieśmiertelnych

ze śmiertelnemi, o trudach, zwycięstwach i klęskach pod Troją, o tysiącznych błędnych drogach, po których się tułał przez lata nieszczęśliwy choć przezorny Odysej (Ulises). Tam przedstawienia teatralne w święta Dyonizosa (Bachusa) były sprawą państwową; niezamożnym obywatelom rozdawano pieniądze, ażeby mogli sobie kupić bilet do teatru; scena od rana do wieczora, przez cały dzień boży, zajęta była przez aktorów, a ławki przez widzów, którzy ze świętém namaszczeniem przysłuchiwali się opowieściom dyalogowym o wielkości bóstwa i przeznaczenia, o potędze ludzkiego uczucia i niezwalczonych namiętności!..

Albo i w wiekach średnich! Ci dumni, ciemni baronowie, o których dzieje opowiadają, na dworach swoich mieli bardów, minstreli i trubadurów, i żadnéj uczty bez boskiéj przyprawy muzyki i poezyi nie uznawaliby za rzecz godną człowieka. A jakkolwiek tym bardom, minstrelom i trubadurom rozmaicie się na zamkach barońskich przytrafiało; potęgę ich słowa uznawano powszechnie, bo śpiew i muzyka stanowiły istotną część składową tego życia napół dzikiego, napół cywilizowanego, jakie przez kilka wieków w Europie naszéj panowało. Wielka część wdzięku turniejów, przygód romantycznych w miłości, w walce z niewiernymi, spoczywała właśnie w obecności i znaczeniu średniowiecznych śpiewaków.

Jakieżto silne powstaje wrażenie, kiedy sztuka połączy się z najistotniejszemi przekonaniami mas, jeżeli wejdzie w jestestwo jego duchowe, które się objawia w religii! Czy gdziekolwiek i kiedykolwiek słyszano o takim zapale, o takiém podniesieniu ducha, o takim wrzątku uczuć serdecznych, o namiętnym niepokoju oczekiwania i upojeniu rozkoszy, jakie wywołały wyprawy krzyżowe — rezultat zarówno religijnéj jak i poetycznéj strony ówczesnéj umysłowości europejskiéj.

Niepotrzeba jednak zaprzątać sobie głowy średniemi wiekami, kiedy chcemy znaleść przykłady podobnych usposobień. We wszystkich obrzędach kościelnych, w pielgrzymkach i procesyach, gdzie przepych formy połączony jest z głęboką i wzruszającą treścią, gdzie uczestniczą masy, jako współczłonkowie i spółdziałacze w sprawie uroczystości, wszędzie tam istnieje taka serdeczna spójnia umysłów, że uczucie wylewa się swobodnie i udziela się wśród duchowéj rozkoszy.

„Kiedym był dzieckiem — powiada Proudhon — kościół, do którego co niedziela chodziłem, wydawał mi się najpiękniejszym, najwspanialszym ze wszystkich gmachów — i dlaczego? Oto wskutek ścisłego związku pomiędzy przeznaczeniem gmachu, a religijnym nastrojem mojego umysłu. Z czasem rozwaga mogła mi dać poznać jego wady, mogła mi nasunąć nowe pomysły architektoniczne; ale ja doznałem już w sobie najpotężniejszego estetycznego wzruszenia, które, oczyszczone przez rozbiór, dopomogło mi stanowczo do mego rozwoju i udoskonalenia, co może bez tego wpływu wcaleby nie nastąpiło".

Wyznania podobne każdy usłyszeć może, przysłuchując się wewnętrznemu głosowi wspomnień z czasów dzieciństwa i młodzieńczego wieku, kiedy ze wszystkiemi obrzędami ściśle związana była wiara szczera, naiwna, miłością i bogobojnością wzmożona do potęgi najsilniejszych, najbardziéj wpływowych wzruszeń naszego serca. Miłość ta właśnie rzucała urok na wszystko, cośmy widzieli i czegośmy doświadczali, zakrywała nam oczy na niedostatki i wady, na wszystkie strony niekorzystnie o ukochanym przez nas przedmiocie świadczące; miłość rozpromieniała fantazyę na wspomnienie wielkopiątkowych śpiewów i pogrzebowych melodyj.

W jakąkolwiek dziedzinę życia naszego spojrzymy,

w dziedzinę obyczajów, religii i bytu państwowego, wszędzie sztuka zajmuje jedno z miejsc pierwszorzędnych; jest owém słowém matczyném, co rozwiązuje język niemowlęciu, — by je nauczyć miłości kraju, ludzi, domu rodzinnego, wszystkiego: „co wielkie i święte“ na ziemi. Sztuka jest jakby mostem czarodziejskim, po którym przechodzi się do krajów nieznanych, a jednakże silnie umysłem ludzkim wstrząsających...

Takie są słowa wielbiące sztukę: czy je słyszymy z ust nieśmiertelnego Platona, w ogrodzie Akademosa, czy z ust Cycerona, broniącego publicznie na forum poetę Archiasza, czy z cichego pokoiku skąpca pesymisty Schopenhauera.

Jeżeli nie przedstawiliśmy wszystkich argumentów, jakie na korzyść podobnego poglądu były i są przytaczane, to daliśmy przynajmniéj poznać niezmierną jego ważność i znaczenie w historyi przekonań.

Lecz, ażeby zachować bezstronność, musimy i drugiéj strony posłuchać.

Wielu uczonych, erudytów zwłaszcza, z lekceważeniem a nieraz i z pogardą patrzyło na zabiegi i działalność sztuki. Nazywali ją bajką, zmyśleniem, smalonemi dubami, niedorzeczném bełkotaniem nieoświeconych lub waryatów... Prawda — powiadają oni — powinna być naszą przewodniczką i mistrzynią: dla niéj wszystko poświęcić należy, jéj oddać życie, podług jéj prawideł postępowanie nasze urządzić tak, aby nigdy kłamstwo i wymysł nie zaciemniły jasnego słońca z wielkim trudem zdobywanéj wiedzy. Nauka, która zajęła się dochodzeniem prawdy, stworzyła, można powiedzieć, dzisiejszą oświatę, rozjaśniła umysły, wypędziła przesądy i zabobony, wykorzeniła barbarzyńskie zwyczaje, ulepszyła środki zaspakajające nasze potrzeby, podniosła przemysł, pobudowała drogi, mosty, koleje żelazne, przeprowadziła druty telegraficzne, zatrzymała słońce, wzruszyła

ziemię, zbliżyła lądy, wyczerpała oceany. Tymczasem poezya cóż zrobiła? Pobudzała do wojen, apoteozowała niszczycieli, fanatyzowała tłumy ukazywaniem im mar nieuchwytnych i namiętném powstawaniem na wszystkie wyniki naukowego badania. Sztuki piękne zużytkowały bogactwo krajowe bez żadnego realnego pożytku, uczyły zbytkownego życia, rozmiękczały serca, rozluźniały obyczaje. Poezya była zawsze po stronie zacofanych. Wszakże jeszcze w naszym wieku poeci modlili się do muz, wzywali ich pomocy, prosili ich o natchnienie; dla nich bogowie nie opuścili jeszcze Olimpu i po staremu rządzą światem, kochają się w córkach Deukaliona i Pirry; dla nich ludzie wiecznie prowadzą wojnę pod Troją, a poeci jeżdżą na pegazie.

Czyż zresztą sami najzapaleńsi czciciele sztuki nie wyznają otwarcie, że ona nie robi wcale *postępu*, że nikt jeszcze w naszych czasach nie prześcignął starożytnych Greków, co do ogólnego zakochania w pięknie, a wszczególności pod względem niedorównanéj ich rzeźby. Czyż więc taki kierunek umysłu, który nie postępuje, nie doskonali się, może zasługiwać na naszę cześć i poważanie?..

Ci, którzy w powyższy sposób się odzywają, zapatrują się na życie zbyt surowo, z ponurego rodzaju ascetyzmem, nie dozwalającym na żadne zboczenia od raz obranéj drogi i od raz powziętych reguł. Dla nich sztuka jest rozrywką zakazaną, niegodną człowieka poważnego, miłującego prawdę. Inaczéj w gronie tych, co twórczość artystyczną za mało produkcyjną uważając, za małoznaczącą w ludzkiém społeczeństwie poczytują.

Oni zwracają się do samych artystów i pochwytują ich za słówka. Nieraz — powiadają — poeci i powieściopisarze, robiąc zwrot do czytelników, wyrażali dość wielkie powątpiewanie co do prawdziwości opowiadanych przez siebie zdarzeń i przedstawianych postaci. Powoływali się na słowo

poetyckie albo powieściopisarskie i dodawali: „jeżeli to słowo ma jakąś wiarę u czytelników“.

Powtóre, *zmiana przekonań* u artystów poczytywała się za rzecz zwyczajną, charakteryzującą usposobienie poetyczne, które potrzebuje ciągle nowych przedmiotów, nowych myśli, nowych uczuć, ażeby źródło swego talentu odświeżyć, oczyścić. Któryż artysta był stałym w miłości? Niedawno czytaliśmy wiersze wyszłe z pod pióra poety:

Nie wierz mu (artyście) dziewczę, gdy z drżeniem serca
Odkryje tobie uczucia głębie...
Bo los ci przyszły, los przeniewierca
Połamie twoje skrzydła gołębie
I w pierś twą białą niemiłosiernie
Wbije zbyt ostre zawodu ciernie!

Któryż poeta, z czasów mianowicie dawniejszych, miał jakiekolwiek przekonania polityczne, albo który stale w życiu swojém ich bronił? Dawniéj artyści byli dworakami, zależeli od woli panów i królów, którzy im w zamkach swoich przytułek dawali. Późniéj (w naszém stuleciu) poeci bawili się przekonaniami jak piłką, i te na chwilę gorąco miłowali, które im *służyły* do wywołania *efektu!*.. Zupełnie tak samo postępowali z przekonaniami politycznemi, jak malarze ze swojemi modelami...

Artyści lubią spokój, ciszę, nie cierpią życia zgiełkowego, parlamentarnego; uwielbiają *siłę*, jako jeden z najpotężniejszych efektów artystycznych i to siłę bez względu na to, czy ona się wyraża w téj lub owéj krańcowéj formie. Wszystkie te własności zależą jeszcze wprawdzie i od indywidualnego usposobienia, zdarzają się w ludziach innego zawodu; ale polowanie na efekt i poświęcenie mnóstwa wielkich do prawdy dążących idej dla ostatecznego wrażenia — jest już przymiotem artystów i wogóle dusz artystycznych. Jakie zaś z podobnego przymiotu wynikają praktyczne rezultaty, łatwo odgadnąć.

Powyżéj wskazane poglądy są zbyt ze sobą sprzeczne, ażeby mogły być wprost pogodzone przez dobrowolne ustępstwa i z jednéj i z drugiéj strony. Pogodzenie takie wyglądałoby jak woda pomieszana z oliwą, jednolitéj całości nie stworzyłoby wcale. A jednakże każdy doskonale *czuje*, że sprzeczności owe istnieć rzeczywiście nie powinny. Czy to poczucie ma podstawę w rozwadze, w rozumném nad rzeczami i zjawiskami zastanowieniu? czy naukowo da się usprawiedliwić?

Rozważmy fakty.

Istnieje w człowieku naturalne usposobienie do tworzenia z doznanych wrażeń (świadomie lub bezwiednie) nowych kombinacyj; usposobienie to bowiem przejawia się we wszystkich czasach, wśród każdego stopnia cywilizacyi, począwszy od najprostszego aż do najbardziéj rozwiniętego, we wszystkich epokach życia pojedyńczéj jednostki, tak w dzieciństwie, w młodości, jak w wieku dojrzałym i w starości. Usposobienie owo przejawia się mianowicie w *sennych marzeniach*, w *marzeniach na jawie*, w *robieniu planów na przyszłość*, i t. p. Wszystkie te objawy swobodnéj działalności umysłowéj mogą oczywiście i muszą mieć bardzo różny charakter, stosownie do okoliczności czasu, wieku, zdolności, przymiotów tak jednostek jak i grup całych; w jakimkolwiek atoli stanie i charakterze się pojawiają, w każdym razie przecież *istnieją*; a to rzecz dla nas w téj chwili najważniejsza. Istnienie więc usposobienia do swobodnéj a niekiedy swawolnéj nawet działalności umysłu naszego nie może ulegać żadnéj wątpliwości. Usposobienie to nazywają pospolicie *wyobraźnią*, *imaginacyą*, *fantazyą*.

Z drugiéj atoli strony istnieje również usposobienie do jaknajściślejszego zbadania tego, co jest, nie chcąc bynajmniéj zmieniać go, ani w nowe kombinacye układać. Usposobienie to przejawia się także we wszystkich chwilach życia

ludzkiego, jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że daleko powolniéj i słabiéj, aniżeli pierwsze usposobienie; człowiek bowiem, rozpoczynając spostrzeżenia od samego siebie, usiłuje wszystko sobie wytłómaczyć podług własnych swoich usposobień i podług własnych swoich działań, stąd téż długo się zadawalnia jedynie wrażeniami swojemi, nie badając gruntu i podstawy tych wrażeń. Bądźcobądź jednak, rozglądając się w dziejach całéj ludzkości, nietrudno spostrzedz, że usposobienie to zrobiło już w masach nader wielkie postępy, które się wyrażają w *umiejętnościach, przemyśle, handlu, rzemiosłach* i t. d. W najprostszéj formie usposobienie to znajduje się u narodów dzikich *jako dążność do udoskonalenia środkow pożycia na ziemi* (ulepszenie narzędzi, budowanie domów i t. p.) i w posiłkowaniu się liczbami, rachunkiem. A jakkolwiek widzimy, że pod temi ostatniemi względami ludy owe zadawalniają się nader nieznacznemi krokami naprzód w przeciągu kilkunastu lub kilkudziesięciu wieków istnienia, to wszakże nie możemy im z tego powodu tylko odmówić całkowicie usposobienia, o którém mówimy, a które zazwyczaj się nazywa *rozumem, rozwagą, inteligencyą*.

Najpierwszy wniosek, jaki z powyższego zestawienia wyciągnąć można, jest ten, że ludzkość i jednostki długo, bardzo długo jeszcze żyć będą wytworami wyobraźni więcéj, aniżeli wytworami rozwagi. Ażeby nas jednakże źle nie zrozumiano i nie oskarżono nas o to, czegośmy nie chcieli powiedzieć, oświadczamy tu najwyraźniej, że mówimy jedynie w tém miejscu o *przeważném*, nigdy zaś o wyłączném działaniu jednego i drugiego usposobienia, które należąc do *jednego* umysłu, nigdy stanowczo oddzielić się nie dadzą. Nauka teoretycznie tylko, dla swoich rozbiorczych celów, dzieli te usposobienia i rozważa je osobno; w rzeczywistych zaś indywiduach istnieją one razem i wytwarzają taką lub inną kombinacyę, z tym lub innym *wybitnym* charakterem.

Tak więc przeważnie ludzkość działa wyobraźnią, rozumowe zaś (naukowe) badania są udziałem stosunkowo bardzo nielicznéj ilości ludzi. Stąd téż utwory fantazyi przemawiają do daleko większych mas aniżeli dowody rozumu; tamte je entuzyazmują, poruszają, do dobrego lub złego pobudzają; te zaś pozostawiają je chłodnemi, obojętnemi — z téj prostéj przyczyny, że są dla nich nieprzystępne.

Nie można się więc wcale dziwić:

po 1-sze, że najcudaczniejsze nawet pomysły znajdują u ludu wiarę i wchodzą w skład jego umysłowych zasobów;

po 2-re, że ludziom mało ukształconym podobają się bardzo mierne utwory sztuki, tak w zakresie muzyki, malarstwa, jak i literatury;

po 3-cie, że artyści mogą liczyć powodzenie swoje na niezmiernie oddalone od naszéj epoki szeregi lat, bo zawsze chętnych znajdą słuchaczów i widzów.

Wymienione tu fakty i wiele innych, jakie się nam w życiu codzienném spotkać zdarza, tłómaczą się nader łatwo usposobieniem umysłu ludzkiego, którego wykorzenić ani można ani się godzi, usposobieniem silniejszém od owego drugiego, szukającego zamiast swobody bujania — stałości praw.

Jakiż może być wpływ naukowego, rozumowego badania na dzieła artyzmu? Wiadomo wszystkim, że rozum, jak to mówią „obcina skrzydła fantazyi“. Cóż to znaczy? Zdaje się, że tylko to, iż rozum nie może znieść żadnego nieprawdopodobieństwa, żadnéj nieprawidłowości. A zatém wszelkie cudactwa, wszelką przypadkowość, niedającą się niczém wytłómaczyć i wyjaśnić, usuwa z zakresu dzieł artyzmu.

I rzeczywiście, w dziejowym pochodzie cywilizacyi widzimy najwyraźniéj, jak w zakresie sztuki przejawia się coraz wybitniéj dążność do uprawdopodobnienia pomysłów.

Dawniéj były bogi o kilku głowach, rękach i t. d., bohaterowie o jedném oku, sfinksy, syreny, centaury, smoki i t. p., olbrzymy z siłą sto lub tysiąc razy większą, niż ją posiadali ludzie zwyczajni, djabły, wiedźmy, czapki niewidki, buty samochody, laski czarnoksięskie, lampy Aladyna, góry otwierające się za wymówieniem pewnego zaklęcia i t. p. i t. p. W różnych epokach występowały one na widownią — ale znikały w epokach następnych. Na początku cywilizacyi pojawiają się wszelkiego rodzaju dziwotwory, później przybierają coraz bardziej umiarkowaną t. j. zastosowaną do zasad prawdopodobieństwa postać, wreszcie prawie zupełnie znikają, używane czasami jako retoryczne lub ornamentacyjne przydatki. Zarówno w Grecyi jak i w sztuce ludów nowożytnych te same napotykamy zjawiska. Wiadomo np. jakie dziwaczne były postacie ludzkie w sztuce bizantyńskiéj lub staroniemieckiéj: nogi przedstawiały się w postaci linij prostych, głowy w kształcie okręgów kół; wiadomo również, jak studya anatomiczne wpłynęły na nadanie rzeźbie i obrazom malarskim cechy prawdy i rzeczywistości.

Wogóle z postępem cywilizacyi zwiększają się wymagania ludzi wykształconych, dla których właściwie sztuka istnieje. Jak tylko zajdzie *znaczna* zmiana w wyobrażeniach pewnéj liczby ludzi, potrzebujących wzruszeń estetycznych, (a zmiana taka wywoływaną jest zwykle przez większe wykształcenie t. j. większy rozwój rozumowy, naukowy), musi się koniecznie pojawić zmiana w traktowaniu przedmiotów sztuki, t. j. musi się w nich wybitniéj przedstawić pierwiastek rozumowy.

Wprawdzie fakt niezbyt dawno zaszły, poezyja romantyczna, zdaje się twierdzeniu temu zadawać kłam stanowczy, gdyż wśród wysoko rozwiniętéj cywilizacyi zaczęła wyprowadzać na jaw djabły, upiory, strachy i czarodziejstwa, jakby za najlepszych czasów pierwotnéj, naiwnéj wiary we

wszystkie te osobliwości. Fakt ten atoli, istotnie zastanawiający, da się jednakże wytłómaczyć.

Romantyzm nie był właściwie protestem przeciwko nauce wogóle, ale przeciwko nauce książkowéj, suchéj, bezdusznéj, martwéj, która porywy serca za nic sobie miała, która entuzyazmem, zapałem się brzydziła, która wszystko, co stanowi przyjemność i rozkosz życia ludzkiego, zdaleka od mniemanéj lub téż istotnéj świątyni prawdy trzymać chciała. Byłto protest młodego, energicznego życia przeciw zmurszałéj strupieszałości. Wówczas wszelkie środki wydawały się odpowiedniemi, byle się tylko dawnemu systemowi przeciwstawić.

Cóż się jednakże stało? Oto po niewielu latach upiory, djabły, czarnoksiężniki, wiedźmy i gusła znikły niemal bez śladu; zajęły one z początku jak każda nowość (bo dla klas wykształconych były rzeczywiście nowością) -- ale bardzo prędko się przejadły, i sztuka (a jak w tym razie poezya), musiała przejść znowu do studyów życia takiego, jakiém ono jest w naszém XIX-ém stuleciu. I sprawdziły się słowa Śniadeckiego, wypowiedziane wśród rozpoczynającego się zaledwie u nas ruchu romantycznego: „Poezya nie jest szczerą muzyką, i żaden język sam przez się nie utrzyma dziś uwagi ludzkiéj w ciągłém upodobaniu, trzeba dziś poezyi *zająć ledwo nie wszystkie rozwinione władze umysłu;* i wynalazki imaginacyi muszą dziś być w dobréj poezyi zaprawiane poruszeniami wyniosłemi, obrazami zgodnemi *ze stanem dzisiejszych wiadomości i częstokroć nowoodkrytemi wyrokami prawdy;* bo myśli fałszywe mogą nas na czas omamić i złudzić, ale ani się długo utrzymać ani podobać nie mogą“ [1]). Słowa te raziły zapewne wielu wówczas

---

[1]) Jan Śniadecki. Filozofia umysłu ludzkiego Warsz. 1834, str. 237.

(t. j. około r. 1821), kiedy były wygłoszone; ale obecnie już się dziwnemi nam nie wydają; i wymaganie, ażeby poezya nie ignorowała nowoodkrytych wyroków prawdy, jako zupełnie słuszne nam się przedstawia. Poeta, którýby nam dziś mówił np. o obrocie słońca około ziemi, która spokojnie w środku sfery niebieskiéj spoczywa, naraziłby się tylko na śmieszność, chociażby obrazy poetyczne celowały świeżością barw i świetnością kolorytu. W rzeźbiarstwie wprawdzie i w malarstwie, w których przedewszystkiém uderza nas forma, częściéj, co prawda, napotyka się jeszcze amorki, wenery, sfinksy, gnomy i tytany — ale już tylko jako symbole, jako alegorye. I zresztą większość utworów rzeźbiarskich i malarskich przedstawia nam albo postaci czy sceny z życia codziennego (rodzinego i politycznego) albo téż z dziejów minionych.

Tak więc wniosek, jaki poprzednio już podaliśmy, że wmiarę postępu cywilizacyi sztuka posiłkuje się i musi posiłkować się dorobkami nauki, zmuszona do tego wymaganiami ludzi wykształconych, wydaje nam się zupełnie uzasadnionym.

Z tego powodu zakres wyobrażeń artystycznych z jednéj strony się ścieśnia, z drugiéj zaś rozszerzyć się może. Ścieśnia się otyle, że fantastyczne, nieprawdziwe, nieprawdopodobne, cudowne i nieprawidłowe wyobrażenia nie mogą już mieć dla sztuki żadnego znaczenia dodatniego, t. j. mającego w sobie treść istotnie zajmującą i pożywną; może się rozszerzyć otyle, że każde nowe odkrycie naukowe horyzont naszego duchowego widzenia coraz bardziéj w dal usuwa, nastręczając tym sposobem nowy materyał nietylko do rozmyślań ale i do nowych kombinacyj. Reszta zależy od indywidualnéj każdego umysłowości. Człowiek z przeważnie rozwiniętą rozwagą kombinacye te będzie wytwarzał w formie suchéj, oderwanéj, w celu zużytkowania ich w życiu praktyczném, albo jako środka ulepszającego

toż życie (przemysł, rękodzieła) etc.), albo téż jako środka do nowych odkryć naukowych prowadzącego (wszelkie doświadczenia fizyczne, chemiczne, kombinacye matematyczne i t. p.). Człowiek zaś z żywą imaginacyą zużytkuje prawdy zdobyte przez naukę do nowych obrazów tak natury martwéj, jako téż żywéj, tak społeczeństwa w chwili obecnéj jak i w ubiegłéj. Wiadomo, jak np. nużą teraz każdego czytelnika wszelkie opisy natury, które prawie stereotypowemi się stały, a stąd nie dają żadnéj karmi dla umysłu czytelnika, który już kilka lub kilkanaście książek podobnéj treści przeczytał.

Czyż myślicie, że poetyczne przystosowanie prawd naukowych, co do natury wogóle, w formie obrazowéj, nie zostałoby przyjęte z zapałem? Czyż np. pojęcie niezniszczalności materyi i zachowania siły nie przedstawia nowego całkiem pola do poetycznych obrazów? Ale niech nikt uwagi téj nie bierze powierzchownie i nie wmawia w nas np., że chcemy poematów dydaktycznych, opiewających w formie wierszowanéj zasady fizyki i chemii!... Broń Boże! Uważamy, że takie traktowanie nauki ubliża zarówno jéj jak i poezyi saméj; nauce dlatego, że jéj prawdy wystawia jako coś imaginacyjnego, co może istnieć lub nie istnieć; poezyi dlatego, że odejmuje jéj żywotność i świeżość, przemieniając barwne obrazy poetyczne na suche abstrakcye. Nam nie idzie o to, ażeby artyści, a wszczególności poeci, powtarzali *wyrazy* naukowe, bo to doprowadziłoby tylko do śmiesznej pedanteryi; ale o to, ażeby artyści, zapoznawszy się z wynikami nauki, przejęli się jéj prawdami, przyswoili je sobie i w skład swojéj umysłowości ją zagarnęli: wówczas ich talent sam im wskaże drogę postępowania dalszego, wskaże im formę najodpowiedniejszą do wcielenia swoich *przekonań* (bo to już będą rzeczywiste przekonania), swoich ideałów.

Tosamo, co o poznaniu natury, można powiedzieć

i o poznaniu społeczeństwa. Dotychczas artyści po większéj części patrzali na społeczeństwo, wśród którego żyli, i na ludzkość całą okiem zwykłego spostrzegacza, i analiza ich ślizgała się po powierzchni, do głębi się nie przedostając. Zwykłe uczucia i stosunki życia rodzinnego ze stanowiska sąsiadów i sąsiadek a co najwięcéj ze stanowiska wielkomiejskiego birgiera pojmowane, nie mogły dawać wyżéj ukształconym żadnych nowych myśli i poglądów [1]). Nie przeczymy, że malowanie tych stosunków jest nietylko dla wszystkich przystępne t. j. popularne, ale i ważne; stąd téż nie myślimy wymagać, ażeby się niém zajmować przestano; owszem w niektórych wypadkach (jak np. u nas) one jedne mogą być przedstawiane. Ale potrzeba do przedstawienia ich obeznać się cokolwiek głębiéj zarówno ze stanem społeczeństwa jak i ogólnemi celami, do których ono dąży; daléj, potrzeba znać jego potrzeby ekonomiczne zarówno w zakresie materyalnym jak i umysłowym — bo w takim tylko razie można nie poprzestawać, np. w poezyi, na wyklinaniu nienawistnych dla poety objawów, jak lichwiarstwa, pogoni za posagiem, zamiłowania nowości, zbytków i t. p.; ale można téż będzie podać zdrową radę, która znajdzie posłuch. Nie należy bowiem zapominać, że artysta, jak każdy inny człowiek, jest *obywatelem*, a zatém powinien mieć pewne przekonania społeczne i podług tych przekonań postępować. Wiemy, że dotychczas artyści nie wielki brali udział w życiu społeczném i politycznem, a jeżeli brali, to niezbyt świetnie dali się poznać; — ale taki stan wiecznie trwać nie może; poczucie obywatelstwa musi być przez wszystkich zarówno rozumnie pojmowane, powinno regulować ich postę-

---

[1]) Naturalnie, nie mówimy tu o wyjątkowych osobistościach, których liczba w Europie całéj w obecném stuleciu zaledwie do kilkudziesięciu się ogranicza.

powanie. Zdaje nam się, że rozjaśnienie pojęć ekonomicznych i społecznych w umysłach artystów szkody im nie przyniesie.

Rozumie się jednak, że jak poprzednio tak i teraz zastrzedz sobie musimy, aby nas fałszywie nie tłómaczono, co u nas w ostatnich czasach stało się rzeczą bardzo zwyczajną. Można drwinkować bardzo wygodnie, że każemy np. opiewać poecie *popyt* i *zaofiarowanie*, malarzowi przedstawiać *podział bogactw* i rysować *monety;* ale tém jeszcze nie obali się wcale twierdzenia, że poeta i malarz powinni nietylko czuć, ale i rozumieć obowiązki obywatelskie. O przekonanie nam idzie, o przejęcie się prawdami społecznemi, o przerobienie ich na umysłowy skarb artysty; — nie zaś o pustą formę, o przyswojenie sobie wyrazów technicznych, których się w naukach społecznych używa.

Nauka nie może szkodzić artystycznéj twórczości — winna ją tylko rozjaśnić i pewniejsze drogi dla niéj nakreślić, ażeby ci, co pragną wzruszeń, jakie ona dać może, nie byli wprowadzeni na manowce...

Lipsk 1873 r.

II.

SOBÓTKA.

Zestawienie dwu wieków i dwu indywidualności.

Wiadomo, jaki przełom w estetycznych pojęciach nastąpił na początku naszego stulecia; wiadomo również, że pojęcia te i utwory w ich duchu powstałe nazwano *romantycznemi*, przeciwstawiając je wszystkim poprzednim, albo wprost jako klasycznym, albo jako klasycznym i konwencyonalnym. Nazwy te, mające służyć za charakterystykę dwu (lub trzech) rodzajów poezyi, poparte teoretycznie i praktycznie pismami takich autorów jak Brodziński, Śniadecki, Mickiewicz, Mochnacki i Grabowski, pomimo większych lub mniejszych różnic pomiędzy tymi autorami zachodzących, utarły się w naszém piśmiennictwie i dość długo były hasłem, pod którém walczyły dwa przeciwne obozy.

Tymczasem dalszy rozwój poezyi, który już po teoretycznych określeniach nastąpił, dowiódł, że jak nazwa klasycyzmu nie odpowiadała w zupełności charakterowi naszéj poezyi od wieku XVI do początków XIX, tak i miano romantyczności bynajmniéj nie charakteryzowało nowéj epoki poezyi. Jak bowiem w dawnéj twórczości odróżnić należało dwa wyraźne okresy, z których jeden obejmował utwory pod przeważnym wpływem autorów greckich i rzymskich powstałe, a drugi niezatarte ślady wpływu francuskich poetów na sobie nosił, tak i nowa poezya, puściwszy się z początku na tory romantyzmu głównie niemieckiego (w balladach, powieściach i dramatach *sui generis*), znalazła wkrótce rodzinne swe niwy i na nich bujnie a samoistnie zakwitła. Określe-

nia tedy klasyczności i romantyczności okazały się wkrótce ciasnemi, a co ważniejsza właściwemi jedynie pewnym pojedyńczym chwilom. I jeżeli chwile te dla klasycyzmu liczyły się na wieki, to dla romantyzmu zaledwie na lata, mało co dziesiątkę przewyższające. Pomimo to nazwa owa, raz się zakorzeniwszy, nie mogła być wyrwaną do szczętu, a pojęcia do niéj przywiązane coraz bardziéj stawały się chaotycznemi, nie znajdując w literaturze ścisłego i dokładnego wykładu. Dziś nawet rozprawy, które objaśnienia owych pojęć dotyczą, uważają się niekiedy za rzeczy należące do dziejów i niemające związku ze spółczesną chwilą literacką. W tym poglądzie, skądinąd fałszywym, widzimy jednę tylko prawdziwą wskazówkę. O *romantyczności* można jedynie rozprawiać, jako o chwilowym przejawie historycznym; pierwiastki atoli świeże, które do poezyi wniósł ruch umysłowy, na początku obecnego stulecia u nas wzbudzony, należą tak dobrze do dziejów, jak i do chwili obecnéj, gdyż i dzisiaj jeszcze swego znaczenia nie straciły. Oznaczenie tych pierwiastków ze ścisłością i dokładnością *naukową* powinno być zadaniem naszych czasów, które, jak się zdaje, więcéj są skłonne do krytyki, do rozbioru, aniżeli do twórczości w zakresie poezyi.

Ale chcąc w tym kierunku dojść do zadowalającego rezultatu, potrzeba, zdaniem mojém, porzucić ogólniki i zbyt elastyczne frazesy, a wniknąć w szczegóły i na dokładném dopiéro ich zbadaniu wywody swoje oprzéć. I ku temu poczynione już zostały kroki w pojedyńczych, mniéj lub więcéj obszernych studyach nad dawnymi i nowymi naszymi poetami, co oczywiście przyniosło niemałą korzyść dla rozjaśnienia twórczości poetycznéj naszego społeczeństwa, — dla *samowiedzy* ogółu.

Mniéj atoli zwracano dotąd uwagi na tę okoliczność, że w rozbiorze naukowo-literackim potrzeba odróżniać dwie

rzeczy: ogólny stan umysłowy danéj epoki, wraz z jego wpływem na poetę, i... samę indywidualność autora. Niepodobna wprawdzie zaprzeczyć, że takie wyrażenia jak: „duch wieku“, „ogólne usposobienie“, „prądy czasu“ i t. p. napotykają się dosyć często w rozprawkach i studyach literackich; lecz w nich albo łączono owego ducha z indywidualnością poety, przedstawiając tego drugiego jako przedstawiciela pierwszego; albo téż wynoszono nad miarę indywidualność autora, powiadając że był „wyższym nad swój czas“. Tymczasem ani jedno, ani drugie nigdy się nie zdarza, gdyż nikt ani zupełnie zatracić swéj indywidualności, ani téż zupełnie być wolnym od postronnych wpływów nie może i nie potrafi. Jedynie o *przewadze* jednego pierwiastku nad drugim może tu być mowa.

Chcielibyśmy w szczupłym zakresie dokonać takiéj analizy, któraby równie skrzętnie wpływy na poetę, jak i jego samoistność wykazywała, nie usiłując pierwszych zamaskować drugą. Wybraliśmy ku temu metodę, która na pozór dziwną wydać się może.

Dawniéj, przed laty kilkudziesięciu, porównywano *summarycznie* utwory poezyi polskiéj do początków XIX stulecia, z takiemiż utworami od téj chwili z druku ukazującemi się. Ponieważ porównania te do znacznéj liczby jednostek się odnosiły, sądy przeto musiały być nieraz nieumotywowane i niewłaściwe. Jeżeli jednak porównanie ogólne nie przyniosło korzyści (któréj zresztą nie szukano, gdyż robiono je w celach polemicznych), to zachodzi pytanie, czyby szczegółowe porównanie nie przyniosło pomyślniejszego rezultatu. Ale tu właśnie występują na jaw trudności, których przy summarycznem porównaniu nie dostrzeżono. Jak można porównywać ludzi i ich utwory z epok różnych, z charakterem odmiennym, z usposobieniem częstokroć wprost przeciwném? Można wprawdzie odpowie-

dzieć filozoficznie, że w każdym razie autorowie owi byli ludźmi; ale odpowiedź taka nie zakryłaby słabych stron postawionego pytania. Przedstawia się tu przécież jedna droga wyjścia. Bezwątpienia, nie można w paraleli literackiéj postępować w sposób używany w gieometryi, kiedy się porównywa dwa trójkąty, przykładając do siebie ich boki; ale można ocenić wpływ ogólnego nastroju umysłowego na indywidualność poety i oddziaływanie téj indywidualności na społeczeństwo, za pośrednictwem poetycznych utworów, — gdyż dane te są zupełnie jednorodne. Nie pojedyńcze więc ustępy z pojedyńczemi ustępami, ani wiersze z wierszami, lecz *ogólne cechy* z *ogólnemi cechami* zestawić tu zamierzamy, wybierając dwa utwory, mające za przedmiot *treść jednę*: opisanie uroczystości ludowéj, zwanéj *Sobótką*. Podjęliśmy tę pracę tém chętniéj, że, o ile wiemy, ani „Pieśń świętojańska o Sobótce“ Jana Kochanowskiego z XVI wieku, ani „Sobótka“ Seweryna Goszczyńskiego z XIX wieku nie były dotychczas przedmiotem osobnego a szczegółowego rozbioru, na który ze wszech miar zasługują [1].

I.

Oryginalném zaiste i wielce zastanawiającém w pismach Jana Kochanowskiego zjawiskiem jest jego *Pieśń świętojańska o Sobótce.* Podczas gdy inne utwory, mające za treść wspomnienie jakiegoś krajowego zdarzenia, za-

---

[1]) Od czasu napisania szkicu obecnego ukazała się szczegółowa bardzo rozprawa Jana Rymarkiewicza o Sobótce Kochanowskiego, najprzód w *Ateneum* 1876 r., a następnie rozszerzona i dopełniona w r. 1884 p. n. „Jana Kochanowskiego pieśń Świętojańska o Sobótce wedle wydania Andrzeja Piotrkowczyka r. p. 1617, objaśniona i oceniona. Wydanie jubileuszowe“. Poznań. Nakład A. Cybulskiego, str. 196.

wdzięczają początek swój wpływom okolicznościowym; pieśń o Sobótce wytrysła, jak się zdaje, swobodnie z poetycznéj obserwacyi ludowych zwyczajów i obyczajów. Żaden hrabia, książę, kanclerz ani król nie żądał téj pieśni od czarnoleskiego śpiewaka — on sam dobrowolnie, siedząc pod rozłożystemi gałęźmi swojéj ukochanéj lipy i przyglądając się nieraz pląsom a śpiewom „gości i domowych“ przy rozpaloném ognisku, w wigilią św. Jana, powziął myśl uświetnienia téj uroczystości wiejskiéj dźwiękami swojéj lutni. Swobodna twórczość utalentowanego umysłu wydaje zazwyczaj arcydzieła i najwybitniéj pokazuje jego oryginalność. To téż nie dziwimy się wcale, że „Pieśń o Sobótce“, od czasu studyum Kraszewskiego o Janie Kochanowskim [1]), uważana była za różaną jutrzenkę na niebie naszéj poezyi narodowéj, w któréj pierwiastek *ludowy* wielką kiedyś miał odgrywać rolę. Nie dziwimy się temu tém bardziéj, że we wspomnianym utworze Jana wiele znaleść można dowodów na poparcie tak zaszczytnego dla niego poglądu, — jeżeli tylko czytać będziemy *Sobótkę*, pozbywszy się na chwilę wspomnień, jakieby nam zwykłe wzory „praszczura naszéj poezyi“ nasunąć mogły.

Tego atoli ostatniego warunku spełnić nie możemy, skoro tylko zapragniemy poznać gruntownie, nie zaś powierzchownie, naszego autora. Wszak i „Fraszki“ uchodziły niegdyś za utwór najsamoistniejszy Kochanowskiego: tymczasem bliższe badania, przez Józefa Przyborowskiego [2]) pod-

---

[1]) „Nowe studya literackie“ 1843, tom II, str. 62: „Kochanowski jeden daje przykład studyówania natchnień gminu w XVI wieku i jeden tylko tworzy w jego duchu, nie rojąc sobie jakiegoś konwencyonalnego, pastuszego ludu, ale z prawdziwego biorąc wzory“.

[2]) „Wiadomość o życiu i pismach J. Kochanowskiego“, 1857, str. 165—174.

jęte, okazały, że większa ich część jest albo prostym przekładem, albo też naśladowaniem pieśni i epigramatów łacińskich i greckich. Pan Przyborowski wskazał również źródło niektórych pieśni zawartych w Sobótce [1]), a jakkolwiek nie wszystkie jego wskazówki zupełnie są trafne, jak się to niżéj okaże, to przecież zachwiewają nasze zaufanie w oryginalność pomysłów Jana i każą nam robić dalsze na raz utartéj drodze poszukiwania. Wielkość i znaczenie naszego poety z XVI wieku nic na tém nie ucierpi, a my poznamy lepiéj warunki twórczości poetycznéj w rozkwicie naszéj narodowéj literatury.

Zacznijmyż od początku. A najprzód co do samego pomysłu opiewania zabaw i uroczystości ludowych. Ci, którzy znają liryków rzymskich z pierwszego wieku przed narodzeniem Chrystusa, przypomną może sobie nieraz opiewane święto na cześć bogini *Pales*, opiekunki trzód i pasterzy, święto nazwane *Parilia* lub *Palilia*. *Tybul* i *Propercyusz*, których utwory Kochanowski często ojczystemu językowi przyswajał, wspominają o téj wiejskiéj uroczystości pobieżnie, podnosząc jeden głównie w niéj szczegół, t. j. *skakanie przez zapalone stosy słomy* [2]); Owidyusz zaś w swoim poetycznym kalendarzu *(Fasti)* daje obszerny opis wszystkich zwyczajów i obrzędów, jakie przy téj okoliczności miały miejsce. W streszczonym zarysie były one następne. Z ołtarza bogini *Westy* brano kadzidło, w skład którego wchodziła krew konia, popiół i spalona łodyga bobu. Kadzidłem tém oczyszczał pasterz o zmierzchu swe owce, skropiwszy je wprzód wodą i wymiótłszy owczarnię gałęźmi. W gałęzie również strojono owczarnię i wrota jéj wieńczono. Wyka-

---

[1]) Tamże, str. 175.

[2]) Tybul, ks. I, el. 1; ks. II. el. 5. — Propercyusz, ks. V. el. 4. (wyd. Raczyńskiego).

dzano miejsce to siarką, przytykając ją do owiec. Palono daléj rozmaryn, łuczywo i *zioła sabińskie*, a w środku ogniska — wawrzyn (laur). Następnie przygotowywano placki jaglane i koszyk prosa, gdyż bogini najlepiéj to jadło lubiła. Pasterz kładł do tych potraw to, co sam jadł i pokrajawszy wszystko, zlewał ciepłém mlekiem, zanosząc modły do Pales, w których przepraszał za winy (jeśli np. zamącił źródło, spłoszył nimfy i t. d.) i błagał, ażeby była łaskawą na bydło i jego stróżów. Modły te odmawiano, obracając się ku wschodowi, cztery razy powtarzając je i myjąc ręce w *świeżéj rosie*. Wówczas dopiero można było pić śnieżne mléko i moszcz purpurowy, a *skakać przez palące się stosy słomy lub siana, w trzy rzędy ustawione* [1]). Święta te odbywały się corocznie 21 kwietnia.

Nie śmiemy twierdzić, ażeby te częste wzmianki u poetów rzymskich o *Paliliach* i ten ich szczegółowy opis przez Owidyusza, *upoważniły* niejako zaprawionego na wzorach klasycznych Kochanowskiego do opiewania wieczoru świętojańskiego: w każdym jednak razie trudno nie uznać analogii pewnéj pomiędzy jedném świętem a drugiém, w tym mianowicie wydatnym i głównie podnoszonym epizodzie, kiedy pasterze zapalali stosy słomy w trzy rzędy ustawione i skakali przez nie. Wprawdzie Kochanowski wspomina o *skakaniu* tylko w formie *tańca;* ależ wiemy wszyscy, że jest-to niezbędny szczegół przy święceniu Sobótki, a Kochanowski tém bezpieczniéj mógł się nad nim nie rozszerzać, że nie myślał opisywać uroczystości ludowéj w całym jéj przebiegu. I owszem, poeta nasz nader ogólnikowo oznacza czas i miejsce, kiedy i gdzie święto obchodzono, a z właściwych mu cech charakterystycznych niektóre tylko podnosi szczegóły. I tak krótka, ośmiowierszowa strofa, poświę-

---

[1]) Owid. Fasti, lib. IV, wiersz 721—862.

cona wzmiance o saméj uroczystości Sobótki, mieści w sobie następujące jedynie rysy. W „Czarnym lesie“, majętności Kochanowskiego, gdy słońce „zagrzewało Raka“, a słowik przestał już śpiewać, zapalano sobótkę „jako czas niesie“. Zbiegli się ludzie, ozwało się „troje bąków“ (instrument muzyczny), poważniejsi usiedli na murawie, a sześć par dziewcząt, jednako ubranych, gotowych do tańca i śpiewu, wystąpiło przed zgromadzonych. Ważną tu i charakterystyczną podaje Kochanowski cechę, że dziewczęta przepasane były *bylicą*, zielem uprzywilejowaném w obrzędach ludowych, a szczególniéj na uroczystość Sobótki, jak się między innemi przekonywamy z tytułu dziełka wydanego w r. 1630 p. n. *Bylica świętojańska* [1]). Na tém się kończy cała część opisowa; z pieśni dopiero pierwszéj dowiadujemy się, że przy rozpalonym ogniu zabawa miała trwać aż do rana.

Jak widzimy, opisowość jest nadzwyczaj uboga. Prócz jednego szczegółu, t. j. zwyczaju używania *bylicy*, niéma tu żadnéj cechy, któraby nadawała poematowi odrębne jakieś piętno miejscowości, czasu i narodu. Opis jest ogólnikowy i jeżeli nie można go uważać za naśladowany z rzymskich autorów, to godzi się przynajmniéj przypuszczać, iż Kochanowski nie uważał zwyczajów ludowych, którym się przypatrywał, za godne uwiecznienia w całéj ich wielostronnéj charakterystyce. Jako bystry obserwator, nie mógł nie czuć, że w tych zwyczajach jest jakaś struna poetyczna, na któréj nie wstyd „poecie“ przegrywać; ale jako czciciel wzorów starożytnych nie chciał może przeniewierzyć się im, nadając odrębne, oryginalne kształty estetyczne temu, co zaobserwował. Wolał więc ograniczyć się na króciutkiéj wzmiance, która, nie będąc bynajmniéj w sprzeczności z for-

[1]) Kraszewski, „Nowe studya lit.“, tom I, str. 98. Obecnie „Bylicę“ przedrukował J. Rymarkiewicz w swéj pracy o „Sobótce“, str. 179—184.

mami i wspomnieniami klasycznemi, uwalniała go od wiernego odwzorowania zwyczajów wieśniaczych w wieczór świętojański, jak to późniéj w trzy wieki blizko uczynił Seweryn Goszczyński. A szkoda! Jakżebyśmy wdzięczni byli naszemu drogiemu Janowi za zachowanie nam ówczesnych obrzędów w całéj ich prostocie i oryginalności! Na tém zyskałaby nietylko poezya, ale i etnografia. Trudno jednak... Człowiek, choćby najzdolniejszy, jest dzieckiem swego czasu i jakkolwiek wybitną być może jego indywidualność, nie zdoła przecież otrząsnąć się z tego uroku, jaki nań rzuciło wychowanie, pierwsze studya, pierwotny myśli kierunek. I Kochanowski widział skarby poezyi ludowéj swego narodu, ala skarby te oprawiał w ramki estetyczne, do których przywykł przez cały wiek młodzieńczy, dla których musiał nieraz drogie klejnoty obciosywać, a tém samém zmniejszać ich wartość. Przekonamy się o tém jeszcze dokładniéj przy szczegółowym rozbiorze pieśni, które śpiewało sześć par dziewic, „bylicą przepasanych“. To uszeregowanie śpiewaczek w pary kazałoby przypuszczać jakiś plan w układzie i uporządkowaniu pieśni; lecz domysłu tego nie usprawiedliwia bliższe przyjrzenie się utworowi Kochanowskiego. W nim następują pieśni jedne po drugich, nie połączone ze sobą dwójkami w jakąś jednolitą całość, ani téż nie kontrastujące swém artystyczném przeciwieństwem. Tylko pieśń druga i trzecia są formalnie z sobą spojone, za pośrednictwem jednobrzmiącéj niemal zwrotki:

Za mną, za mną, piękne koło,
Opiewając [1]) mi wesoło;
A ty się czuj, czyja koléj,
Nie maszli mię *wydać woléj* [2]).

---

[1]) Przyśpiewując.

[2]) Wydać, zawstydzić; — *woléj*, dziś woli, podobnie *pracéj* — dziś *pracy*.

Zresztą wspólną treścią wszystkich dwunastu pieśni jest albo liryczne wylanie uczucia miłości w rozmaitych jego fazach i odcieniach, albo też sielankowy obraz „wieśnych“ (t. j. wiejskich) wczasów i zajęć. Rozpatrując więc „Sobótkę“ pod względem artystycznym, musimy ją uważać za zbiór luźnych pieśni erotycznych i sielankowych, połączonych w jednę całość wstępem, zapowiadającym wieczorną zabawę, tudzież ostatnią strofką pieśni 12, w której wzmiankowany jest koniec uroczystoćci, z powodu rozpoczynającego się brzasku dnia następnego. Całonocny zaś przebieg zabaw świątecznych pozostawił poeta domysłowi czytelnika, wyprowadzając przed jego oczy dwanaście panien, dźwiękiem pieśni i „pochodnym tańcem“ rozweselających wiejskie towarzystwo. Nad układem więc całości nie potrzebujemy się daléj zabawiać, lecz przejdziemy wprost do rozbioru pomysłów.

W 1-éj wstępnéj pieśni przypomina śpiewaczka towarzyszkom swoim, iż miały przy ognisku czekać rannéj zorzy, gdyż

Tak-to matki nam podały,
Samy także z *drugich* [1]) miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawżdy sobótka palana.

W myśl więc zachowania starodawnych obyczajów, wzywa wszystkich do święcenia dnia uroczystego i zaniechania wszelkich robót. Ustęp ten wielce przypomina pieśń Tybula, w której tenże, z powodu uroczystości *rolnéj*, zachęca ziomków, ażeby zdjęli wołom jarzma i postawili je u pełnego żłobu, łby im uwieńczywszy, ażeby wszystko Bogu poświęcono i ażeby żadna kobieta ręki do kądzieli nie przyłożyła, gdyż tak każe zwyczaj naddziadów [2]). Może

[1]) Od innych.
[2]) Tib. ks. II, el. 1... Ritus ut a prisco traditus exstat avo.

mi kto zarzucić, że podobieństwo obrzędów wywołało podobieństwo myśli u obu autorów, bez żadnéj pierwszego od drugiego zależności. Prawda; tylko nie należy zapominać, że Tybul był często w ręku Kochanowskiego, nie tak jak dzisiaj, kiedy tego rzymskiego liryka zaledwie ludzie poświęcający się literaturze klasycznéj czytają. Gdybyśmy dziś u którego poety znaleźli wyrażenie lub pomysł przypominający autora klasycznego, nie mielibyśmy do posądzania go o pożyczkę takiéj odwagi, jaką okazujemy, odczytując naszych pisarzy z XVI i XVII wieku. To niech nam posłuży za wymówkę, gdyby gorliwość w odkrywaniu źródła poetycznéj inwencyi zadaleko zaprowadzić nas miała.

Po owéj zachęcie do zachowania „rządu (t. j. zwyczaju) ojcowskiego“, następuje wykazanie szkodliwych następstw, z zaniedbania świąt wynikających.

Dziś bez przestanku pracujem
I dniom świętym nie folgujem;
Więc téż tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Tu widocznie poeta przeniósł się myślą od święcenia zwyczajów ludowych, do wspomnienia niedziel i świąt przez kościół ustanowionych, i nie żałuje ponurych farb dla odmalowania złowieszczych skutków, jakie pogarda świąt za sobą ciągnie: grad, upał, co rok słabsze urodzaje, a zatém i sroga drożyzna. Bez Boga nic zrobić nie można, a „kto chce syt być swego chleba“, ten do Boga z prośbą udać się powinien. Ten zwrot w piosence brzmi trochę dysharmonijnie, w zestawieniu z resztą święto-jańskich pieśni; religijność poety nie na miejscu ukazywać się tu zdaje. Możnaby wprawdzie przedstawić zwrot powyższy i w inném świetle; możnaby n. p. powiedzieć, że Kochanowski tak się przejął pojęciem ludowém o znaczeniu Sobótki, że uroczystość tę kładł na równi z kościelnemi. Lecz przeciw takiemu wykła-

dowi poety świadczy najprzód zależność jego od wzorów klasycznych, a powtóre zbyt kaznodziejski ton pieśni, która, gdyby była podchwycona z ust ludu, inneby bezwątpienia, mniéj dydaktyczne przybrała formy. Zdaniem naszém w zwrocie owym uwydatnia się drugi pierwiastek poezyi Kochanowskiego, t. j. *religijność na Piśmie świętém oparta*, która, w połączeniu z wykształceniem klasyczném, warunkowała rozwój jego indywidualności. W „Sobótce“ religijność ta, wyrażająca się słowami zaczerpniętemi z Psalmów Dawidowych, występuje na tém jedném miejscu i dlatego poświęciliśmy jéj dłuższą wzmiankę. Odtąd spotkamy się tylko z wesołością, tańcami, uczuciami miłości, zadowolonéj lub znękanéj, i z obrazkami życia wiejskiego.

Pieśń drugiéj dziewczyny jest ochoczém wezwaniem do wesołości i tańca. Zapytując figlarnie swych sąsiadek, czy którakolwiek z nich może się wyprzeć skłonności do tańca, sama przyznaje się do niéj z całą szczerością i prosi „bębennicę“, by swéj sztuki dla wspólnéj zabawy nie poskąpił, bo i on przecież musi mieć w zebraném kole taką, co jego sercu jest miła. Dalejże więc, wesoło a zwinnie!

Bo w trosce człowiek zgrzybieje
Pierwéj, niż się sam spodzieje.
Ale gdzie dobra myśl *płuży*,
Tam i zdrowie lepiéj służy,
A choć *drugi* [1]) zajdzie w lata,
I tak on *ujdzie za swata*.

Tą apostrofą zachęcona *trzecia* panna każe się weselić i śmiać towarzyszkom nawet wtedy, gdyby nie powiedziała nic „trefnego“ (t. j. dowcipnego), gdyż sam tylko człowiek „ma śmiech z przyrodzenia“. Tém zastrzeżeniem

---

[1]) Inny, ktoś; wyraz ten bardzo często u Kochanowskiego w tém znaczeniu bywa używany.

odbiera krytykowi odwagę sądzenia na seryo jéj opisu *przymiotów kocich*. Biorąc powód z przygody jakiegoś chłopaka, co *ciągnął kota*, ostrzega go, że to zwierzę nader srogie i przypomina jego własności, czyniące go dla niektórych strasznym.

Nie znasz ludzi, co przed kotem
Pierzchają *nawiętszym* [1]) błotem?..
A na jego głos straszliwy
Ledwe *drugi* będzie żywy.

Przy téj sposobności nie zawadzi przypomnieć, że operacya, o któréj wspomina trzecia panna, dość często u Kochanowskiego jest wzmiankowana. Dosyć porównać pieśń 33 ks. IV, fraszkę 13 księgi I, toż 103 ks. II, i 5 ks. III [2]), a przekonamy się że *ciągnienie kota* było rzeczą ucieszną i nieraz zapewne praktykowaną. Komiczny wrzask kota, jego praktyki, jak powiada Kochanowski, t. j. przepowiadanie deszczu przez mycie się, zręczność, chytrość i skrytość, czyniły zwierzę to zajmującém i godném bliższéj obserwacyi. Wszak sam czarnoleski wieszcz, prócz wzmianek powyższych, pisał jeszcze „nagrobek kotowi“ (Fraszki III, 38) i utrzymywał, że

I chłop *foremniejszy* bywa,
Gdzie kot we łbie przemieszkiwa; —

czém chciał bezwątpienia wyrazić, że zręczność i przebiegłość wiele się do towarzyskiéj ogłady człowieka przyczyniają.

---

[1]) Największym; w téj formie *zawsze* u Kochanowskiego spotykamy ten przymiotnik.

[2]) Trzeba wiedzieć, że pierwotnie były tylko dwie księgi Pieśni Kochanowskiego; dopiero od czasów Bohomolca (w XVIII w.) przydano wiele *fraszek* do pieśni i utworzono ksiąg cztery, zmieniając przytém porządek kolejnego następstwa zarówno w Pieśniach, jak i we Fraszkach. Ponieważ jednak rzadko kto ma dawne Kochanowskiego wydania, uważałem za stosowne cytacye robić podług nowszych edycyj, trzymając się *Turowskiego*, 1857.

Piosenka kończy się przestrogą dla kota, że wszystko trwa tylko do czasu i że należy mu się strzedz „wilka z lasu *wyszczekać*“.

Przejścia do następnéj pieśni, jak wspomniałem, niema tu żadnego. Czwarta bowiem panna opiewa miłość niespokojną o swój przedmiot, a piosenka ta jest prześliczna. Prostota myśli i wyrażenia, połączona z gładkością wysłowienia, a ożywiona ciepłém, serdeczném uczuciem, czynią ten klejnocik liryki staropolskiéj godnym kilkakrotnego odczytania. Dziewczyna przygotowała swemu ukochanemu wianek, który mu na głowę chce włożyć:

Włóż na piękną głowę twoję
Tę *rozkwitłą pracą* moję.

Potém spowiada mu się, że nie ma ani jednéj chwilki we śnie czy na jawie, któraby myślą o nim nie była zapełnioną. Ona ufa ukochanemu, że jéj odwdzięczy się wzajemną życzliwością; ale nie potrafi pozbyć się dręczącéj myśli, że go inna dziewczyna wydrzeć jéj może:

Tego zataić nie mogę,
Co mi w sercu czyni trwogę:
Wszytki [1]) tu wzrok ostry mają
I, co piękne, dobrze znają.

Prosi więc i zaklina swe towarzyszki, aby jéj téj krzywdy nie uczyniły, bo wszelką inną zawsze gotowa darować; ale krzywdy w miłości nigdy zapomnieć nie zdoła.

Piąta panna uskarża się przed gromadą na przechyrę Szymka, chłopca gładkiego i światowca w sferze wiejskiéj, ale niestałego i szydercę. I śpiewaczka sama niegdyś mu wierzyła, a nawet „dobrzeby Bogu służyła“, gdyby wiedziała napewno, że Szymek ją kocha; ale teraz już wie jak go ma sądzić:

Znam cię, ziółko, żeś pokrzywa!

---

[1]) W pierwszych wydaniach jest forma *wszytki*, zawsze z zakończeniem na *i*.

Ostrzega więc swe towarzyszki, a Szymka napomina, żeby nie udawał statecznego, bo mu już nikt nie zawierzy:

Nie sprawujże się *przez miarę* [1]),
Boć zaś ludzie dadzą wiarę,
A mało sobie poprawisz,
Że mię w nieprawdzie zostawisz.

Szósta panna opiewa naturę i zajęcia dnia letniego. Z powodu powszechności treści, podobieństwo do téj pieśni znajdujemy w utworach Wergiliusza (mianowicie w sielance II, wiersz 8 i następne), jak i u Horacyusza, z którego zdaje się dosłownie tłómaczony czterowiersz:

Już mdłe bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia,
I pasterze, chodząc za niem,
Budzą lasy swoim graniem.

Porównać proszę Horacyusza pieśń 19 księgi III, od wiersza 21-go. Zresztą mamy tu wspomnienie o zwyczaju ofiarowania gospodarzowi *kłosianego wieńca* po ukończeniu żniwa, szczegół, o którym nieraz i poeci rzymscy wzmiankują, jakkolwiek z innemi akcesoryami [2]).

W pieśni siódméj panna opowiada swą gorącą i gotową do poświęceń miłość dla zapalonego myśliwca. Główną myślą w niéj jest, że miłość „*wszytkiego* przywyknąć może", jak wówczas mówiono. Pieśń ta, jak już wskazał p. Przyborowski, jest swobodném naśladowaniem 3-éj elegii ks. IV Tybula, mianowicie od wiersza 11.

Taż sama myśl wyśpiewaną została w pieśni *dziesiątéj*, z tą tylko różnicą, że tu ukochany poszedł na wojnę, a kochanka powiada, że „przywykłaby zbroi". P. Przyborowski wskazuje jako jéj źródło elegią 10 ks. II Tybula;

---

[1]) To jest w miarę, w sposób umiarkowany.
[2]) Tib. ks. I, el. 1. — Ovid. Metam. ks. II, w. 28 i w wielu innych miejscach.

trudno atoli doszukać się wielkiego podobieństwa między temi dwiema pieśniami. Wspólnego między niemi jest tyle, że u Kochanowskiego *kochanka* przeklina tego, kto pierwszy szykował wojsko i wynalazł strzelbę piorunową; u Tybula zaś *kochanek*, czy też sam poeta, przeklina wynalazcę miecza, a następnie wychwala zalety *pokoju*. Tymczasem główną myślą téj pieśni jest, jak powiedziałem, chęć dzielenia przez kochankę trudów ulubionego. Ztąd téż prędzéj dopatrzymy się podobieństwa w elegii Propercyusza (ks. V, el. 3), w któréj taż sama myśl góruje. Jest i tam narzekanie na wojnę, przekleństwa na tego, kto pierwszy wał usypał i turmę bojową wynalazł; jest i gotowość do dzielenia trudów obozowych, gdyby tylko rzymskim dziewicom prawo ku temu przysługiwało; jest wreszcie życzenie, ażeby kochanek wiernym do swéj lubéj powrócił; — a zatém znajduje się to wszystko, co stanowi treść piosenki Kochanowskiego.

W pieśni ósméj pasterka zapędza swoje ukochane woły na łąkę „nieprzepasioną“, a sama zbiera kwiatki barwy rozmaitéj, które „obszyte na łubce“ ma obsadzić w „nadobne koło“ i nosić na swém czole. Wieńca tego dać nikomu nie chce, bo już raz sparzyła się na podobnym podarunku, gdy jéj

. . . . . . zaraz pobrać dano,
Czego mi czynić nie miano.

Źródła téj pieśni nie udało się nam odszukać, musimy ją więc za oryginalną poczytać.

Pieśń dziewiąta rozpoczyna się od ślicznego wstępu:

Śpiewa więzień okowany,
Tając na czas wnętrznéj rany [1]);
Śpiewa żeglarz, w cudze strony
Nagłym wiatrem zaniesiony;

---

[1]) Ten dwuwiersz jest przekładem z Tybula, el. 6 księgi II, wiersz 25 i 26.

I oracz ubogi śpiewa,
Choć od *pracéj* [1]) aż omdlewa;
Śpiewa słowik na topoli,
A w sercu go przedsię boli
Dawna krzywda!

Potém następuje podanie mitologiczne o *Filomeli* (słowiku), któréj Tyreusz, późniéj *Epops* (dudek) wyrwał język dla zadowolenia swéj chuci, za co żona jego a siostra Filomeli Prokne (jaskółka) dała mu do spożycia własnego syna. Opowiadanie znajduje się w *Przemianach Owidyusza* (ks. VI, w. 438—676) [2]). Oczywiście pieśń Kochanowskiego nie jest tłómaczeniem; treść tylko wzięta z Owidyusza, a opracowana w formie lirycznéj. Kochanowski zamilczał zupełnie nazwy osób i czuł może niewłaściwość tego podania w ustach polskiéj wieśniaczki, gdyż na końcu śpiewająca dodaje:

Chwała Bogu, że te kraje
Niosą insze obyczaje;
Ani w Polszcze, jako *żywy* [3]),
Zjawiły się takie dziwy.

Nie potrzebujemy kłaść nacisku na tę okoliczność, że wieśniaczce trudno było znać mity greckie, gdyż każdy dzisiaj doskonale to pojmuje. Inaczéj zapatrywano się za czasów Kochanowskiego. Wtedy dzieje i podania greckie i rzymskie były uważane za coś ściśle połączonego ze sferą poezyi i wogóle ukształcenia; podania zaś ludowe własnego kraju poczytywano za zabobony, które należało pozostawić wśród tych ludzi, wśród których się one zrodziły. A przyzwyczajenie to tak było silne, że Kochanowski, tworząc nawet pieśni ze świata wiejskiego, nie mógł się przecież pozbyć wspomnień klasycznych.

---

[1]) *Pracéj*, dzisiaj *pracy*.
[2]) Już u p. Przyborowskiego zaznaczone.
[3]) Domyślać się tu należy: *człowiek*.

W pieśni jedenastéj czytamy pochwały pięknéj Doroty, która tém była między dziewkami,

Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami.

Nigdy Kochanowski plastyczniéj piękności kobiecéj nie opisywał; w Dorocie uderzyły go i silnie w umyśle rysowały się wszystkie szczegóły:

Twoja kosa rozczosana
Jako brzoza przyodziana;
Twarz jako kwiatki mieszane,
Lelijowe i różane [1]);
Nos jako sznur upleciony,
Czoło jak marmur gładzony,
Brwi wyniosłe i czarniawe,
A oczy *dwa węgla* [2]) prawe.
Usta twoje koralowe,
A zęby szczere perłowe,
Szyja pełna, okazała,
Piersi jawne, ręka biała.

Oto jest kompletny opis piękności. Następują pochwały rozmowy, pocałunku, tańca [3]) i braku hardości, co, jak uważa poeta, rzadko chodzi w parze z „gładkością". Wszystkie te przymioty zniewoliły jéj ludzi, a między innemi i tego, co pieśń tę wygrywał, potrzeba bowiem pamiętać,

[1]) Porównanie to, *pięćkroć* jeszcze u Kochanowskiego powtórzone (Pieśni ks. I, 23, ks. III, 8 i 10, Epital. Radziw., wiersz 42 i 43 i Fraszki, ks. III, 62), znajduje się najdawniéj, o ile wiemy, użytem przez *Anakreonta* (pieśń 34), z którego właśnie fraszka 62 księgi III jest przekładem. U Owidyusza mamy toż samo wyrażenie: Quale rosae fulgent inter sua lilia mixtae.

[2]) Liczba podwójna; tylko przymiotnik *prawe* jest w liczbie mnogiéj. Właściwie jednak węgiel, jako na spółgłoskę miękką zakończony, powinien mieć w liczbie podw. *węgli*; ale zakończenie *a* w naszym języku przeważało.

[3]) „W tańcuś jak *jedna bogini!*" I tu poeta się zapomniał, że przemawia przez usta wieśniaczki. *Terpsychorze* musiał hołd złożyć jako poeta, którego *muzy* natchnieniem darzyły.

że piosenka, jakkolwiek wypowiedziana przez dziewczynę, domyślnie jednak z ust mężczyzny, i to skrzypka, wypłynąć miała.

Końcowa wreszcie pieśń dwunasta jest sielanką wielbiącą zajęcia i obyczaje wiejskie. W wyliczaniu ich jest pewna zależność od sławnego wiersza Horacyuszowego: „*Beatus ille qui procul negotiis*". Są jednakże i odstąpienia; nastrojem zaś ogólnym i niektóremi wyrażeniami pieśń ta przypomina Tybula 1-szą elegią księgi II-éj. Na wsi można żyć „*bez wszelakiéj lichwy*", powiada Kochanowski. Gdyby to nie było przekładem Horacyuszowego „solutus *omni fenore*", możnaby wnosić, że jego czasy pod tym nawet względem szczęśliwsze od naszych były. W tym ostatnim wypadku moglibyśmy wraz z nim lekceważyć tych, co przez morze żeglują i co przy dworze się ciągną; w każdym atoli razie ze słuszną wzgardą wspomnimy o tych, co „w płat język dają i krwią własną zysk zlewają". Są trudy i na wsi, ale jakże sowicie się one opłacają! Owoce z sadów, miód z pszczół, wełna z owiec, siano z łąk, zboże z roli: oto nagroda pracy wieśniaka. A po skończonéj pracy:

Komin wkoło obsiądziemy:
Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki *pokryte* (tajemnicze).
Tam *trefne* pląsy z ukłony,
Tam *cenar*, tam i *goniony* [1]).

---

[1]) Były-to *tańce* ówczesne, w szlacheckiém towarzystwie często zastosowywane. Przekonywamy się o tém ze *Światowéj rozkoszy* Hieronima Morsztyna, wydanéj w Krakowie 1606 roku. Cytujemy z wydania Kraszewskiego: „Pomniki do historyi obyczajów w Polsce" 1843, str. 182:

. . . . . Grzeczni młodzianowie
Jedni świece, a drudzy szklenice na głowie
Trzymając, spokojniuchno idą świeczkowego,
Ci wyrwańca, a owi zasię *gonionego*;
Następują wymyślne do fochów *cynary*,
Tam się wodzą za nosy i t. d.

Późniéj idzie gospodarz na zabawę z korzyścią połączoną; zastawia sidła na ptaki i zwierzęta, łowi ryby w więcierze, tymczasem zaś

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A *faunowie* skaczą leśni.

Strofka ta jest powtórzona w całości przy końcu pieśni 4 księgi I-éj; w niéj mitologia znowu niepotrzebnie pokazuje rożki; rozigrani *faunowie* do lasów się polskich jakoś zabłąkali.

Ale i gospodyni bezczynnie dnia nie przepędza; zabiegliwość jéj, sławiona również u Horacego, przysparza domowi dostatku; sama liczy bydło, kiedy z pola wraca, sama téż i przy dojeniu pomoże. Niedorośli zaś wnukowie, chyląc się ku starszéj głowie...

Wykną przestawać *na male*,
Wstyd i cnotę chować *w cale* [1]).

Trudno jednak wypowiedzieć odrazu wszystkie wsi zalety; paląc sobótkę i śpiewając, gromada doczekała się dnia białego; koniec więc pieśniom.

Dzień tu; ale *jasne zorze* [2])
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł *wszytki*
Wieśne wczasy i pożytki...

Szliśmy krok w krok za Kochanowskim, starając się zbadać, co w nim było istotnie oryginalném, a co naślado-

---

[1]) *Wyknąć*, słowo dziś używane tylko z przyimkami. — *Na male*, zabytek starożytnéj deklinacyi pzymiotników, które się odmieniały tak jak rzeczowniki. *W cale* toż samo; dziś używamy tego wyrażenia jako przysłówka, z przeczącém znaczeniem; dawniéj znaczyło tyle co *w całości.*

[2]) U Kochanowskiego znajduje się również forma *zarza* (Pieśni II, 16) i liczba mnoga *zorza*, od nijakiego zorze (Pieśni III, 7).

wanėm lub tłomaczoném. Przekonaliśmy się, że pieśni II, III, IV, V i VIII nie znajdują odpowiednich sobie w literaturze greckiéj i rzymskiéj; przynajmniéj my tego odkryć nie potrafiliśmy. Reszta pieśni zawiera albo myśl główną zapożyczoną ze starożytności, albo téż zwroty i całe obrazy poetyczne, dosłownego atoli tłomaczenia jakiéjś całości w nich nie znajdujemy. Niepodobna jednak odkryć i nic takiego, coby było wprost przeciwném klasycznéj tradycyi w sferze poezyi.

Jakiż więc był stosunek wieszcza z Czarnolasu do jego ulubionych starożytnych poetów? Czy Kochanowski był tylko prostym niewolnikiem zamarłego słowa? czy pojęcia odrębności swego narodu i czasu nie miał wcale? czy można wreszcie zgodzić się na zdanie p. Włodzimierza Spasowicza, który odmawia mu nazwy „narodowego polskiego poety“, przyznając tylko, że on jest największym i najbardziéj utalentowaném naśladowcą wzorów starożytnych, który język polski przemienił, wyrobił, zmiękczył i doprowadził niemal do doskonałości muzykalnego instrumentu, zdolnego do wydania dźwięków najdelikatniejszych?“ [1]). Na te pytania niepodobna odpowiedzieć ogólnikowemi *tak* lub *nie*; musimy je rozpatrzyć bliżéj i szczegółowiéj.

Kochanowski pojmował rozumem odrębność swego narodu od innych, a mianowicie klasycznych; co więcéj, znał on jedność szczepów słowiańskich i nader blizkie pokrewieństwo czeskiego z polskim, jak tego pieśni jego [2]) i artykuł *o Czechu i Lechu* najdobitniéj dowodzą. Sercem odczuwał potrzeby kraju i szczery zawsze brał w nich udział,

---

[1]) Obzor istorii sławianskich literatur Pypina i Spasowicza, 1865, str. 382. W tłomaczeniu polskiém str. 65.

[2]) Pieśń 29 ks. I. „Omen Jana Kochanowskiego“:
Bo od zmarzłego morza po brzeg adryański
Wszystko był opanował cny naród słowiański.

kochał zatém ludzi, wśród których się urodził i żył, zimnym i obojętnym na wszelkie przejawy narodowości kosmopolitą nie był. Nie zagrzebał się též w starożytności, jak archeolog, niewidzący i nierozumiejący nic po za swemi ukochanemi wzorami. Gdy atoli wyobraźnia jego zapaliła się jakimś przedmiotem czy zdarzeniem, bądź z dziejów życia starożytnego, bądź téż z historyi i zwyczajów krajowych, Kochanowski, *jako artysta*, szukał *środków* poetycznych do przedstawienia swego pomysłu i środki te znajdował u poetów klasycznych Grecyi i Rzymu. Jako *artysta* więc, nie jako poeta, jest Kochanowski starożytnych naśladowcą. Poetę stanowią uczucia i myśli; artystę — środki artystyczne, do odmalowania tych uczuć i myśli posługujące. Myśl, uczucie, słowem cały materyał poetyczny brał poeta *zarówno z życia starożytności, jak i z życia krajowego;* barwy i wszystkie inne środki techniczne zastosowywał wyłącznie podług wzorów starożytnych. I tu jednak, jako umysł samoistny, dosłownym kopistą klasyków nie był; lękał się tylko od nich odstępować, uważając za piękne *głównie* to, co u nich napotykał. Przerabiał więc nieraz swobodnie obrazy poetyczne, podania i wyrażenia autorów greckich i łacińskich, mówiąc o treści ze spółczesnych sobie wypadków poczerpniętéj. Co więcéj — pomimo swoich niezaprzeczonych uczuć religijnych, którym w przekładzie *Psałterza* świetny wystawił pomnik, częściéj się zwracał z prośbą do muz Olimpu, aniżeli do Boga chrześcijańskiego. Podczas gdy Matki Boskiéj i świętych nigdzie nie wzywa, a o aniołach czasami tylko wspomina [1]), bez muz, nimf, faunów i tym podobnych mitologicznych wyobrażeń trudno

---

[1]) Trzeba przytém pamiętać, że i Rzymianie mieli swoich aniołów-stróżów, zwanych *Larami*, opiekunów rodziny, do których nieraz poeci się zwracali.

mu było się obejść. W tych wyobrażeniach widziano wówczas coś wspaniałego i wzniosłego, co jedném krótkiém napomknieniem cały świat piękna w duszy ludzkiéj budziło. Jakoż Kochanowski najczęściéj wyobrażeniami mitologicznemi posługuje się wtedy, gdy uroczyście przemawia. W Sobótkach np., gdzie panuje ton spokojny, nastrój sielski, a nieraz wesoły, spotykamy raz tylko faunów, raz boginię tańca (Terpsychorę) i raz wreszcie greckie podanie o słowiku. Gdy poeci ówcześni mieli zrobić jakieś porównanie, to sądzili, że najdosadniéj je przedstawią, jeśli jaki szczegół mitologiczny przypomną; gdy np. zamiast opisywać *piękność* kobiety, imię greckiéj *Heleny* wymienią. Nie dziwimy się temu; wszakże my i dziś jeszcze na wyrażenie *siły* niezwykłéj do imienia *Herkulesa* się uciekamy. Nie umiano wówczas wejść w porównaniach na tę drogę, po któréj nowa poezya XIX wieku stąpa, zwracając się przedewszystkiém do przedmiotów i zjawisk natury, bez obsłonek mitologicznych... Obsłonki te dla ówczesnych czytelników były zupełnie zrozumiałe, a co więcéj, przypominały im ustępy poetów rzymskich i greckich, rodząc w ich wyobraźni rozkosz podwójną: obecną i przypomnianą. Czytelnicy zachwycali się pomysłem poety w ojczystym języku i pomysłami poetów starożytnych, które im w przypomnieniu się ukazywały. Oczywiście zakres działania poezyi zacieśniał się, gdyż ci tylko cieszyć się nią mogli w pełni, którzy źródeł artystycznéj rozkoszy, co w starożytności niegdyś tryskały, odszukać mogli. Nie było więc tego swobodnego polotu fantazyi, jaki jest dzisiaj, gdyż krępowały go więcéj przypomnienia i ta myśl, że w sferze artystycznego oddania pomysłów są pewne granice nieprzekroczone, są wzory nieprześcignione. Nie zapładniało to wcale fantazyi, nie przyprawiało jéj skrzydeł do nieokreślonego lotu, lecz owszem,

ujmowało ją w karby. Fantazya nie miała wokoło siebie horyzontu na wszystkie strony świata otwartego, lecz musiała się obracać w szrankach szczuplejszych. Przeszkodziło to bezwątpienia szerokości i lotności pomysłów, zabiło *fantastyczność* w samym zarodku; przyniosło atoli korzyść, o któréj niewolno zapominać historykowi literatury; przyjęcie bowiem gotowych obrazów piękna ułatwiło pracę nad wyrobieniem języka i technicznéj strony wierszowania, ochroniło daléj od trywialności i małoznaczących pomysłów. Nielada-to zdobycz stanąć na szczycie wykształcenia, zdobytego pracą niezliczonych wieków, a odzwierciedlającego się w utworach starożytnych! Tu już nie bełkotanie narodu przychodzącego do samowiedzy, ale cały obszar poezyi cywilizacyjnéj staje się odrazu własnością poety. Dość mu zapoznać się z dziełami mistrzów, a owoce długich wiekowych trudów staną się karmią jego umysłu. Nie dziwimy się więc, że nadzieja tak świetnych zdobyczy olśniła pionierów naszéj narodowéj poezyi i zrobiła ich szczerymi wielbicielami starożytnéj oświaty i tych form piękna, które ona wydała. Nie dziwimy się tém bardziéj, że po kilkowiekowém doświadczeniu, po rozkwicie już świeżych pączków nowéj poezyi u sąsiednich narodów, jeszcze w roku 1818 jeden z najświatlejszych umysłów ówczesnych i jeden z najlepszych znawców pieśni ludowéj, Kazimierz Brodziński, mógł powiedzieć w rozprawie swojéj o klasyczności i romantyczności słowa następujące: „Poezya nasza ma tę szczególną własność, że nietylko malowania tegoczesnych obyczajów i obrzędów *nie są stosowne jéj powadze (!!), chyba gdy je przez podobieństwo i przypomnienie do starożytności zbliżamy*, ale nawet *nazwiska tegoczesne*, a szczególniéj z obcych wzięte narodów, zdają się być odbijającemi i *nieznośnemi* w płynieniu śpiewów naszych; gdy prze-

ciwnie, *wszelkie starożytne* nazwiska, szczególniéj greckie, *brzmią najprzyjemniéj*" [1]).

Doprawdy! oświata i poezya starożytna posiądały urok nieprzeparty, kiedy zniewoliły sobie tyle potężnych umysłów, a nawet umysł estetyka wyrosłego wśród innych cywilizacyjnych warunków, aniżeli np. poeci wieku XVI-go.

Kochanowski poddał się temu urokowi tém łatwiéj, że natura jego spokojna, łagodna, wyobraźnia wrażliwa, serce miękkie i łatwo wpływom obcym się poddające, wola nieodznaczająca się szczególniejszym hartem i energią, nie przyczyniły się bynajmniéj do wytworzenia w nim indywidualności silnéj, wyraźnemi cechami odznaczonéj i jakby granitowéj.

II.

Wszystkie powyżéj omówione stosunki inaczéj się przedstawiają w naszych czasach. Nastała epoka, w któréj poczucie odrębności nietylko narodowéj, ale i plemiennéj przybrało rozmiary dotychczas nieznane i weszło zwycięsko do sfery twórczości poetyckiéj. Zaczęto studyować zwyczaje, obyczaje i język nie już całego kraju, jako gruntu, na którym się jednostka narodowa rozwijała, lecz pojedyńczych jego okolic, odznaczających się jakąś cechą szczególną i dla nich charakterystyczną. Owoce studyów tych przenoszono do utworów artystycznych albo *in crudo*, albo w stosowném przerobieniu. Każdy dzielny postrzegacz, obdarzony talentem twórczym, mógł się poszczycić odrębnym światem poetycznym, w którym osoby i wypadki, prócz cech wspólnych wszystkim rzeczom ludzkim, posiadały jeszcze rysy wydatne, sobie tylko właściwe. Opisy miejscowości, o których

[1]) Pisma Kazimierza Brodzińskiego, wyd. 1872—74 tom III, str. 49.

dotąd pisano conajwyżéj prozą, zwyczaje a nawet zabobony ludowe ze wszystkich kraju zakątków, prowincyonalizmy pełne poezyi, choć potępione przez gramatyków: wszystko to zaczęło się przeglądać w zwierciadlanéj szybie wyobraźni poetów i wabić ku sobie nieznanym urokiem tych, co mieli usposobienie poetyczne.

Stąd téż pojmiemy łatwo, że Goszczyński, syn téj epoki, pisząc Sobótkę [1]), musiał lubować się w dokładném oznaczeniu miejsca akcyi, w szczegółowym opisie obchodzonéj uroczystości, w specyalnym nacisku, jaki położył na odrębność tych ludzi, których zwyczaje przedstawiał. Bohaterowie jego poematu — to lud tatrzański we wszystkich niemal przemianach, którym uledz może. Są tu i młode juhasy i nadobne juhaski, są siwi gazdowie i poważne matrony, jest i poeta miejscowy Ludek i rozbójnik Janosz, przez miłość ku Kasi, niewyjaśnioną jakąś okolicznością mu wyrwanéj, do tułaczego życia przywiedziony. Wszystko co lud ten mówi lub śpiewa, z ust niemal jego pochwycone: Goszczyński bowiem poświęcił parę lat [2]) na przypatrzenie się naocznie temu oryginalnemu życiu, które miał opiewać. Niéma tu oczywiście i być nie może klasycznych przypomnień, gdyż te nie licowałyby z malowidłem tak prostém, jakiém jest obraz życia górali tatrzańskich.

Śpiewów czyli pieśni jest w Sobótce *sześć*, a każda z nich jakiemuś miejscowemu wypadkowi lub podaniu początek swój zawdzięcza. Poeta Ludek śpiewa o rozbójniku Janoszu, tak wysokim jak Łomnica, co mógł zatrzymać orła w obłoku, „gdy mu utkwił oko w oku“, i dodaje, że „nie kobieta, ale skała zrodzić go pewnie musiała“... Trzy dzie-

---

[1]) Po raz pierwszy wyszła r. 1834 w „Ziewoni“ lwowskiéj; późniéj miała kilka wydań.

[2]) 1832 i 1833.

wczęta, przy dźwięku kobz i dudek, śpiewają o dziwożonach, co matkom dzieci porywały, a dziewice w dziwożony przemieniały:

Niebogo, sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą;
Dla twego serduszka
Za drużkę, za drużka
Będą dziwożony.

Inna przy wtórze gęśli nuciła łagodnie o zaczarowaném państwie dziwożon, gdzie:

Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą,
Wszystkie tam wody płyną kryształem,
Każda kropelka *spada perełką*,
Mosty ze złota w państwie ich całem,
A z dyamentu każde światełko...

Tak u dziwożon; ale niemniéj pięknie i w Tatrach:

Wielkie pod niebo są nasze skały,
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki jako kryształy,
A jak noc świeże bory i pasze.

I dlaczegóż to tak? Czy u nich czar jaki, czy Bóg w miejscach tych cud swój uczynił? Nie jestże-to skutkiem blizkiego z państwem dziwożon sąsiedztwa:

Bo u dziwożon nasz się kraj kluje,
Bo u nich każdy zdrój się poczyna,
Bo je wypuszcza, bo *im wartuje*
Dzika, podziemna, lecz hal rodzina.

Czwarta pieśń Salki o „chmurnéj dolinie“, t. j. o Kościelisku, przedstawia podanie ludowe o potworze ukrytym w skale, skąd Dunajec wypływa, a strzegącym skarbów i co ważniejsza — wody życia:

Kto dosyć wytrwały,
Aż w głębię pójść skały

I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoję dzielność
Ma tam nieśmiertelność
I bierze skarbów połowę.
Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę.
Opada ulewa
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe!...

Przy końcu występuje pieśniarz Ludek, o którym wieść biega:

.... że przy wody szumie,
W którym się huśta Dunajec maleńki,
Znalazł dźwięk i myśl do pierwszéj piosenki:
Dziś setne śpiewać i sam składać umie.

Niepotrzebne więc są już święte źródła kastalskie, z których starożytni i nasi dawniejsi poeci czerpali natchnienie; dziś maleńki Dunajec, w małoznanym kąciku kraju, może już pobudzić poetę do twórczości w sferze piękna. Ludek przynosi smutną wieść o napadzie Tatarów, którzy strachem przejmowali obronne zamki; ale w odważnéj piersi górskiego ludu nie zdołali obudzić obawy. Lud ten spokojnie, a nawet wesoło przyjął nowinę, bo w ręku miał lekkie lecz niebezpieczne toporki. „Bawmy się lepiéj!“ wołano dokoła, nie mamy potrzeby rozpaczać, dość będzie na to czasu, gdy Tatar nad karkiem nam się pojawi. Tymczasem niech nam Ludek zaśpiewa! Ludek nie dał się długo prosić, lecz wyobraźnia jego, blizkiém niebezpieczeństwem rozogniona, zdołała wysnuć tylko obraz zgrozy, nawiedzającéj czasami góry tatrzańskie w postaci zjawiska, zwanego *mnichem*.

Mnich posuwa lotem kozy
Po przepaściach, przez wąwozy;

Na sam szczyt drzewa śmignie *wiewiórką* [1]),
Krzaki najgęstsze przemknie *jaszczurką*,
Z głazu *mchem* wyśliźnie,
Z wód *łososiem* bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wązkiéj jak włos rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni,
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni.
Gdzie nie pomyśl, zajdzie;
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

W szóstéj wreszcie i ostatniéj piosence znajdujemy krótkie dramatyczne przedstawienie dziejów miłości rozbójnika Janosza. Występują tu naprzemian stary kobziarz Magiera i znana już nam Salka. W piosence téj odmalowana gorąca miłość Janosza i niewinna kokieterya Kasi...

Oto są rysy i szczegóły, zaczerpnięte na miejscu, dla charakterystyki bohaterów poematu. Żadna drobnostka nie była dla poety małoznaczącą: pozbierał je wszystkie, ażeby dać czytelnikom swoim obraz jaknajbardziéj do prawdy zbliżony. Nie z książek i nie z podań jakichś dalekich a zamglonych, lecz z własnéj obserwacyi malował Goszczyński ludzi prostych, nieokrzesanych lub dzikich, jak np. rozbójnik Janosz. Nie zaniedbał opisać ani ich guń, któremi ramiona swe okrywali, ani toporków błyszczących u pasa, ani szczudeł, których do prędszéj podróży używali. Pieśni swoje i nutę ich chwytał z ust ludu, nie uważając ich za niegodne poetycznéj reprodukcyi. Charakterystyczny obchód sobótki w okolicy tamecznéj opisał dokładnie, szczegółowo i z zamiłowaniem. „Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą“ ułożono dwanaście jodeł z gałęzi odartych, u wierzchu skupionych, a u spodu rozchodzących się. We wnętrzu téj „śpiczastéj wieży“ nałożono suchego chrustu. Dokoła stosu

---

[1]) Prowincyonalizmy, zam. jak wiewiórka, jak jaszczurka itp.

głównego naniecono mniejsze ognie. Wówczas tańczono i śpiewano, przy dźwięku gęśli, kobz, fujarek i dudek.

Takim był lud i jego zwyczaje, które Goszczyński wziął za przedmiot swojego utworu. Lecz niedość na tém; niedość charakterystyki miejscowéj, niedość pieśni dźwiękiem właściwym wśród skał odbrzmiewających... poeta chciał ukazać jeszcze fantazyą ludu w całéj pełni i we wszystkich jéj odcieniach. A więc zaludnił lasy dziwnemi wężami, królem wężów i marami na koniach, mającemi strzały na plecach, a u bioder miecze; i kazał nieżywéj głowie skakać w ślad za temi widmami bez krwi i kości. Nieżywa ta głowa:

Z okiem rozwartém, z ustami ściętemi,
Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy,
To długie włosy jak skrzydła roztoczy
I *bystrym ptakiem* zagwiżdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie
I *rybą* idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z pod ziemi jak z wody wyskoczy...

I wszczęła się tajemnicza bitwa duchów... Król wężów najeżył „złoty swój grzebień“, a potwór na koniu wziął łuk, naciągnął, zmierzył i wystrzelił. Dumny wąż upadł; lecz upadając, świsnął.

. . . . . Od onego świstu
Z drzew *przelęknionych* leci chmara *listu* [1]);
A zewsząd gadzin i wężów gromada,
Z liści, z pod liści wysuwa się z błyskiem,
Pnie się na konia ze sykiem i piskiem,
Dosięga jeźdźca, chwyta w sto obręczy
I wszystko razem w dół się obaliło.
Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
Zniknęli oba pod wężów mogiłą.

To nie wymysł poety, to rzeczywistość dostępna oku ludu, złudzonemu bujną a niesłychanie plastyczną wyobra-

---

1) Starożytna forma, zam. *liścia*.

źnią. Podobnego rodzaju i nastroju jest również ustęp, w którym przed przerażonemi oczyma Janosza staje widziadło *mnicha*, tego groźnego objawu natury, który rzucał strach paniczny na wszystkich mieszkańców gór.

Otóż mamy już teraz ten lud podhalski w jego naturalnéj postaci; przypatrywaliśmy się jego ubiorowi, jego zwyczajom i uczuciom, wyrażającym się w pieśniach; podziwialiśmy jego nieustraszoną odwagę; zrozumieliśmy jego pogląd na naturę, jego gorącą wyobraźnię, żądną rzeczy tajemniczych a wielkich. Lud ten ma oczywiście wiele cech spólnych z resztą mieszkańców kraju i z resztą ludu wogóle; lecz poeta nie chciał przedstawiać go ogólnikowo, dlatego roztoczył cały szereg owych szczegółów, które go od innych doskonale wyróżniają i samoistnym czynią.

Obok ludzkich myśli, uczuć i czynów, jest jeszcze jedna wielka potęga, co wzniosłością swoją, wdziękiem lub grozą napawa serce człowieka rozkoszą, albo je strachem i bojaźnią przejmuje. Potęgą tą jest — natura. Na jéj łonie kołyszą się losy ludzkości, czy się one w uśmiechu dziecięcia, czy w szczytnym heroizmie męża przejawiają. Od wieków była ona kolebką uczuć poetycznych, chociaż się pod najrozmaitszemi postaciami ukazywała. Spółczesne nam badania lingwistyczno-mitologiczne wykazały, że bogi i boginie starożytnego Olimpu, że nimfy i fauny, najady i dryady nie są czém inném, jak zjawiskami przyrody, które wyobraźnia helleńskiego ludu obdarzyła myślami i uczuciami ludzkiemi, przyoblekając je w postać człowieczą. Wszystkie podania Greków i w ogóle *Aryjczyków*, czyli Indo-europejczyków są to wypadki codziennego biegu natury, w szatę *uosobienia* przybrane. Wprawdzie u najdawniejszych nawet poetów greckich zniknęło już było po części poczucie pierwotnego pochodzenia mitów; lecz napotykają się przecież u nich choć drobne tego ślady. Powoli z po za obsłonek

mitycznych niepodobna już było dojrzeć pierwotnéj osnowy w nich zawartéj; wiara wraz z kultem religijnym skrystalizowała dawne pojęcia w rodzaj dogmatów, pozostawiając swobodne pole dla legend. Opisy natury przejawiają się tylko w porównaniach, które w końcu tracą całkowicie cechę oryginalności. U Rzymian, którzy przejęli greckie podania i pierwotną religią swoję na wzór grecki przekształtowali, stały się mity dla poetów *środkiem* tylko *artystycznym* do wyrażania swych pomysłów, nie budząc wcale tych przypomnień, jakie u greckich autorów przynajmniéj tu i owdzie się przebijały. Natomiast wzbudzały one u wykształconych wspomnienia poezyi greckiéj i stawały się pośredniém źródłem rozkoszy estetycznéj. W téj ostatniéj formie przeszły one do poetów naszych XVI wieku i zrodziły owoce, których naturę w krótkości już określiliśmy powyżéj.

W XIX wieku poeci nasi, niewiele oczywiście wiedząc i nie mogąc wiedzieć o pierwotném mitów greckich znaczeniu, uderzyli bezwiednie w tę dźwięczną strunę, któréj one były odgłosem — zwrócili się wprost do natury. Opisywali ją szczegółowo i z zamiłowaniem, zwracali się do słońca, gwiazd i księżyca, błądzili myślą po górach i dolinach, zapełniali lasy dźwiękami swéj pieśni, wielbili każde zjawisko przyrody, zachwycali się szmerem strumyka i nieokiełznanemi falami oceanu. Co więcéj, ożywiali je, jak i poeci greccy, duchami i widmami, nie nadając im jednak wyraźnéj i stałéj postaci. Kiedy chcieli zrobić porównanie, zwracali się do przedmiotów natury: do skał, rzek, a szczególniéj do świata roślinnego; — nie chcieli żadnego pośrednictwa mitów starożytnych, — a jeżeli już koniecznie pragnęli uzmysłowić jakieś zjawisko, mówili językiem gminu, wytwory jego wyobrażenia za swoje przyjmując. Stosownie do indywidualności każdego poety, pogląd na naturę oczywiście się zmieniał.

Goszczyński całą duszą przylgnął do *fantastycznéj strony* umysłu ludowego; nietylko nie prostował wybujałych i nieprawdopodobnych jego pomysłów, lecz owszem, jak matka pierwsze słowa swego ukochanego dziecka, przyjmował je z zapałem i powtarzał z lubością. Stąd związek jego myśli z naturą splótł się delikatnemi ale silnemi więzami: matka-natura była mu karmicielką, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym: nie odstępował od niéj ani na chwilę i słuchał uważnie jéj szeptów tajemniczych.

Wyraźne, a wcale już niedwuznaczne tego świadectwo mamy w Sobótce. Goszczyński, opowiadając o owych dziwach leśnych, któreśmy w streszczeniu podali, powiada od siebie:

Ale bo wówczas, ziemio staroświecka,
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały *widomie niewidome siły*
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne spółczucie ludzie znajdowali,
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali [1]).

I Goszczyński pokochał naturę jak matkę; ona też, odwdzięczając się, obdarzyła go oryginalnemi a śmiałemi pomysłami. Fantazya, niczém już nie krępowana, odżyła, nabrała sił i wzleciała wysoko, unosząc ze sobą w kraj ułudy tych, co się jéj opiece powierzyli. Nie było już teraz miejsca na obrazy spowszedniałe częstém powtarzaniem, na wyrażenia przypominające nam, że już je kiedyś nieraz słyszeliśmy; — przeciwnie, wszystko tu świeże, oryginalne, wielkie i śmiałe, a nawet nieraz zuchwałe. Natura lubi swobodę i hojnie nią obdarza tych, co ją pokochali. Poezya nie

---

[1]) Na charakterystyczny ten ustęp zwrócił już uwagę Spasowicz: Obzor istorii sław. literatur, str. 470. W tłom. pols. str. 269.

potrzebuje już archeologicznych komentarzy, bo świat przyrody dla wszystkich przystępny i dla wszystkich zrozumiały. Następuje *bezpośrednie*, nie zaś pośrednie, jak w wieku XVI, napawanie się przyjemnościami, które daje jéj piękno. Spojrzyj tylko na krajobraz, jaki poeta przed tobą roztacza: każdy w nim szczegół drga życiem nie podrobioném i sztuczném, lecz życiem prawdziwém, jakiego dzieciom swoim udziela przyroda. Oto góra, na któréj pali się ogień sobótki. Przypatrzcie się jéj drobiazgowo, bo poeta o niczém nie zapomniał:

Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga;
Ale na Wyżni półodkrytém łonie
Wabiąca woda blaskiem nieba płonie,
A *z jasnych skroni* las płynie stuwzory:
Tu brzoza puszcza jak włosy dziewicze
I jak włos Wyżni ocienia oblicze;
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z nizkich krzewin, lub z drzew *jasnolistych;*
A z piersi spada *puszczą gęstą, czarną,*
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną
I wiecznym szumem grają u podnóża.
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórza
I wiszą wkoło zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jéj oczu.
Wyżnia jak pani patrzy ze stolicy
Na gród olbrzymi olbrzymki Łomnicy,
Co błękitnieje w południa przezroczu...

Potrzebujemyż wykazywać wszystkie piękności tego obrazu? Czyż one nie są zrozumiałe dla każdego, co umię czuć piękno natury? Nie będziemy tego wspaniałego widoku analizowali, ażeby nie stracić téj przyjemności, jaką daje całość piękna, na duszę naszę działająca. A oto, jakby dla kontrastu, widok doliny, tak wielki i piękny, jak drugi trudno napotkać:

Pomiędzy Wyżnią a nawałnic miastem,
Pod wałem z głazów, *gdzie puszcze są chwastem*,
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów szyldwachy,
Lśni nowotarskiéj doliny opona,
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrzańskich borów cieniem narzucona,
Wysłana lasem głęboka dolina,
Po któréj stopniach nurt Łopuszny schodzi.

Chcecież więcéj obrazów natury? Potrzebaby cytować i cytować! Przeczytajcie śliczne, choć krótkie opisy *wieczoru* w górach po ulewie, kiedy las „rzęsno płakał kroplami dżdżowemi“ i *zachodu słońca*, kiedy na ziemię „spadała wieczoru powieka“, i *ciszy północnéj*, kiedy „świat dumał północną modlitwę“. W każdym z nich jest jakiś szczegół, który was prawdą swoją zadziwi; jest wyrażenie, które potęgą swoją poda wam myśl o wszechmocy ludzkiego słowa; jest uczucie jakieś, które was w zadumę pogrąży...

Tu wreszcie choć słówkiem przypomnimy jeszcze owe zaślubiny ludowéj fantazyi ze zjawiskami przyrody, zaślubiny wyrażające się w widziadle mnicha, lub w owéj tajemniczéj walce duchów, które się wśród gęstwi leśnych uwijały, przerażając swoim widokiem lud, co się im przypatrywał. Natura była u Goszczyńskiego ściśle połączona z wyobrażeniami ludowemi, tak samo w „Zamku kaniowskim“, jak i w „Sobótce“. Jest-to już właściwość jego umysłu, która u żadnego z naszych wielkich poetów nie odbiła się z taką dokładnością, z tak nieukrywaną prostotą, jak w utworach Goszczyńskiego. Bujność a nawet nieokiełznanie fantazyi były najprostszym téj właściwości wynikiem. Rzecz naturalna: jaki pogląd na przyrodę, takie i jéj obrazy.

Wraz z wyprowadzeniem odrębności plemiennéj i narodowéj na plan pierwszy, wraz z rozkuciem pęt, krępujących swobodny polot fantazyi w poglądzie na przyrodę,

wystąpiła téż wybitnie i osobistość poety. Poeta, skupiając w swéj piersi uczucia milionów, uważał się za powołanego do przykładania swéj własnéj pieczęci na wszystkiém, co utworzył, bez względu na to, czy pieśń jego była lirycznym wylewem serca, czy opowiadaniem bohaterskich czynów z odległéj przeszłości. Prawidła dawnéj poetyki, dozwalającéj jedynie w liryce występować jawnie autorowi ze swemi myślami i uczuciami, pominięto wzgardliwém milczeniem, a znaczenie indywidualności do tego się stopnia spotęgowało, iż uważano za suchy i zimny ten utwór, w którym trudno było ją dojrzeć. Wydawało się to tak naturalném, a nawet koniecznem, że pociągnęło za sobą ostateczność, któréj nie przewidywano.

Pojawił się cały szereg utworów, w których sam poeta pod rozmaitemi nazwami i wśród zmiennych okoliczności w osobie głównego bohatera występował. Byron dał początek téj poezyi, *indywidualnéj* z gruntu, a zarazem z zasady. Bohaterowie jego — to uosobienie przeróżnych faz jego wewnętrznego rozwoju. U nas Mickiewicz w *Dziadach* dał najznakomitszy przykład szczeréj spowiedzi ze swych uczuć, przed niezliczonym tłumem czytelników; w *Konradzie Wallenrodzie* zaś, z powodu przewagi swéj indywidualności, zepsuł nawet koloryt historyczny. Wiadomo, że późniéj największym u nas przedstawicielem poezyi indywidualnéj był Juliusz Słowacki, który we wszystkich utworach „część swéj duszy zostawił“. Kierunek ten nadał nowéj poezyi cechę szczególnéj oryginalności i wielkiéj rozmaitości, każda bowiem jednostka utalentowana starała się jaknajdobitniéj charakter swój i swe przekonania do poetycznych utworów przenieść, osiągając ten cel za pośrednictwem osobnego rodzaju pisania, czyli stylu. I dawniéj wprawdzie istniały w naszéj poezyi różnice stylowe; lecz nigdy nie występo-

wały one tak dosadnie, jak w czasach rozkwitu jéj nowéj epoki. Każdy talent miał wtedy swój styl odrębny.

Że taki pogląd na stosunek charakteru poetów nowszych do ich kreacyj nie jest bynajmniéj urojeniem, dowiodły tego opowiadania wiarogodne, pamiętniki i, co ważniejsza, własne listy kilku koryfeuszów nowszéj poezyi. Mamy bardzo szczegółowe wiadomości o życiu Goethego, Byrona, Heinego i Słowackiego; mamy téż szczuplejsze wprawdzie, ale dla potwierdzenia powyższéj myśli wystarczające wiadomości i korespondencyą Mickiewicza. Pod tym względem niepodobna się mylić. I owszem — pisma autorów mogą posłużyć za wyborny komentarz do ich życia.

Na téj zasadzie oprzemy i naszę krótką charakterystykę indywidualności Seweryna Goszczyńskiego. Do jego życiorysu nie mamy dotąd ani pamiętników, ani szczegółowych opowiadań, ani téż zbioru jego listów; znamy go tylko z ogólnych wzmianek biograficznych i z kilku ustnych opisów. Łącząc te szczupłe wiadomości z uwagami na jego utworach opartemi, ograniczymy się do naszkicowania jego charakteru w téj tylko epoce, w któréj powstała Sobótka.

Była-to więc natura silna fizycznie i energiczna moralnie. Co Goszczyński pisał, czuł głęboko, a co czuł, stwierdzał czynem. Pióro było mu orężem, a oręż piórem. Do obrazów swoich wyłącznie używał farb ponurych; lubował się we wspomnieniach pełnych grozy, w ludziach, dyszących dziką energią i nieposkromionemi namiętnościami. „Krew go nie przeraża — mówi słusznie Spasowicz — ręce nie drżą, gdy ze spokojem anatoma kraje pierś dyszącą życiem“. Kochał tłumy i umiał nad niemi panować. Wierzył mocno, że „potrzeba czasu jest zazwyczaj natchnieniem każdego dzieła“. Z uczuciami się nie pieścił, utrzymywał nawet (może w chwili szczególnego nastroju umysłu), że „serce jak księżyc jest gwiazdą ciemnéj strony człowieka, a często

bywa przyczyną zaćmienia słońca — idei“. Marzeń „próżniaczych“ nie lubił, bo, powiadał, „jest-to nałóg“, równie jak inne nałogi, szkodliwy zwyczajnemu stanowi duszy; jest-to pasorzytna roślina myśli, wyniszcza ją, a w niczém innėm nie wynagradza jéj korzyści“ [1]). Ciekawa rzecz, co nasz poeta „marzeniem“ nazywał. „Marzeniem — powiada Goszczyński — jest każda myśl, w któréj niéma zarodu życia, *siły do działania*“. Pomimo jednakże wstrętu do marzeń, Goszczyński kochał się w fantastyczności i tajemniczości zjawisk natury. Dlaczego? Dlatego bezwątpienia, że tę tajemniczość w przyrodzie nie za marzenie, lecz za najistotniejszą rzeczywistość uważał. W téj właśnie skłonności do podsłuchiwania tajemnic natury, czy w szumie odwiecznego dębu, czy w walce króla wężów z marą na koniu, czy w groźném widziadle mnicha, spostrzegamy zarodki *mistycyzmu*, który się pod wpływem Towiańskiego rozrósł i rozwinął. Dziwiono się nieraz, że organizacya tak silna, charakter tak energiczny i umysł tak trzeźwy jak Goszczyńskiego, uległy wpływowi bałamutnéj nauki. Zapewne wiele w téj kwestyi jest jeszcze rzeczy niewyjaśnionych; lecz zdaje mi się, że połowa ich da się wytłomaczyć za pomocą owego niezaprzeczonego pociągu do szukania tajemnic w naturze, rozwikływania ich nie drogą analizy rozumowéj, lecz drogą *intuicyi poetycznéj*. „Kolumny duchów“ Towiańskiego, świat zaludniające, wybornie się nadawały do wyjaśnienia dziwów, jakich podania ludowe dopatrywały się w naturze i jakie nieraz, choć pod zmienioną formą, w życiu napotkać się zdarza.

Zarówno żywioł tajemniczy w przyrodzie, jak i lubowanie się w obrazach pełnych grozy, odcisnęły się w So-

---

[1]) „Z dziennika artysty“, w piśmie peryodyczném *Rok*. Poznań 1843, tom VI str. 117—125. Wszystkie cytacye w tém miejscu są z tego artykułu wyjęte.

bótce wyraźnemi śladami. O tajemniczości rozszerzać się tu już nie będziemy; wskazaliśmy ją pòprzednio, przedstawiając pogląd Goszczyńskiego na naturę [1]). Tu dodać tylko musimy, że zamiłowanie tajemniczości wpłynęło na artystyczny układ poematu. Układ ten jest tego rodzaju, że nie daje przeniknąć odrazu treści, którą chciał autor przedstawić, owszem pozostawia wiele domyślności czytelnika. Widzieć to można najlepiéj w „Zamku kaniowskim", gdzie żaden czytelnik nie może zgadnąć w początku dalszego rozwoju akcyi, a wiele szczegółów pomieszczonych na samym wstępie rozjaśnia się dopiero przy końcu poematu. W Sobótce jest to samo, a ponieważ utwór ten nie stanowi całości, lecz jest wyjątkiem z obszerniejszego, niewydanego dotąd poematu „Kościelisko", przeto rozjaśnienia niektórych okoliczności nie znajdujemy wcale; napad Tatarów, o którym dowiadujemy się przy końcu utworu, jest dla nas czémś zupełnie niewyjaśnioném, czemś oderwaném. Nie wiemy również dlaczego np. kochanka Janosza Kasia zniknęła bezpowrotnie i jakimś tajemniczym sposobem. Gwałtownie rozerwana miłość była przyczyną, że Janosz został rozbójnikiem. Ale i coś innego musiało wpłynąć na to postanowienie, gdyż inaczéj nie słyszelibyśmy z ust jego następującego przekleństwa:

. . . O bodaj *wieczną* cierpiał *mękę*,
Kto potępienia mego jest przyczyną!

Ta postać Janosza posłuży nam za przejście do drugiéj wybitnéj cechy indywidualności Goszczyńskiego: do siły, energii i poważnéj zadumy. Janosz przedstawiony został ze szczególném zamiłowaniem, rysami śmiałemi a energicznemi.

[1]) Zauważyć potrzeba, że żywioł ten stał się może głównym powodem niepowodzenia późniejszéj powieści poetycznéj Goszczyńskiego p. t. *Anna z Nabrzeża*.

Goszczyński nie lubił malować obrazów pełnych spokoju, zadowolenia z miernego szczęścia i sielankowych słodyczy. Nawet opis zabawy świętojańskiéj nie nosi na sobie cech radości; w pieśniach bowiem, jak widzieliśmy, panuje nuta dźwiękami smutnych przeczuć nabrzmiała, a całość widokręgu zachmurzoną została wiadomością o blizkim napadzie Tatarów. Niéma tu przecież ani łez, ani rąk łamania; odwaga bowiem i zaufanie we własne siły każą lekceważyć groźne niebezpieczeństwa; ale téż niéma tu i owéj wesołości niezaniepokojonéj o jutro, lekkomyślnéj trochę, zaprawionéj żartami i śmiechem.

Wśród tego ogólnego tła, które powaga życia zachmurzyła, zjawia się Janosz, stęskniony do rodziny i do zabaw ludowych, a zmuszony „mieszkać po ciemnych jamach, wraz z puhaczami“ i przedzierać się „po tropie dzikiéj kozy“.

Co o nim prawią, w głowie się nie mieści:
Jak o straszydle krążą o nim wieści,
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu *duchem* zbiega nietknięte wyżyny;
Tutaj od strzelców odważnych naparty,
Znika w szczelinie tak wązko rozdartéj,
Że się zaledwo gadzina prześliźnie,
Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
On żywo zleci jakby skrzydłem ptaka,
Albo jak kozieł huśta się u krzaka!

Życie pełnym pulsem grało w żyłach tego człowieka pokłóconego ze społeczeństwem. Żądza jakaś gwałtowna, namiętność nieposkromiona i w samym początku przecięta, zmusiła go żyć zdala od reszty ludzi i stać się ich nieprzyjacielem. Śmiały w przedsięwzięciach, nikogo się nie lękał; nawet Kiczora, najpotężniejszy i najdzielniejszy góral na Podhalu, musiał uledz jego przewadze. Dobrał-bo téż sobie odpowiednich towarzyszy. Poeta ukazuje nam czterech, leżących na Wyżni *„widziadłami“* w chmurze.

Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą,
Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą,
Tak groźne, bystre i twarze i oczy
Gości, co Wyżnię szpiegują w uboczy.

To nie rozbójnicy z melodramatu, ani też chorobliwi bohaterowie lorda Byrona. I oni wprawdzie mszczą się pewno za krzywdy doznane; ale zemsty swéj nie chcą i nie umieją filozoficznie a raczéj sofistycznie wyjaśniać i uniewinniać. Bohaterowie Goszczyńskiego — to ludzie silni, odważni do zuchwalstwa, dzicy nawet, ale zawsze z rzeczywistości brani.

Takie są cechy indywidualności naszego poety.

A jaka indywidualność, taki i artyzm. U Goszczyńskiego podziwiamy przedewszystkiém śmiałe i energiczne rysy, którémi nam przedmioty i zjawiska maluje, nie zaś misterność i miniaturową piękność szczegółów i drobiazgów. Obrazy jego uderzają potężną całością, nie wyrzeźbieniem. Goszczyński nie lubił muskać, gładzić i szlifować swoich utworów; stąd pochodzi nieraz chropowatość jego stylu, niepoprawność w wyrażeniu, wiersz niezawsze harmonijny. Pod tym ostatnim względem najświetniéj się jeszcze przedstawia Sobótka, gdyż w niéj niewiele podobnych niewłaściwości napotkać można; więcéj ich w „Zamku kaniowskim“ i w poezyach lirycznych. Obficie natomiast znajdują się w Sobótce prowincyonalizmy, zarówno w wyrazach, jak i w wyrażeniach. Niektóre z nich były skutkiem dbałości o zachowanie miejscowego i plemiennego kolorytu, niektóre zaś wynikały z silnie zakorzenionego zwyczaju, którego nabył w młodości.

Łagodność, słodycz i miękkość obce są pióru Goszczyńskiego; miłość tylko przelotnie zjawia się u niego i to zawsze w szatach nieszczęścia. Wiersz jego grzmiał jak surma

bojowa, jak świst wichru wśród hukania puszczyków, lub jak potężny krzyk roznamiętnionego serca...

Postawiliśmy obok siebie dwie indywidualności i dwa utwory, z dwu odmiennych epok naszego piśmiennictwa. Staraliśmy się pokazać w wypukło-rzeźbie ich cechy charakterystyczne i ich różnice, a dlatego przytaczaliśmy sporo wyjątków, ażeby wciągnąć i samego czytelnika do tego krytycznego areopagu, który przywykł sądzić autorów. Ponieważ zaś po każdym rozbiorze szczegółowym powinny następować *uogólnienia*, będące jego wynikiem, próbowaliśmy więc wybitnemi choć szczupłemi rysami zaznaczyć wyniki z naszych studyów. Wyniki te obracają się naturalnie w téj tylko sferze, którą nam zakreślił przedmiot naszéj pracy; nie mogą więc obejmować w sobie *wszystkich odcieni* różnic [1]), jakie pomiędzy dawną a nową naszą poezyą wykazać można, a to tém bardziéj, że z literatury dawnéj, którą, jak powiedziałem, należy na dwa okresy rozdzielić: klasyczny i konwencyonalno-francuski, mieliśmy do rozpatrzenia jedynie utwór z pierwszego okresu. Z tém wszystkiém zdaje mi się, że główne cechy poezyi z okresu klasycznego w porównaniu z naszą epoką zostały choć trochę uwydatnione. Jedno tu tylko potrzebne jeszcze zastrzeżenie.

Ponieważ indywidualność w naszych czasach wielką w poezyi odgrywa rolę, różnice przeto pomiędzy jéj wytworami muszą być oczywiście o wiele znaczniejsze od różnic, spowodowanych słabo odbijającą się w poezyi indywidualnością wieku XVI. Jest-to oczywiście rezultatem cechy ogólnéj, o którą rzecz idzie. Łatwo zrozumieć, że tam,

---

[1]) W Sobótce np. Goszczyńskiego niéma oznaczonéj cechy czasu, t. j. stosunków dziejowych, śród których opisywane wypadki miały miejsce.

gdzie każdy utalentowany pisarz samoistność swoję silnie uzewnętrznić pragnie, rozmaitość w utworach poezyi musi być znaczna. a ogranicza się tém jedynie zjawiskiem, iż ludzie gienialni wydają całe plemię naśladowców, którzy żar poetyczny swego mistrza dostateczną ilością popiołu przysypywać zwykli... Usunąwszy na bok tę kategoryą poetów, istniejącą po wszystkie czasy i zbogacającą literaturę *ilościowo* tylko, nie zaś *jakościowo*, — otrzymamy skalę, podług któréj wypadałoby mierzyć względną większość lub mniejszość różnic w cechach indywidualnych. Do tych cech liczymy wszystkie przejawy uczuć i usposobień ludzkich: powagę, wesołość, melancholią, rozmarzenie, fantastyczność, humor, zamaszystość i t. p., występujące jako przeważne czynniki w utworach artystycznych. Uczucia te i usposobienia, wyśpiewane językiem barwnym i oryginalnym, najsilniéj wpływają na spółczesnych, nadając zarazem świeżość i powab nowości utworom piękna. Lecz nie wszystkie te uczucia wytrzymują niszczące działanie czasu i zostają przeznaczone do *aktywów* historyi literatury. Niektóre z nich podlegają zwykłemu losowi barw jaskrawych, które, bawiąc oko przez chwilę, nużą je, a po pewnym przeciągu czasu blakną, płowieją, zmieniając świetną niegdyś szatę na nieokreślonego koloru łachmanek. Tylko jeżeli owa świetna szata okrywała ciało człowieka, który zasłużył sobie na pamięć u społeczeństwa, to się ją zawiesza z uczuciem poszanowania w muzeum wspomnień. Każdy bowiem z ludzi utalentowanych posiada usposobienia trwałe i przemijające; im więcéj pierwszych a mniéj drugich, tém wpływ jego i znaczenie potężniejsze,

Kochanowski w „Sobótce“ nie wyraził żadnéj wydatnéj cechy indywidualnéj, gdyż zamiłowanie *mierności* było duchowém spadkobierstwem po starożytnych mistrzach; Goszczyński wyraził ich dwie: cześć dla energii i wiarę w wy-

twory ludowéj fantazyi. Piérwsza z tych cech należy do najtrwalszych w świecie estetycznym i moralnym, druga liczy się do przemijających. I rzeczywiście: gdy bohaterowie jego śmiałością swoją i nieustraszoną odwagą mimowolny podziw we wszystkich dziś jeszcze rozbudzają, fantastyczność uważana bywa pospolicie za wynik chwilowego zwrotu do poezyi ludu, za wynik, który można sobie wytłomaczyć, ale którego za konieczny i wpływowy w obecnych czasach uważać już niepodobna.

Indywidualność wreszcie w stosunku do natury i społeczeństwa objawia się dwiema połączonemi ze sobą drogami: wrodzonym talentem i obserwacyą poetyczną. Pierwsza jest tajemniczą drogą ducha, któréj nie udało się jeszcze zbadać psychologom w jéj źródle; druga zdobywa się wielokrotném doświadczeniem. Im większy talent i im bezpośredniejsza obserwacya natury i społeczeństwa, tém wspanialsze bywają utwory.

O wzajemnym stosunku talentów Kochanowskiego i Goszczyńskiego, jako o ilości nieznanéj, sądzić nie możemy; o ich talentach w połączeniu z obserwacyą poetyczną wiemy już z poprzedniego rozbioru. Kochanowski patrzył na społeczeństwo i naturę poprzez mgłę wspomnień, które wyryło w jego umyśle wykształcenie, i stąd fantazya jego nie uderza czytelnika oryginalnością; Goszczyński spoglądał na tęż naturę i społeczeństwo własnemi oczyma; to téż fantazya jego odznacza się świeżością, śmiałością i zuchwalstwem niemal.

Obu wspólne było jedno potężne i wielkie uczucie: miłość tego, co swoje i blizkie.

Warszawa 1874.

III.

OSTATNIE LATA ŻYCIA JANA KOCHANOWSKIEGO.

„Nie laty, ale cnotą żywot mierzyć mamy“
(Koch. w „Nagrobku Tęczyńskiemu“).

Ustaliło się w naszym wieku wyobrażenie o pieśniarzu z Czarnolasu, przedstawiające go nam na schyłku życia w postaci bolejącego nad grobem Urszulki ojca, odsuwającego się od spraw ziemskich i stęsknionego za śmiercią.

Wyobrażenie to śmiem nazwać konwencyonalném.

Wytworzyło się ono pod wpływem uczuciowych i czułostkowych prądów, jakie na przeobrażenie objawów życia umysłowego i obyczajowego od początków stulecia naszego działały. Poeta, smutny i zbolały wskutek straty dziecka ukochanego, wydawał się ideałem, godnym upamiętnienia w dziejach literatury i w historyi obyczajów naszych. Poeta taki nie mógł już szczerze zająć się niczém, nie mógł się nawet wielkiemi czynami Polaków pod dowództwem Stefana Batorego ucieszyć; „śpiewał hymny zwycięskie Batoremu, nad którym może się w duszy litował, ale nie zdobył się na to, aby, wbrew przekonaniu, i polska jego Muza stała się wyrazem radości“. Pogrążał się on tylko w rozpamiętywaniu boleści, a wyobraźnia jego, kirem przesłonięta, wszystko mu w czarnych przedstawiała barwach. Twórczość jego zupełnie prawie upadła; co w ostatnich latach napisał, nie zasługuje niemal na uwagę.

Kreśląc ten smętny wizerunek, biografowie Kochanowskiego przenosili mimowiednie nastrój nowszych, miękkich,

rozełzawionych pokoleń, w czasy całkiem odmienne, na ludzi innéj epoki, w któréj hart duszy i rezygnacya religijna były daleko pospolitszemi, niż dzisiaj, objawami, w któréj można się było obawiać, ażeby „Trenów“ *lekkiemi* nie nazwano.

Wolno-by wszelako przypuścić, iż poeta nasz, będąc poetą, nie posiadał tego hartu i téj rezygnacyi, jakie wśród ogółu ówczesnego istniały, że natura jego wrażliwsza łatwiéj poddawała się wpływowi smutku i kazała mu zapominać o wszystkiém, nawet o uczuciach obywatelskich.

Atoli i to przypuszczenie wobec dowodów upaść musi.

Dotychczas zestawiano zazwyczaj dwie okoliczności, ażeby usprawiedliwić melancholijny charakter wizerunków wieszcza z ostatnich lat jego życia: napisanie „Trenów“, i małą produkcyjność po ich utworzeniu.

Ani na chwilę nie wątpię o głębokości i szczerości uczuć, wyrażonych w „Trenach“; uważam nawet za rzecz zupełnie możliwą, iż poeta w chwilach pewnych dochodził w swéj boleści do objawów zwątpienia i rozpaczy, jakie w niektórych ustępach swego arcydzieła przedstawił. Równocześnie jednak przypominam proste psychologiczne spostrzeżenie, iż żadne dotkliwsze uczucie, jeżeli nie sprowadza śmierci fizycznéj lub umysłowéj, nie może trwać ciągle w jednostajném natężeniu, że przechodzi różne fazy, aż do zupełnego niemal ukojenia. Jak łzy obfite są świadectwem, iż boleść w swym najwyższym objawie przeminęła; tak wypowiadanie swego smutku w rozmowie czy na piśmie dowodzi, że umysł nasz przyszedł do tego stopnia równowagi, iż może się już oddać kombinacyom myśli i wyrazów. Nie od czasów Goethego datuje się poetycki sposób przechodzenia z pewnéj fazy duchowéj do innéj, za pośrednictwem wylania w słowach myśli i uczuć, dręczących duszę w danéj chwili. I napisanie „Trenów“ uważać można

za takie oczyszczenie duszy z mętów boleści dojmującéj. Nie znaczy to bynajmniéj, żeby wieszcz, napisawszy poetyczny nagrobek, miał zapomnieć o téj ukochanéj dziecinie, dla któréj go utworzył; znaczy tylko, iż smutek jego po niéj stał się spokojniejszym.

Obok tego psychologicznego objaśnienia należy postawić inne, czysto faktyczne. W ostatnim trenie, w „Śnie“, mamy właśnie wyraz rezygnacyi, zaznaczony przez samego poetę. Niéma czego żałować zmarłéj dzieciny, bo ona, nie narażając się na dolegliwości ziemskie, trwalszych już rozkoszy kosztuje. Ustami matki zaleca poeta sam sobie, jak się ma w przyszłości zachować:

Teraz, mistrzu, sam się lecz. Czas — doktor każdemu;
Ale *kto pospolitym torem gardzi, temu*
Tak późnego lekarstwa czekać nie przystoi:
Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.

Co więcéj, przedstawia nawet, jakim sposobem goić ma swe rany. Oto, jak czas „dawniejsze świeżemi wypadkami wybija“, niekiedy weselszemi, a niekiedy równie smutnemi; tak człowiek rozumny („z baczeniem“) przewiduje te wypadki, przeszłemi rzeczami nazbyt umysłu nie zaprząta, garnie się do przyszłych „i serce na oboję fortunę gotuje“, będąc przekonanym, iż „jeden jest Pan smutku i nagrody“. Gdy te rady spisywał, był już widocznie Kochanowski nietylko skłonnym do ukojenia, ale także musiał zapewne doznawać dobrodziejstw tego ukojenia, gdyż kreślił niejako program na przyszłość. Prawdą jest, że w tym „Śnie“ obraz stosunków ludzkich wystawił poeta w czarnych, religijnie pesymistycznych barwach; ale rzecz to była naturalna, i ze względu na usposobienie poety i ze względu na rodzaj samego utworu. Nie wyrzekał się przecież poeta uczestnictwa w tym świecie, pełnym „pracéj, frasunków, łez i żałości“, wiedząc, że na nim coś téż człowiekowi „czasem padnie wedle jego chęci“.

Że zaś nie były to tylko czcze słowa, któremi strapioną duszę pocieszał, mam dowód wyraźny w działalności jego poetyckiéj i autorskiéj z ostatnich lat życia. To, co dotąd mówiono ó małéj produkcyjności Jana z Czarnolasu w tym czasie, oraz o niewielkiéj wartości tego, co napisał, było przeważnie raczéj wnioskiem, wyprowadzonym z obrazu stanu duszy poety, jaki sobie wytworzono, aniżeli wynikiem krytycznego rozpatrzenia się w jego twórczości.

Przedewszystkiém zważyć potrzeba, iż ilość prac Kochanowskiego, w stosunku do lat jego działalności, nie jest wogóle wielka, a wobec téj uwagi nie może bynajmniéj zadziwiać fakt, iż przez pięć blizko lat po śmierci Urszuli ogłosił tylko dwa większe i pięć mniejszych utworów.

Powtóre: o wielu pieśniach i fraszkach Kochanowskiego nie wiemy na pewno, w jakim czasie powstały; a jeżeli dowiedzioną jest rzeczą, iż pomiędzy pieśniami, ogłoszonemi dopiéro po śmierci poety, jedna z pewnością pochodzi z chwili, o któréj mówimy, to nic nie przeszkadza przypuścić, iż i niektóre inne wtedy napisane zostały.

Wreszcie i to wziąć potrzeba na uwagę, iż przez te pięć lat ostatnich życia myślał Kochanowski o pozostawieniu trwałéj pamiątki po sobie, o zebraniu i wydaniu dzieł swoich już to w nowéj, już to w zbiorowéj edycyi. I tak dwukrotnie ogłosił „Treny“ (1580, 1583), raz „Psałterz“ (1583), zebrał i wydrukował pieśni łacińskie (*Lyricorum libellus* r. 1580), a daléj „Fraszki“ polskie i „Foricoenia“ łacińskie, oraz cztery księgi Elegij (r. 1584). Układał się prócz tego z Janem Januszowskim o zbiorowe wydanie swoich poezyj polskich. „Począł był wnet-że po wydaniu Psałterza przekładania swego (w r. 1579) — powiada Januszowski — ze mną się namawiać, jakoby rzeczy pisania jego wszystkie za żywota jego z drukarnie méj wyniść na świat mogły; częścią, aby te, co były gotowe, dobrze wyszły, częścią, aby

o drugich co ważniejszych tym snadniéj myślić mógł". Z tych słów widać, iż poeta nie ustawał bynajmniéj w pracy, a przygotowując do druku utwory dawniejsze, o nowych przemyśliwał.

Tyle dla objaśnienia niewielkiéj ilości utworów nowych, ogłoszonych przez Kochanowskiego pomiędzy 1580 a 1584. A teraz przyjrzyjmy się ich treści i wartości.

I.

Równocześnie z wydaniem „Trenów" w Krakowie, r. 1580 wyszły w Warszawie „Pieśni trzy Jana Kochanowskiego: O wzięciu Połocka, O statecznym słudze R. P., O uczciwéj małżonce".

Pieśni poprzedza przemowa w formie listu do Jana Zamojskiego, podpisana w Czarnolesiu 14 stycznia 1580 r. [1]). Powstała ona pod świeżém jeszcze widocznie wrażeniem, jakie wywarła strata Urszulki; zawiera się w niéj i wyraz żalu, i prośba do Zamojskiego. „I stękać mi W. M. nie dasz — mówi tu poeta — więc nie wiém, mam-li to od W. M. sobie za krzywdę brać. Ale jednak, chcesz-li mię W. M. na świecie mieć dłużéj, proszę, *nie każ mi W. M. teraz nic pisać*. Bo w dobrym zdrowiu ledwe jakie-takie operepretium (opracowanie) człowiek uczynić może, teraz neque res, neque verba suppetunt (i treści i wyrazów brakuje). A prosto, jako on mówi, animus simul cum re con-

---

[1]) Przemowa ta mało jest znana w całości: nawet w pomnikowém wydaniu Dzieł Kochanowskiego napróżno-byśmy jéj szukali. Ja korzystam z homograficznego odbicia „Pieśni trzech", które w 45 egzemplarzach skopiowano w Krakowie w miesiącu lipcu 1883 r. Egzemplarz, z którego użytkuję, porównany i poprawiony został według oryginalnego wydania przez D-ra Władysława Wisłockiego.

cidit“ (duch wraz ze sprawą zmarniał). W téj niechęci do pisania, oprócz stanu ducha, brała także udział obawa, ażeby z pod pióra nie wyszło coś słabego, gdyż powiada daléj: „Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że, bojąc się, aby był pierścienia nie chybił, a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczéj gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. *I jam tegoż mało nie uczynił* — wprawdzie nie tak doskonały strzelec“. Jednakże zdecydował się na pisanie, a to ze względu, że „łaska“ Zamojskiego „droższa“ mu była „niż wszystka poetica“. Chcąc usprawiedliwić braki, jakie-by w poezyach jego ówczesnych znaleźć się mogły, dodaje: „Jeźli co nie g'rzeczy (a bodaj nie wszystko), któż winien? Ja naprzód, a W. M. téż po części, qui scribere cogis (który zmuszasz do pisania), chocia zły aspekt“.

List ten przekonywa, że trzy pieśni, podane do druku w 1580 r. były świeżo napisane już po stracie córki, gdyż w przeciwnym razie usprawiedliwianie ich domniemanych braków smutkiem poety było-by rzeczą niestosowną i niewłaściwą.

Treść pierwszéj z porządku pieśni „o wzięciu Połocka“ potwierdza ten wywód najzupełniéj. Ponieważ Połock został zdobyty 31 sierpnia 1579 r., a list Kochanowskiego do Zamojskiego datowany jest 14 stycznia 1580, w tym przeto przeciągu czasu pieśń powstać musiała [1]). Przypuszczalnie gienezę jéj można sobie wystawić w sposób następujący: Poeta, który od samego niemal początku wielkie nadzieje na energii Stefana Batorego pokładał, a w „Odprawie posłów“ do zbrojnéj akcyi zagrzewał, po świetnych

[1]) Sprostować więc należy twierdzenie, podane w wydaniu pomnikowém Dzieł Jana Kochanowskiego (I, str. 319), jakoby pieśń tę napisał Kochanowski po zawarciu w dniu 15 Stycznia 1582 traktatu zapolskiego.

zwycięstwach wojska polskiego w r. 1579, pomimo przygnębienia, spowodowanego klęską domową, uczuł potrzebę wypowiedzenia swéj radości obywatelskiéj na wieść o wzięciu Połocka, którego utratę wytknął rodakom r. 1564 w „Satyrze“. Tę potrzebę wewnętrzną wsparła zachęta Zamojskiego, który pragnął przez uświetnienie czynów już dokonanych, zachęcić szlachtę do złożenia nowych podatków na dalszą wyprawę. Jak dawniéj, na początku r. 1578, „Odprawa posłów“ miała, pomiędzy innemi środkami, posłużyć do zagrzania rycerskiego ducha; tak teraz, za pośrednictwem pieśni, opiewającéj zwycięstwo, zamierzano przyczynić się do utrzymania spółziomków w rozbudzonym już nastroju wojowniczym.

Pieśń tę utworzył Kochanowski w formie popularnéj, używając wiersza ośmiozgłoskowego i strofy czterowierszowéj t. j. téj szaty zewnętrznéj, którą u nas najdawniéj się już posługiwano. Nadał jéj ton pieśni religijnéj, pomieszanéj z hymnem radosnym, przepełniającym serce otuchą i dumą zarazem:

Panu dzięki oddawajmy,
Jego łaskę wspominajmy,
Który hardym miesza rzeczy,
A skromne ma na swéj pieczy.

Bóg pomóż, królu jedyny
Szerokiéj polskiéj krainy;
Umiesz ty hardym dogodzić,
Ani się im dasz rozwodzić.

Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste;
Puściły żelazne brony,
A ty, królu niezmożony,

Nie tylko zamki budowne,
I twierdze bierzesz warowne,

Ale, co chwalniejsza w. tobie,
Jesteś silen i sam sobie:

Nie puściłeś wodz gniewowi,
Łaskęś nieprzyjacielowi
Uczynił: masz i dzielnością,
Masz już nadeń i ludzkością.

Nie przywodzę innych znamiennych szczegółów téj pieśni. Należy ona do téj niezbyt wielkiéj liczby utworów lirycznych Jana, w których uczucie obywatelskie dobitnie się wyraziło; znana téż być powinna czytelnikom.

Równocześnie napisał Kochanowski i ogłosił tegoż roku 1580 odę łacińską o wzięciu Połocka *(De expugnatione Polottei).* Jéj gieneza i cel prawdopodobnie też same, co i utworu polskiego. Wysławienie króla, co go nieba dały nam na to, „by po dawnemu był sławien Sarmata, i swe odzyskał sztandary“, oraz opis dzielności wojowników polskich: oto treść ody, która pod względem wykonania w niczém nie ustępuje dawniejszym tego rodzaju utworom Jana. Wezwawszy muzę, by przybrana w wieńce, z lirą słoniową wyszła na spotkanie rycerstwa i króla, co z pod Połocka przychodzą, kreśli w paru antytezach rycerskie usposobienie Stefana, którego skutków doznał wróg, uchodząc przed nim w odległe krańce swego państwa; — a potém, odmalowawszy w kilku słowach silne jak grom wrażenie zwycięskiego pochodu, opisuje ważniejsze chwile z oblężenia Połocka:

Lecz pod Połockiem, jak pęd huragana [1]),
Wstrzymał się sztandar bojujący śmiało;
Bo mocna twierdza, krzepko szańcowana
Trudów spożyła niemało.
Deszcz nieustanny ulewnie się sączy,
Wkoło czarnoziem rozgrzęznął szkaradnie;
Ztąd oblężeńcy mieli port obrończy,
K'nam szły posiłki niesnadnie.

---

[1]) Przekład Władysława Syrokomli.

Ani gdzie w polu rozłożyć ognisko,
 Ni rozbić namiot, gdy pluchota leje;
Ni wojsk lub harmat wieść na trzęsawisko,
 Co się ugina i chwieje.
Wojenne trąby, grając bez ustanku,
 Próżno dawały do natarcia hasło;
Płomienne race nie czyniły szwanku:
 Na deszczach ognisko zgasło.
Lecz dzień zabłysnął w purpurowéj krasie,
 Kiedy się srogie uciszyły deszcze,
Ujrzały wrogi i przeczuły dla się
 Przyszłości wróżby złowieszcze.
Kula, co przedtém chybiała swéj mety,
 Dziś w dzień pogody lepszy polot bierze
I brzemienne ogniem mordercze rakiety
 Już palą dachy i wieże...

Łatwo zrozumieć, że takie i tym podobne przypomnienia musiały silnie działać na umysły spółczesnych.

Wracam do „Pieśni trzech", których ciąg przerwałem dla zestawienia jednorodnych utworów.

Druga z kolei pieśń, zawarta w owém wydaniu, mówi o statecznym słudze Rzeczypospolitéj [1]). Z treści bardzo prawdopodobne wyciągnąć można przypuszczenie, iż napisał ją Kochanowski celem przeciwdziałania tym niechętnym głosom, jakie się na sejmie pod koniec roku 1579 przeciwko Zamojskiemu odzywały, z powodu łask królewskich, obficie przezeń odbieranych. Rozwija w niéj poeta temat ogólny, iż „cnota" musi z konieczności obudzać zazdrość, która jej towarzyszy tak, „jako cień nieodprawny ciała naśladuje".

Nie może jéj blasku znieść, ani pojźrzeć w oczy [2]);
Boleje, że kto kiedy wyższéj przed nią skoczy;
A iż baczy po sobie, że się wspinać prózno,
Tego ludziam uwłacza, w czym jest od nich rózno.

---

[1]) W wydaniach zbiorowych umieszczono ją jako XII ksiąg wtórych.

[2]) Cytuję według wydania pierwotnego. Zbiorowe edycye różnią się od niego w kilku miejscach.

Mąż atoli, który się oddał na posługi kraju, nie powinien zważać na sarkania zawistnych, lecz iść rozumnie i mężnie swoją drogą:

Ale człowiek, który swe pospolitéj rzeczy
Służby oddał, téj krzywdy nie ma mieć na pieczy:
Dosyć na tém, kiedy praw, ani w sercu wady
Czuje; niech się, jako chcą, siłą wszytki jady.
. . . .
A jeśli komu droga otwarta do nieba,
Tym, co służą ojczyźnie; wątpić nie potrzeba,
Że co im zazdrość ujmie, Bóg hojnie nagrodzi:
Tam dopiéro będzie znać, co po czemu chodzi.

Trzecie wreszcie miejsce w wydaniu z r. 1580 zajmuje pieśń o uczciwéj małżonce [1]). Ona jedna nie nosi wyraźnych cech okolicznościowych; mogła być napisana wcześniéj a w r. 1580 dodana do dwu świeżo utworzonych, ażeby te nie wyglądały zbyt jaskrawo, jako tendencyjne. Ale i co do niéj można zrobić przypuszczenie, iż była wywołana troskliwością, jaką okazywała żona pieśniarza, ażeby „słodkiemi słowy wywabić troskę“ ze zbolałego serca poety, i „mężowym kłopotom“ zapobiedz i „jego wczasu na wszytkim“ przestrzedz. Patrząc na te starania dobréj żony wśród okoliczności, które je w uderzający sposób na jaw wydostały, poeta skreślił jéj pochwałę:

Może kto ręką sławy dostać w boju [2]),
Może wymową i rządem w pokoju;
Lecz jeśli męża żona nie ozdobi,
Mąż prózno robi.
Ten z gospodarstwa, a ów zaś z wysługi
Zbierze pieniądze, i z kupiectwa drugi;
Jeśli się żona nie przysłuży k'temu,
Zginąć wszytkiemu.

---

[1]) W wydaniach zbiorowych umieszczona jest jako X ksiąg wtórych.

[2]) I ta pieśń, jak czytelnicy przekonać się mogą sami, ma drobne różnice w wydaniu pierwotném od edycyj zbiorowych.

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi,
Na niéj rząd wszytek; swego męża ona
Głowy korona.

Z pieśni, ogłoszonych po śmierci poety, do r. 1580 odnieść można, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, pieśń VI księgi drugiéj [1]. Pod względem formy wiersza przypomina ona tren VII, a w niektórych wyrażeniach „nagrobek Doraliki“ *(Epitaphium Doralices)* po łacinie przez Jana napisany. Pociesza w niéj wojewodę (prawdopodobnie Jana Kostkę) po śmierci żony (Zofii Odrowążówny Tarnowskiéj), lubo sam cierpiał z powodu zgonu córki:

Królewno lutnie złotéj i rymów pocieszných,
Ochłodo myśli grzesznych,
Ty sama powiedz, a kres naznacz, póki mamy
Płakać, gdy przyjaciela miłego stradamy?
Łacno cieszyć chorego, gdyśmy zdrowi sami,
Lecz kiedy toż nad nami
Niefortuna pokaże, tam więc człowiek czuje,
Że co drugim chciał radzić, sam się nie ratuje.

Ponieważ jednak płaczem nie możemy przywrócić do życia osoby ukochanéj, musimy przeto być cierpliwi: „cierpliwość sama najlepsza w téj mierze, gdzie zaraz i ratunek upad z sobą bierze“.

II.

Rok 1681 jest jedyną chwilą z ostatnich lat Kochanowskiego, do której nie możemy odnieść żadnego jego utworu, ani téż nowego wydania pism jego. Dawniéj datą roku tego oznaczano „Wtargnienie do Moskwy“; od czasu jednak, jak prof. Pawiński wykazał bezzasadność takiego

---

[1]) Zob. wydanie pomnikowe Dzieł J. Kochanowskiego I, str. 312, wywód p. R. Plenkiewicza.

pojmowania rzeczy, usunęła się i ta wskazówka twórczości Jana z Czarnolasu. I skądinąd nawet o żadnéj czynności jego w tym roku najmniejszéj nie posiadamy wieści. Tę przerwę w osnowie biograficznéj mogą wypełnić kiedyś poszukiwania archiwalne.

Rok 1582 i następny 1583 zaznaczyły się, pomimo utraty w tym przeciągu czasu drugiéj córki, Hanny, pracą około trzech utworów poetycznych. Treścią dwu z pomiędzy nich jest wojna z carem Iwanem Groźnym, zakończona 15 stycznia 1582 r., rozejmem w Kiwerowéj Horce; treścią trzeciego — złączona z temi wspomnieniami wojennemi pieśń weselna na zaślubiny Jana Zamojskiego z trzecią żoną.

Z téj najogólniejszéj treści widać, iż twórczość Kochanowskiego związana była jak najściśléj z działalnością króla Stefana i kanclerza-hetmana Zamojskiego. Jak od pierwszych niemal lat rządów Batorego, tak i teraz, umysł poety zwrócił się ku sprawie publicznéj, budził ducha rycerskiego lub skutki rozbudzenia tego ducha potomności przekazywał. Jest zatém widoczna łączność jego dawniejszych pomysłów z natchnieniami lat ostatnich życia.

Ze wzmiankowanych trzech poematów dwa są w języku łacińskim, jeden w polskim.

Poemata łacińskie miały charakter liryczny i były odśpiewane 13 czerwca 1583 r., przy towarzyszeniu liry, przez Krzysztofa Klabona, muzyka królewskiego, podczas świetnéj, cały tydzień trwającéj, uroczystości weselnéj Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną, córką Krzysztofa księcia Siedmiogrodzkiego, brata Stefana. W tym-że czasie drukiem ogłoszone zostały.

Jeden z tych poematów nosi nazwę „Pieśni Zwycięskiéj“ *(Epinicion)* wyśpiewanéj na cześć Stefana po odebraniu Inflant. Składa się z 73 ustępów dwunastowierszowych,

wykwintnéj formy lirycznéj [1]). Zawarł w niéj poeta charakterystykę Stefana, obraz jego wyboru na króla, oraz główniejszych czynów aż do roku 1582, najdłużéj naturalnie rozwodząc się nad wyprawą, któréj ukończenie dało mu pochop do pisania. Nie są to bynajmniéj suche, kronikarskie wzmianki, ale liryczne opowiadanie, pełne życia. Jeżeli w niém niéma zalet poetyckich w dzisiejszém znaczeniu, to są w każdym razie niepospolite krasomówcze piękności.

Początek jest podobny do początku ody na wzięcie Połocka. Jak tam, tak i tutaj, wzywa muzę, ażeby z cytarą doryjską i słodkobrzmiącemi pieśniami wyszła na spotkanie króla Batorego, który nie z igrzysk zapaśniczych wraca do państw swych i lubéj małżonki, lecz z po-nad dalekiego Donu po rozproszeniu wrogów i wzięciu stu miast. Mąż to przesławny w sztuce wojennéj, zarówno dzielny radą, jak ręką. Znikły z widowni sławione niegdyś igrzyska w Olimpii, Istmie, Nemei i Delfach, ale dzielność mężów, zapał wojenny i potęga umysłu nie zmarniały. Tą właśnie sławą przed innymi celuje Batory tak dalece, iż ledwie od jednego chyba Marsa jest słabszy. Nie pogardza téż on nauką, owszem, kocha ją, gdyż wié, że ona nietylko mu cześć, lecz i pożytek przynosiła i przynosi. Taką się zaś odznacza ludzkością i łagodnością obyczajów, iż wszystkie słowa jego i czyny możnaby nazwać próżnemi wszelkiéj pychy. Nie tak unikał wsławiony wierszami Homera Ulisses śpiewnych potworów, w głębi morza ukrytych, jak on unika ponęt rozkoszy, gardząc odpoczynkiem, a chętnie trudy podejmując.

Sprawy lat młodzieńczych Stefana, na ziemi ojczystéj dokonane, pozostawia poeta innym do opiewania, sam

---

[1]) Oceniając ten poemat pod względem estetycznym, nie można polegać na przekładzie Syrokomli, który pełną rozmaitości formę liryczną oryginału przemienił na jednostajny, bardziéj dla epopei odpowiedni wiersz 11-zgłoskowy.

śpieszy do czasów późniejszych, nawiązując osnowę utworu do chwili elekcyi. I tu, jakby dla przypomnienia swéj pieśni o statecznym słudze rzeczypospolitéj, rozpoczyna od zaznaczenia faktu, iż Stefan potrafił pokonać hydrę zawiści:

Zwyciężyć zamach zawiści piekielnéj
Jest to rzecz godna Herkulowéj siły;
Tobie jednakże, o Batory dzielny!
Tę wielką własność losy przysądziły.
Gdzie zamierzyłeś, wraz doszedłeś celu:
Dali ci serce Polacy z ochotą,
Boś w twoim kraju bogatszy od wielu,
Każdego twoją przewyższyłeś cnotą.
Dank ci złożyła Sarmacya cała,
Kiedy po króla wybornego zgonie,
Głośnym okrzykiem ciebie zawołała
Na swój sierocy tron po Jagiellonie.

Nie ukrywa bynajmniéj poeta téj okoliczności, iż obiór ten przeprowadzony został wśród walk wielu; owszem obrazowi stanu Rzeczypospolitéj po śmierci Zygmunta Augusta, a następnie po ucieczce Henryka, opowiadaniu o stronnictwach w kraju, o podwójnéj elekcyi: cesarza i Batorego, poświęca Kochanowski obszerny epizod (VIII—XIX), może po części i z téj na dnie duszy odzywającéj się pobudki, iż początkowo sam poeta nie należał do stronników Stefana. Opisowi przybycia Batorego do Polski również wiele miejsca daje (XX — XXXV). W dwu następnych dwunastowierszach opowiedziawszy poskromienie Gdańszczan, od XXXVIII zwraca się do przedstawienia wyprawy moskiewskiéj.

Rozpoczyna ten opis od przypomnienia chwili, kiedy Polska utraciła Połock za Zygmunta Augusta. To téż odebranie tego miasta musiał oczywiście szczegółowo przedstawić. Wszystkiemi wojskami — powiada — idziesz na Połock, prowadząc z sobą Węgrów, Litwinów, Polaków, oraz dzielnych w boju Niemców. Nie mniéj pilnie garną się do

obrony... nieprzyjaciele... Bramy ochraniają niezwyciężoną palisadą, wieże uzbrajają w dzielne machiny; przygotowują wszystko, czego wymagać może oblężenie, choćby nie wiem jak długie. Tymczasem ty podchodzisz, a zamknięte mocnym wałem mury sieczesz gromowemi razami". Pomimo mężnéj obrony, pomimo sprzyjającéj dla oblężonych pogody, Połock poddać się musiał i wrócić pod dawne panowanie. „Lecz dla ciebie, o królu! — dodaje poeta, tęż samę, co w pieśni polskiéj o wzięciu Połocka, podnosząc zaletę — mało było obedrzéć wroga z chwały wojennéj; przewyższyłeś go również łaskawością i wiernością w dotrzymaniu słowa. Kogokolwiek bowiem sroga wśród boju Bellona oszczędziła, temu darowałeś życie i wolność; a jeżeli kto wolał wrócić do swojego obozu, niż służyć w twoim, dozwalałeś mu odejść bezpiecznie".

Opis dalszego pochodu Stefana poprzedza wystawieniem trudności, jakie wojownicy polscy w samym gruncie spotykali:

Szerokie rzeki nieuhamowane [1])
Musiałeś pętać mostami i promy,
Przechodzić góry zamglone, zawiane,
Drzeć się na opok urwiste ogromy.
A jeszcze zimny Akwilon szturmowy,
Mszcząc się za swoje rodaki północne,
Wiał ostrém zimnem na sarmackie głowy
I ziębił dreszczem twe zastępy mocne
I darł proporce. Lecz strasznyż dla cnoty,
Strasznyż dla męstwa wypadek złowrogi?
Zwycięsko wiodłeś twe ochocze roty,
Jak gdyby środkiem najrówniejszéj drogi.

Zdobycie Wieliża, Uświatu, Łuków, Toropca, Newla, Jezierzyszcza, Zawłocia, krótko przebiega poeta, malując tym sposobem szybkość pochodu zwycięskiego. Kończy opisem

[1]) Przekład Wł. Syrokomii.

oblężenia Pskowa i układów, robiąc nacisk na wdanie się papieża w tę sprawę. Streszczając szczegóły, poeta zwraca mowę do Stefana:

Masz tedy, królu, w bezspornéj zalecie
Twojemu wojsku powinszować śmiało,
Że tak pod bronią stojąc przez trzy lecie,
Ani się razu w szczęściu nie zachwiało.
Masz co winszować — prawym obyczajem
Chociaż walczyłeś za liwońskie winy,
Nic się nad spornym nie znęcałeś krajem;
Lecz hetman biegły, walecznik prawdziwy,
Na ziemię wrogów obróciłeś płomię
I miecz na winną kierowałeś głowę,
I tameś zyskał w północnym pogromie
Niezaprzeczone wawrzyny bojowe.
. . . .
Herkulu polski! tyś kraj znakomity
Wyzwolił z zębów straszliwego dzika,
Co w ciemnym borze niedostępnie skryty,
Tylko się gwoli spustoszeń wymyka.
Pod twą maczugą uskromnił już ducha,
Już mu nie myśleć o nowéj łupieży;
Próżno się miota, i parska, i grucha,
I szczeciniasty grzbiet kolcami jeży,
I kły naostrza, i oko rozżarza,
I leje pianę po rozwartym pysku,
I smolne boki po murawie tarza,
Już mu nie leżeć w starém legowisku...

Życzenie lat długich Stefanowi i perspektywiczny obraz szczęśliwéj przyszłości stanowi zakończenie poematu. „Gdy ty żyć będziesz, niéma nic, czego-by sobie kraj obiecywać nie śmiał. Nie zlęknie się on gróźb szwedzkich, gdy ty będziesz wodzem, ani dziki Tatar nie przejdzie bezkarnie głębokich nurtów Bugu. Jego granicą, jak dawniéj, będzie Morze Czarne. Widzimy już, jak puste pola przyjmują nasiona, jak się rozwijają winnice, jak się odradzają miasta“...

Do „Pieśni Zwycięskiéj“ dodane są dwa epigramata: czterowierszowy łaciński i dwuwierszowy grecki. W łaciń-

skim, korzystając z brzmienia wyrazów, powiada, że nadanie królowi imienia Stefan było wróżbą otrzymania przezeń korony, gdyż po grecku *stefanos* wieniec oznacza, nazwisko zaś Batory oznacza głębokie *(bathos)* nurty *(rheo)* jego rozumu. W epigramacie greckim również na grze słów opartym, twierdzi poeta, iż Charis (bogini wdzięków) uwieńczyła Stefana, gdy własną ręką na równinach Moskwy odniósł zwycięstwo.

Pieśń weselna *(Epithalamion)* odznacza się misterną budową strof, ze wzorów starożytnych pożyczoną. Dzieli się na trzy części, a każda składa się ze strofy, antystroty i epodu. Części te wszakże nie są odosobnione, łączą się z sobą nietylko treścią, ale nawet zewnętrznie za pośrednictwem zdania, zaczynającego się w jednéj, a kończącego się w drugiéj. Wątkiem pieśni jest pochwała Zamojskiego, jako wojownika i statysty, oraz wróżba szczęśliwéj przyszłości, i dla dwojga oblubieńców, i dla kraju. Nie obyło się i tutaj, jak w pieśni o „statecznym słudze rzeczypospolitéj", bez wzmianki o zazdrosnych:

Czy radzisz w pokoju, czy walczysz na wojnie [1]),
Ty działasz jak dzielna królewska prawica!
Tyś piorun, gdy wrogom trzesz kości,
Gracye kochają cię hoże;
Ktoś szczęściu twojemu zazdrości,
Lecz prac twych i trudów nie zmoże [2]).
Tyś wytknął odrazu gościniec twój ścisły,
Gościniec ciernisty, — nie zrażasz się przecie;
Nie chwiejesz się w biegu, jak nizkie umysły,
Co idą mniéj pięknym zawodem na świecie.

W opisie piękności oblubienicy poprzestał Kochanowski na zwykłych ogólnikach: „Co widzę? — pyta czy mię oczy mylą? Nie, zaiste, w niczém one nie mylą. Złoci-

[1]) Przekład Wł. Syrokomli.
[2]) *Invidet haec aliquis: verum labores excubiaeque tuae non invidentur.*

sta wschodzi gwiazda wieczoru; światło dla mężów pomyślne, lecz smutne dla delikatnych dziewic. I czemuż, dziewico, zbladłaś? Nie godzi się nic nieprzyjaznego oczekiwać od kochanka; jego dały tobie losy nie na dzień, nie na rok jeden, lecz na wiek cały za przyjaciela. Tęsknotę za ojczyzną przytłumi mąż łagodny z ducha i kochający ciebie: lube dziatki niebawem zajmą w sercu twojém miłość rodziców. Jako winna latorośl, staraniem pracowitego rolnika zasadzona przy zielonym wiązie, wydasz i ty dziatki na pociechę i obronę ojczyzny. To ci ja, młoda małżonka, prorokuję, jakkolwiek słuchasz nie słuchając. Tego pragnie twój mąż, słuszna więc, ażebyś i ty tego pragnęła. Życzenia wielu więcéj mogą i bardziéj bogów wzruszają. Szczęśliwie spędzajcie wiek, o drodzy małżonkowie, i zawsze doświadczajcie bogów przyjaźni“.

Poemat polski, poświęcony wspomnieniom wojny, sławionéj w *Epinicionie*, ma napis „Jezda do Moskwy“, a głównym jego bohaterem jest Krzysztof Radziwiłł. Z tym znakomitym panem i wodzem łączyły widocznie Jana z Czarnolasu bliższe stosunki. Już w r. 1576 pisał Kochanowski „Fragment nagrobku“ dla uczczenia pamięci pierwszéj żony Krzysztofa, Katarzyny Anny z Sulejowa Sobkówny; następnie w r. 1578 utworzył epitalamium na zaślubiny tegoż Krzysztofa z Katarzyną Ostrogską; w r. 1583 wreszcie ogłosił opis jego czynów wojennych i posług „z młodych lat“ aż do końca wojny ze wschodnim sąsiadem. Istotnie dotknął poeta w utworze tym piérwszych posług Krzysztofa Radziwiłła, pełnionych pod Ułą w r. 1564, następnie opiewał czyny jego wojenne w Inflantach r. 1578, daléj przedstawił udział jego w wyprawie połockiéj r. 1579 i wielkołuckiéj r. 1580; czyli, innemi słowy, prawie połowę poematu poświęcił na opowiadanie działań swego bohatera przed tą

chwilą, która stanowiła właściwą pobudkę do napisania utworu, mianowicie, przed wyprawą z r. 1581.

Poemat rozpoczyna się od wspaniałego porównania:

Jako więc orzeł młody, na gniaździe wysokiem
Siedząc, za ojcem patrza niespuszczonym okiem,
Kiedy albo wysoko buja pod obłoki,
Albo prędki źwierz goni i drapieżne smoki,
Aż się i sam zaczasem wylecieć ostraszy;
A oto na cień jego wszystek rodzaj ptaszy
I polne uciekają stada: ten swéj broni
Jeszcze nieprawie świadom, bez odrazy goni,
Skrzydłami pogładzając po grzbiecie pirzchliwym,
A potym zajuszony i sam żywie żywym: —
Tak ty, przypatrując się ojcowskiéj dzielności,
O zacny Radziwille, z napirwszéj młodości
Myśliłeś zawżdy sławy domowéj poprawić
I o miłą ojczyznę śmiele się zastawić,
Aniś ty wieku czekał słusznego do zbroje!
Piérwéj dzielność dordzała, niżli lata twoje.

Wyznać wszakże potrzeba, iż na tym wstępie kończy się właściwie istotna poetyczność „Jezdy“. To, co daléj następuje, jest raczéj rymowaną kroniką, niż poematem. Widocznie chwilowe natchnienie znikło; a poeta pracował już tylko dlatego, ażeby utwór ukończyć.

Prof. Pawiński, zestawiwszy „Jezdę“ ze współczesnemi wypadkom źródłami, doszedł do tego przeświadczenia, iż urosła ona na podstawie opisu, sporządzonego przez kogoś co sam brał udział w onéj dalekiéj wyprawie, a prawdopodobnie przez samego Krzysztofa Radziwiłła. Pomimo pewnych wad i braków pod względem ścisłości topograficzno-strategicznéj, które zapewne stąd powstały, że poeta, nie mając szczegółowéj mapy do pomocy, nie umiał się dość swobodnie obracać w tak dalekiéj a nieznanéj sobie krainie nad źródłami Dźwiny, Dniepru i Wołgi, pomimo, powiadam tych stron ujemnych, prof. Pawiński przyznaje poematowi temu wartość historyczną, jako źródłu do skreślenia dziejów

owéj pamiętnéj i ważnéj wyprawy. Zaznacza nadto i tę okoliczność, że, o ile z wiarogodnemi źródłami porównanie przeprowadził, nigdzie w „Jeździe“ uwielbienie dla bohatera nie krzywdzi prawdy historycznéj, owszem zgodnie z nią ręka w rękę postępuje [1]).

Na tém atoli znaczenie „Jezdy“ ograniczyć się musi. Wartość artystyczną posiada niewielką. Wogóle Kochanowski nie celował jako epik. W utworach, w których opis z opowiadaniem się łączył, jak n. p. w „Proporcu“, część opisowa jest piękna, a nawet tu i ówdzie świetna; część zaś opowiadawcza — dosyć mierna. I w „Jeździe“ są gdzieniegdzie istotne piękności, mianowicie w zwięzłych a obrazowych wyrażeniach. Gdy np. rozwijając myśl, niejednokrotnie przez siebie wypowiadaną, iż „Bogu łacno hardego skrócić“, ponieważ on ma w ręku szczęście i nieszczęście, powiada:

. . . . prędko delfin płynie
Prędko i orzeł lata: Bóg obudwu minie.

Ale te pojedyńcze a dość rzadko napotykane miejsca piękne nie mogą okupić powszedniości, panującéj w całym utworze. Nawet pod względem rymowania, ostatni ten znany nam co do daty utwór polski Kochanowskiego chroma wielce i nie daje nam poznać tego swobodnego władania wierszem, jakiego oczekiwać-byśmy mogli od autora „Trenów“. Nie mam tu na uwadze rymów słabych, powstałych z jednakowych form gramatycznych, gdyż wogóle u Jana naszego jest ich dużo; nie myślę téż o takich nieudatnych rymach, jak np. dziw *i to* — nie *zabito;* gdyż, lubo rzadziéj, one się i w innych pismach Kochanowskiego napotykają; ale mam tu na względzie takie asonancye, które pełnego

---

[1]) Zob. wydanie pomnikowe Dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego, T. II, str. 308.

rymu wcale nie stanowią, jak np. rymowanie: *dobrze — szczodrze, wiodąc — bojąc; cwałał — stradał.* Myśmy przyzwyczaili się rymy takie przypisywać Rejowi tylko, a nie Kochanowskiemu; a tymczasem musimy je zaznaczyć w ostatnim jego poemacie polskim, jaki za życia drukiem ogłosił. Do „Jezdy“ jedynie daje się zastosować twierdzenie dotychczasowych biografów Jana, o osłabnięciu jego talentu, lecz stało się to w tym rodzaju poetyckim, w którym Kochanowski nigdy nic znakomitego nie utworzył; w tym rodzaju, który wogóle wiekowi XVI żadnego wielkiego dzieła nie zawdzięcza.

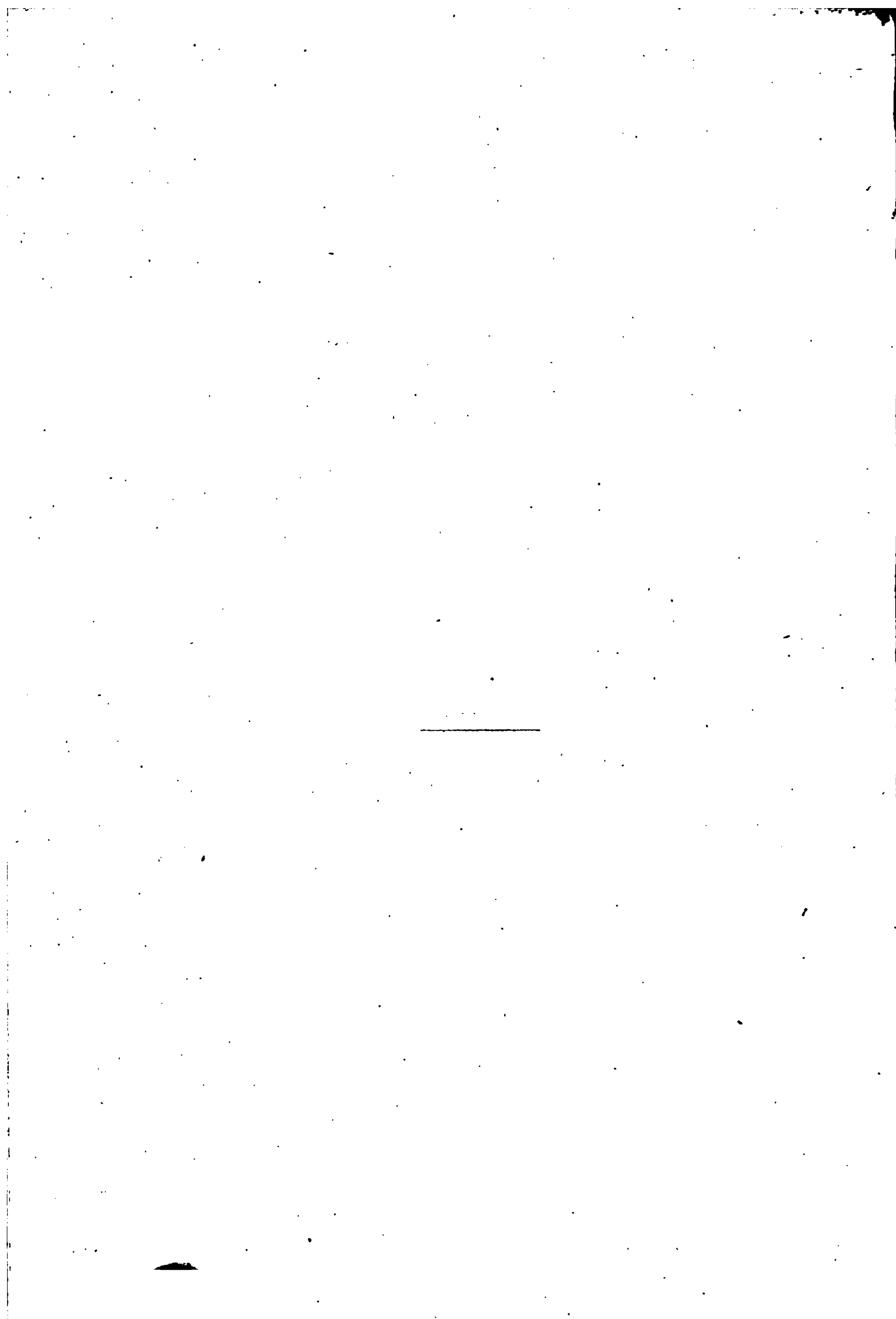
Poznaliśmy w tym krótkim przeglądzie to wszystko, co napewno odnieść można do ostatnich pięciu lat życia Jana z Czarnolasu; przekonaliśmy się, iż w twórczości jego poetyckiéj po śmierci Urszulki istnieje ten sam prąd myśli obywatelskiéj, jaki go ożywiał od samych początków panowania Stefana Batorego; że jego pieśni o wzięciu Połocka, „Epinicion“, pieśń o statecznym słudze rzeczypospolitéj, „Epitalamion“ i „Jezda do Moskwy“ łączą się gienetycznie z „Odprawą posłów“, z „Orfeuszem Sarmackim“, z „Dryadą Zamechską“ i „Panem Zamechskim“; że zatém datować jakąś odrębną chwilę w twórczości poetyckiéj Kochanowskiego od czasu napisania „Trenów“ na śmierć dziecka, jest rzeczą historycznie nieusprawiedliwioną, lecz jedynie z sentymentalnego nastroju nowszych czasów wynikłą. Poeta był niewątpliwie zbolały; stracił najprzód jednę, późniéj drugą córkę, cierpiał dotkliwie w życiu prywatném, jako jednostka; ale, jako obywatel, odczuwał radość prawych synów kraju, cieszył się z pomyślności ojczyzny, wielbił tych, którzy byli téj pomyślności sprawcami; więc téż brał po swojemu, jako poeta, udział w sprawach ogółu, pisał utwory, myślą patryotyczną przeniknięte, ażeby jednym cześć złożyć, drugich

do poświęceń zachęcić. Według etycznéj normy swego czasu postępując, nie rozkrwawiał ran własnych, nie dramatyzował swego cierpienia; ale, jak sam się wyraził, ludzkie przygody po ludzku znosił, chowając się na „trwalsze rozkoszy“, które miały mu się niebawem już dostać w udziale. Dnia 22 sierpnia 1584 roku, będąc w Lublinie, celem upomnienia się o wyśledzenie zabójców swego krewnego, Jakóba Podlodowskiego, tknięty apopleksyą, zmarł. Wydania wszystkich dzieł swoich nie doczekał się; ale potomność o nich nie zapomniała i zapoznawała się z niemi w licznych edycyach, wielbiąc natchnionego pieśniarza i rozumnego obywatela.

1884.

IV.

ZAPOMNIANY POEMAT WACŁAWA POTOCKIEGO.



Czterdzieści lat temu Józef Ignacy Kraszewski, wydając piérwszy tomik swego *Athenaeum,* pośpieszył pomieścić w nim wyjątki nadesłane mu przez Samuela Nowoszyckiego, Krzemieńczanina, z poematu p. n. „Smutna przygoda i śmierć żałośliwa nadobnéj Wirginiej, dziewicy rzymskiéj, ośmiorakim rymem opisana“. Oprócz wyjątków, obejmujących cztéry karty drukowane, dał nadto Kraszewski *fac-simile* jednéj strofy „ośmiorakiego rymu“, pokazujące charakter pisma. O autorze poematu i czasie powstania tegoż nie rozpisywał się wcale; w samym tylko tytule dodał, że owa „smutna przygoda“ opisana została przez „Hieronima z Lipia Lipskiego, roku Pańskiego 1652“. Skąd miał tę pewność, o tém nie wspomina; podaje jedynie wiadomość, że ułamek owego poematu znaleziony został przez Nowoszyckiego przy „oryginalnym rękopiśmie *tegoż autora*, zawiérającym w sobie obszerny poemat: *Wojna chocimska*“. Ta wiadomość pokazuje, że jedyném źródłem pewności o autorstwie „Smutnéj przygody“ były dowodzenia Nowoszyckiego, pomieszczone w „Tygodniku petersburskim“ z r. 1839, przy piérwszém ogłoszeniu o rękopiśmie *Wojny chocimskiéj*. Nowoszycki bowiem starał się przekonać, bardzo słabemi zresztą dowodami, że autorem tego rękopismu był Hieronim z Lipia Lipski; a ponieważ ułamek „Smutnéj przygody“ przy tym rękopiśmie się znajdował, zawnioskowano zatém, że autor *Wojny chocimskiéj* jest i autorem *Smutnéj przygody*.

10*

Nikt wówczas nie zajął się tą sprawą. Autorstwo „Wojny chocimskiéj“ piérwszy jéj wydawca, Stanisław Przyłęcki, przyznał nie Hieronimowi lecz Andrzejowi Lipskiemu; ktoś inny Achacemu Pisarskiemu, aż nareszcie Szajnocha dowiódł stanowczo, że właściwym twórcą poematu był nie kto inny, jak Wacław Potocki, śpiéwak *Argenidy*, *Syloreta* i t. d. Zajęci kwestyą ważniejszego utworu, nie zwrócili autorowie ci bacznéj swéj uwagi na szczupły ułamek „Smutnéj przygody“, który popadł z latami w zapomnienie.

Dopiero Antoni Małecki, pisząc w roku 1859 artykuł o *Andrzeju Morsztynie* do „Pisma zbiorowego“ Ohryzki, wspomniał mimochodem, że w bibliotece Zakładu Ossolińskich znajduje się w rękopiśmie „rozległy poemat, p. t. Smutna przygoda Wirginiej dziewice rzymskiéj“. Autorstwo tego poematu przyznaje Małecki wprost Wacławowi Potockiemu, nie objaśniając, czy nazwisko to wziął z karty tytułowéj rękopismu, czy téż z domysłu, ugruntowanego na téj saméj okoliczności, która poprzednio imię Hieronima Lipskiego Nowoszyckiemu i Kraszewskiemu poddała.

Od tego czasu dwóch pisarzów naszych zajęło się szczegółowém rozpatrzeniem twórczości poetyckiéj Wacława Potockiego, ale żaden z nich, ani Adam Bełcikowski, ani Aleksander Tyszyński, nie posunęli swych poszukiwań do *Wirginii*, zadawalając się wzmianką gołosłowną, że istnieje poemat taki i że drukowano z niego w Athenaeum małe wyjątki. A jeżeli tak obojętnie względem tego utworu zachowali się specyalni badacze pism Potockiego, to czyż można się dziwić, że autorowie podręczników historyi literatury polskiéj, lubiący zasadzać swą działalność na przepisywaniu z gotowego, nie zadali sobie nawet trudu zaregestrowania Wirginii w swoich katalogach, zawiérających spis dzieł Wacława z Potoka?...

Nie myślę z tego powodu robić wymówki wspomnia-

nym, autorom monografij o Potockim; gdyż aby poznać „Smutną przygodę Wirginii“, potrzebaby było albo jechać naumyślnie do Lwowa, albo téż postarać się o przepisanie manuskryptu, a jedno i drugie przedstawiało trudności niemałe.

Szczęściem dla mnie, ta trudność usuniętą została. Okazało się bowiem, że „Smutna przygoda Wirginii“ nie jest rękopiśmiennym tylko zabytkiem, ale téż i drukiem, dostępnym dla każdego, kto blizko większych bibliotek mieszka. Przeglądając szesnasto-tomowy zbiór *Zabaw przyjemnych i pożytecznych*, czasopisma, które wychodziło w drugiéj połowie zeszłego stulecia, znalazłem tam poemat p. n. *Wirginia, rzymska panna*, pomieszczony w drugiéj części tomu XV (z r. 1777, od str. 213—279). Porównawszy tak zatytułowany poemat z ułamkiem „Smutnéj przygody“, drukowanym w *Athenaeum*, przekonałem się, że jest to rzecz całkiem ta sama, z pewnemi jedynie zmianami zarówno w wyrazach, jak i w wiérszach całych.

Tym sposobem nie potrzebujemy już teraz żadnych ponosić kosztów, ani przełamywać żadnych trudności, ażeby się zapoznać z utworem, który przez lat 40 poczytywany był za zabytek rękopiśmienny. Tym téż sposobem uzupełnia się spis dzieł Potockiego, wydanych po jego śmierci; dawniéj bowiem mniemano, że najpóźniéj wyszedł z druku *Syloret* (1764); obecnie przekonywamy się, że jeszcze w lat 13 potém wydano inny utwór autora *Wojny chocimskiéj*, chociaż nazwiska Potockiego nie wymienili wydawcy „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“.

Gdyby mi chodziło o zwiększenie tylko liczby numerów bibliograficznych, mógłbym poprzestać na powyższéj wzmiance; ale chciałbym zrobić coś więcéj, chciałbym dać przyczynek do charakterystyki autora *Wojny chocimskiéj*, wskazać główne cechy jego twórczości, o ile one w odszu-

kanym poemacie się ujawniły, chciałbym słowem sumę naszych poglądów na dawną literaturę polską choćby o parę szczegółów pomnożyć. W tym celu musimy się rozejrzéć w treści poematu.

I.

Wirginia składa się ze 152 zwrotek „ośmiorakim rymem“ to jest oktawami napisanych; z tych atoli piérwsze 57 zwrotek poczytać trzeba za wstęp do właściwéj treści poematu, a ponieważ wstęp ten ma cechy wspólne z epizodami czy ustępami zawartemi w treści, przeto odkładając wzmiankę o nim na późniéj, zajmiemy się przedewszystkiém „smutną przygodą i żałośliwą śmiercią dziewice rzymskiéj“. Streszczenie téj przygody, znanéj z dziejów rzymskich, potrzebne nam jest o tyle, że w niém poznamy styl i sposób obrazowania autora.

W pięćdziesiąt lat po wygnaniu królów, Rzymianie, „wziąwszy przykład od pszczół roboczych“, wysłali posłów po zebranie praw. Za powrotem ich ustanowieni decemwirowie ułożyli wprawdzie prawa na dziesięciu tablicach, równocześnie jednak zasmakowali we władzy:

Ale im cnoty nie stało na wątek:
Powiąźli, skoro skosztowali miodu
Władze królewskiéj; a przeto *narokiem*
Zwloką, żeby się nie skończyło rokiem.

Appiusz [1]) „marszałkował“ decemwirom: umiał ich na wojny wyprawiać, a sam w Rzymie panował jako „tyran łakomy, nadęty, wszeteczny“. Uwiódł się on „miłości

[1]) W „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ w kilkunastu początkowych strofach nazwisko to wydrukowano: *Assyri*, późniéj wszelako przywrócono mu właściwe brzmienie.

niecnotą“ względem córki Wirginiusza, „znacznego w ojczyźnie wodza nad swą rotą“. Nadaremnie jednak próbował przez niecnych pośredników („koczotów“) nakłonić ku sobie nieszpetną panienkę, bo „wstyd i rozum serce jéj ustalił“. Zawziętość Appiusza wzrosła:

Tak go był wściekły apetyt oszalił,
Jakoby pod nim kto zapalił prochy.
Choćby świat, choćby cały Rzym obwalił,
Chce swego dopiąć przez wszystkie pokusy:
Nie miały prośby miejsca, będą musy.

Panna była już natenczas „we zmowie“, to jest zaręczona z Icylim, „człowiekiem znacznym i dostojnym“, co wielkie urzędy w Rzymie sprawował. Za powrotem Wirginiusza z wyprawy wojennéj, Icyli

Nie miał być dłużéj trzymany na słowie:
Ale w świątnicy Junony spokojnéj
Ujęte ścisłéj miłości łańcuchy
Zjednoczyć mieli i ciała i duchy.

Appiusz, ulegając szałowi, który go opanował, powziął przewrotny zamiar, z którym zwierzył się jednemu ze swych „koczotów“:

Widzisz, jaki żart ze mnie sobie stroi,
Przenosząc okiem, córka Wirginiego
Zadawszy ranę nie dba i nie goi.
Chciéj mi afektu dowieść życzliwego,
Wszak wiész, że *prawda przy potędze stoi.*

Słowa te „opieprzywszy złotem“, każe koczotowi weprzéć w Wirginią, że jest niewolnicą w domu jego urodzoną, powiadając, że mu ją w dzieciństwie skradziono... Koczot pochwalił „koncept“ i prosto bieży do „wielkiéj derewni“:

Gdzie Wirginia z inszemi dziéwczęty
(Przy czym ochmistrze bywają i krewni)
A zwłaszcza kiedy dzień się trafi święty,

Albo czytała, albo stare dzieje
Z ust sędziwego brała kaznodzieje...

Koczot pochwycił zpośrodka dziewic Wirginią „za kark nietykany“, mówiąc drwiąco: „Już twéj wolności zégarek docieczę; czas iść w te, gdzieś się urodziła, ściany“. Wszyscy stali przerażeni, panna prawie umarła; zaczyna się wrzawa, słychać wołanie o pomoc i wyrzekanie na przemoc decemwirów:

Już zbójców nie sług będą chować sędzie,
Już żony nasze, już domy po chwili,
Gdy dzieci biorą, brać im wolno będzie,
Tedy już w mieście gorzéj będziem żyli,
Niż *na Krępachu* albo *na Bieszczedzie.*
Niech ten uczynek nie idzie w przykłady,
Niech będzie zabit, kto dziś szuka zwady.

Bezsilne te skargi i zżymania się nie wywierają naturalnie żadnego skutku. Koczot zaczyna tu już odgrywać swą rolę, powiadając, że zabiéra swoję własność, i powołując lud do „sędziego“, to jest do decemwira Appiusza. Stanąwszy przed nim, „bożył się, płakał, klękał, wzdychał“, utrzymując, że Wirginia jest jego niewolnicą:

Czegoż wykrętny nie sfałszuje ozór,
Albo w pokrzywę nie obróci miętki,
Kłamstwo za prawdę udając za pozór?
Trzeba koniecznie na te *obojętki*
Lisie mieć uszy, ostrowidzy dozór,
Którzy sędziami chcą być i podsędki.
Rzadkoż się komu ten stopień da użyć,
Gdzie razem oczy wytrzeszczać i mrużyć.

Appiusz, udając bezstronnego, popisuje się frazesami, że „w ratuszu prawda nade złoto ma ławę“, pyta się Wirginii, co może powiedzieć na swoję obronę, a widząc jéj płacz, szydzi z niéj krwawo, że lepszego argumentu nie posiada, i każe koczotowi wziąć ją do swego domu.

Wtém przybiega narzeczony Icyli z Numitorem, „rum

sobie czyniąc między lud strwożony“. W mowie zwróconéj do Appiusza Icyli przypomina, że Wirginiusz, stary zasłużony żołnierz, bije się za ojczyznę i na większe zasługuje względy, aniżeli jakiś „szuj“; że częstokroć żałować nam przychodzi wyroków skwapliwych, a nadto przypomina, że niebawem i Appiusz, „skończywszy swoję robociznę“, zrówna się z innymi. Rozwścieczony tą mową Appiusz lży Icylego i każe „siepaczom“, to jest liktorom, pochwycić Wirginią.

Już się okropni ruszają siepacze,
Wyniósszy rózgi i długie siekiéry.
Tłum wszystko wzdycha cicho, cicho płacze,
Kiedy Icyli: „Nie dwadzieścia cztéry,
Niech wszyscy waszy staną posiewacze,
Chcący wykonać te twoje *emiry;*
Dopiéro przez krew, przez trup i me rany.

Appiusz, zląkłszy się groźnéj postawy Icylego, oświadcza, że dla zasług Wirginiusza i rzewnych łez jego córki, odkłada termin do jutra, wiedząc dobrze, że sam ojciec z trudnością mógłby z obozu podążyć, gdyż go od Rzymu dwadzieścia mil oddzielało; wysłał nawet rozkaz do wodza, ażeby „pasu“ Wirginiuszowi nie wydawał.

Omyliły go jednak rachuby. Icyli lotem wysyła brata na „rączym batraku“, by zawiadomił Wirginiusza o zaszłém nieszczęściu. Ojciec, nie pytając o pozwolenie, zbiegł z obozu i przybył do Rzymu:

Córki nie zastał, bo ta, lejąc rzewne
Łzy, obiegała znajome i krewne.

Targała włosy uboga dziewczyna
I na *sromotną gładkość* narzekała:
„Taż będzie mojéj obelgi przyczyna,
Skąd em ja szczęsnych godzin wyglądała.
To mnie zabija, to jest moja wina!
Nie tweż-em piersi, wdzięczna matko, ssała?
Pomnę cię, przebóg, rodzicielko złota,
Nieszczęsna dziéwka, nieszczęsna siérota!

Wstań dzisia z trumny, opowiédz się przy mnie
Albo proś bogów, niech umiéram z tobą,
Niech o weselu nie słycham i hymnie,
Niech raczéj skałą stanę się z Niobą,
Albo z Cyaną krynicą na zimnie,
Albo jak Dafne *widzący* za sobą,
Z nieczystą żądzą goniącego boga,
W drzewo się martwe obrócę, nieboga..."

Wirginiusz, „z nocnego nieotarty trudu", zjawia się na rynku, gdzie wielki tłum ludu wyrzekającą córkę jego okalał. „Na ratuszu" siedział Appiusz, otoczony orszakiem krewnych i sług, kazał „siekiéry wynosić ku górze". Ojciec z córką stanęli obok siebie:

A jako przy swéj macierzy jagniątko
Tuli się, gdy wilk bierze niebożątko,
Tak ojcowskiego nie odstąpi boku
Mizerne dziéwczę; co się tylko ruszy,
Wzrok pełen płaczu trzyma w jego wzroku,
Ani wybladłych jagód nie osuszy...

Tu następuje powtórzenie sceny wczorajszéj: skarga koczota i wyrok Appiusza, który, drwiąc z biédnego ojca, utrzymuje, że „ani gospodarz, ani gospodyni nie wiedzą, co się w ich domu stać może", a że nierad *gluzuje* swe wyroki, potwierdza zatém to, co wczoraj powiedział:

Tak mówił z fukiem Appiusz nadęty,
Oczy złéj żądzy zaślepiwszy *psiną*,
Wszystek jak w ogniu miłości przeklętéj
Gore i serce zajusza wściekliną.

Wirginiusz w krótkiéj ale silnéj mowie z goryczą dziękuje Appiuszowi za dekret wydany bez wysłuchania drugiéj strony, przytacza przykład Kambizesa, co podobnemu jak Appiusz sędziemu zdjąwszy skórę, krzesło sędziowskie nią obił, a kończy groźbą:

I my znajdziemy taki kozik w Rzymie,
Co z ściérwa czoło niewstydliwe zdéjmie.

Appiusz, tknięty do żywego, ścisnął tablicę, co ją miał „na podołku“ i rozkazał siepaczom pochwycić Wirginiusza, jego córkę i Icylego:

Jako więc chmura zbytnim słońca znojem,
Nabrawszy z ziemi wilgotności grubéj,
Okrutnym światu grozi niepokojem,
Wprzód ogniem ślepi przez skryte *skałuby*,
Zaś głuszy gromem, którego się bojem,
Nakoniec piorun z twardéj ciska *gluby*:
Tak téż złą żądzą obciążywszy płuca *(sic)*,
Błyska Appijus, grzmi i piorun rzuca.

Wirginiusz, widząc zbliżających się siepaczów, a nie dostrzegając wśród obecnych nikogo, coby go wsparł w przypuszczalnéj walce, udaje pokorę i prosi Appiusza, aby mu pozwolił oddalić się na chwilę wraz z córką, celem wypytania się mamki o szczegóły, mogące objaśnić sprawę. Appiusz zezwala i staje w oknie. Wirginiusz „nizko mu się schyla, a we łzach krwawych całém sercem moknie“. Wziąwszy córkę w towarzystwie kilku niewiast, oddala się. Wtedy następuje katastrofa.

A skoro mijał już rzeźnicze jatki:
„Nieszczęsna — rzecze — dziéwko swojéj matki,
Brońmy czystości świętéj, jako możem“.
I w lot porwawszy z ręku od rzeźnika
Pchnie ją kończystym w miękkie piersi nożem.
To skoro go krew gorąca ociéka
(Nadzieja w wielkiém miłosierdziu bożem)
Na Appijusza, co ma garła, krzyka:
„Że ta krew przez twą wylana przyczynę
Ugasi twych żądz przeklętą wściekłinę“.

Na rozkaz „rozjedzonego tyrana“ drabi obskoczyli Wirginiusza, ale i on wyjął „pałasz naostrzony“ i wyszedłszy z miasta w wielkim orszaku, dosiadł konia.

Tymczasem wrzawa straszna powstała w mieście. Appiusz, blizki rozpaczy i szaleństwa, patrzéć musi na to,

jak Numitor z Icylim niosą ciało dziewicy „na ognisko“. Raz jeszcze próbuje użyć swéj władzy, by się pomścić przynajmniéj na Icylim:

Jeszcze mi się tu jak na złość *przesusza*,
Jeszcze mnie swym kłem jadowitym siecze,
Niosąc mi trupa około ratusza;
Przynajmniéj mi ten *malarz* nie uciecze,
Niechaj się tą krwią darmo nie ojusza.
Przywiedźcie mi go, a jeśli się bronić
Będzie, łatwiéj go zabić, niźli gonić.

Siepacze ze zwykłym animuszem poszli spełnić rozkaz. Ale usposobienie narodu, wstrząśnięte do głębi okropnym wypadkiem, uległo nagłéj zmianie. Wśród zebranego tłumu Horacy i Walery, zasiadający w senacie, rozprawiali już o pozbyciu się decemwirów, a przedewszystkiém Appiusza. Jako piérwszego aktu tego poczucia się we własnéj sile, dokonali pomsty na pachołku znienawidzonego tyrana:

Tu za czuprynę ująwszy siepacza,
Horacy naprzód, a potym Walery
Po same uszy w błocie go umacza;
Połamią rózgi, potłuką siekiery.
Już i pospólstwo z bojaźni *wystrasza*,
Widzące takie przy sobie kozery.

Appiusz, przypatrując się temu, choć gniewem płonie, czuje już przecie i lęk w sercu; chce jeszcze nadrobić miną i, przybrawszy spokojną postawę, każe przez woźnych zwołać lud; sam zaś co żywo wstępuje na „pochyłe wschody“. Ale tuż za nim weszli Horacy z Walerym i usiedli na krzesłach obok niego, mówiąc szyderczo:

„Takżeś, Appii, oszalał széroce,
Także daleko twa cię żądza zniesła!
Toś ty jeden pan, a my wszyscy sroce
Wyszli z ogona? Tegośmy rzemiesła
Ludzie, co i ty. Darmo dźwigasz chwosty,
Jużeś nie sędzia, już Appijusz prosty.

Gdy tak Horacy „całą gębą“ prawił, tyran przerażony „siedział jako niema ryba“, a uznając w duszy, że w samowolności swojéj zadaleko się posunął, „łeb zawinąwszy, w ciasny się kąt tłoczy“.

W tém miejscu rozpoczyna się druga właściwie część poematu, niezaznaczona wprawdzie przez samego autora, ale mimo to widoczna dla każdego uważnego czytelnika. Treścią téj części najogólniejszą jest przygotowanie i dokonanie zemsty na Appiuszu.

W obozie z przybyciem Wirginiusza powstaje na jego widok wielkie poruszenie, a gdy w dosyć długiéj (strofa 121—130), lecz niezbyt udatnéj (jak dla nas) mowie zrozpaczony ojciec przedstawił spółtowarzyszom przebieg strasznego wypadku, popłakali się wszyscy i „wzgardziwszy hetmańską buławą“, rozbiegli się każdy „do swojego znaku“.

Na napomnienia „hetmanów“ stawili się hardo nietylko słowy, ale i czynem. Wyruszyli w drogę, nie zaglądając w progi domowe, „jakby z przegranéj, jakby szli z pogromu“. Przybywszy pod Rzym „połowa na bliżką górę wstąpiła, a połowa wedle góry siadła“. Z Rzymu „rycerstwo“ wyniosło rzeczy i na wozach poukładało.

Struchlały senat („pańskie dwory“) widzi nazajutrz, że w mieście, jak w lesie, głębokie milczenie. Chcąc zaradzić złemu, schodzą się senatorowie na naradę „do kościoła“, a następnie wysyłają posłów do „rycerstwa“, zapewniając, że „jest prawo i na sędzie“. Rycerstwo na to odpowiada:

Miły nam Jowisz, miła nam ojczyzna;
Ale to niechaj *patricii* wiedzą,
Co i sam Jowisz widzi i sam przyzna,
Że oni nasz chléb a niesłusznie jedzą;
Ich wczas, ich pokój, nasza — robocizna,
Niechże w tém mieście zostawają sami.
I nam Bóg w niebie, ziemia pod nogami:

Nie pójdzie żadne z nas na swoje *siadło*
I żaden swego nie ogląda dachu,
Aż wnidzie w koléj to, co z niéj wypadło,
Aż zpod takiego wybrniemy zamachu.
Umiemy wszyscy dobrze *obiecadło*,
Więc nie chce się mićć nam nad sobą strachu,
Równo się sądźmy i pospolstwo i wy,
Jednako niechaj cierpi, kto jest krzywy.

Jednym kir łokciem mierzyć z *karmazynem*,
Jednym pszenicę z owsem równać strychem;
Kto w mieście mieszka, każdy *mieszczaninem*.
Choć wszyscy jednym w *klasztorze* kielichem
Kiedy ofiary Bogu czynią winem,
A wżdy nad prostym jest gwardyan mnichem.
Niech będzie burmistrz i wójt w każdéj rzeszy,
Ale w nadzieję tego niech nie grzeszy.

Ta stanowcza i ostra odpowiedź rycerstwa wywołała długą ze stron obu rozprawę, któréj rezultatem było odjęcie władzy „sędziom“ to jest decemwirom, a oddanie jéj dwu konsulom nie dożywotnim; „pospólstwo“ nadto zastrzegło sobie wybieranie dla siebie „sędziów“, to jest *trybunów*. Jednym z tych sędziów został Wirginiusz. „Nie tak ochoczy, chociaż będzie głodny, ogar do knieje puszczony ze sfory“ — jako nowy sędzia, który przebaczywszy koczotowi dlatego, że działał poniewolnie, zawezwał Appiusza, żeby zdał sprawę ze swych sądów. Appiusz, „drżąc jak ryba“, stanął na ratuszu, gdzie ojciec nieszczęsnéj Wirginii wskazał mu krew na progu, jako najwymowniejszego świadka jego winy. Były „sędzia“ poszedł tedy do „turmy“, kędy inszych wpychał; a chociaż krewni „nie folgowali złotu“, nie potrafili go przecież od pomsty Wirginiusza zasłonić,

(Bo) jako skała, co ma grunt głęboki
Nie da się ruszyć największemu młotu,
Do takiéj rówien Wirgini opoki
Nie wyjmie z serca krwawionego (sic [1])

---

[1]) Wiersz oczywiście zepsuty, niéma bowiem rymu.

Nie da się użyć, nie da zmiękczyć póki
Kochanéj córki nie ukoi cienia,
Oddawszy katu Appiego z więzienia.

Straciwszy tedy wszelką nadzieję uniknięcia ciosu nieodwołalnego, Appiusz, chcąc uniknąć hańby...

Gdy go u pala, odarszy z odzieży
Będą rózgami chłostać miejscy kaci,
Potym udawią; w czas temu zabieży
I tak się dobrze sam swą ręką *stroczy*,
Że ze łba obie wylazły mu oczy.

Trzy ostatnie strofy utworu, zaokrąglające opowiadanie sensem moralnym, przytaczam w całości:

150. Ten ci to koniec miała transakcyja,
Stara przypowieść: jakie kto uwarzy,
Lub złe lub dobre, takie piwo pija,
A czasem jeszcze i breczką się sparzy,
Że się na duszy i ciele zabija.
Niezawsze się grzech umyślony zdarzy:
Na złyś-to aspekt, Appiuszu, na zły
Swym trafił, aż ci i oczy wylazły.
151. I tak ci z jednéj cały świat przyczyny
Od początku się aże dotąd psuje;
Stąd w monarchiach żałosne ruiny,
Ta Rzym po dwakroć miesza i nicuje,
Ale, ach, rzadkież takie heroiny,
Rzadko w gładkości przystojność przodkuje,
Jeno ta, co ma przysmakiem być do niéj —
Odpuścić proszę — od urody stroni.
152. Gdzie lecisz, pióro? Najlepsze kazanie
Krótkość zaleca, albo trochę skromniéj
O damach; szkoda następować na nie.
Z kości-ć stworzone, a dlatego pomnij,
Że z ciałem muszą miéć swe zachowanie
I zawsze sobie pragną być przytomni.
Ciało bez kości — co dusza bez ciała;
Że k'sobie dążą, tak natura chciała [1]).

---

[1]) Strofy *Wirginii* w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ nie są numerowane, dokonałem więc tego liczbowania sam, dla ułatwienia sobie cytat.

II.

Nie myślę bynajmniéj przeceniać streszczonego powyżéj poematu pod względem estetycznym; utwory jednak naszéj literatury dawnéj zasługują na poznanie i rozbiór, choćby z tego względu, że nam uprzytomniają przeszłość, od zrozumienia któréj tak dalecy jeszcze jesteśmy. Niewątpliwie miłą jest rzeczą, gdy się odkryje jakieś dzieło znakomite, jakiś dowód nadzwyczajnego talentu; nie należy jednakże ze zbyt wielkiém lekceważeniem spoglądać na tę niewątpliwą większość płodów umysłowych, które, bliższemi będąc poziomu, dają nam poznać nie wierzchołkowe, ale przeciętne uzdolnienie narodu naszego.

Twórczość Wacława Potockiego zależną była zazwyczaj od twórczości obcéj, która mu dawała główną osnowę i ramy utworu, zapełniane następnie przez poetę oryginalnemi w szczegółach pomysłami. Wyobraźnia nie mogła znosić pęt niewolniczych, dlatego téż poeta, choć wziął się z początku do prostego tłomaczenia tylko cudzych rzeczy, w biegu pracy odstępował od swego wzoru, porzucał go na chwilę, ażeby, dawszy wyraz swemu własnemu usposobieniu lub przekonaniu, powrócić do autora, któremu zasadnicze swe pomysły zawdzięczał. Wykazano już dostatecznie taki tryb tworzenia zarówno w *Argenidzie*, gdzie miał być tłomaczem Barclaya, a umieszczał swoje poglądy i spostrzeżenia polityczne, jak i w *Wojnie chocimskiéj*, gdzie przedsięwziąwszy pisać poemat, szedł wiernie za pamiętnikami Jakóba Sobieskiego, w niektórych tylko miejscach od nich odstępując i czy-to z tradycyi, czy z innych źródeł czerpiąc pomysły, których u Jakóba Sobieskiego nie napotykamy. Zdaje się, że tak samo rzecz się miała i z *Syloretem*, jakkolwiek nie udało się dotychczas odszukać właściwego twórcy téj fantastycznéj powieści.

Co do *Wirginii*, to samo przez się nasuwa się przypuszczenie, że poeta korzystał z opowiadania dziejopisa rzymskiego Liwiusza, który w piętnastu rozdziałach swojéj historyi (księga trzecia, roz. XLIV—LXVIII) zawarł to wszystko, co stanowi treść poematu Potockiego. Po uważném rozpatrzeniu się w opowieści Liwiusza i porównaniu jéj z utworęm naszego poety, trudno nie przyjść do przekonania, że Potocki bardzo wiernie trzymał się dziejopisa rzymskiego co do przebiegu wypadków zewnętrznych, pochwycił zatém prywatny raczéj niż publiczny charakter walki wywołanéj nieszczęsną śmiercią Wirginii. Wprawdzie i poecie naszemu w toku opowiadania z konieczności mówić wypadło o stosunku plebejuszów do patrycyuszów, o żądaniach, jakie postawili pierwsi względem drugich, ustąpiwszy na górę świętą; ale ta wewnętrzna polityczna strona wydarzeń przedstawia się w *Wirginii* bardzo niejasno, mimochodem tylko; ważność ówczesnéj chwili dziejowéj, w któréj utrwaliła się już na wieki instytucya trybunatu i rozpoczęło się zrównanie polityczne stanów, nietylko nie została zaakcentowaną przez Potockiego, ale nawet prawie jest niedotknięta.

A jak ogólne pojęcie dziejowych wypadków, tak i przeprowadzenie ich szczegółowe w nakreśleniu obyczajów i charakterów nie znalazło w poemacie naszym wiernego pod względem wewnętrznym wyrazu. O tém, że rzecz odbywa się w połowie V stulecia przed Chrystusem, pamięta Potocki, ale tylko, że tak powiem, chronologicznie. Jak wszyscy spółcześni jego, tak i on nie potrafił przenieść się w czasy odległe myślą i uczuciem, nie potrafił oddać artystycznie odrębnych obyczajów, nie odczuwszy ludzi takimi, jakimi oni być mogli na 22 wieki przed nim. Potocki sądzi, że wszyscy ludzie musieli być takimi, jakimi byli Polacy w XVII stuleciu, że wszystkie urządzenia i obyczaje musiały miéć nader wielkie podobieństwo do urządzeń i obyczajów polskich;

tak zresztą jest i naturą i instytucyami kraju swojego przejęty, a do wyrażeń mowy potocznéj przywiązany, że nie może ani na chwilę wyzuć się ze swojéj osobistości i przenieść się w duszę kogoś innego, ażeby jego myślami myśléć, jego uczuciami czuć, jego słowami przemawiać. Jak współczesny mu Wespazyn Kochowski, przedstawiając mękę Chrystusa, wyobrażał sobie Żydów takimi, jakich widział w miasteczkach sandomierskich, tak i on w dawnych Rzymianach widzi swoich braci szlachtę. Rzeczpospolita rzymska, jak Rzeczpospolita polska, ma swój stan senatorski i rycerski; patrycyusze i plebejusze utożsamili mu się zupełnie z tém, co miał przed oczyma. Decemwirowie i trybunowie, to dla niego „sędziowie“ tylko, bez różnicy w atrybucyach, kompetencyi i władzy; i jedni i drudzy sprawują swe czynności „na ratuszu“; *civis* rzymski jest dla niego „mieszczaninem“, który chcąc dać poznać przez porównanie brak bezpieczeństwa i opieki prawnéj, wspomina o opryszkach, mieszkających w okolicy Krępaku i Bieszczadu, a dla nacechowania samowładnych wyroków sędziowskich nie znajduje innego określenia, nad tureckie *emiry*. Wodzowie są tu „hetmanami“, senatorowie przedzierzgają się czasami na „wojewodów“, a żądza Appiusza oznaczona jako chęć założenia „seraju“; patrycyusze narady odbywają w kościele, jakby jaki sejmik polski; Icyli jest blizki *kobierca*, jak jaki hoży sąsiad Potockiego koło Łużnéj, a Appiusz zadługo „siedzi nad talmudem“, jak rabin małomiasteczkowy.

Ta niemożność pozbycia się przyzwyczajeń, zaciągniętych od dzieciństwa, to przejęcie się stosunkami krajowemi, aż do zapomnienia o różnicy czasu i miejsca, jest niewątpliwie jedną z najcharakterystyczniejszych cech naszéj literatury XVII stulecia. Byli nawet tacy pisarze (Mecherzyński, Bartoszewicz), co tę cechę za dodatnią podawać chcieli. Tak n. p. Bartoszewicz, mówiąc o mówcach kościelnych

owego czasu, nie może się powstrzymać od słów uwielbienia dla ich poczucia narodowego. „Rzeczywiście — powiada — nigdy literatura nasza nie była tak szczeropolską, jak w płodach kaznodziejskich w. XVII. Wyzwoliwszy się z form rzymskich, ktore ją krępowały za złotéj epoki, chociaż nie rozkochała się we wzorach wielkich, porywających wymowy, ale zato nawskroś przejęła się miłością ku swojskim rzeczom. Dziwne tam doprawdy panuje wszędzie zaślepienie, *ale jak poczciwe, jak zacne!* Mówcom naszym kościelnym zdaje się, że wszędzie napotykają Polskę; po całym świecie spoglądają i widzą instytucye, zwyczaje polskie i nic więcéj jak polskie. Zarówno w starym, jak i w nowym świecie, w biblii i w chrześcijaństwie, w Turcyi i w Jerozolimie, wszędzie jest rzeczpospolita, są starostowie, biskupi, sejmy, wszystko tam w żupan przybrane. Chrystus Pan, to król szlacheckiego narodu, a jego apostołowie, to senat; lud izraelski to szlachta; królowie Palestyny wojują z Tatarami, bo tak się nazywają Madyanici u naszych mówców kościelnych“. (Hist. lit. pols. I wyd. str. 370). Trafność tego spostrzeżenia sprawdza się nietylko na kaznodziejach, ale także i na poetach naszych wieku XVII; powszechność atoli zjawiska nie powinna przysłaniać nam oczu na jego wartość i znaczenie... Dostrzeganie podobieństw pomiędzy rzeczami jest jedną z najwybitniejszych cech umysłowości zarówno narodów pierwotnych, jak i dzieci; dostrzeganie natomiast różnic coraz subtelniejszych staje się wskazówką wyższego rozwoju. Jeżeli zaś w czasach i krajach oświeconych spotykamy się z takim popędem utożsamiania zjawisk, jak u nas w wieku XVII, to musimy wnosić, że wykształcenie, doprowadzające do takiego zamętu pojęć, chaotycznêm być musiało. Takie wykształcenie nie wyklucza bynajmniéj wielkiego zasobu wiadomości, wielkiéj erudycyi książkowéj, z którą lubili się popisywać ówcześni pisarze; ale nie daje

natomiast dowodów gruntowności i głębokości zdobytéj wiedzy.

Ta powierzchowność w przedstawieniu stosunków politycznych, społecznych i towarzyskich, łączyła się u Potockiego z wielką obfitością słów, ale ze szczupłym zakresem wyobraźni plastycznéj, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Jakoż wyprowadzone przezeń na scenę charaktery męskie, Wirginiusza, Icyliusza, Horacyusza i Waleryusza, są w gruncie rzeczy tymi samymi ludźmi krewkimi, popędliwymi, gotowymi do zwady i rokoszu, bez żadnego cieniowania, bez żadnéj wybitniejszéj cechy czy-to w słowach, czy w czynach. Wymowni, a raczéj z naszego punktu widzenia gadatliwi tylko, rubaszni, pochopni do lżenia przeciwników, nie mają w sobie ani odrobiny powagi rzymskiéj. Charaktery złe i przewrotne (Appiusz i jego pomocnik) są już czarne od stóp do głowy, a dotego nikczemne i tchórzliwe. Pierś ich nie ma przytułku dla chwilowych choćby wzruszeń, coby nad zadowolenie poziomych żądz wystrzeliwały. Pod tym względem razi przedewszystkiém postać Appiusza, przedstawiona bez żadnéj godności, niemogąca niczém usprawiedliwić wyboru na decemwira: dopóki jest przy władzy, zachowuje się jak tyran; kiedy ją traci, widzimy w nim ostatniego tchórza.

O ileż świetniéj wyglądają charaktery te same w opowiadaniu Liwiusza! Nie wdając się tu w szczegółowe ich zarysy, któreby odkrywały w każdym z nich odrębną indywidualność, zwrócę jedynie uwagę na wielce upośledzonego w *Wirginii* decemwira. Zawsze dumny przewódca partyi patrycyuszów, nie traci ani jednéj cząstki ze swéj pewności siebie nawet wówczas, gdy plebejusze odnoszą stanowcze zwycięstwo, nawet wówczas, gdy śmierć niezawodna mu grozi. Ten okrutnik, co u Potockiego „drży jak ryba", kiedy władzę utracił, ukazuje się u Liwiusza jako

człowiek niepospolitéj przytomności umysłu i rzadkiéj zręczności. Jakoż bez najmniejszéj obawy wobec tłumu, nietyle broni siebie, pomijając niemal oskarżenie, ile przepowiada klęski ludowi, jeżeli sprawiedliwości nie uczyni zadość, jeżeli dla zemsty prywatnéj narazi na szwank zasadnicze prawa rzeczypospolitéj. „Nie przeląkłem się tak dalece — mówi — nienawiści, ażebym nie miał żadnéj nadziei w sprawiedliwości i miłosierdziu spółobywateli. A jeżeli bez przeprowadzenia procesu osadzony będę w więzieniu, to odwołam się do trybunów ludu i przypomnę im, ażeby nie naśladowali tych, których nienawidzą. Jeżeli zaś trybuni przyznają, że są związani w swéj swobodzie zamachem na zniesienie odwołania się, o co właśnie oskarżali decemwirów, to ja odwołam się do ludu i błagać będę o zastosowanie praw o tém odwołaniu się, praw zarówno konsularnych, jak trybuńskich, w tym samym roku wydanych. Któremuż z plebejuszów i biedaków prawa przyjdą w pomoc, jeżeli mnie, Appiuszowi Klaudyuszowi, na nic się nie zdały? Ja-to stanę się na przyszłość dowodem, czy nowe prawa utrwalają samowładztwo, czy wolność; czy odwołanie się do trybunów i ludu wrazie nadużyć urzędników jest istotnym przywilejem obywatela, lub téż marną literą na pokaz“. (Ks. III, roz. 56).

Ten człowiek samowolny, wzywający praw na swoję obronę, jest niewątpliwie istotą przewrotną, ale jednocześnie okazuje on ten hart duszy, który prędzéj doprowadzi do zadania sobie śmierci, aniżeli do zniżenia się i upokorzenia wobec wzgardzonego motłochu. Odwaga znoszenia następstw własnego postępowania nie usprawiedliwia naturalnie złych czynów, dowodzi atoli, że ten, co ją posiada, nie jest tchórzem nikczemnym. W opowiadaniu Liwiusza rozumiemy, dlaczego Appiusz mógł zostać jednym z tych, którym Rzymianie władzę najwyższą powierzyli; takich

ludzi bowiem lekceważyć niepodobna. Tacy téż ludzie stają się doskonałym materyałem dla artysty. Ale ażeby ich należycie przedstawić, potrzeba pewnéj bezstronności, potrzeba pewnego poczucia siły wszędzie, gdzie się ją napotyka, czy u ludzi dobrych, czy złych moralnie. Geniusze bezstronność taką, przedmiotowość taką w traktowaniu postaci posiadając, tworzą postacie żywe naprawdę. U Potockiego względy moralne przeważyły nad estetycznemi, a raczéj nie było w nim zapewne żadnego wahania się w wyborze środków przedstawienia tyrana wstrętnego. Człowiek, dla którego autor nie mógł czuć sympatyi, został odarty ze wszystkich zalet, któreby niejaki promień światła na twarz jego ponurą rzucić mogły; poeta chciał nietylko, żeby był złym i okrutnym, żeby zatém obudził obawę i wstręt, ale także żeby nim pogardzać można, jako osobistością lichą, tchórzliwą. Jak wszyscy pisarze tym trybem tworzący, tak i Potocki nie spostrzegł się, że zwycięstwo nad tak nikczemną istotą nie robi wielkiego zaszczytu owym ludziom dobrym i dzielnym, których pokonany był wrogiem.

Postacią najlepiéj stosunkowo przez poetę naszego nakreśloną jest bahaterka tytułowa. Bierna jéj ale wzruszająca rola w całéj téj sprawie zatargu pomiędzy patrycyatem a plebejuszami przedstawiona została przez Potockiego w słowach prostych, a czasami nawet rzewnych. To właśnie, że nie pozuje, że się nie popisuje swojém bohaterstwem, że nie wié poprostu o swéj naiwnéj wielkości, czyni ją naturalną i sympatyczną. Parę razy tylko zjawia się przed nami, ale za każdym razem przynosi ze sobą jakby woń świéżości, jakby atmosferę czystą i orzeźwiającą. Czy-to kiedy w gronie dziewcząt niewinnym oddaje się zabawom, czyta, lub słucha opowiadania o starych dziejach, czy kiedy tak wzruszająco narzeka na „gładkość sromotną“, czy wreszcie kiedy spokojnie, bez afektacyi poddaje szyję pod nóż

ojcowski: wszędzie widzimy prostą, niewinną dziewicę, w cudnym jakimś uroku nam się ukazującą. Stądto i ta część poematu, w któréj Wirginia występuje, ma niewątpliwie wyższość nad resztą.

III.

Jeżeli teraz zwrócimy się do przeglądu kompozycyi poematu, to przedewszystkiém przypomniéć sobie musimy, że trzecią część jego pozostawiliśmy dotychczas na boku. Trzecią tę część stanowi wstęp, w którym poeta starał się na najrozmaitszych przykładach wykazać myśl zasadniczą, przewodniczącą mu przy układzie utworu. I jakaż to myśl? Oto, że jeżeli nie wszystkich, to przynajmniéj bardzo wielu nieszczęść na świecie stała się przyczyną — kobiéta, czyli, mówiąc słowami autora:

Nieszczęsna z swemi białogłowa datki,
Często nam psikus, często złość wyrządza.

Ta jakaś fatalność, związana z naturą kobiécą, wzięła początek jeszcze w raju, kiedy „piérwsza nasza rodzicielka“ Ewa dała się zwieść wężowi, co to jéj ofiarował jabłko „wszelkiéj złości zarażone jadem“, gdyż „pożute“ przezeń — bo jak objaśnia nasz poeta, wąż nie miał przecież ani rąk, ani widelców, któremiby mógł „frukt nieszczęsny“ podać niewieście... A Ewa tak była naiwną (autor mówi: głupią), że nietylko nie „obłupała“ oślinionego przez węża fruktu, ale go nawet może nie otarła... Odtąd usposobienie kobiéce ma w sobie coś jadowitego:

Lecz nie stanęła ta zaraza w Ewie;
Wszystka biała płeć tym jabłkiem otruta,
Chytra, zazdrosna, niewściągniona w gniewie,
Pyszna, i większa trzyma się jéj buta
I swoich złości kiedy przestać nie wie...

Przez piérwszych 15 strof poeta, rozpocząwszy od zburzenia Troi i od jabłka Parysowego, przebiega w krótkości dzieje tych, co powabom białogłowskim uległszy, nieszczęścia na siebie i innych ściągnęli: a więc mówi o potopie, o Sodomie, Dawidzie, Samsonie, Salomonie, „Zuzanistach“, córkach Lotowych i t. p., robiąc przytém wycieczki w prawo i w lewo, moralizując lub szydząc.

W strofie 16-téj powściąga swoję „muzę“, ażeby powróciła „skąd poczęła“, przypomina sąd ostateczny, na którym „każdy sam na się będzie miał kobuzą“ — a potém wylicza (w strofie 17 23) przykłady pogan, wstrzemięźliwością słynnych. Figurują tu Hippo i Milesia, Sofronia „konterfekt czystoty“, Demokles, Aleksander W., Penelopa.

Po tém zwiedzeniu rozmaitych zakątów świata starożytnego, przechodzi wreszcie poeta do Rzymu, gdzie „stek wszystkie grzechy, wszystkie miały zbrodnie“, ale téż zarazem był i cnót wielkich przybytek, gdyż, jak mówi, Rzymianie

Gdyby pod nowym żyli testamentem,
Rzadki, któryby nie był dzisia świętem.

Jako wzór wstrzemięźliwości i panowania nad sobą, stawia Scypiona Afrykańskiego, uważając go za większego od Agamemnona, Herkulesa, Argonautów i Achillesa, co motywuje uwagą:

Co mi za rycerz, choć kto wojska gromi,
Kiedy go lada dziéwczysko uskromi...
Siebie zwyciężyć większéj u mnie wagi,
Niż szturmem Troje, albo brać Kartagi.

Széroko tedy opowiada czyn powściągliwości Scypiona, kiedy przywiedziono do niego piękną Kartaginkę, a on, do-

wiedziawszy się, iż była obiecana Allucemu, przywołuje go i oddaje mu narzeczoną [1]).

Jakby dla kontrastu z tym czynem wstrzemięźliwości, opowiada autor od strofy 39 do 45 haniebny postępek Tarkwiniusza z „cną Lukrecyą“, żoną Kollatyna, która, wyjawiwszy mężowi swą hańbę, sama się zabija. Kilku strof następnych używa poeta, w celu przedstawienia rozpaczy Kollatyna, poprzysiężenia przezeń zemsty, buntu w obozie i mieście, tudzież wygnania tyranów. A ponieważ przy ich wypędzeniu postanowiono uśmiercić każdego, coby albo radził, albo sam się napiérał królem być, więc w trzech strofach (49—51) przytacza autor przykłady tych, co gardło dali, z powodu posądzenia o pragnienie korony; a więc mowa o Manliuszu (którego nazwisko przekręcono w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ na *Monsiasz)* i Meliuszu.

Nie potrzeba podobno długo rozwodzić się nad tém, że wstęp taki w stosunku do całości jest niepomiernie długi i zamiast uwydatniać myśl zasadniczą, zaciemnia ją tylko. Wszystkie przykłady przez poetę przytoczone, dowodzące nieszczęść spowodowanych przez kobiéty, nie mają właściwie zastosowania w historyi Wirginii; śmierć jéj, choć sama przez się smutna i bolesna, a jak mybyśmy powiedzieli, tragiczna, przyniosła w rezultacie nie klęskę, lecz szczęście dla Rzymu, poprowadziła do usunięcia decemwirów, do politycznego zrównania stanów, i zainaugurowała najświetniejszy okres w dziejach Italii starożytnéj. Mówię to naturalnie nie z punktu widzenia historycznego, gdyż dzieje wykrywają głębsze i liczniejsze powody wymienionych prze-

---

[1]) Ten sam wypadek opowiada Potocki w „Wojnie chocimskiéj“ (część VII.):

Tak wielki Lubomirski Achillesa w męstwie,
W wspaniałém Scypiona wyrównał zwycięstwie.

mian, ale jedynie stawiając się na stanowisku poety, który powiązał tragiczny zgon Wirginii z walką plebejuszów i patrycyuszów. Poeta jednak miał na uwadze nie te skutki, lecz jedynie fakty bolesnych uczuć dla ojca i narzeczonego, fakty zamieszek i krwi rozlewu, których przyczyną, choć zupełnie niewinną, stała się kobiéta. Pod takim to kątem patrzył on na „smutną przygodę Wirginii“ i to go poprowadziło do opatrzenia téj przygody we wstęp, tak nieprzyjazny dla rodu „białogłowskiego“. Niechęć jego jednak względem kobiét nie ma w sobie nienawiści wypływającéj z jakiéjś zasady; jest ona raczéj wybuchem krewkiego temperamentu, który nie przebiérając w słowach, może się dopuścić gwałtowności jaknajwiększych, ale niebawem ochłonąwszy, sam się dziwi swemu zapędowi. Człowiek z takim temperamentem może być nieprzyjacielem kobiét na chwilę tylko, może je obrażać słowami niesprawiedliwemi i bolesnemi; lecz wkrótce udaje się w pokorę i zyskuje łatwo przebaczenie. Taki temperament miał i autor „Wirginii“. Wygadawszy się dostatecznie przeciwko kobiétom, w końcu uczuł potrzebę pohamowania pióra i przypomnienia sobie reguły że „z damami“ należy sobie „trochę skromniéj“ poczynać...

Potęgę ich uznaje w zupełności i dobitnemi choć niewybrédnemi słowy wyrazić ją umié:

A tuć najwięcéj może żądza oczu,
Skoro się na co cicho z sercem zszepnie,
Ustalonego tam trzeba poboczu (?),
Jeżeli je kto zatrzyma i zepnie;
Lecz trzykroć większa potęga w warkoczu,
Który jako raz oko z sercem siepnie,
Choćby z szczérego było dyamentu,
Przydzie się łamać i paść od impetu *(strofa 25)*.

Ciekawy jest ten wstęp i pod względem układu swego, odsłania nam bowiem sposób tworzenia poety. Ani chro-

nologia, ani etnografia nie kierowały nim w wyborze i uszeregowaniu przykładów, któremi tezę swoję poprzéć usiłował. Widzieliśmy tam dzieje i podania greckie, pomieszane z dziejami i podaniami hebrajskiemi; widzieliśmy Penelopę po Aleksandrze Macedońskim, córy Lotowe po „Zuzanistach“ i t. p. Wzgląd artystyczny mógłby być upatrzony w zestawieniu historyi Scypiona z historyą Tarkwiniusza, gdyż kontrast pomiędzy nimi jest widoczny; ale rozpatrzenie innych części każe nam raczéj policzyć owo zestawienie na karb wypadku, niż rozmyślnego, świadomego siebie poczucia artystycznego. Jedynym kierownikiem poety w szeregowaniu przykładów jest zwykłe kojarzenie się myśli; kiedy im bieg swobodny zostawimy, wówczas pewne dane usposobienie nasuwa nam różnorodne obrazy, bez żadnego jednostajnie a ściśle porządkującego następstwa, ale stosownie do praw stykania się tych obrazów w czasie lub przestrzeni, stosownie do tego, jak te obrazy niegdyś w duszy naszéj powstały. W poemacie naszym usposobienie takie wyrażało się pewną niechęcią względem białogłów; ono téż nasunęło poecie całe szeregi wspomnień w ten sposób, że jedno wspomnienie wywoływało drugie. Temu tłumowi wspomnień poeta stawiał niekiedy opór, nawołując muzę do porządku; ale zanim zdołał ją w ten porządek wdrożyć, napisał 51 strof, to jest 408 wiérszy... Rzecz godna uwagi, że pierwszém wspomnieniem, które w stance ujął, było podanie klasyczne, opiéwane przez piérwszorzędnych poetów Grecyi i Rzymu — podanie o zburzeniu Troi:

Stara nowina u całego świata,
Jako szkaradnie dla swego uporu
Upadła Troja wielka i bogata,
Że dotąd miejsca ani znajdziesz toru.

Widocznie poeta miał przedewszystkiém na myśli poetów poprzedników, widocznie świat klasyczny wywiérał

nań potężne wrażenie. Dopiéro kiedy wspomnienie tego podania przyniosło mu obraz Parysa, darzącego jabłkiem Wenerę „mimo cnotliwe“, przypomina sobie, że jabłko było także przyczyną wygnania piérwszych ludzi z raju, którzy z niego wyszli przyodziani w „baranie kożuchy“. Podanie to znowu nasuwa poecie uwagi o niepomiarkowaniu żądz, które podżega niewiasta, co ze swéj strony wywołuje wspomnienia tych, co żądzom tym ulegali...

A tak samo jak ogólne szeregi przykładów, i pojedyńcze także ustępy kojarzeniem się myśli powołane zostały do bytu. Ażeby się nie rozszérzać zbytecznie, zwrócę jedynie uwagę na owe trzy strofy, w których autor opowiada o smutnym losie tych, co podejrzani byli o pragnienie korony w Rzymie... Ich przykłady nie są udowodnieniem głównéj tezy; nie są téż w związku ścisłym ani z poprzedniemi, ani z następnemi obrazami; istnienie ich w tém miejscu można sobie wytłómaczyć jedynie tą okolicznością, że strofa 48 kończyła się opowiadaniem o postanowieniu Rzymian karania śmiercią żądnych władzy królewskiéj.

W samém opowiadaniu o smutnéj przygodzie Wirginii mniéj jest niewątpliwie zboczeń od głównego tematu: tu bowiem trzymało wyobraźnię poety na wodzy chronologiczne następstwo wypadków, któremu, jak wiemy, wiernym pozostaje. Nie przeszkadza mu to jednak do umieszczania kiedyniekiedy ustępów luźnie tylko z całością związanych, a ustępy te tém się różnią od stanowiących początek utworu, że nie są faktyczne, ale moralizujące. Dają nam one poznać pewne przekonania autora, malują jego usposobienie ze stron innych, niż niechęć względem niewiast. Patrzy się on surowo na świat sobie spółczesny, a porównywając go do narodów pogańskich, co to nie wiedząc nic o nagrodzie wiecznéj, „ważyli drogo towary cnoty“, dodaje

Gdzie śmierć i miejsce raczéj miały mary,
Niżby miał dobry w cnocie przyjść ku szkodzie;
Tyle w ich sercach świecka sława może,
Co *w naszych* niebo nie sprawi, o Boże!

Dewocya ówczesna przejmuje go oburzeniem, które lubuje się w przeciwstawieniu prostego, cichego życia Wirginii plotkarskim nałogom kobiét XVII stulecia:

Nie dziś-to, nie dziś, odpuśćcie, dewotki,
Wszystkie kościoły obiegać i tasze (?),
Święto nie święto, bez matki, bez ciotki,
Gdzie snadnie w lada zszedszy się poddasze,
Jedne na drugą albo bająć plotki,
Albo o swoim każda *będąć* gasze.

Przejęty wstrętem do takiego próżniaczego niby nabożeństwa, powiada, że dobry uczynek wystarczy „za cztéry nieszpory“.

Wśród tych moralizujących ustępów, znajduje się jeden, który, przedstawiając nam w autorze, obok goryczy i sarkazmu, tkliwe także usposobienie, posłuży nam jednocześnie do określenia *czasu*, w którym powstała „Smutna przygoda Wirginii“. Opisując boleść Wirginiusza, kiedy mu wypadło odnawiać ranę serca, by pomścić zgon swéj córki, wyraża poeta zdanie, że największy żal obudzają dzieci:

Nikędy nas śmierć nie kaléczy gorzéj,
Jako gdy dzieci dorosłe nam morzy...

Strata rodziców ciężka jest wprawdzie, ale „kto pierwéj na świat, pierwéj z świata schodzi“; śmierć w małżeństwie bolesna także, ale i tu „szkoda nagrodzona“; toż samo da się zastosować do zgonu krewnych lub przyjaciół. Inaczéj rzecz się ma ze śmiercią dzieci, zwłaszcza dorosłych:

Tu serce, rozum, natura zgwałcona,
Kiedy nam wdzięcznéj i kochanéj młodzi,
W któréj tu żyje, a choć i umiéra,
Znowu człek ma żyć — nadzieję odbiéra.

W tém miejccu czyni autor zwrot do samego siebie:

Nikt lepiéj rany opisać nie może,
Albo choroby, jako ciężko boli,
Nad tego, który w sercu czując noże,
W wiecznego smutku zostaje niewoli.
Azaż nim i mnie nawiédziłeś, Boże!
Ani go w domu, ani go na roli
Wyzuć strapiona może moja dusza!...

Z tego ustępu widzimy, że poemat ten pisał autor po stracie dzieci, a więc po roku 1673, gdyż w tym właśnie czasie zmarł Potockiemu syn Stefan, a następnie inne jeszcze dzieci. Data zatém 1652 r., umieszczona na urywku wynalezionym przez Nowoszyckiego, a drukowanym niegdyś w *Athenaeum*, okazuje się mylną. Zdobycie téj wiadomości ważném jest z tego mianowicie względu, że nie możemy „Smutnéj przygody“ poczytywać za utwór młodzieńczy, któryby należało postawić w początku zawodu piśmienniczego, ale za owoc wieku dojrzałego, kiedy działalność Potockiego wiérszopisarska i poetyczna była w stadyum najbujniejszego rozwoju. Wielka tedy ilość ustępów już-to faktycznych, już moralizujących, nie wynikała u niego z braku doświadczenia, ale raczéj z jego nadmiaru: wiek dojrzały nasuwał dużo wspomnień, które się domagały uwzględnienia, i dużo refleksyj, które mimowoli pod pióro się wciskały. Nadało to całości utworu pewien *styl gawędziarski*, w którym akcesorya niezmiernie wiele zajmują miejsca, zasłaniając sobą plan główny obrazu.

Co do dykcyi, nie będę się nad nią rozszérzał. Wiadomo już dzisiaj, że makaronizmy w poezyi naszéj XVII wieku pojawiają się bardzo rzadko i można nawet powiedzieć: wyjątkowo. I w poemacie Potockiego makaronizmów niéma, są tylko wyrazy łacińskie, które przyjęły zazwyczaj końcówkę polską. Mnóstwo jest wyrażeń jędrnych, wiele maksym zwięźle wyrażonych, chociaż z drugiéj strony styl

bardzo często bywa zawiły, przekładnie forsowne, a przenośnie nieraz trywialne. Znana to rzecz, że poeci nasi wieku XVII nie czuli estetycznéj miary w rozróżnianiu siły od rubaszności, prostoty od trywialności. W poemacie Potockiego nieraz spotkać się można z takiemi wyrażeniami, jak *hicel, psia żądza, rozjadł się Appiusz jak pies, Troja napiła się piwa po same dziurki własnego warzywa* i t. p. Niéma tu wprawdzie nagłego spadku wyżyn wzniosłości na padół pospolitości, jak to bywa u innych poetów owego czasu, ale to dlatego chyba, że scen prawdziwie wzniosłych nie znajdujemy tu wcale.

Estetyk nie znajdzie bezwątpienia w „Smutnéj przygodzie Wirginii“ wielkich i silnych wzruszeń, któreby mu pozwoliły nad jéj pięknością się rozwodzić; ale psycholog i historyk literatury nie może obojętnie pomijać utworu, w którym pozna zarówno indywidualne cechy twórczości jednego z lepszych pisarzów, jak niemniéj ogólne znamiona umysłowe tak ciekawéj chwili cywilizacyjnéj, jaką u nas przedstawia wiek XVII, pełny chaotycznéj różnorodności pierwiastków, na wyrobienie fizyognomii jego składających się.

1881.

V.

EPOPEJA Z CZASÓW SASKICH.

Jakkolwiek wiekopomne zwycięstwo, przed dwustu laty pod Wiedniem nad Turkami odniesione, nie przeminęło bez poetycznego odgłosu w piśmiennictwie narodowém; odgłos ten atoli nie odtwarzał całéj rozległości i wspaniałości radosnego okrzyku, jakim rozbrzmiała pierś chrześcijaństwa, na wieść o pogromie mahometan.

Najczystszym, najodpowiedniejszym ówczesnemu nastrojowi serc pobożnych tonem była bezwątpienia *Psalmodya polska* Wespazyana Kochowskiego, stylem biblijnym dziękująca Bogu za dobrodziejstwa zlane na Polskę od wieków a zwłaszcza w tym pamiętnym 1683 roku; przy całéj wszakże swéj piękności poemat ten prozą pisany, jako utwór liryczny, nie mógł już z natury swéj być wszechstronnym wyrazem wielkiego czynu dziejowego, lecz stał się wyrazem skupienia ducha rozpamiętywującego wszechmoc Boga i nicość zabiegów ludzkich, stał się wyrazem serca zbolałego widokiem nieszczęść, jakiemi kraj oddawna był trapiony, a na chwilę tylko rozradowanego tém, czego rodacy jego dokonali. Drugi utwór tegoż poety: „Dzieło boskie, czyli pieśni Wiednia wybawionego“, o wiele słabszy od poprzedniego, wskutek bardzo ogólnikowego sposobu przedstawienia całéj sprawy, nie mógł uwydatnić ani wszystkich czynników w niéj działających, ani téż upamiętnić w myśli i uczuciu potomnych tego, co na poetyczne upamiętnienie zasługiwało.

Inni poeci, Kochowskiemu spółcześni, sławiąc odsiecz Wiednia, zadanie swoje pojęli i wykonali bardziéj jeszcze jednostronnie, jako wyśpiewanie panegiryku na cześć głównego bohatera wyprawy. Zarówno Wojciech Stanisław Chrościński („Trąba wiekopomnéj sławy Jana III“) jak i Jędrzej Wincenty Ustrzycki („Sobiesciados seu de laudibus Joannis Magni libri quinque“), opiewając czyny Sobieskiego za jego życia, bezpośrednio po otrzymaném przezeń zwycięstwie, nie mogli się oczywiście ustrzedz od chwalczéj przesady i pochlebstw. Epicki spokój, nie wyłączający zresztą bynajmniéj głębokiego uczucia, spokój, który zazwyczaj dopiero po pewnym upływie czasu od danych wypadków bywa możliwym, nie mógł stać się udziałem tych poetów, co pod tchnieniem okoliczności wzięli za pióro.

Gdybyśmy się radzili świadomości publicznéj, a nawet dziś rozpowszechnionych historyj literatury; toby wypadło, że na powyższych dziełach poetyckich skończyło się uwielbienie Polaków dla czynu, którym wobec Europy chlubić się lubili i chlubić się mogli. Co więcéj, to przekonanie tak jest ugruntowaném, iż nieraz słyszeć się daje wyraz zdziwienia, dlaczego odsiecz wiedeńska, historycznie donioślejsza od zwycięstwa chocimskiego w r. 1621, nie wywołała żadnéj epopei, a przynajmniéj takiego poematu historycznego, jakim jest „Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego.

Zdziwienie to częściowo tylko jest uzasadnioném. Istotnie w języku ojczystym niéma utwotu, któryby przeciwstawić można utworowi Potockiego; ale epopeja (a przynajmniéj jéj próba) o odsieczy wiedeńskiéj istnieje; napisał ją Polak w języku łacińskim. Pochodził on z Wielkopolski a w pamiętnym 1683 roku miał lat 20 i był znany w zakonie pijarskim pod imieniem *Jana Damascena od Matki Bożéj*. Jako młody i zdolny, niewątpliwie przejmował się wrażeniami, których świetne czyny rycerstwa polskiego do-

starczały, i czytał, co o tém spółcześni, poważani przez naród wieszczowie pisali; do pióra się jednak nie brał, lubo już zapewne wtenczas miał ku niemu pociąg. Dopiero w lat 30 przeszło po wielkim wypadku, może zachęcony przez Stanisława Rzewuskiego, wojewodę podlaskiego, na którego dworze przez lat kilka pełnił obowiązki teologa i kaznodziei, ogłosił obszerny, z górą 10.000 wierszy obejmujący poemat, gdzie z ogólniejszego niż dawniejsi poeci stanowiska walkę chrześcijan z nawałą muzułmańską pod Wiedniem przedstawić się starał stylem epickim, szeroko się nad wszystkiemi ważniejszemi zdarzeniami, okolicznościami i czynami rozwodząc. Tytuł utworu *Viennis* [1]) wskazuje, że tu nie idzie o wystawienie zasług i przewag jednego bohatera, lub o pozyskanie sobie albo zakonowi łaski króla, już nieżyjącego, ani jego synów, nie mających w Rzeczypospolitéj znaczenia; lecz o sprawę wielkiéj doniosłości historycznéj, o sprawę, w któréj wzięło udział liczne rycerstwo chrześcijańskie. Że i autor *Wiennidy* miał bliższą, bezpośredniejszą pobudkę do napisania poematu, że i jemu chodziło o odszczególnienie pewnych osobistości: to wątpliwém być nie może, gdyż się uwidoczniło zarówno w obszernéj dedykacyi do Jana Koniecpolskiego jak i w samym tekście utworu. Ta wszakże pobudka nie przesłoniła poecie wzroku, gdy się po obszarze dziejów rozglądał i w ich świetle wielki

---

[1]) Całkowity tytuł tego poematu jest: Viennis memorabili Turcarum obsidione felicissimo Leopoldi I imperio, insigni Joannis III Victoria, Principum S. R. I. auxiliis, ducum procerumque Poloniae fortitudine, Asiae exitio gloriosa. Illustrissimo ac excellentissimo domino d. Joanni comiti in Koniecpole et Brody Koniecpolski palatino Syradiae, ejusdemque belli Viennensis in theatro Martis actori meritissimo Vectigali musa Joann. Damasceni a Matre Dei Scholarum Piarum Sacerdotis consecrata. Varsaviae, Typis S. R. M. in Collegio Scholarum Piarum, Anno D. 1717, w 4-ce, kart nlb. 16 i str. 415.

czyn rozpatrywał; potrafił on wyróżnić i odpowiednio uwydatnić działalność jednostek a zarazem nie zapomnieć o ogólném znaczeniu owéj sławnéj chwili historycznéj.

Jak spółcześni oceniali dzieło Jana Damascena, nie wiemy dotychczas nic zgoła. Najbliżsi potomni zapomnieli o nim tak dalece, że nawet skrzętni zbieracze wiadomości bibliograficznych długo pomijali ten zakonny pseudonim, który przecież nietylko na tym jednym utworze wyczytać mogli, aż dopiero historyk pijarów, Szymon Bielski, przypomniał czytelnikom swéj książki, że Jan Damascen od Matki Bożéj to Kaliński, „znakomity poeta i mówca, który pracami swemi i poezyami rozsławił i siebie i swój zakon“ [1]). Przypomnienie to wszakże skuteczném nie było, jak się okazuje z faktu, że w dwa lata po Bielskim piszący swoję „Historyą literatury“ Feliks Bentkowski ani słówka o autorze *Wiennidy* i wielu dzieł innych nie wzmiankował. W sześć lat potém Hieronim Juszyński w „Dykcyonarzu

---

[1]) Oto spis dzieł wydanych przez Kalińskiego, oprócz *Więnnidy:* I. Poëma heroicum in solemni ad cathedram suam ingressu Stanislai comitis in Slupów Szembek, Archiep. Gnesn., Primatis et primi principis Regni Poloniae et M. Duc. Litvaniae, in fol. Vars. 1710. — II. Penegyris in solemni nuptiarum actu Stanislai Potocki supremi M. Duc. Litv. excubiarum praefecti et Mariannae Rzewuska Palatini Podlachiae et supremi Ducis exercituum Regni filiae, in fol. Vars. 1712. — III. Epithalamium w języku polskim na toż wesele, in fol. Vars. 1712. — IV. Elegiarum libri IV, in 4", Vars. 1713. — V. Lyricorum libri V, in 4" Vars. 1715. — VI. Poëma epithalamium in solemni nuptiarum actu Joannis Kontski, praefecti generalis Podoliae, et Victoriae de Szczuka, procancellarii M. Duc Litv. filiae, carmine heroico scriptum, in fol. Vars. 1719. — VII. Auges Siderum (zbiór różnych wierszy), in 8", Vars. 1720. — VIII. Contiones pro singulis anni dominicis et festis, 2 tomy in fol. Vars. 1724. — IX. Atomi Minores, 2 części in 8", 1731. Ta ostatnia praca, zawierająca wykład retoryki i zbiór wzorów, wyszła już po śmierci autora, gdyż ks. Kaliński umarł 1726 r.

poetów polskich“ pomieścił *Jana Damascena* (I, 58) jako autora *Wiennidy* i drugiego jeszcze utworu, ale nie zapisał jego właściwego nazwiska; a gdy przyszedł do litery K., zamieścił wyrazy: *Kaliński Damascen* (I, 162), ale po wiadomość o nich odesłał do dziełka Bielskiego, jakby to była całkiem inna osobistość niż ta, o któréj sam poprzednio już wspominał. Późniejsi rzeczywiści badacze literatury nie zastanawiali się w swych pracach nad wiekiem saskim, a kompilatorowie, składacze podręczników, nie zwykli byli dodawać cząstki własnych studyów do tego, co skądinąd wypisywali. Tym sposobem stało się, iż w żadném dziele, traktującém historyą literatury naszéj nie znalazło się miejsca dla Kalińskiego.

Nie myślę bynajmniéj utrzymywać, żeby przez to miała być wyrządzona piśmiennictwu naszemu jakaś wielka krzywda, iżby pominięto jakieś arcydzieło poetyckie; w każdym atoli razie sądzę, że wobec ubóstwa literatury naszéj z czasów saskich nie wypadało wyrzucać z rejestru autora niewątpliwych zdolności i utwór, który nie zadawalnia wprawdzie wymagań artystycznych w całéj pełni, który nie jest zupełnie godnym wyrazem czynu opiewanego, ale który ponad poziom powszechnych w owym czasie panegirycznych ramot wznosi się wysoko.

Korzystając więc z chwili uczczenia zasług wielkiego Turków zwycięscy, nie od rzeczy podobno będzie zastanowić się bliżéj nad poematem, zasługi te w czasach saskich po swojemu uwielbiającym. Ponieważ mała jest nadzieja, ażeby ktoś zechciał odczytywać 10.000 łacińskich heksametrów, szersze zatém streszczenie utworu odpowie może potrzebom czytelników.

Pomijam wierszowaną przemowę do Jana Koniecpolskiego, w któréj autor wysławia czyny jego przodków różnéj

budowy wierszami; zajmować ona mogła w swoim czasie, a dla historyka téj rodziny dostarczyłaby może jakiego ciekawego drobiazgu; szerszego interesu nie obudza, a panegiryzmem swoim źle usposabia czytelnika dzisiejszego dla poety.

Poemat sam jest-to utwór podzielony na ksiąg 12 jak Eneida, a mający być według zamiaru poety epopéją w tém pojęciu, jakie sobie o tym rodzaju poezyi wytworzył humanizm i neoklasycyzm. Jak wiadomo, według tego pojęcia, epopeja, któréj wątek wzięty być musiał z dziejów bohaterskich całkiem lub napół prawdziwych, nie mogła się obéjść bez tak zwanéj „cudowności“, to jest bez uwidocznienia w plastycznych postaciach wpływu potęg nadprzyrodzonych na bieg rzeczy ziemskich. W przeprowadzeniu tego postulatu wyobrażenia chrześcijańskie mieszano z mitologią politeistyczną i tworzono sztuczny, zupełnie konwencyonalny świat nadzmysłowy, w który samemu nawet poecie wierzyć było trudno. Ks. Kaliński, trzymając się przyjętéj reguły, musiał naturalnie dać i chrześcijanom i muzułmanom patronów pozaziemskich, coby ich radą i pomocą wspierali. Bóg i aniołowie a nadto bóstwa klasyczne Mars, Wulkan stają po stronie chrześcijan; księżyc zaś, uosobiony w bóstwo, a przezwany z grecka Febe, wraz z księżną piekielną Tyzyfoną opiekują się nieprzyjaciołmi krzyża. Autor jednak, obdarzony niewątpliwie silném poczuciem rzeczywistości i w pomysłach swoich lubiący się jéj trzymać, postaciami temi posługuje się jak najrzadziéj, a nadto wprowadza częstokróć uosobienia wprost allegoryczne, sądząc, że plastyczne uzewnętrznienie dobrych lub złych skłonności ludzkich, lub téż przeczuć i rozmyślań, albo wreszcie zjawisk przyrody wywrze większy poetyczny skutek. Jeżeli więc np. chce powiedzieć, że wódz węgierski Tökeli zawrzał nienawiścią względem domu austryackiego; to przedstawi „Ty-

zyfonę“ zatruwającą „jadem nieufności“ dary przesłane Tökelemu przez uosobiony „Honor“. Jeżeli Sobieski zasnąć nie może, spodziewając się wieści o postępie przedsięwziętéj wyprawy; to uosobione „Zwycięstwo“ przynosi mu pożądane wiadomości. Jeżeli noc ciemna nastąpiła, to jest to według poety sprawka Feby dla ochronienia Turków od pościgu wrogów.

Te ogólne spostrzeżenia trzeba mieć na pamięci, chcąc sprawiedliwie ocenić pomysły autora *Wiennidy* i sposób ich przeprowadzenia.

We wstępie wzywa poeta muzę, ażeby, ugiąwszy kolana, uczciła potężnych bohaterów, z których każdy mógłby świat cały do uległości sobie przywieść, gdyby „wielka cnota sama się w swych granicach nie utrzymywała i gdyby istotna potęga nie poprzestawała na małém, lubo wie, iż może żądać więcéj i nazewnątrz i wewnątrz“. Jacyż-to bohaterowie? To cesarz Leopold i król polski Jan III. „Wola łaskawego nieba — mówi autor — udzieliła ziemi to dobrodziejstwo, iż jeden wiek wydał, jeden czas wielbić mógł tak wielkich wojowników i rządców narodu. Pierwszy rozciągał panowanie czcigodne nad ojcami łacińskimi i, znajdując odgłos przychylny wśród ludu, rozkazywał zwycięsko wszędzie tam, gdzie się Giermania przez rozległe ciągnie kraje, gdzie Dunaj i Ren szerokie nurty swe toczą. Drugi to dzielny król Sarmacyi, któremu baltycka Tetyda i morze Czarne obszerne oblewają kraje i ludy, ogólném mianem Polaków objęte. Rozproszone po różnych ziemiach szyki połączyło Niebo jednaką chwałą i zapaliło rzetelną dobra ogólnego miłością wodzów, na których spłynęła olbrzymia sława z karków arabskich i ze krwi zwyciężonego Bessa [1]).

[1]) Na oznaczenie Turków poeta używa wprawdzie wyrazów: *Turcae*, *Bisurmani* i *Othomanni*, lecz chętniéj daleko po-

Zajaśniało zbawienie dla Rzymian; Austrya i państwa teutońskie stanęły zwycięsko, a nadzieja Wiednia spełniona. Pycha hemońska już wtedy doświadczyła, o ile Niebo może więcéj nad śmiertelników ramiona, bo gwiazdy pomagają ręce, nie pociskowi; mały zastęp pod dzielnym wodzem jest potężniejszy niż niezliczone siły tyrana“.

Ustęp powyższy wart zastanowienia. Wskazuje on nam do pewnego stopnia oświetlenie, w jakiém poeta przedstawiać będzie Leopolda: jest to pomazaniec boży, bogobojny, łagodny, sprawiedliwy, mądry, wylany dla dobra państwa, którém rządzi. Zapytać się można, skąd pochodzi ta czci pełna ocena charakteru cesarza, a zwłaszcza skąd to zestawienie prawdziwego bohatera, jakim był Jan III, z nominalnym, jakim w odsieczy Wiednia okazał się Leopold? Ba! żeby tylko zestawienie! Ależ autor jak na wstępie tak i późniéj daje cesarzowi pierwsze miejsce, wymieniając go zawsze na czele... Czyżby zrobił to przez nieświadomość? Takie przypuszczenie znajdzie odparcie w dokładnéj znajomości szczegółów wykazanéj w ciągu utworu Czyżby autor, a przynajmniéj zakon pijarów spodziewał się od następców Leopolda łask jakich i dobrodziejstw? Ażeby rzucić takie posądzenie, trzebaby było mieć pewne poszlaki. Czyby prostsze wyjaśnienie dziwnego dla nas zjawiska nie dało się odszukać w wychowaniu klasztorném? Wówczas powszechnie jeszcze w szkołach przedstawiano cesarzów niemieckich jako władców świętego imperyum rzymskiego, jako

---

sługuje się klasycznemi nazwami ludów, co niegdyś zamieszkiwały kraje, zajęte późniéj przez muzułmanów. Tak więc rozumie autor Turków, pod następną terminologią: *Aedones*, *Alani*, *Bactri*, *Bessi*, *Bistones*, *Daci*, *Geloni*, *Getae*, *Haemonii*, *Hunni*, *Odrysii*, *Ortus*, *Othrys*, *Rhodopes*. *Taurogetae*, *Thraces*. — Tatarów zwykle zowie *Scytami*. Ogólna nazwa *Barbari* obejmuje i jednych i drugich.

spadkobierców Rzymian, dla których miano samę cześć i uwielbienie. Takie pojęcie ogólne o cesarzu ś. imperyum mogło spłynąć w szczczególności i na Leopolda. Prócz tego chęć przeciwstawienia barbarzyństwu tureckiemu samych dodatnich postaci również może wpłynęła na pojęcie roli Leopolda niezgodne z tém, co historya podaje. Poeta nasz, jakby był dworakiem cesarza austryackiego, wymienając nazwiska Jana III i Leopolda, zawsze przestrzega przyjętéj etykiety, zawsze wprzód kładzie cesarza; lubo z drugiéj strony, czując się Polakiem, jakby dla zażegnania patryotycznych wyrzutów sumienia, imię Jana III pisze i drukuje większemi niż Leopolda literami... Dodać wreszcie należy, że etykietalne przodownictwo Leopolda nie robi uszczerbku istotnym króla polskiego zasługom; Jan III, jak w rzeczywistości tak i w poemacie zajmuje stanowisko naczelne; o nim poeta mówi najwięcéj; jego czyny opisuje szeroko; gdy tymczasem Leopold pojawia się jako wzór cnoty i doskonałości przeważnie w scenach ceremonialnych, jakby dla podniesienia ich uroczystości, dla nadania cesarskiego blasku całemu otoczeniu.

Wróćmy do 1-éj księgi *Wiennidy*. Po zagarnięciu pod swe panowanie znacznéj części Azyi i Europy, Turcy nienasyconą żądzą władzy pędzeni dążą do coraz-to nowych podbojów. Pokonawszy Węgrów, Kroatów, Morawów i Słoweńców *(Slavi)* illiryjskich, przechodzą do krajów austryackich, niszcząc je ogniem i mieczem; zjawiają się wreszcie pod murami Wiednia. Cesarz, uważając — jak mówi nasz poeta — iż dogodniéj będzie mógł zaradzić potrzebom miasta poza miastem, przenosi swą siedzibę do Linzu, a widząc słabość sił swoich, ucieka się, jako pan bogobojny, o pomoc do Nieba.

Tu poeta stwarza fikcyą allegoryczną, która wypełnia resztę księgi 1-éj. Fikcya ta powstała z chęci uwydatnienia

faktu, że organizacyą wyprawy krzyżowéj przeciw bisurmanom zajmował się kościół. Jest ona znośna w pomyśle; ale w wykonaniu trochę śmieszną się staje. Oto cesarz poleca „Religii“, ażeby szła do nieba z prośbą o posiłki. „Religia“ usłyszawszy rozkaz „boskiego króla“ *(divini regis)* zarzuca wędzidła na dwugłowe orły cesarskie i zaprzęga je do gwiaździstego wozu Północy (Niedźwiedzicy). Na tym zaprzęgu przebywa regiony powietrza, grzmotów, śniegu i ognia. Wtém zatrzymuje ją Księżyc, Turkom przyjazny; Religia atoli grozi mu gniewem Najwyższego i przez niezliczone zastępy gwiazd, po śnieżnym moście drogi mlecznéj dostaje się do Empireum, gdzie zanosi prośbę do „straszliwego króla Niebios“ *(formidandus Polorum rex)* za cesarzem. Bóstwo, w postaci ludzkiéj, na wysokim tronie, z matką u swego boku, otoczone aniołami i „mocami“ doznaje wzruszenia na widok łez Religii i na zaniesioną prośbę odpowiada: „Wiemy, że się Trak uzbroił; westchnienia Rzymu i modły ukochanego cesarza dostają się do nas przez powietrze; dzieje się to z wolą naszą; Wschód się zapala na własną zgubę i popiół; dozwoliliśmy wrogom z Azyi spaść na was w całéj ich sile, ażeby bogobojny cesarz i północni panowie z tém większą sławą tryumfowali nad Turkami; od mścicielskiego miecza Polaka padnie szalony Otrys, pádnie niegodziwa Febe, Gieta przyśpiesza swój los; jakież wojny mogłyby zaszkodzić berłom, które opłaciłem niegdyś krwią własną! Anioł cesarstwa pośpieszy na waszę ziemię, a jemu myśl nasza jest znana; ty królowi rzymskiemu powiesz, że wszystko pójdzie pomyślnie; reszty dokona anioł towarzysz“. Po téj chłodnéj, niby dyplomatycznéj odprawie, Religia wraz z Aniołem-stróżem cesarstwa udają się na ziemię. Anioł zapewniwszy Leopolda, iż wróg zwyciężonym będzie, przelatuje do Włoch, ażeby ich władców do wojny z Turkami pobudzić; nareszcie przechodzi

na Kapitol, dziwiąc się jego przepychowi i sądząc, że się tu nowe gwiazdy zapalają. Udawszy się do papieża Innocentego XI, przekłada mu konieczność zajęcia się sprawą państwa rzymskiego i nalega na nieodzowną potrzebę pozyskania pomocy Jana III. Tu zachodzi zabawna okoliczność. Zdawałoby się, że Anioł, znający myśl Boga, więcéj i dokładniéj powinien był wiedzieć niż papież. Tymczasem poeta, nie chcąc może ubliżyć ojcu świętemu, większą mu przyznaje świadomość rzeczy; papież bowiem oświadcza aniołowi, że już porobił starania o związek państw chrześcijańskich i że już pozyskał Jana III dla świętéj sprawy, jak mu o tém doniósł legat Pallavicini. Usłyszawszy tę radosną wiadomość, Anioł opuścił dwór rzymski i przeleciał na dwór cesarza. Na tém się kończy jego rola tak, jak już poprzednio skończyła się rola Religii. Że cała fikcya była zbyteczna, nie potrzeba szeroko dowodzić. Niebo nie dopomogło ziemi nawet radą, gdyż wszystkie przygotowania do sojuszu chrześcijan przeciw muzułmanom porobił sam papież. Jedyną usługą, jaką strwożonemu chrześcijaństwu oddało, było frazeologiczne zapewnienie o przyszłém jego zwycięstwie. Gdyby takie zapewnienie mogło się było odbyć w rzeczywistości, dodałoby zapewne otuchy rycerzom; w poemacie atoli jest całkiem niepotrzebném; czytelnik bowiem wie już zgóry, po czyjéj stronie będzie wygrana, i wiadomość przez Anioła przyniesiona traci dla niego interes.

Od zmyślenia przechodzi ks. Kaliński w II-éj księdze do rzeczywistości. Cała teraz uwaga i jego i czytelnika zwraca się na Jana III. Jakkolwiek król polski pałał chęcią złamania, w związku z Niemcami, potęgi tureckiéj, nie mógł przecież lekceważyć praw kraju i musiał zgodę na swe postanowienie u sejmu wyjednać. Na sejmie jedni byli przychylni, drudzy przeciwni zamiarowi króla. Autor nie od-

krywa tajemnych sprężyn, kierujących głosami posłów, lecz ogólnie tylko zaznacza motywa podawane przez tych i tamtych.

Rzecz godna uwagi, że poeta-zakonnik, przedstawiając głos zwolenników wyprawy, nie kładzie nacisku na potrzebę obrony chrześcijaństwa; wspomina o niéj wprawdzie, ale pobieżnie na równi z innemi powodami; akcentuje natomiast tę okoliczność, że obrona cesarstwa jest w gruncie rzeczy obroną kraju własnego i że Austryacy pomagali Polakom w wojnie ze Szwecyą. Przeciwnicy zamiaru królewskiego nastają na potrzebę pokoju, na słabość sił wojskowych, na wyniszczenie kraju, na obojętność Niemców w czasie niedawnéj walki Polaków ze Wschodem, a wreszcie na fatalne znaki niebieskie: kometę, deszcz krwawy, piorun, co uderzył w wieżę zamkową, na ukazywanie się różnych potworów, a to wszystko tłómaczą na niekorzyść przedsięwzięcia wojny z Turkami.

Król darami i obietnicami potrafił pozyskać niechętnych dla swéj myśli, a w końcu zdołał obudzić wśród spółziomków zapał do wyprawy krzyżowéj. Poleciwszy się w Częstochowie opiece Matki Boskiéj, zrobił pod Krakowem przegląd wojska, odwiedził kościół św. Stanisława, a otrzymawszy błogosławieństwo nuncyusza, ma wyruszyć. Tu poeta chcąc przerwać jednostajność okrzyków marsowych czulszemi dźwiękami, przypomniał sobie pożegnanie Andromachy z Hektorem i rozstanie się Dydony z Eneaszem, a skombinowawszy te dwa wzory, opiewa scenę czułości z męstwem w pożegnaniu króla z królową. Na odgłos surm bojowych, królowa, która dotychczas wydawała się całkiem spokojną, „ledwie władnie sobą; członki jéj zlodowaciały; bolejąca pada w objęcia służebnych“; a gdy przyszła do siebie, rzewnie przemawia do małżonka, ażeby i sam nie szedł na wyprawę i synów z sobą nie zabierał

i jéj nie opuszczał. Na jéj skargi i zaklęcia odpowiada mąż jako rycerz chrześcijański w te słowa: „Modłą postępowania panujących nie to jest, czém się zwykle pospólstwo i pary małżeńskie rządzą; dwór królów poświęca się dla pożytku państwa a nie dla korzyści własnéj; prywatne troski muszą pójść na stronę. Czy Sarmata czy Teuton, czy Boreasz czy Auster zażąda dowodów ręki zbrojnéj, trzeba jednakowo śpieszyć tronom na pomoc; dla mnie ojczyzną jest każda ziemia, która stoi otworem do sławy i zasług. Bronić Rzymu nakazuje sama religia; męstwo lubi wieńce obce. Czyż gnuśniéć mamy? Czyż kto inny ma pochwycić należną za zwycięstwo nagrodę? Przestań, proszę, wstrzymywać zbrojnych; wiesz, jakiego męża jesteś żoną. Jednakowy na obie głowy spłynie wieniec po zwalczeniu Bessa; jednakowego téż z obu stron trzeba poświęcenia. Krótka chwila wynagrodzi się wiekuistą a nad wyraz piękną sławy koleją“. Po téj przemowie, któraby mogła charakteryzować raczéj oderwany ideał rycerza żądnego chwały, niż naszego bohatera, król szybko uścisnąwszy obecnych, udał się do obozu. Zachowanie się dworu a zwłaszcza królowéj godném było podniosłych uczuć, jakie król wyraził. „W przedsionku — mówi poeta — cichy poszept się szerzy, gdyż wstyd było jęczeć otwarcie; ciche tylko łzy są bezpieczne; małżonka przestaje się skarżyć na losy Marsowe, i ona również nabiera wielkomyślnéj odwagi, gdy rozpamiętywa dzielne swego męża serce i przyszłe laury“.

Obóz rozciągał się od Krakowa do gór Karpackich. „Zbiegła się tu pod swemi chorągwiami — objaśnia autor — cała doborowa, do walki przygotowana siła, jaką obszerny kraj sarmacki rozporządzał; zbiegli się tu panowie i wodzowie, których zwycięski laur, niejednokrotnie na nieprzyjacielu zdobyty, zalecał. Miłość sławy pobudzała wszystkich; wstyd było pozostać w granicach ojczystych, gdy sam król

szedł na czele, by i na obcéj téż ziemi zdobywać palmy, których tysiące już zebrał nad Dniestrem, Seretem, Prutem, nad gnuśną Propontydą i nad Dunajem, przejmując strachem tyranów muzułmańskich. Ile tylko kwiatu wydaje w szczęśliwych nurtach Wieprz (— powiadają, że go wygrzebał ryj szczeciniastéj świni, skąd téż nazwę zatrzymał, lubo większą rozlał się rzeką); ilu tylko żywi rogatym orzechem woda Bugowa [1]), albo Styr o trzcinowych włosach, albo straszna Jowa (?), albo krwawe od licznych rzezi scytyjskich i dackich, strażą krajową obronne fale Dniepru — ileż one wyrzucają szyszaków, ile pawęży, a rozlawszy się szerzéj szybko unoszą w progi morza Czarnego. Wielu téż wojowników dostarcza Prypeć, wielu Berezyna i Turya i Alba napawająca bydło pruskiego wieśniaka; wielu téż Warta o brzegach zarosłych i Prosna zalewająca Wielkopolan, gdy z brzegów wystąpi, i nurty Sanu i miałka Pilica i bystry Dunajec i kamienisty Poprad; Pasovius (?) wiele na wojnę zbiera mieczów. Schodzą się téż i ci, których Drwęca obmywa i Pregla pruska, i ci, co piją z rybnéj Noteci i przezroczystéj Dźwiny i z Dubissy, i ci, których karmi królowa Wisła; ci słowem, których otaczają brzegi morza Czarnego i Baltyckiego; piękna krew przodków, przesławny kwiat lechickiéj Północy".

Zrobiwszy przegląd tego kwiecia, król oddzielił pięć tysięcy rycerzy i, oddawszy ich pod dowództwo Sieniawskiego, każe pośpieszać przez Szlązk ku Wiedniowi, zachęcając do znoszenia trudów słowy, w których oddaniu poeta, pomimo starania o erudycyą klasyczną i nieklasyczną, zdołał kilka prawdziwie dzielnych tonów uwydatnić: „Szlachetna garstko, wykarmiona sławą rodzicielki sarmackiéj, pój-

---

[1]) Autor prawdopodobnie zbliżał wyraz *Bug* z *bukiem (buczyna)*.

dziesz na barbarzyńców; trzeba okazać dowody starodawnéj cnoty, a przodkom wstydu nie przynieść. Nie jakieś nieznane Pylos, nie rozlane brzegi Gangiesu, nie dzikie morze Ameryki, ani odległa Tule, lecz Trak, nieraz już przez nas pokonany, do boju wyzywa. Znana dzielność Sarmatów... Co nam po dawnych dziejach, kiedyśmy świeżo z łaski Marsa zgnębili Otrysa, broniącego zamków chocimskich. Przyznaję, iż cała chluba należy się waszym mieczom, waszym ramionom; przez was zbladł Hemus, gdyście rozesłali trupy po polach i murach dackich; przez was Dniestr spływał czarnym od krwi strumieniem. A czémże gnuśny tłum Propontydy? Mówi o tém laur niemirowski i Komarno i zrumienione bagna Kałusza i sto miejsc innych, do dziś dnia trupami zawalonych. Sława ta waszym należy się prawicom; jam świadkiem, jakie to były zapasy. Teraz znowuż na Zachodzie wszczyna wojnę i pragnie świeżych na Teutonie zwycięstw ten, co go za pastwę dłoni sarmackiéj uważano. Pamiętny klęski niedawnéj, czyż się oprze? czyż niezlękniony patrzyć będzie na miecze nasze ten, któremu dotychczas może ciężka rana dolega? Zda mi się, że idę na zabawę, nie na potrzebę Marsową. Najwyższa atoli sława czeka nas jeszcze; tyle państw, tyle miast, cesarstwo i dom cesarski (— dość bezpieczne pod swym monarchą —), wam będą winne tylu obywateli, tyle bogactw, tyle słodkich z dzieci pociech; jakiż większy nad ten zaszczyt być może?“

W księdze III-éj widzimy już wojsko nasze w pochodzie zdążające ku Szlązkowi. Aütor podnosi i zaznacza pobożność króla. Już w zapale widziano się nad brzegami Dunaju, nad Cisą, Renem i Skaldą, gdy noc położyła kres tym marzeniom, zmuszając do odpoczynku w Będzinie. Podczas gdy król nie mogąc zasnąć, rozmyśla o przyszłych walkach, Mars przychodzi do obozu polskiego, zagrzewa rycerstwo, sam staje na czele, niosąc buńczuk *(jubam)* kró-

lewski. Szlązkie miasto Tarnowskie-Góry pierwsze gościnnie podejmuje Polaków. Tu łączy się z królem hetman w. k. Jabłonowski. Król znowu spędza noc bezsennie i ma widzenie. Ukazuje mu się starzec Silesus, uosobiony opiekun kraju, i przypomina dawne dzieje. „Z początku — mówi — znosił Szlązk wędzidła lechickie, posłuszny rozkazom wodzów, których cnota Marsowa ponad innych wyniosła, których szlachectwo z dawnych pochodziło wieków. Gdy bowiem Lech od iliryjskich do wiślanych brzegów się przenosił wraz z zebraném wojskiem, tu siedlisko wojskowe założył; my byliśmy pierwszym łupem Lecha, stąd dopiero rozciągając panowanie nad sąsiedniemi plemionami, ustawił kolebkę sławnego Gniezna“. Przebiega następnie w krótkości losy Szlązka aż do chwili, gdy tenże dostał się Austryi. Właśnie, gdy skończył swą opowieść, zjawia się uosobiona Austrya błagając króla o przyśpieszenie pomocy. Zestawienie to nie jest oczywiście bez ukrytéj myśli, lecz poeta nie chciał wyzyskiwać go w celu patryotycznym, tylko wprost jakby pragnąc upowodować nocne widzenie, opowiada, iż nazajutrz przybył rzeczywiście poseł cesarski Caraffa donosząc, że Turcy w pierwszym napadzie na Wiedeń doznali porażki, lecz jednocześnie prosząc o przyśpieszenie posiłków, co téż król obiecuje. Następnie przez Gliwice i Radnau zdąża wojsko polskie do Raciborza. Radość wieśniaków na widok obrońców wyraża poeta w formie mitologicznéj: satyrowie i dryady składają Polakom cześć jakby bogom. Na radzie wojennéj w Raciborzu król przekłada, że należałoby, pozostawiwszy ciężko zbrojnych z hetmanem, z lżejszém wojskiem pośpieszać co prędzéj do Wiednia; pomimo opozycyi Jabłonowskiego i innych wodzów, którzy nie chcieli pozwolić, ażeby król się narażał, myśl Jana III utrzymuje się i urzeczywistnia. Poeta uwydatnia radośne okrzyki mieszkańców miast, przez które wojsko polskie przechodziło,

i skromność króla w przyjmowaniu hołdów. Gdy rycerstwo dotarło do Ołomuńca, Lubomirski przyłączył się że swemi chorągwiami, lecz niebawem wysłany przez króla, podążył przodem. Wojsko natomiast pod dowództwem Sieniawskiego, naprzód wysłane, tu się z resztą oddziałów zjednoczyło. Podwójna tęcza i orzeł nad wojskiem kołujący przejęły patrzących otuchą i pewnością zwycięstwa.

W księdze IV-éj przenosi nas autor do Niemiec, zaznaczając podrażnione a niezaspokojone ambicye książąt-elektorów, roszczących pretensye do naczelnego dowództwa. Gdy to spadło całym ciężarem na króla polskiego, uspokoili się książęta, ale zaczęli utyskiwać na opóźnienie się Jana III. Wtedy właśnie przybyły Lubomirski pociesza ich nadzieją rychłego ukazania się króla i wraz z księciem lotaryńskim, stacza pomyślną walkę pod Stuckerau z Turkami i Tatarami; poeta notuje, że w bitwie téj zginęło tylko 6 Polaków, 18 Niemców. Obaj téż osobiście donoszą o tém zwycięstwie królowi, który bawił wtedy w Hilbrunie (Heiligbrunn), dokąd przyjeżdżają następnie i inni elektorowie. Jan III przechodzi do Stedeldorfu, gdzie go podejmuje właściel zamku hr. Herdeck (sic). W sali zastanawia króla gobelin *(paries acu pictus)*, na którym przedstawione były sceny z powstania Węgrów. Król ciekawie dopytuje się o szczegóły, a hr. Herdeck objaśniwszy rzecz w krótkości, że jest to obraz tych klęsk i nieszczęść, którym dopiero Jan III koniec położyć może, wręcza mu książkę napisaną wierszem łacińskim przez „poetę cesarskiego“, przedstawiającą szczegóły owych rozruchów.

Cztery następne księgi (od V do VIII włącznie) obejmują wielki epizod na wzór epopei starożytnych. Autor wszakże w wykonaniu tego epizodu musiał z konieczności zastosować się do zmienionych obyczajów. Dawniéj zasiadano przy biesiadzie i słuchano cierpliwie opowiadania,

choćby bardzo rozległego, o przygodach bohatera; w czasach nowszych już się ten zwyczaj nie praktykował; gdy pismo i druk zostały rozpowszechnione, już można było się obejść bez długich ustnych narracyj. W poemacie ks. Kalińskiego król nie mogąc zasnąć, jak zwykle, odczytuje wręczony sobie utwór, opisujący początek i różne koleje sporu pomiędzy cesarzem a Węgrami. Rzecz ta była bezwątpienia potrzebna, najprzód dla dokładniejszego wyjaśnienia początku wojny, którą oręż Jana III miał rozstrzygnąć, powtóre dla przerwania jednostajności, jaka w poemacie z powodu jednorodnych wypadków zapanować musiała, i dla urozmaicenia opisu pochodu i bitew opowiadaniem o weselu i zabawach; wreszcie może w myśli autora wypadało na nowo wprowadzić na widownię epicką cesarza Leopolda, o którym przez trzy poprzednie księgi nic zgoła niepodobna było powiedzieć. Choćbyśmy jednak wszystkim tym względom ważne przyznali znaczenie, trudno nie zauważyć, że epizod w stosunku do całości zanadto jest długim, zajmuje bowiem część trzecią całego poematu i na długo odrywa myśl od wątku głównego. Na zaletę wszakże autora to zaznaczyć wypada, że w zakończeniu epizodu zręcznie o ten wątek zahacza, ażeby następnie snuć go już bez przerwy wokoło osoby istotnego bohatera.

Oto w najkrótszém streszczeniu zawartość tego epizodu. Po wyśpiewaniu raz jeszcze pochwał Leopolda, poeta zauważywszy, iż herezye rozrywają jedność państw, chwali edykt przez cesarza przeciw odszczepieństwom wydany. Korzysta jednak z téj okoliczności Erynnis, która wziąwszy na siebie postać Wolności pobudza Petroczego do powstania przeciwko władzy cesarskiéj. Rozruchy w Węgrzech wzrastają, zyskują wpływowego przewódcę w Wesselinie a następnie w Tökelim. Autor nie żałuje ciemnych barw dla odmalowania niewdzięczności Węgrów wogóle a Töke-

lego w szczególności. O ile cesarz rządzi się łagodnością i wyrozumiałością, o tyle Tökeli postępuje zdradliwie i przewrotnie. Cesarz, chcąc go sobie zjednać, oddaje mu za żonę Rakoczankę; zdaje się, że stosunki ułożą się zgodnie; przygotowania do ślubu odbywają się uroczyście; w tém licho przyplątuje się do téj sprawy. Do podarunków bowiem, które na żądanie Łaskawości wygotował Wulkan, Tyzyfone domieszała „jadu nieufności“, a do złota przydała żelazo; stąd dary dla panów węgierskich a mianowicie dla Tökelego wywierają skutek wcale niepożądany. Tökeli ukrywa wprawdzie głęboko swe wrogie zamiary względem cesarza, jedzie do Wiednia, składa hołd Leopoldowi, który przeznacza swego syna Józefa na króla węgierskiego; — ale gdy się upewnił, że pomoc Turków pozyska, występuje zaczepnie. Właśnie w chwili, gdy Pallada nauczała Józefa, jak ma rządy sprawować, donoszą, że Turcy jako sprzymierzeńcy Węgrów wpadli w granice cesarstwa. Zbiera się rada przy boku cesarza, na któréj postanowiono prosić króla polskiego o pomoc.

Przeczytawszy powyżéj streszczony poemat, Sobieski (w księdze IX-éj) pałając żądzą pokonania wrogów, wybiera trudniejszą ale krótszą drogę pochodu na Tuln. W czasie przeprawy przez Dunaj, rzeka ta uosobiona wita króla i wojsko, przepowiadając niewątpliwe zwycięstwo. Wojska polskie i niemieckie schodzą się na jednéj równinie. Poeta opisuje położenie jednego i drugiego obozu, wspaniałość wodzów i świetność oręża. Jak w Illiadzie jest wyliczenie i krótka charakterystyka okrętów greckich, tak i w *Wiennidzie* znajduje się takiż katalog chorągwi i wodzów albo téż tych, co je własnym kosztem wystawili, lubo osobiście w obozie nie byli. Katalog ten rozpoczyna się od Niemców, ale o nich mówi autor niewiele, a z wodzów trzech tylko charakteryzuje: księcia lotaryńskiego, elektorów: saskiego

i bawarskiego. Szczególniejszego uwzględnienia a tém bardziéj pochlebstwa dla elektora saskiego niéma. Bezporównania obszerniéj rozpisuje się o chorągwiach polskich, poprzedziwszy ten opis ogólną pochwałą husarzy i pancernych. Z 40 wodzów i fundatorów chorągwi tu wymienionych najszczegółowiéj mówi o królewiczu Jakóbie, o podkanclerzym Janie Gnińskim, o hetmanie w. ks. Stanisławie Jabłonowskim, o hetmanie polnym ks. Hieronimie (Mikołaju) Sieniawskim, o wojewodzie krakowskim Feliksie Potockim, a zwłaszcza o Janie Koniecpolskim, któremu, jak wiemy, *Wiennidę* dedykował. Kończy się ta księga przemową Marka de Aviano kapucyna, który dając rycerstwu błogosławieństwo papieskie na wojnę świętą, do łez je pobudza.

W księdze następnéj (X-éj) przedstawia poeta trudy pochodu przez góry, gaszenie pragnienia winogronami na nich rosnącemi, schodzenie z gór trudniejsze jeszcze od wstępowania. Staje wreszcie wojsko na wyżynach, z których widać oblężony Wiedeń. Ażeby dać poznać bliżéj wodzów nieprzyjacielskich i siłę wrogiego wojska, autor wprowadza na widownię postać epizodyczną, jakiegoś zbiega a właściwie szpiega, którego schwytały czaty polskie i stawiły wobec króla. Zbieg ten opowiada o niezliczonéj liczbie sił tureckich, przedstawia osobistości Kara-Mustafy, Kara-Mechmeta, Ibrahima, Chidira, Husseima i innych dowódców tureckich, nadto Mehmeta Gereja wodza tatarskiego, Syrwana Kantakusena księcia mołdawskiego, Dukasa — wołoskiego i Tökelego. Król, lubo się przekonał o właściwym charakterze zbiega, puścił go, ażeby oznajmił wezyrowi o przybyciu Polaków. Wojsko przepędza noc pod bronią.

Nazajutrz 12 września następuje bitwa. Opis jéj stanowi przedmiot księgi XI-éj. Sławi autor dzielność i przewagi Niemców, wyżéj jednak stawia zasługi Polaków a przedewszystkiém ich króla; rozpisuje się dość szczegółowo nad

rozmieszczeniem wojska, mówi, jak i gdzie stała konnica, piechota i artylerya; wylicza główniejszych dowódców. Ruchy wojsk cesarskich przedstawia w krótkości, obszernie natomiast maluje dzieła męstwa i zręczności ze strony rycerzy polskich, poczynając od króla.

„Król sarmacki zdobi czoło uszykowanego wojska, nie chcąc, ażeby więcéj od niego znosił trudów ktokolwiek z wodzów, a nawet którykolwiek żołnierz; pragnie pójść na miecze i w pierwszych walczyć szeregach, gdzie grad ołowiu spada obficiéj i gdzie dziki Alan napiera. Na boje niesie króla rumak o płowéj sierści, z głową podniesioną do góry, z dumném wejrzeniem, które co do blasku wyrównywało łuskom pierś osłaniającym. Kark okryty grzywą wysoko się wznosi, a wieńczy go czoło okazałe, jakiego nie miał ani Aryon ani Pirois grecki, chociaż jeden ciągnął słońca wóz z kości słoniowéj, a drugi posłuszny był wędzidłu Adrasta. Noga o suchém goleniu, do chyżéj jazdy stworzona, przewyższała nawet lotne skrzydła ptaków. Pierś jego sama Gracya pielęgnuje, a ruchy i siła z umiarkowaniem złączone; boki jakby do żgania wielkiemi ostrogami, lecz wystarcza sam cień rószczki, gdyż koń zna usposobienie pana. Zdawałoby się, że stąpa po powietrzu, a nie po zielonéj łące, dumny z królewskiego jeźdźca, którego szyszak błyszczący równa z trackim Marsem, co strachem szpik zmrażającym przejmuje. Złota łuska pokrywa nietkniętą pierś wodza; u boku miecz; ramienia chroni powęż; z bark spływa purpura temezyjskiego przepychu. Przed królem, jak zwyczaj każe, kroczy w promiennéj zbroi jeździec, któremu przypadła chwała niesienia znamienitéj Tarczy przed majestatem. Ta wojenna egida Sobieskich, dawny rodu zabytek, którym Marsowa dzielność krwi królewskiéj w świecie Lechitów się odznacza, przez który blask Sobieskich łączy się z gwiazdami patrycyuszowskiemi, — przewyższa dwunasto-

krotny puklerz Ajaksa *(bissenos orbes)* [1]) i większy postrach obudza niż Perseuszowa Gorgona. Podle giermka stąpa chorąży, niosący skrzydło umocowane na włóczni; ten bowiem znak zwykło się dawać dla rozpoznania berła".

„Do walki król Lechitów staje najpierwszy, po przed wodzami Północy, wódz wyższy nad wolę losów. To strudzone pokrzepia siły nowym oddziałem, to wychwala dzielność, z jaką ktoś znosił rany, to żądnych walki pobudza do jeszcze większéj zajadłości... Co więcéj, jak tylko ujrzał, że płomienie trackie gęstszemi się stają, sam wszedłszy w szyki lechickie, potykał się z wrogiem, nic nie dbając na ciężki grad kul, co ze wszech stron padały, lubo tuż u jego boku jakiś dzielny młodzian, chcąc gorliwością wywiązać się ze swych względem króla obowiązków runął pod koniem, któremu kula armatnia *(atrox pila tormentaria)* urwała kark i wraz z sobą w próżne uniosła powietrze".

Po królu dwaj hetmanowie Jabłonowski i Sieniawski zasłużyli sobie u poety na szczegółową pochwałę. W opisie zaś starcia się z prawém skrzydłem tureckiém wymienia poległych po dzielnéj walce: Potockiego starostę halickiego, Modrzewskiego, Totomira, Zbąskiego; a nadto walczących z powodzeniem: Zbierzchowskiego i Sołtyka.

Sławi też dzielność i wodzów niemieckich; opisuje śmierć księcia Croy, Henzyka; a o wojsku wogóle tak się odzywa: „Gdy takie trudy na prawém skrzydle siła zastępów sarmackich ponosi, na lewém, nie gnuśniejąc, młódź giermańska wypada i z równymże zapałem walczy za wielkiego cesarza. Ród-to zresztą zaprawiony do wojny i mozołów; niemal pierwsza chluba Marsa, czy-to trzeba było zdobywać mury, czy téż ogniem wśród ognia prażyć. Jak

---

[1]) Właściwie tylko siedmiokrotny, z siedmiu skór złożony, jak go Iliada opisuje.

dowódcy, tak i wszyscy natenczas Teutonowie wielkim pałali żarem i potężnie gnębili nacierającego Giętę, dopóki prawicą zadawać było można klęski Gradywa; Turek bowiem ufny w lekkiego i chyżego konia szybko napadał wprost na tłumy, a zwróciwszy wędzidło mógł nanowo toczyć boje, lekceważąc wszelką burzę czy płomieni, czy kul; stąd więc zastępy Cymbrów, dziką otoczone wściekłością, bronią się albo pociskami, albo wprost chyżym koni biegiem".

Szyki Turków złamane; przemowa Kara-Mustafy nie skutkuje; chan tatarski nie chce walczyć z Sobieskim i ucieka, czy to że mu się dosyć dało we znaki męstwo króla, czy też że go ujęły obfite podarunki, „które lepiéj scytyjskie łuki do poddania się przywodzą, aniżeli miecz" — jak dodaje poeta. Za Tatarami poszli Turcy a wreszcie i sam wezyr. Polacy w szyku bojowym ścigają wrogów i opanowują obóz przepełniony bogactwami. Ciemna noc spowodowana przez przyjazną Turkom Febę, co się w Hekatę przemieniła, nie pozwala na dalszy pościg.

Księga XII-a jest właściwie epilogiem, w którym bohaterowie cieszą się wynikami swego zwycięstwa nad pokonanym i do ucieczki zmuszonym wrogiem. Uwolnieni od oblężenia mieszkańcy Wiednia wychodzą za mury, by się rozpatrzyć po obszerném pobojowisku, by braci, dzieci i mężów ciała odszukać. Król wraz z wojskiem opuszcza krwią ociekły obóz, a następnie zwiedza zniszczone miasto; Staremberg gościnnie go wraz z książętami podejmuje; podczas uczty odzywają się armatnie wiwaty. Gdy się cesarz bawiący w Durensteinie z ust hrabiego Avensberga o pogromie Turków dowiedział, radość jego była wielka, ale większém jeszcze — jak mówi poeta — pragnienie uściśnięcia téj prawicy, co tak dzielnie powściągnęła miecze

barbarzyńców. Statkiem więc co prędzéj pośpiesza pod Wiedeń.

Autor nie chciał najlżejszym nawet cieniem przyćmić blasku tych dni radości i upojenia, jakie po dokonaniu wielkiego czynu nastąpiły; nie chciał psuć pięknéj harmonii uczuć zgrzytliwym tonem zawiści i niewdzięczności; a wreszcie pragnął utrzymać Leopolda w tym charakterze, jaki mu nadał od początku. Dlatego téż w opisie spotkania cesarza z królem polskim wolał wyrazić, jak się ono odbyć było powinno, aniżeli jak się odbyło w rzeczywistości. Cesarz — według poety — pragnął przedewszystkiém udać się do namiotu króla. Gdy się wieść o zbliżaniu jego rozeszła, „król siedząc na wspaniałym koniu, przykrytym świeżo z łupów tureckich zabranym czaprakiem, chyżo staje na czele zastępów Północy; a gdy już rumak cesarski zwolna dochodził do zwycięskich orłów wojsk obu, śpieszy na spotkanie; na rozległéj równinie łączą monarchowie swe prawice: zajaśniało złotawe niebo, kiedy te purpurowe słońca zdwojoném światłem zabłysnęły: jedno promieniejące laurami i trofeami, drugie — wieńcem koron... Potém nastąpiła rozmowa i giesta o spólném porozumieniu świadczące, oraz uśmiechy z miłą słodyczą zmieszane — światu na pociechę, Turkom na grozę“... W uroczystém przemówieniu cesarz zapewnia, że po Bogu najwięcéj zawdzięcza królowi polskiemu. „Ty — powiada — zesłany zostałeś jakby anioł, ażeby przed gromami bizantyńskiemi zasłonić Północ i państwo rzymskie; wyznaję, że wszystko, czego w boju mężnie dokonano, dziełem jest męstwa twojego; zwycięstwo stało się twoim niewolnikiem, ażeby użyźnić nasze grunta... My zawsze przed całym wyznawać będziemy światem, ileś zrobił dla rzymskiego tronu i domu cesarskiego“. Po téj przemowie znów nastąpiły uściski, a Jan III odpowiedział krótko a skromnie, tytułując cesarza w liczbie mnogiéj, podczas gdy

Leopold mówił do niego: ty. „Dla was — powiada król w epopei ks. Kalińskiego — gwiazdy krążą, dla was walczyliśmy i my, a zwycięstwo, cesarzu, tylko w ślad za waszém prawem postępuje. Tajemną sztuką Bóg rządzi światem i niebem, lubo na siedzibę obrał sobie gwiazdy zdala od ziemi; tak i majestat wasz, lubo, mając słuszne powody, przebywał zdala od szyków zwycięskich, całą wszakże siłą był przytomny i pokonał Gielonów. A ta drobnostka, która za dzieło ręki naszéj uważana będzie, wyszła również ze zrządzenia siły i myśli Najwyższéj, nie ludzi; im więcéj wymagają wiara święta i sojusze, tém więcéj jest męstwa, ażeby z całych sił na wasze pracować laury".

A jak sam król, tak i syn królewski Jakób doznał — według poety — „uścisku i usłyszał pochwały z pięknych ust cesarza rzymskiego". Wojsko téż polskie uczcił Leopold w poemacie ks. Kalińskiego słowami pełnemi uznania dla jego dzielności. „Nie wstyd monarsze — mówił on oglądając szyki — że winien życie i całość domu waszym chorągwiom, na których nie widać prawie nic ziemskiego, tylko bóstw twarze i gwiazdy niebieskie. Takim duchom powierzyłby straż sam dwór boski, a cóż dopiero ziemski ród królów i Rzym. Przez wieki potomne przejdzie imię wasze jako zwycięsców Azyi, obrońców Wiednia i naszych; do zaczętych dodajcie tylko dalsze usiłowania, ze zwykłém wam męstwem".

Gdy po odpoczynku i wymianie grzeczności postanowiono ścigać Turków daléj, król Jan wraz z księciem lotaryńskim wyrusza [1]), przeprawia się przez Dunaj, przybywa do Komarna, skąd ma się udać do Ostrzyhomia,

---

[1]) Zaznaczyć wypada, że wzmianki o znalezionym w Fischau obrazie Matki Boskiéj niéma w poemacie.

gdy podstęp przyjaznéj Turkom Feby naraża wojsko polskie na klęskę.

Febe, przybrawszy postać Dyany, wybierającéj się na łowy, łączy się z wojskami bisurmańskiemi, a przedstawiając się paszom jako pokrewna rodem Amazonka, prosi ich i zaklina, ażeby gęsto obsadzili zbrojnymi miejsce przez nią wskazane. Sama zaś jako Dyana wywabia z lasu zwierzynę, ażeby ściągnąć w owó miejsce lubowników myślistwa. Polacy i sam król wpadają w zasadzkę. W bitwie zaciętéj ginie wojewoda pomorski Denhoff i wierny jego sługa Gutowski, oraz Siemionowski, Gałęzowski, Kaliński starosta bracławski, któremu autor, jako swemu krewniakowi zapewne, dłuższą poświęca wzmiankę: „Wśród téj wrzawy, na prawém skrzydle Kaliński, dowódca husarzów, pociągnąwszy za sobą chorągiew Dąbskiego, rzuca się naprzód i woła w słusznem oburzeniu: Toż ma zachwiać zwycięstwo sarmackie ten łupiesca, któregośmy niedawno jakby trzodę rozegnali, którego przyrzekliśmy w obliczu króla lechickiego oddać związanego w moc cesarza, ażeby ciężkie nosił kajdany! Ha, wstyd! raczéj tutaj pozbyć się życia niż przeżyć hańbę, którąby cały świat się brzydził. To powiedziawszy, chyżo podążył w tłum wrogów. Bellona ujęta wiosenną pięknością lica, usiłuje pohamować wodza, lubo widzianą być nie chciała; więc to w tył cofa porzucone lejce, to zatrzymuje prawicę, to pociski, chociaż świadoma jest śmierci, o któréj oznajmiły jéj wieszcze siostrzyce. Kaliński żywo bodzie rumaka i tylekroć powstrzymywaną rękę wyciąga do boju. Jakież bóstwo — mówi do siebie — nie dozwala mi iść na śmierć? Jeżeli twarde losy chcą unieważnić poprzednie zwycięstwa Lechitów, to czyż mam żywy patrzyć na tyle dzielnych mężów mieczem Bessa zabitych? Śmierć lepsza od habiebnego życia. I wspaniałym wysiłkiem zmiata szyki istryjskie i do ucieczki zmusza. Przed nim jednym

pada cały tłum Turków bez pewnego nazwiska. Nie mniejsza jest wściekłość Azyatów, gdy dzielne karki strącają a i ciebie, gwiazdo Kalińskich pomimo oporu Bellony; padasz ofiarą dla kraju; muzy cię nasze nigdy dość opłakać nie będą mogły; przez wieki źródło hipokreńskie lać będzie łzy, odświeżając wieńce zielenią niezmienną".

Nazajutrz król postanowił powetować klęskę wczorajszą; szczęście tą razą sprzyjało; wzięto do niewoli dwu paszów, a Karamechmet i wezyr ranieni, ratują się ucieczką. Poddanie się Parkanów i Ostrzyhomia wieńczy trudy Polaków.

W zakończeniu poeta prosi Muz, ażeby na korze permeskiego lauru wyrznęły uwieńczone imię Jana, „co — jakby ojciec królów i świata — tarpejskie (rzymskie) wzgórza mieczem zasłonił, Cymbra i Hunnów (Niemców i Węgrów) ocalił i stał się tarczą cesarstwa a Wiednia obrońcą".

Z samego streszczenia poematu widać zalety jego układu. Istotnie, oprócz wad i usterek, zaznaczonych już w opowiadaniu treści, niewiele dałoby się zarzucić kompozycyi *Wiennidy*. Odznacza się ona jasnością i ładem, znać, że autor panuje nad przedmiotem i umie ująć go w kształty, któreby czytelnikowi najwyraźniéj rzecz uwidoczniły. To panowanie nad treścią sprawia, że poemat wydaje się chłodnym, całkiem na zimno wyśpiewanym. Rzeczywiście, porównywając go np. z „Wojną Chocimską" Potockiego, nie znajdziemy w nim tego uniesienia i zapału, który z jednéj myśli do drugiéj przebiega, jedno uczucie drugiém potęguje, przechodząc z tonu opowiadawczego lub entuzyastycznego w sarkastyczny lub kaznodziejski; ale równocześnie nie znajdziemy tych nierówności, tych zboczeń, tych przerw wątku, co z niespokojnéj, zbyt ruchliwéj wyobraźni, nie krępowanéj pewnym rozumnym planem, wynikają. Nie należy wszakże

mniemać, iż ks. Kaliński nie spółczuje wógóle z tém, co dobrego opowiada, lub że wielkim czynom odpowiedniego wyrazu nadać nie umie. Przeciwnie, sława ojczyzny przejmuje go do głębi; wielkość wypadków i czynów pojmuje doskonale; lecz podmiotowym wybuchom, jak na epika przystało, nie daje się uzewnętrznić, przekonany, że samo przedstawienie faktów potrafi w czytelnikach obudzić uczucie właściwe.

Utwór więc ks. Kalińskiego odznacza się rozumnie ułożonym i przeprowadzonym planem i stanowi zaokrągloną artystyczną całość. Pod tym względem ma on wyższość nad wszystkiemi poematami historycznemi, jakie literatura nasza przed wiekiem XIX posiadała. Przyznać należy, że sam przedmiot opiewany — jedna walna bitwa — dopomógł autorowi do utrzymania się w granicach jedności artystycznéj, gdy np. Potocki zmuszony opisywać znaczną liczbę utarczek, nie zdołał prócz chronologicznéj, innéj jedności w utworze swym zachować. Że jednak z tego z zewnątrz dostarczonego ułatwienia umiał autor *Wiennidy* korzystać, i to mu za zasługę poczytać można.

W kreśleniu charakterów poszedł Kaliński za zwyczajem wówczas w epice przyjętym. Psychologiczna charakterystyka nie była jeszcze wtedy znana: poprzestawano więc na odmalowaniu zewnętrzności osób opisywanych, na wskazaniu ich pochodzenia, na wyliczeniu ich zasług, a wreszcie na porównaniu ich z bohaterami znanemi z poezyi lub historyi narodów klasycznych. Tego wszystkiego dokonywano zazwyczaj zwięźle. Kaliński wyróżnia pierwszorzędne od drugorzędnych postaci: pierwszym poświęca więcéj miejsca w opisie, drugim mniéj. Główne osobistości: Jan III, Leopold, Jabłonowski, Lubomirski. ks. Lotaryński z jednéj strony, a wielki wezyr, Karamechmet, Mechmet Gerej — z drugiéj przedstawiają się najwypukléj. Obok nich autor ze szcze-

gólném zamiłowaniem zatrzymuje się przy tych rycerzach, co mężnie walcząc legli w boju.

Charakterystyki te a raczéj opisy są starannie *wypracowane*. Ks. Kaliński nie posiadał téj lotnéj fantazyi, co bez najmniejszego zdaje się wysiłku, jednym rzutem, potrafi odmalować człowieka lub zdarzenie, jak to bywa bardzo często u Potockiego; nie miał téż téj barwności i żywości obrazowania, jaką się odznaczają liczne ustępy „Wojny Chocimskiéj“. Musiał on tworzyć powoli i z niejakim mozołem; w końcu atoli wyrobił sobie pewien rodzaj plastyki, ciężki wprawdzie, lecz wyrazisty, który opisom jego nadaje wypukłość niemal rzeźbiarską; osoby przezeń wyprowadzone widzi się nie ogólnikowo, lecz w pewnéj określonéj chwili, w pewnéj pozycyi.

Z tém poczuciem plastyki łączy się u poety naszego silne poczucie rzeczywistości. Odrzuciwszy na bok postaci mitologiczne i allegoryczne, jako wynik szkolnéj rutyny, odszukamy w poemacie odtworzenie ludzi i wypadków rzeczywistych. Możemy się zżymać na niezgodne z dziejami przedstawienie osoby cesarza Leopolda, na skrzywione pod względem prawdy określenie stosunku cesarza do Węgrów i t. p. ale nigdy przy czytaniu poematu nie przyjdzie nam na myśl, że mamy przed sobą papierowe figury, nie zaś ludzi.

Nie autor kieruje swemi osobistościami, lecz one same z siebie rozwijają działalność; rozumiemy, że tak jak postępują, postępować musieli ze względu na swe usposobienie i charakter. Uwydatnia się to nawet w szczegółach podrzędnych: owo rzucenie się spragnionych rycerzy na winogrona w górach, które inny poeta, więcéj dbający o koturnowość swego utworu niż o rzeczywistość, byłby zapewne pominął, jest właśnie jednym z tych drobnych rysów, za któremi poezya nowożytna się ubiega, a które przyczyniają

się silnie do nadania cechy prawdy utworowi artystycznemu; autor *Wiennidy* szczegół ten nie bez humoru traktuje.

Najsłabszą stroną poematu jest chyba jego dykcya. Z temperamentu raczéj powolny niż porywczy, nie mając wyobraźni łatwéj i ruchliwéj, ks. Kaliński pod wpływem wykształcenia klasycznego wyrobił sobie styl retoryczny bardziéj niż poetyczny. Erudycya starożytnicza zajęła umysł jego niemal w zupełności; stąd „barw do obrazu“ szukał w książkach, a nie w naturze. Epopeja jego pod względem wyrażeń jest pracowicie zebraną antologią z utworów poezyi łacińskiéj. Przenośnie i porównania, któremi poeci lubią zdobić swe opowiadania, mają w niéj dwojaką cechę; albo są zestawieniem ludzi i zdarzeń opisywanych z analogicznemi pojawami w mitologii lub dziejach starożytnych, albo téż owemi pomysłami tradycyjnemi, które świat zewnętrzny zwierzęcy lub roślinny w sposób ogólnikowy do potrzeb dykcyi poetycznéj wyzyskują, bez względu na to, że mieszkaniec Północy ma bardzo słabe wyobrażenie o zjawiskach przyrody południowéj, że ten, co morza nie widział, nie zdolen dobrze odczuwać malowniczości tego, co o niém poeta podaje.

Wobec takiego charakteru dykcyi księdza Kalińskiego wogóle, tém ciekawsze są ustępy, w których choć częściowo przyrodę i ludzi miejscowych wziął do porównania. Takich ustępów zapamiętałem trzy: dwukrotnie używa poeta Karpat, raz myśliwca litewskiego do uwydatnienia opowiadanych szczegółów. I te wprawdzie ustępy są trzymane w tonie bardzo ogólnikowym, tak że zamiast Karpat np. można było położyć jakie inne góry; ale świadczą przynajmniéj o pewnych usiłowaniach rozszerzenia zakresu porównań. Z tego względu przytoczę tu dwie z tych usiłowań próbki, tém bardziéj, że one uprzytomnią czytelnikom ten rodzaj plastyki, jaki talentowi autora *Wiennidy* jest właściwy.

Poeta mówi o ostatnich chwilach walki, która się miała zakończyć zwycięstwem chrześcijan: „Wtém wściekłość się zwiększa; już nie zdala tylko przelatuje włócznia i kul chmara, lecz noga z nogą, prawica z prawicą, piersi z piersiami się tłoczą w zmieszanym tłumie; na miecze spadają miecze; ani Teuton odeprzeć, ani Trak złamać się nie dozwala, gdy jednak mężny oddział Polaków wsiadł na karki wrogom, ci wreszcie tracą odwagę i tył podają. Tak gdy z gór karpackich płynący potok, zasilany ulewą, napotyka w biegu na usypaną groblę, wówczas kłębiąc się wlewa wzburzoną wodę we wnętrzności ziemi, a murawa zapada się pod nim obficie, lecz niebawem za wzmożeniem się nurtu, reszta pozostała takiemuż ulega zniszczeniu, a strugi po całéj rozlewają się równinie“.

W opisie zaś ucieczki wezyra i Turków wzmiankuje o ostatnich wybuchach zaciekłości wroga: „I uciekając jednak, nie zaniedbuje rodopejskich podstępów; bo ujrzawszy bezładnie na łeb na szyję uciekających Gietów, wezyr rozkazał coprędzéj zakopać proch u wejścia do obozu, a na całéj powierzchni doliny pragnie zarzucić kamieniami wszystkie kusze, których z powodu ciężaru zabrać nie było można, lżejsze zaś narzędzia pomyślnego mordu porywa. Zostawała garstka piechoty; tę ostrożny wróg albo wsadza na luźne konie, co szły za obozem, albo każe jéj, dla uniknienia klęski, wsiąść z tyłu za spahami. Ostatnią wściekłość wywiera na wziętych do niewoli ciałach Cymbrów i Lechitów; przeszywa je okrutnie miecz gietycki, w ręku zemsty drgający; poczém tyran popuszcza cugle koniowi i poprzez znużone Turków zastępy przelatuje z groźném obliczem i ruchami; setce bowiem zbiegów gotował męczarnie. Nie inaczéj bywa, ilekroć myśliwy litewski poruszy błyszczącém żelazem straszliwe legowisko niedźwiedzia; wyskakuje zwierz olbrzymi przeczuwający już walkę i rozwścieczony już-to

miota rozpłatane konary, już-to rzuca się obces na konie; za rzecz niegodną poczytując odstąpienie potomstwa, które chroni jaskinia. Gdy mu jednak pocisk w samych piersiach utkwi, wściekłość jego przycicha; nie wprzód wszakże zwierz przed wrogiem umyka, aż swe młode spośrodka walki uprowadzi“ [1]).

Takie miejsca w poemacie wskazują, że umysł twórcy *Wiennidy* nie był pozbawiony daru spostrzegawczego; przytłumiła go tylko i osłabiła szkolna rutyna, podstawiająca wzory sztuki zamiast wzorów natury, wskazująca artyście jako cel dążenia wierne naśladownictwo, nie zaś rozwój twórczości samoistnéj. Jeżeli umysł, takiemu tresunkowi rutyny poddany, nie da się zwichnąć całkowicie, lecz choć ułamkową samodzielność zachowuje, jest to dowodem jego energii przyrodzonéj.

---

[1]) Poemat pisany jest naturalnie heksametrem; jako ciekawostkę literacką zaznaczyć można, iż autor ośmielił się w jednym ustępie przełamać zwyczaj tradycyjny i użył innéj miary wiersza. List Petroczego w końcu księgi V, powołujący Węgrów do walki w obronie swobód, ułożony jest dystychami (heksametr z pentametrem).

1883.

VI.

CHARAKTERYSTYKA

IGNACEGO KRASICKIEGO.

Rok 1878, głośny między innemi setną rocznicą śmierci Woltera, był również pod pewnym względem setną rocznicą pamięci pisarza, któremu niektórzy przydomek „polskiego Woltera“ nadawać lubili. Istotnie, sto lat wtedy upłynęło, jak się pojawiły dwa utwory Krasickiego odmienne i formą i treścią i dążnością nawet: pierwsza część „Pana Podstolego“ i „Monachomachia...“ Jeżeli jakie pismo biskupa warmińskiego, to w każdym razie „Wojna Mnichów“ mogła usprawiedliwić owo zestawienie dwu nazwisk, tak nie licujących ze sobą skądinąd.

Świadomie czy bezwiednie uczczono u nas to literackie stulecie, ogłaszając nowe wydanie dzieł Krasickiego [1]) i nowe dokumenta rozjaśniające nam usposobienie jego i życia koleje. Takie uznanie należało się słusznie najświetniejszemu bezwątpienia talentowi naszemu z wieku XVIII, któremu, jak zwykle, wiele słów pochwalnych a mało badań dotychczas poświęcaliśmy. Rzeczywiście, jeżeli aż do roku owego znajdowały się w ukryciu nader ciekawe listy; jeżeli dziś jeszcze mnóstwo kwestyj oczekuje wyjaśnienia i rozwiązania: to chyba dostatecznie dowodzi, że dbałość nasza o ścisłe wiadomości dotyczące mężów znakomitych nie sięga poza granice najpospolitszéj, bezkrytycznéj ciekawostki. Rzecz trudna do uwierzenia a jednak niezaprzeczona, że po

---

[1]) Mowa tu o wydaniu warszawskiém w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“ w 6-ciu tomach.

pierwszéj gruntownéj pracy o Krasickim Juliana Bartoszewicza, ogłoszonej w r. 1856, to jest w lat 55 po śmierci wielkiego pisarza, rok dopiero 1878 zwiększył sumę naszéj o nim wiedzy. Niestrudzony Kraszewski, korzystając z własnoręcznych listów Krasickiego, napisał obszerne o nim studyum w „Ateneum“ a p. Adam Mieleszko-Maliszkiewicz, podał w „Kłosach“ kilka dotychczas nieznanych faktów również na podstawie własnoręcznej korespondencyi. To téż, mówiąc prawdę, dziś dopiero można się wziąć do pracy krytycznéj nad życiem i pismami księcia biskupa, kiedy się ma pod ręką materyał do porównania i skontrolowania wzajemnego.

Chciałbym na podstawie tego nowego materyału, tudzież studyów nad pismami Krasickiego, nakreślić jego charakterystykę, ustalić niektóre daty i sprostować kilka błędnych twierdzeń, jakie się wkradły do szacownych prac poprzedników moich. Muszę jednakże z góry uprzedzić czytelników, że nie porywam się wcale na wszechstronne zobrazowanie działalności Krasickiego na tle epoki, w któréj żył i pisał; bo na to materyał dziś istniejący nie pozwala jeszcze, jak o tém niejednokrotnie będę musiał nadmienić. Być może, iż wskazanie przerw niezapełnionych dowodami autentycznemi, jak niemniej wytknięcie potrzeby porównania pism Krasickiego ze współczesną mu literaturą francuską i polską, pobudzi do nowych poszukiwań w archiwach domowych i do nowych badań naukowych; bo poczucie *braku* jest już pierwszym stopniem do jego usunięcia.

I.

Przyroda dostarczyła miłych wrażeń dziecinnemu wiekowi Ignacego, Franciszka, Błażeja, syna Jana Krasickiego i Anny ze Starzechowskich. Dubieck (albo Dobiecko), miej-

sce jego urodzenia, jest to małe miasteczko położone na wysokiém brzegowisku nad rzeką Sanem, w ziemi sanockiéj a w dawném województwie ruskiém, — w prześlicznéj okolicy górskiej. Z ciasnego skalistego wyłomu, w którym San pasmo gór przerzyna, Słonném zwane, wychodzi on tu na rozległe błonia w dolinę podłużną i przewijając się srebrną wstęgą, odkrywa rozległe widoki. Cały krajobraz leży w ostępie szumiących lasów, któremi porosły góry; a urodzajność błonia, świeża zieloność łąk, szum wody, gra mgły stroi kraj ten dziwnym urokiem. Najkorzystniéj przedstawia się on z wysokiego brzegu dziedzińca zamkowego, u stóp którego San jak wąż się zwinął[1]).

Miasteczko to, założone przez Piotra Kmitę, od dwustu lat dziedzictwo Krasickich, nie natchnęło wprawdzie samemu Ignacemu żadnego wiersza opisowego; było ono dla niego tylko miejscem „słodkiém“, w którém „los zrządził pierwszy wątek życia“; lecz za to w 52 lata potém, zwiedzone przez „poetę serca“ Franciszka Karpińskiego, wywołało miluchny idyliczny obrazek:

Nad samym dwór dobiecki brzegiem Sanu leży,
Który niestatecznemi zakrętami bieży:
Wdzięczne kępy czystemi ramiony okrywa;
Chytry! sam je porobił i sam je zaléwa...
Tam wzgórki rozkosznemi drzewami się stroją,
Gdzie słowik swą pieśń śpiewa a *pasterka* swoją,
Do któréj gdy Aleksy przyszedł na godzinę,
Całować się zaczęli i poszli w gęstwinę...
Tu się niewinna na bujnéj łące owca pasie,
Nad nią zuchwała koza po skałach wspina się
I wisząc nad przepaścią chlubi się z swéj sławy,
Że doszła nietykanéj od nikogo trawy.
Indziéj z gęstwiny lasku wioska wyskoczyła,
Żeby się tak pięknemu porzeczu dziwiła;

---

[1]) Dzieła Wincentego Pola. 1875, III. 96.

A gdy się cudzym wdziękom przypatrywać rada,
Sama z drugiemi widok najpiękniejszy składa...

Taka cisza i spokój sielankowy niezawsze tu naturalnie panowały; burze z błyskawicami, piorunami i drzew łomotem od czasu do czasu władzę swą i do téj ustroni rozciągały; ale było to jedynie urozmaiceniem a nie zniszczeniem „najpiękniejszego widoku“.

Łagodne, uspokajające działanie, przeważnie jednostajnych zjawisk natury, bez tych nagłych wybuchów, w które obfitują okolice gorące, wzmacniało się z drugiéj strony wpływem wiary naiwnéj i prostéj, zaznaczonéj zewnętrznie kościołami i kapliczkami, żyjącéj w sercu rodziców i całego otoczenia. Nie tylko w samém miasteczku ale i po za niém, wśród zarośli, przy drodze, na wzgórzu znajdowały się wymowne jéj ślady. Karpiński, umiejący doskonale odczuwać wszelkie wrażenia religijne, zostawił nam wspomnienie jednéj takiéj „polnéj świątyni“.

Na lewéj dworu stronie po przechadzce małéj
Pierwszy nam dał się widzieć wzgórek okazały.
Czyli go ręka ludzka kiedyś usypała,
Czy wiekami natura nad nim pracowała;
Ale go człowiek jakiś dawniejszego świata
Drzewami poobsadzał, na których choć lata,
Chociaż poznać nadpsucie, prawie go nie czują,
Jeszcze teraz i z burzy i czasu żartują.
Kaplica od pobożnéj ręki wystawiona
W środku wzgórka dawnością stoi uświęcona,
Gdzie i dziś wieśniak z pola idąc w dobréj wierze,
Ocierając pot z czoła, szepce swe pacierze,
W których z chudobą, z dziećmi, z tém, co mu nie staje,
Co ma w gruncie, co posiał, na Boga się zdaje;
Tam i pasterz, straciwszy owce, bóstwo kłóci
I mówią, *że mu zawsze zguba się powróci*...

W domu do podobnych wrażeń religijnych przyłączyły się jeszcze przykłady cnót domowych i zabiegów o podtrzymanie splendoru rodzinnego. Krasiccy oddawna mieli tytuł

hrabiów, spokrewnieni byli z najpierwszemi rodzinami Rzeczypospolitéj, stali nawet z niemi dawniéj na równi pod względem majątkowym; z biegiem czasu wszakże podupadli i jakkolwiek znaczne jeszcze ziemie w ręku swych dzierżeli, nie mogli przecież prowadzić polityki własnéj i musieli się przyłączyć do stronnictwa jakiegoś potężnego rodu. Związki krwi i sąsiedztwa wskazały im Potockich. Po szczególe niepodobna wskazać tych stosunków z powodu braku wiadomości wiarogodnych.

O kasztelanie chełmskim, ojcu Ignacego, nic nie wiemy; o matce Annie zachowało się świadectwo syna, który po jéj śmierci pisał do brata, że nie o nią, ale do niéj modlić się należy. Była to więc niewiasta pobożna, cnotliwa, o dobro *domu* bezwątpienia dbała. Mieli siedmioro dzieci: pięciu synów i dwie córki. Ażeby nie rozdrabniać majątku i oddać go w całości jednemu synowi, przeznaczyli rodzice aż czterech do stanu duchownego, nie pytając zapewne, czy mieli skłonność do niego, czy nie. To staranie o splendor domu jak było silne w rodzinie, pokazuje się z późniejszego listu Ignacego, najstarszego z rodzeństwa, który tak pisał do brata Antoniego: „Najpewniejszego chwytać się trzeba, tak jednak, żeby też nie zakopywać się zupełnie. Nadto byłoby dla nas, gdybyśmy obydwa eksponować się na *dworszczyznę* mieli! A tak dobry będzie podział, gdy W. Pan za ekonomikę pieniędzy przysposobić, ja – *szarletaństwem damskiém* o promocyi myśleć będę i *choć się jedna z dwóch dróg uda,* może *dom* uszczęśliwić. Jedną zaś idąc, może nic nie zyskawszy, wielebyśmy stracili“. Tak to cnota domowa, służba boża, dworszczyzna, szarletaństwo damskie, wysługiwanie się możniejszym, dbałość o wszystkich członków rodziny splatały się ściśle, a dla nas już dziwnie, w jednę osnowę, na któréj wydatniały szczegóły życiowe. Ród stanowił tu zawsze

środek, ku któremu ciążyły wszystkie jednostki w skład jego wchodzące — z wyjątkiem wyrodnych, nieposłusznych.

Kiedy młody Ignacy z domu rodzicielskiego przeszedł do szkół; jak długo w nich bawił; nie wiemy. O lat 17 młodszy od niego, z domem Krasickich spokrewniony Stanisław hr. Potocki, późniejszy minister oświecenia, mówi w „Pochwale Ignacego Krasickiego" tyle tylko, że stało się to „zawczasu". Krasiccy byli oddawna dobrodziejami zakonu jezuitów; nic więc dziwnego, że i Ignacy miał w kolegium jezuickiém we Lwowie nauki szkolne pobierać.

Czas jego wykształcenia przypadł na chwilę budzenia się życia nowego. W r. 1741 wydaje Konarski swoje pierwsze wpływowe dziełko: „De emendandis eloquentiae vitiis" wymierzone przeciw śmiesznéj manii makaronizmu i panegiryzmu; w parę lat potém zakłada swoje wzorowe kolegium, które z początku bardzo mało liczy zwolenników, ale w każdym razie zapowiada już nową epokę wychowania. Zarówno dążność do zreformowania wymowy jak i próba innego niż dotychczas sposobu uczenia wywołały naturalnie niechęć ze strony rutynistów, lecz zbyt dobrze odpowiadały poczutym już przez wielu potrzebom, aby nie miały się stać pobudką dla zakonu szczególniej jezuitów do wprowadzenia pewnych zmian w systemie wykształcenia.

Być więc może, iż pierwszą książką, na któréj Krasicki uczył się stylu, było sławne w swoim czasie, a przezeń wspomniane później ironicznie dziełko księdza Wojciecha Bystrzonowskiego Societatis Jesu p. n. „Polak sensat w liście, w komplemencie polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany *szkolnéj młodzi*", dziełko wydane w Warszawie roku 1730. Drugim, dopełniającym pierwszy podręcznikiem była może „Fama polska, publiczne stany *i młodź szlachetną* informująca, z pozwoleniem starszych

przez księdza Kazimierza Wieruszewskiego Societatis Jesu ogłoszona roku pańskiego 1730".

Jakiego rodzaju stylu uczyły te książki, na przykład młodzi szkolnéj podane, dowiemy się zaraz z pierwszego Sensata listu, w którym się „samsiad w przyjaźń samsiedzką wprasza". Zaczyna się on w ten sposób: „Wiem, że jako *nulli amicorum satis est*, tak nigdy *granic nie sypie* życzliwość przyjacielska, ani *terminalne* eryguje kolosy *non plus ultra*, któreby braterskiéj *propensyi* zapędy tamować mogły. Boć jeżeli *solem e mundo tollit, qui amicitiam;* toć jako uniwersalny ten luminarz i wszystkim *amicum* jest *sidus*, tak ludzka przyjaźń garnące się do serca *nie ekskluduje* affekta" itd. Kiedy zapewnię, że i „Fama Polska" pod względem stylu bliźnięco podobna jest do „Polska Sensata", to czytelnik nabierze chyba przekonania, że w owych czasach prostota wyrażenia i czystość wysłowienia były ze szkół wygnane.

Prawdopodobnie jednak doczekał się Krasicki w kolegium lwowskiém pewnych zmian na lepsze. Zapewne znajdowali się już wtedy nauczyciele, którzy widzieli konieczność reformy i przemyśliwali nad zaprowadzeniem jéj w szkole swojéj, ażeby się nie dać ubiedz pijarom. Domysł ten nie jest pozbawiony nader silnéj podstawy. W roku bowiem 1749, a zatém wówczas, kiedy Krasicki, mając lat dopiero czternaście, musiał jeszcze w kolegium jezuickiém pozostawać, pojawia się w druku program reformy tego kolegium [1]). W programie tym wstęp daje poznać, że zakon jezuicki czuł złe, jakie sprowadzić muszą na kraj

[1]) Tytuł jego następny: Idea Collegii Nobilium pro educatione juventutis in pietate bonis nobilibusque moribus, variis eidem statui convenientibus artibus et scientiis, sub cura Patrum Societatis Jesu ad publicam patriae felicitatem *Leopoli* erecti. An. 1749.

podróże zagraniczne w celu niby to wykształcenia przedsiębrane przez młodzież niedoświadczoną; że starał się temu zapobiedz przez odpowiednie zmiany w trybie kształcenia. Zamiarem konwiktu miało być „wyrobienie młodzieży na mężów kiedyś kościołowi, rzeczypospolitéj i dobru publicznemu pożytecznych, kształcąc ją w pobożności, różnych umiejętnościach, dobrych, uczciwych obyczajach, odpowiednich charakterowi ojczystemu i wymaganiom wieku wytworniejszego“ (politiori saeculo conformibus). Co do nauk, to obok łaciny i dobrego stylu miała być wykładana *wszystkim* historya powszechna święta i cywilna; mianowicie zaś *historya polska*, ażeby żądni nabycia nauki języków obcych, *nie byli obcymi w ojczystych i domowych sprawach.* „Pewną to jest bowiem rzeczą — powiada program — że jak nie pragnie się tego, czego się nie zna, tak się go téż i ocenić nie umie. I stąd to pochodzi, że bardzo wielu powróciwszy z zagranicy, albo z odmianą miejsca pobytu tracą miłość ojczyzny, albo wyżéj cenią to, co zagraniczne, niż to, co ojczyste, niepomni słów księżnéj z Sobieskich Radziwiłłowéj, która zwiedziwszy całą Europę, synom swoim często powtarzała: dobrze we Francyi, piękne są Włochy, bogatą Hiszpania, poważne są Niemcy, lecz nad to wszystko droższą mi jest Polska“ (str. 4). Co się tyczy obyczajów, miały być wpajane cnoty obywatelskie, ich konieczność i praktyka, a przedstawiana równocześnie brzydota wad przeciwnych. „Nauczą się — mówi program — jak występować w prywatném kółku i publicznie, jak pisać listy odpowiednie duchowi narodu (ad genium gentis), jak stosownie do zwyczaju ojczystego przemawiać na sejmikach i sejmach. Obok tego podawane będą maksymy polityczne z najlepszych wybrane autorów; doroślejszym zaś uczniom wykładana będzie, bez uszczerbku w studyach, *nauka praw*, *ustaw*

i *ustroju politycznego* ojczyzny, któréj miłość aby nad wszelką prywatę przekładali, usilnie zalecać im należy“.

Nie można wprawdzie utrzymywać na pewno, że wszystkie zbawienne zmiany, jakie w programie ogłoszono, zaprowadzono rzeczywiście w kolegium, bo wiele pięknych przepisów na papierze tylko pozostaje; nie mamy wszakże żadnego powodu do nazwania całéj téj reformy czczym jedynie blichtrem. Pierwsi biografowie Krasickiego, a mianowicie Dmochowski i Potocki, przedstawiając w ponurych barwach stan ówczesnego wykształcenia, usiłują dowieść, że przyszły autor niewiele z nauk szkolnych korzystał. Byli oni jeszcze tego zdania, że „gieniusz sam tworzy swoje oświecenie, że z małéj iskierki roznieca płomień, którego blask nietylko jemu, ale i drugim przyświeca“. Potocki nawet nie waha się za rzecz pewną podawać, że „zbyt dzielną była przyrodzona moc geniuszu“ w Krasickim, by mu nie wskazała różnicy pomiędzy zepsutym smakiem szkolnym a wzorowymi pisarzami, których utwory jednocześnie czytano, różnicy, któréj mistrzowie jego nie dostrzegali. „Z późniejszych pism widzimy — powiada Potocki — jak go żywo uderzyły te szkolne śmieszności, te najgorszego smaku płody, które mu snać *sprzecznie z zdaniem jego* za wzory narzucano, a których on tak żywą pamięć dochował, by je wieczną okrył z czasem śmiesznością i w wiecznéj pogrążył pogardzie“ [1]).

Dzisiaj wiemy już, że takie przecenianie mocy jednostki choćby gienialnéj nie da się usprawiedliwić, że bez zmian w otoczeniu nie może się wytworzyć zupełnie różne od tego otoczenia indywiduum. Konarski, który się wśród daleko gorszych niż Krasicki kształcił warunków, długo nad sobą pracować musiał, zanim się pozbył wad nabytych za

---

[1]) Pochwały, mowy i rozprawy, 1816, I, 107.

szkolnych czasów. Nie możemy więc lekceważyć owych reform w kolegium lwowskiém zaprowadzonych, i musimy przyznać, że one bezwątpienia wiele się przyczyniły do wyjaśnienia pojęć i wyrobienia stylu młodzieńca. Dmochowski, powołując się na świadectwo tych, co razem z Krasickim bieg nauk szkolnych odbywali, powiada, że już wtedy przedziwny jego talent wyrywał się gwałtem do zabaw wierszopiskich. „W szkolnych igraszkach widać było dowcip, który w czasie (t. j. z czasem) miał być rozkoszą narodu“. Toż samo powtarza nam i Potocki, dodając że „już wtedy nieraz uprzedzonych nawet złego smaku stronników uderzała łatwość i gładkość wiersza jego, zgoła ta naturalność, od któréj sami tak dalekimi byli“.

Czy skończył cały kurs w kolegium lwowskiém i czy bezpośrednio potém kształcił się gdzie jeszcze, nic a nic nie wiemy; gdyż wiadomości, jakie o życiu jego pomiędzy r. 1750 a 1760 posiadamy, są bardzo szczupłe i nader lakoniczne. Wiemy tylko, że w r. 1751 umarł mu ojciec Jan, kasztelan chełmski; że szesnastoletni Ignacy dostał się najprzód pod opiekę ks. biskupa Michała Kunickiego, a potém po rychłym jego zgonie pod patronat „królika Rusi“ Franciszka Salezego Potockiego, człowieka wielkiéj ambicyi, ale niezbyt rozległéj inteligencyi i niebardzo czułego serca. Chociaż nie miał święceń, Krasicki otrzymywał różne godności duchowne. Wedle Bartoszewicza książę biskup Czartoryski dał mu „dla zaszczytu“ tytuł kanonika poznańskiego; potém biskup Józef Załuski zrobił go kanonikiem kijowskim [1]), potém przemyskim, (2 czerwca 1757) daléj proboszczem katedralnym przemyskim (1757), wreszcie koadju-

[1]) Daty otrzymania obu tych godności są nieznane. Na czém opiera się twierdzenie Kraszewskiego (Ateneum, 1878, I. 223), że kanonikiem przemyskim został 7 stycznia 1750 (!), niewiem.

torem opactwa wąchockiego (2 marca 1759) [1]). Jako koadjutor opactwa wąchockiego miał Krasicki dopiero lat 24.

Równocześnie młody kasztelanic, odznaczający się miłą i układną powierzchownością, poszukiwany był jako kaznodzieja. Żałować należy, że Bartoszewicz, wypisując z gazet owoczesnych wiadomości o dwu kazaniach: raz w Białéj Radziwiłłowskiéj (wpośród wielkiego zbiegowiska ludzi *eruditissimo stylo)*, a drugi raz w Warszawie nad katafalkiem marszałkowéj wielkiéj Bielińskiéj, zapomniał zanotować daty, co téż było zapewne powodem, że nie mógł rozstrzygnąć, czy kazanie w Warszawie miał Ignacy, czy téż który z braci jego, którzy, jak wiemy, także się stanowi duchownemu poświęcili. Wiemy natomiast napewno, że dnia 16 lipca roku 1756 jako kanonik kijowski miał kazanie w Berdyczowie w czasie uroczystości ukoronowania „watykańskiemi koronami od Benedykta XIV papieża własnym jego kosztem sporządzonemi" obrazu Maryi Panny, „obrony i ozdoby ukraińskich krajów", przez J. O. księcia Kajetana Ignacego Sołtyka, natenczas kijowskiego biskupa. Kazanie to wydrukował ks. Grzegorz od Ducha św., karmelitów bosych prowincyi polskiéj definitor w konwencie lubelskim, św. teologii profesor, pomiędzy innemi kazaniami w czasie owéj uroczystości mianemi. Opis téj uroczystości wraz z dołączonemi kazaniami wyszedł dopiero w roku 1765 w Berdyczowie „w drukarni Karmelu, Fortecy Najświętszéj Panny Maryi". Że się tak rzecz ma, jak tu przedstawiam, wnieść można z samego tytułu książki wydanéj przez Grzegorza od Ducha św. jako téż z treści przytoczonéj przez Jochera. Autor opisu uroczystości nazywa Sołtyka biskupem kra-

---

[1]) W „Kalendarzu Warszawskim" na rok 1760 znajduje się Ignacy Krasicki zapisany jako koadjutor opractwa wąch., tudzież jako proboszcz biskupstwa przemyskiego. Też same tytuły ma K. w kalendarzach z r. 1761 i 1762.

kowskim, ponieważ drukuje dzieło w r. 1765, ale dodaje, że podczas uroczystości koronacyi był biskupem kijowskim; Krasickiego zowie proboszczem przemyskim, ale dodaje, że natenczas był kanonikiem kijowskim. Lecz ponieważ w książce Jochera znajdują się w tém miejscu omyłki w liczbach, biografowie, nie zważając na tytuły Sołtyka i Krasickiego, dziwne z nich wysnuli twierdzenie. Bartoszewicz datę kazania berdyczowskiego naznacza na rok 1751 i powołuje się na Jochera, chociaż ten daty téj wcale nie ma; Kraszewski zaś odnosi je do r. 1765. Tymczasem, z zestawienia wszystkich okoliczności, niewątpliwą jest rzeczą, że miało ono miejsce w roku 1756.

Ustalenie téj daty ważném się okazuje dla oznaczenia czasu, w którym Krasicki za granicę wyjechał. Dotychczasowi biografowie wywijali się z téj trudności, jak mogli, zbywając kwestyę ogólnikami. P. Adam Mieleszko Maliszkiewicz starał się czas tego wyjazdu zawrzeć pomiędzy rokiem 1755 a 1756. Teraz wiemy już, że 16 lipca 1756 był Kr. jeszcze w kraju; daléj z urywku listu, który ogłosił Kraszewski (Ateneum 1878, I, 225) dowiadujemy się, że nawet w grudniu 1757 znajduje się jeszcze w ziemi rodzinnéj i donosi matce o interesujących nowinach, o odwołaniu z Petersburga stolnika litewskiego Poniatowskiego, o feldmarszałku Apraksynie i o utrzymaniu aliansu rosyjskiego przeciwko Prusom. Zważmy nadto, że powietrze włoskie Krasickiemu jakoś nie służyło, że wpływ upałów jesiennych źle oddziaływał na jego delikatny organizm; że zatém kilkoletni pobyt w Rzymie byłby dla niego niemożliwy. Fundusze były również nie wystarczające; ciągle się o nie upominał to u brata, to u wojewody kijowskiego. Wreszcie, jeśli weźmiemy na uwagę jedno wyrażenie w liście z d. 16 sierpnia: *Rok* w Rzymie żyć *samą industryą* na mnie dosyć"; to zdaje się, że nie zrobimy zbyt pośpiesznego wniosku, jeśli

wyjazd Krasickiego do Rzymu naznaczymy co najwyżéj na rok 1759, kiedy już był koadjutorem opactwa wąchockiego, jako 24 letni młodzieniec. Wiek ten nawet wydaje się bardzo odpowiednim do odbycia dalekiéj podróży bez żadnéj bezpośredniéj opieki. Utwierdza nas w tém przekonaniu pierwszy z dochowanych listów Krasickiego z Rzymu, gdzie pod datą r. 1760 (w maju), powiada nasz podróżnik, że „nad lat *dwa* bawić nie zamyśla", a już we wrześniu tegoż roku pisał do wojewody kijowskiego, że „dyspensowany otrzymał od starszych pozwolenie skrócenia czasu, zamierzonego na rezydencyą" — i wybierał się w drogę. Ponieważ zaś ostatni list z Rzymu ma datę 28 marca 1761, zdaje się więc, że Krasicki nie bawił w wiecznym grodzie dłużéj nad dwa lata.

Od 6 lipca 1758 roku na stolicy papieskiéj siedział Klemens XIII (Rezzonico). Był to człowiek szlachetnego serca i zamiarów najczystszych; modlił się bardzo wiele i gorąco; miał jednak przytém najgłębsze przekonanie, że papiestwo nie powinno robić żadnych ustępstw na rzecz wymagań władzy świeckiéj, czyniących uszczerbek w starożytnych przywilejach najwyższéj władzy duchownéj. Musiał jednakże w ciągu jedenastoletnich rządów swoich doświadczyć, że czasy potęgi papiestwa już minęły, że broń duchowna, która w ręku Grzegorza VII lub Innocentego III gruchotała trony, była teraz tak kruchą, iż lada książątko lekceważyło ją bezkarnie. Napróżno zakazywano czytać dzieła Woltera, Helvetiusa i Roussa; cała Europa z tym większym zapałem do nich się garnęła; napróżno grożono klątwą księciu parmeńskiemu, który poddanym swoim zabronił apelacyi do trybunałów rzymskich; książę tak ostro odpowiedź swoję sformułował, że w zdumienie wprawiała. Jezuici, których papież uważał za najdzielniejszych szermierzy stolicy apostolskiéj, wypędzeni zostali z Portugalii (1759),

a procesowani w Paryżu, pomimo protestacyi Klemensa, również na wydalenie z państwa skazani (1762). Papież wyrok parlamentów francuskich uznał za nieważny, ale alokucyi swojéj ogłosić nie mógł. Na samym dworze rzymskim było stronnictwo, które nie pochwalało tego przeciwstawiania się dążnościom wieku i chciało z niemi wchodzić w ugodę, jak to było za Benedykta XIV, a miało być późniéj za Klemensa XIV.

Rzym tracił powoli polityczne znaczenie, ale pociągał zawsze jeszcze, jako najświetniejszy zbiornik sztuk pięknych. Kardynałowie Archinto, Passionei, Albani i t. d. zajmują się kwestyami artystycznemi, jako wykwintni znawcy; uczeni opisują zabytki i wyjaśniają ich znaczenie. Ażeby módz przypatrywać się skarbom watykańskim, sławny Jan Joachim Winckelmann z dalekiéj Północy, wyrzeka się, choć z boleścią serca, religii protestanckiéj i wędruje do Rzymu (1755). Kiedy tu przybywał, wydawało mu się, że wystudyował wszystko należycie, ale na miejscu dopiero przekonał się, że nic nie wiedział. „W Rzymie — pisał on — jest szkoła główna dla świata całego, i ja téż oczyściłem się tu i wydoskonaliłem". Tak przemawiał entuzyasta, choć protestant w duszy, znakomity twórca „Sztuki u starożytnych".

Ani kościelno-polityczna, ani artystyczna jednak strona Rzymu nie wywarła na Krasickim wielkiego wrażenia. „Miasto odwieczne" przedstawiało mu się przedewszystkiém jako miejscowość, w któréj kształcąc się na duchownego, można zawrzeć korzystne na przyszłość „relacye" z rozmaitymi dostojnikami kościoła, co „dla honoru i profitu domu" niemałe oddać mogło przysługi. Zresztą ciałem jest on w Rzymie, ale duszą w domu. Pod tym względem jest on starodawnym Polakiem, dla którego „milszy jest polski niedostatek, niż włoska obfitość". Jak poczciwi owi kołomyjczycy,

co to zapędzeni wojennym huraganem do Paryża, na pytanie, czy im się podoba to świetne miasto, odpowiedzieli bez zająknienia: „lipsze u nas w Kołomyi“... tak i Krasicki nie nudzi się wprawdzie w Rzymie, ale z tęsknotą pragnie „patrios salutare paenates“. W listach do rodziny — jak powiada Kraszewski, który je odczytywał i w wyjątkach nam podał — o zajęciach swoich w Rzymie, o tém, jak czas spędzał, o pracach swoich, o krajach włoskich, o ludziach tamtejszych, o sprawach, tak ważnych naówczas, obchodzących kościół i państwo, zupełnie cicho. Skarży się na brak pieniędzy, na niesprzyjający mu klimat; wyrabia odpusty dla familii, cieszy się ożenieniem lub zamęściem członka rodziny, żartuje lub napomina młodszych braci, wspomina ogólnikowo o wycieczkach poza Rzym lub do Neapolu (w październiku 1760); ale nigdzie ani jednego słówka o zabytkach sztuki, o położeniu dworu rzymskiego, o znajomościach z ludźmi uczonemi, o studyach swoich. Pisał z Rzymu tak, jakby np. był w Berdyczowie lub Przemyślu. Żartobliwość i dowcip już tutaj się przebija, a najlepszym okazem tego rodzaju jest list do brata Antoniego, kiedy ten ożenił się z panną Różą Charczewską, kasztelanką słońską. „Niech mi jejmość — pisze 25 letni kanonik i koadjutor opat — będzie zdrowa, a skrzętna i gospodarna, to ją moją gospodynią za czasem mogę zrobić i tak, idąc po stopniach, może i wąchockiego piwa zakosztuje. Kucharza dobrego przyjąć, żeby jejmość smacznie jadła, wygody jéj wszystkie były. *Kawę* dobrą kazać gotować, bo to damy lubią. O kawiarce téż pomyśleć, żeby była nie koczkodan. Kareta niech lekko nosi dla wygody przyszłych synowców i synowic. Zabawki dla jejmości wymyślać, żeby nie tęskniła. W czasie prezentować Imci, żeby się z swojemi popoznawała i z niemi cieszyła. Ja tu pokupuję dla Imci fraszek białogłowskich, kwiatów, bukietów. Niech napisze, czego

chce i wiele. Jeśli macie skrzypka w domu, tém lepiéj, kiedy państwo nie stare; na końcu téż o mnie pamiętać i mnie kochać“.

W listach do „królika Rusi“ toż samo prawie, z tą atoli różnicą, że zamiast wskazówek i żartów, ciągle się młody kanonik submituje i usprawiedliwia z zarzutu rozrzutności. Potocki, wysyłając raz zwykłe kwartalne subsydyum, dołączył przy niém epigramat, „hałasujący na prałata, że ekspensuje do kata“. Krasicki odpisuje (18 paźdz. 1760) „eksplikując się“. Chociaż to był tylko „łaskawy żart“ wojewody, mieściło się w nim przecież „zbawienne napomnienie“. Nie miał „śmiałości“ uniewinniać swego postępku, skoro „zasługiwał w przekonaniu wojewody na naganę; przyrzekał więc za powrotem odmienić się i dowieść, że nie jest rozproszycielem, a tém samém, że pozostanie zawsze godnym jego *hojnych dobrodziejstw*“ [1]). W drugim znów liście zdaje sprawę z poruczonéj sobie przez „królika Rusi“ „dyspozycyi pobożnéj“. Wojewoda zakładał misyą w Mohylowie nad Dniestrem i starał się o potwierdzenie jéj w Rzymie. Krasicki donosi, że zajmował się tym interesem „wedle powinnych obowiązków“ bardziéj niż swoim i był uszczęśliwiony, że „się stało zadość woli opiekuna“.

Jak w listach spółczesnych nic, tak w dziełach późniejszych bardzo mało mówi nasz podróżnik o swoich spostrzeżeniach i wrażeniach na ziemi włoskiéj i w „stolicy świata“. Znam tylko dwa obszerniejsze ustępy, w których jest o Włoszech wzmianka. W trzeciéj części „Pana Podstolego“ znajdujemy uwagi ekonomicznéj natury: „Potrójne w przeciągu dwóch mil miasteczka — powiada tu — nie byłyby zbyt blizkie we Włoszech, gdzie bliżéj jeszcze siebie są częstokroć dość spore miasta; ale ludności tamtego kraju,

---

1) Kłosy 1878, N. 688.

handlu i przemysłu z naszym równać nie można. *Wsi nie znają*, bo grunta zadzierżawione, albo w ręku właścicielów tak są urządzone, iż każdy w obrębie swoim ma dom i folwark dziedziczny: tak albowiem jak u nas chłopów do gruntu przywiązanych niemasz“. Drugi raz w drukowanym liście do G. K., który wyjechał do Rzymu, kreśli swoje wspomnienia, ale posuwa je daleko w przeszłość, nie zastanawia się nad Rzymem spółczesnym, ale nad Rzymem starożytnym. Winszuje podróży „pięknéj“, cieszy się, iż „ciekawe, wspaniałe, użyteczne rzeczy“ ogląda i zazdrości mu tego. „Kto raz Włochy oglądał — mówi — a zapuści myśl w to, *czym niegdyś były*, temu drobnieje wszystko, co potym widzi. Ja pragnę, iżby wolnych narodów obywatele *w wieku dojrzalszym* czynili to pielgrzymstwo, a z reszty jeszcze ułomków rzymskich zasycali swój umysł. Przez czas bytności mojéj w Rzymie najchlubniejszą przechadzką było to miejsce, które teraz zowią *polem krów* a było — *forum romanum*. Wznosiło to, rozrzewniało umysł mój, gdym deptał ziemię *śladami Katonów* upoważnioną. Zdawało mi się widzieć owę *mównicę przy Rostrach*, z których dawały się słyszeć Grakchy, Hortensyusze, Cycerony. Posiadających plac owéj świątnicy Jowisza Kapitolskiego bernardynów rozżarzona imaginacya stawiała mi *augurami*. Skała Tarpejska, gdzie teraz ogród kapuściany, przypomniała mi sławnych karą winowajców; gęsi nawet zdawały mi się być płodem owych, które krzykiem swoim *Gallów* odegnały. Zgoła każde spojrzenie, gdy baczne, każda myśl, gdy czuła (czujna), w stolicy świata wznosi umysł i wzrusza.

Ażeby mieć takie wspomnienia, nie potrzeba było koniecznie jeździć do Rzymu, bo z czytania historyków i poetów łacińskich sameby się one w kraju nasunęły. Tych wrażeń natomiast silnych, szczegółowych, jakie na umysł „czuły“ działają z widoku pomników sztuki, z obsłuchiwa-

nia się o sprawach szerokiego interesu, Krasicki nie przypomina sobie, jakkolwiek one bezwiednie w duszy spoczywając, odezwały się późniéj w pewném zamiłowaniu księcia biskupa do sztuk pięknych, a szczególniéj malarstwa. Do obudzenia ich atoli przyczynił się zapewne dopiero widok artystycznych usiłowań Stanisława Augusta.

II.

Powróciwszy do kraju, zaczął się Krasicki przyglądać sprawom publicznym. Brak mu jeszcze było samodzielnego kierunku, a nawet i jasno wytkniętéj drogi postępowania. Czytał zapewne wychodzące właśnie naówczas epokowe dzieło Konarskiego „O skutecznym rad sposobie“; może nawet już wtedy sympatyzował trochę z ideą porządku, przeciwstawioną dawnemu „nierządowi“; może podzielał zdania tego, co „pierwszy zdziczałe ciął gałęzie i śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe“, jak o nim sam po jego śmierci napisał; ale tradycya domowa pchała go w szeregi wprost przeciwnego stronnictwa. Przeciw Czartoryskim stali Potoccy z wojewodą kijowskim na czele. Krasicki jedzie w 1762 na sejm do Warszawy widocznie na zwiady, bo w jednym z listów do matki powiada, że go „intrygi warszawskie“ zatrzymywały w stolicy. Nie rozpisuje się jednak o interesach i zbywa je lakonicznie. Raz powiada np. „wyrywa mi się pióro — gala urodzin królewskich i opera. Sejm zerwany i nieszczęśliwe intrygi“. Trudno tu wyrozumieć, dlaczego mu wyrywa się pióro: czy z powodu gali dworskiéj, czy téż zerwanego sejmu. Że był w ścisłych stosunkach z „królikiem Rusi“, widać z przypisku do jednego listu.

Po śmierci Augusta III widzimy go znowu w Warszawie, jako sekretarza „interrexa“, to jest prymasa Wład-

sława Łubieńskiego, człowieka schorzałego, który chciał, ale nie mógł, czy nie umiał popierać kandydatury elektora saskiego Fryderyka Chrystyana. Krasicki koresponduje w tym roku z wojewodą kijowskim, donosi mu wszystkie nowiny i kombinacye dotyczące przyszłéj elekcyi, odbiera instrukcye, pisze nawet tajemne listy niezrozumiałe dla ludzi niewtajemniczonych; słowem krząta się około interesów stronnictwa saskiego, przeciwnego Czartoryskim i każdemu Piastowi, a w szczególności Poniatowskiemu. Z listów tych trudno ułożyć jakąś całość jasną, ponieważ jest ich niewiele, a prócz tego zawierają zaledwie napomknienia; potwierdzają one jednak w zupełności to, co już Stanisław Potocki zauważył: „Nie był Krasicki w liczbie stronników Stanisława Augusta, ani się przyłożył do jego na tron wyniesienia; owszem związki jego z stroną przeciwną znanemi były“ [1]). Gdy jednak Fryderyk Chrystyan umarł, a niefortunnie postawionéj kandydatury Branickiego zaniechano i bardzo mało miano nadziei w przeprowadzenie kandydatury młodziutkiego Fryderyka Augusta, zaczęto pod koniec r. 1763 próbować układów z Czartoryskimi, którzy dość nieokreśloną dali odpowiedź, że Potoccy „mogą się *in plena fide* pokładać, nie wątpiąc o zadowoleniu ogólnym“. Przytém przytacza Krasicki rys dość charakterystyczny. Wraz z odpowiedzią prymasowi wyprawił książę kanclerz Czartoryski do Pawła Mostowskiego, wojewody pomorskiego, „list dość mocny i animujący do zgody“. Mostowski przyjął go z niedowierzaniem, „obojętnie“ i przy „indyferentnym responsie“ posłał księciu „kilka pruskich półgąsków i niedopieczoną łapę niedźwiedzia“. Kanclerz skoczył jak oparzony, tknięty do żywego i „groźnie się odezwał z umknieniem wszelkich stosunków“.

---

[1]) Pochwały, mowy i rozprawy I, 114.

Zdaje się jednak, że Krasicki, służąc swemu stronnictwu, nie zaniedbywał stosunków z obozem przeciwnym, kiedy Marcin Matuszewicz już w 1763 uczynił go „faworytem przyszłego króla" i chodził do niego z prośbą, iżby „w *pactis conventis* dołożono, aby przyszła królowa była z urodzenia, czy z wokacyi rzymska katoliczka". Krasicki miał pochwalić ten krok pobożnego szlachcica i upewnić go, że in pactis conventis zastrzeżenie takie się znajduje...

Jakoż rzeczywiście w kilka miesięcy potém stronnik Potockich zostaje kapelanem J. K. Mości Stanisława Augusta i w dzień koronacyi 25 listopada „przy tym stole, gdzie złożony był strój dla N. króla", nasz opat wąchocki „w rokiecie i mantolecie *sandalia* podał dyrektorowi ceremonii Imci Panu Szymanowskiemu staroście wyszogrodzkiemu, a ten Imci Panu Ogińskiemu marszałkowi W. Lit., który je na nogi królewskie kładł; potém kapelana albę, dalmatykę, kapę biskupią do ubierenia N. Pana temuż podał, a ten z pomocą stojących biskupów N. Pana ubierał" [1]). Po skończonym obrzędzie, w czasie mszy po odczytaniu ewangielii, książę Imć biskup krakowski przyniósł J. K. Mości ewangielią do pocałowania, a Krasicki, odebrawszy od książęcia Imci Prymasa benedykcyą, wstąpił na ambonę i miał kazanie z tekstu: „Tulit ergo Samuel cornu olei et unxit David *in medio fratrum* ejus". Z racyi tekstu na samym początku umieścił kaznodzieja pochwałę prymasa (niby Samuela) i króla (niby Dawida), a potém podziękowanie Bogu, że nie dał upaść ludowi swemu, lecz go pocieszył. Następnie mówił o „nader doskonałém" uszanowaniu należném monarchom, przyczém zbijał mniemanie, jakoby uległość jednemu

---

[1]) Dyaryusz Sejmu Coronationis, a 2; Bartoszewicz mylnie zatém podaje, że książę Sanguszko kładł sandalia na nogi króla (III, 25).

uwłaczała swobodzie obywatela. Idea równości wszystkich ludzi występuje tu w formie następnéj: „Jednego Stwórcy dzieła, jednego rodzaju stworzenia, jednych rodziców dzieci, jednéj ziemi dziedzice: ile prerogatyw, tyle tytułów do niepodległości mieć zdajemy się“. Wzgląd atoli „szczęścia naszego kazał nam *porządku* szukać; ten bez udzielenia władzy być nie mógł; władza wyciągała posłuszeństwa; za posłuszeństwem szło poddanie się zwierzchności, która aby tym dzielniéj ujmowała serca poddanych, okazałości, powierzchowne pobudki do uszanowania, wynalezione są“. Jak widzimy ani słówka tu niéma o panowaniu z łaski bożéj; potrzebę władzy wywodzi kaznodzieja tak samo jak Jan Jakób Rousseau ze względu na szczęście społeczeństwa. Z doskonalącym się coraz rządem — mówił daléj kaznodzieja — uszanowanie rządzących mocy i powiększenia nabierało. „Niechaj kto chce te sprawiedliwe i powinne sposoby czczenia podłą i niegodną myślącego stworzenia sprawą nazywa“; widok szczęścia naszego, religia, „stan opłakany *nierządu*, usprawiedliwiający gwałty, zatwardzający serca, kaziący (sic) obyczajność, dostateczną będzie ludziom odrazą od takowéj swobody zwierzęcéj“. Miało nastąpić szczegółowe wyjaśnienie obrzędów koronacyjnych; ale mówca wiedząc, że ma przed sobą „wybór słuchaczów“ poprzestaje na wskazówkach ogólnych. Im znamienitsza osoba rozkazuje — powiada — tém znośniejsze posłuszeństwo jest: stąd pochodzą wszystkie odznaczenia dla tego *urzędu*, który „ofiarą publiczną być każe“. Namaszczenie powinno zwiększać uszanowanie, bo czyni człowieka „rzeczą świętą i osobliwym sposobem własnością bożą“. Wybór *przez wszystkich* z pomiędzy wielu oznacza „doskonałość i nader wyborne przymioty“ elekta. Naród polski — dodaje — „sławny zawżdy kochaniem panów swoich“. Określa daléj, na czém polega to uszanowanie dla monarchy. „Nie na powierzchownym

ułożeniu, pochlebstwie i ślepéj wszystkiego aprobacyi — uszanowanie monarchów zawisło. Radą, prawdą i obroną króla szanować należy; szanować w nim Boga i jego w Bogu; szanować sercem wiernym, umysłem niewzruszonym, kochaniem synowskim, *jednością myśli i woli*". Zwraca się następnie do króla: „Do monarchy *mędrca*, do męża wedle serca bożego imieniem kościoła i ojczyzny z miejsca prawdziwie poświęconego gdy mówię, tegoć winszować powinienem, żeś się stał namiestnikiem boskim i będziesz na wzór Opatrzności jego wszystkich uszczęśliwiał; żeś się stał ojcem powszechnym i prawem miłości rządzić nas będziesz; żeś się stał opiekunem poddanych, a *mocny nad słabym przewodzić ustanie*; żeś się stał dłużnikiem ludu twego i karą nieprawości, nagrodą cnoty wypłacisz się; żeś się nakoniec stał wszystko wszystkim i rzeczą samą królować będziesz". W końcu kaznodzieja prosi Boga o ducha rady, męstwa, dzielności, sprawiedliwości i oddalenie wszystkiego, co prawe posłuszeństwo niszczyć i kazić może jako to: *niesforności*, *pychy*, zysku własnego, zazdrości podłéj, nienawiści wzajemnéj.

Kraszewski utrzymuje, że kazanie, zawierające się w trzech stronicach arkuszowych Dyaryusza Sejmu Koronacyjnego „nie nosi na sobie piętna wyższéj kaznodziejskiéj zdolności, nawet w porównaniu do innych kazań Krasickiego homiletyczném, słabém się wydaje" (Aten. I. 234). Naumyślnie przytoczyłem treść i wyjątki, ażeby czytelnik sam mógł osądzić ten bardzo mało znany zabytek wymowy Krasickiego. Prawdą jest niezaprzeczoną, że mówca nasz nie odznacza się wcale zapałem; nie posiada nawet tego uczucia, które nadaje trochę ciepła zimnym wywodom rozumowym; że wreszcie mowa jego koronacyjna nie może się liczyć do pięknych; w każdym atoli razie ma ona w porównaniu z kazaniami homiletycznemi Krasickiego większą myśli obfi-

tość, większą dbałość o wysłowienie, a nawet i trochę wzruszenia, jeżeli nie uczucia. Kazań tych homiletycznych znam pięć. Przedmowę do nich napisał Krasicki 4 Czerwca 1764, a zatém w owéj chwili, kiedy po bankructwie swego stronnictwa — nie spodziewając się może wejść w przyjazne stosunki z Poniatowskim, zamyślał szukać sławy na polu wymowy kościelnéj i poprzestać na skromnéj roli opata wąchockiego. Wkrótce potém rzeczy się zmieniły: przed kaznodzieją otwarła się daleka a świetna karyera; biskup warmiński zapomniał o swoich kazaniach tak, że dopiero w 18 lat po jego śmierci jakiś nieznany z nazwiska misyonarz podał je do druku[1]) i silném zaleceniem w świat kapłański wprowadził. Przemawiając bowiem na wstępie do kandydatów na „urząd kaznodziejski“, powiada o wydaném przez siebie dziełku: „Znajdziecie w niém gruntowność i zupełność myśli, zadziwiającą łatwość i trafność w ich wynalezieniu i uporządkowaniu; to zaś wszystko połączone z jasnością, prostotą i dobitnością w wyrażeuiu. Przyjmijcie je z wdzięcznością i do *Skargów*, Karpowiczów, Kalińskich i innych *wzorów* wymowy kaznodziejskiéj przyłączcie“. Porównanie ze Skargą jeszcze raz nasuwa mu się pod pióro. Jestto bezwątpienia zbyt wielka przesada. Kazania Krasickiego odznaczają się istotnie zdrowym rozsądkiem, prostotą i jasnością; pisane są językiem i stylem czystym, lecz najzupełniéj bezbarwnym: nigdzie mówca nie zwraca się do uczucia, nigdzie nie daje karmi wyobraźni; wszędzie suche tylko i zimne, a dosyć powierzchowne rozumowanie. Porwać, zachwycić, a choćby tylko ukoić, błogiém uczuciem serce napełnić nie są one w stanie.

Co do myśli kazań tych są one oczywiście zgodne

---

[1]) Kazania Ignacego Krasickiego Arcy-biskupa gnieźnieńskiego. Za pozwoleniem zwierzchności. W Warszawie. W drukarni XX. Misyonarzów, r. 1819, str. 103.

z nauką kościoła; niema więc potrzeby przedstawiać ich tutaj; niektóre tylko charakterystyczne rysy zaznaczę. Zastanawiają przedewszystkiém w tych przemowach, zwróconych do ludu, częste wzmianki o „odszczepieńcach“, którzy „sami od siebie chcą sprawować poselstwo“, bo „żadnéj na to nie mają władzy i zlecenia, ani zaś jéj sobie dać, ani od drugich ludzi brać jéj nie mogą“; i przestrzeganie przed niemi — jakby lud nasz wystawiony był na działanie propagandy anty-katolickiéj. Mówca stoi naturalnie na gruncie tradycyjnym; wyraźnie powiada, że słowa jego już przed nim „wymierzone były“, i że następcy jego też same dzieciom słuchaczów głosić będą; utrzymuje daléj, „że mądrość chrześcijańska na wyznawaniu prawd i nauk kościoła bożego polega, i że ta tylko mądrość jedynie potrzebna jest“ (48). Nie można jednak stąd wyciągać wniosku, że Krasicki w kazaniach jest fanatykiem, że rozżarza niesnaski religijne, lub że przesadzoną przywiązuje wagę do obrządków kościelnych. Nie — łagodne usposobienie kaznodziei przebija się w jego mowach; nigdzie on nie piorunuje, nigdzie słów gwałtownych nie używa, nigdzie nie przecenia formuł zewnętrznych. Owszem, mówiąc do parafian, objaśnia, że obrządki kościelne same przez się „świątobliwości nas nie nabawiają, ale są przestrogami i wyrażeniem raz po raz wewnętrznych *sentymentów*, które nas udoskonalają“ (36). Ciekawą jest rzeczą, jak Krasicki, któremu później, gdy był ulubieńcem Stanisława Augusta, satyry zarzucały brak skrupulatności pod względem jedzenia w dni postne, zapatruje się na ten przepis kościelny. „Pościć — powiada on — dlatego, że drudzy poszczą, dlatego tylko, że nam post zapowiedziany, jestto czynić dzieło duchowne sposobem zmyślnym, bydlęcym, człowieka chrześcijanina niegodnym. Pościć dlatego, ażeby powiedzieć po faryzejsku — nie jestem jak drudzy: jestto z dzieła zbawienia, czynić dzieło zguby, a z lekar-

stwa — truciznę; martwić nakoniec przez postną wstrzemięźliwość jednę namiętność, a drugim pobłażać: jestto hipokryzya, i ludziom, gdy się objawi, niemiła i Bogu, przed którym się zataić nie można, obrzydła“ (94). Krasicki zatém żąda, aby post wynikał z wewnętrznego przekonania o jego potrzebie. I tu jednak nie należy błędnie oceniać tych wyrzeczeń i wnioskować, że kaznodzieja był filozofem wolnomyślnym, pragnącym obrządki kościelne zupełnie racyonalnie objaśniać. Bynajmniéj. Oburza się on tu na opinią „wielkiego świata“ i na argumenta żartobliwego mędrca; i tego rodzaju insynuacye przeciwko postom każe chrześcijaninowi zbijać cytatami z Pisma ś., to jest wszelkie dowodzenia odpierać jednym tylko argumentem: „napisano jest“. Uznaje on i wypowiada głośno, że są rzeczy, które nie dysputy, ale *posłusseństwa* wymagają, i nie pozwala oddawać ich „pod sąd płochego rozumu“. Nie można sobie wyobrażać Krasickiego takim księdzem, jakim był np. Kołłątaj lub Staszyc, którzy w ostatniéj niejako potrzebie uciekali się do Pisma św., a zresztą przemawiali tylko w imię rozumu i obowiązku obywatelskiego. Filozofia XVIII-go wieku wówczas, gdy Krasicki kazania swoje pisał, przesunęła się powierzchownie tylko po jego umyśle i starła z niego tą, co może edukacya jezuicka zbyt szorstkiém, zbyt niestosowném do dążności ówczesnych pozostawiła; filozofia ta może nawet ostudziła zapał kaznodziejski i łagodne, co więcéj chłodne wyrazy w usta mu włożyła, ale nie tknęła gruntu przekonań.

III.

Kazania zostały w rękopiśmie, ustępując miejsca publicystyce. Dążności reformatorskie Czartoryskich i króla doznawały wielu ciężkich przeszkód ze strony ciemnéj, przez nie-

chętnych nowemu porządkowi rzeczy magnatów podszczuwanéj szlachty, na którą trzeba było działać silnie i to za pośrednictwem nader rozmaitych środków. Jednym z nich było bezwątpienia wpływanie na opinią publiczną przez pisma czasowe. Nie mamy wprawdzie pewności, ale wszystko przemawiać się zdaje za domysłem, że „wskrzeszony“ w roku 1765 „Monitor“ [1]) miał być organem ludzi, co wszelkiemi sposobami pragnęli przeprowadzić jakiekolwiek zmiany w ówczesnym składzie politycznym Rzeczypospolitéj. Było to pismo głęboko i szczerze przejęte ważnością swego reformatorskiego powołania; dla niego panowanie Sasów przedstawiało się jako „czasy okropnéj pamięci“, a wraz ze wstąpieniem na tron Stanisława rozpoczynał się wiek złoty;

[1]) Tu się nastręcza sposobność bibliografom, nie znającym dotychczas *Monitora* wcześniejszego nad rok 1765, odszukania go w bibliotekach. W pierwszym bowiem numerze Monitora z tego roku czytamy: „Nim rozpocznę dzieło zamyślone, niech mi się godzi wspomnieć ś. p. *ojca* i dobrodzieja mojego; kwiat cisnąć na jego mogiłę *et fungi inani munere.* Miał w sobie ten *Monitor* ducha dobrego obywatelstwa i chęć sprawiać dobro; niedoskonałości jego lub to, co się w nim nagannego zdawało, bardziéj można przypisać czasom, w których żył, jak własnym jego skłonnościom; ogólne przepowiadając prawdy, był może przynaglonym do szczególnego przywłaszczenia czy z własnéj chęci, czy zarażony tym nieszczęśliwym umysłem podziału na partye, który naród cały rozrywał. Jeden i ten sam moment zagrzebał *Monitora zeszłego* i te czasy okropnéj pamięci, które podsycały statystyczne jego rozważania“. Z tych słów pokazuje się najwidoczniéj, że syn tj. Monitor z r. 1765 wspomina o istnieniu rzeczywistego ojca, że to nie jest żadną allegoryą, ale przytoczeniem istotnéj próby wydawania Monitora za Augusta III. Oprócz téj wzmianki odszukałem za wskazówką p. Tadeusza Korzona w „Thornische Wöchentliche Nachrichten“ z roku 1765 (z dnia 21 Czerwca) wiadomość stanowczą o wyjściu 3 numerów *Monitora* w roku 1763. Wiadomość ta, nieznana bibliografom, brzmi, jak następuje: Powiedziawszy niezbyt pochlebnie o dwu dawniejszych tygodnikach, jednym po niemiecku (Der Rathgeber), a drugim po polsku (Patriota polski) przez *Baucha* wydawanych,

dla niego tolerancya religijna była hasłem wynikającém zarówno z zasady miłości bliźniego, jak i z potrzeby ulepszenia przemysłu i handlu przez zabezpieczenie wszystkim kupcom i fabrykantom wolności sumienia; dla niego zmiany wydawały się konieczne we wszystkiém: w sądownictwie, w administracyi, w wojsku, w położeniu mieszczan i chłopów. Już w 1-szym numerze (z dnia 23 Marca), który był rodzajem prospektu, nie taił się Monitor ze swemi sympatyami dla króla, a zarazem zapowiadał, że działać będzie w duchu reformy. Wspominając bowiem o „ojcu“ swoim, Monitorze z czasów Augusta III, tak się wyraża: „Mnie synowi swojemu zostawił równą czystość intencyi, żądzę równą pożyteczności i drogę już utorowaną; w tym szczęśliwszy od ojca, że usługi narodowéj zaczynam osnowę w tym czasu peryodzie, w którym życzliwsze jak dotąd krajowi przeznaczenia Polskę z niewoli *nierządu* i *niewiadomości* wyprowadzić dopuszczają. Temu Rządcy, który i powszechnego dobra pragnie i to *co pragnie, wykonać umie... Magnus saeclorum ab integro nascitur ordo... Redeunt saturnia regna...* Ta zorza tak jasna dni najpogodniejszych pozwala nam nadzieje. Osięgnąć zechcę w biegu pisma tego nie tylko, *co polepszenia się rządów i natury onych* tykać może, ale cokolwiek czerpając w źródłach moralności, nauk,

---

ciągnie sprawozdawca daléj: „Es hätte mit mehrerem Recht als ein würdiges polnisches Wochenblatt angesehen zu werden verdienet, eine Schrift welche von *ohngefehr zwei Jahren* auch schon unter der Aufschrift *Monitor* in polnischer Sprache herauskam, und die aus der Feder *einer der angesehensten und vollkommensten polnischen Prinzen* geflossen war. Allein die so vielen Beschäftigungen dieses Prinzen mit öffentlichen Angelegenheiten, die durch *die erfolgte Veränderung im Reich* noch mehr vervielfältiget worden, waren Ursach, dass solches Blatt *mit dem dritten Stück* aufhörte“. Inicyatorem, jeżeli nie redaktorem tego czasopisma był widocznie jeden z Czartoryskich.

obyczajności, rozum weseląc, *oświécać* i umysłom do rozszerzenia się pole dać może". Oświata i poprawa rządów najściśléj tu się jednoczyły i stanowiły podstawę wielu bardzo rozumnych, a niekiedy gorąco napisanych artykułów, wymierzonych przeciwko zabobonom, z niewiadomości wynikającym, i przesądom, wkorzenionym w umysłach przez złe wychowanie i wadliwy ustrój Rzeczypospolitéj.

Na czele redakcyi stał jezuita ks. Franciszek Bohomolec, znany jako pierwszy u nas autor komedyj dla młodzieży szkolnéj i wsławiony bardzo wielu innemi pismami wierszem i prozą. Zadaniem jego było, jak sam się wyraża w 2-gim numerze Monitora (z tegoż samego 23 marca) „ułożenie" materyałów, których „uważaniem i roztrząśnieniem" zajmowały się *cztery* osoby, zjeżdżające się trzy razy na tydzień. Trzy z tych osób wymienia Bohomolec pod zmyślonemi nazwiskami: *Neoklesa, Filandra,* Imć Pana *Ochotnickiego;* czwartą zaś nazywa tylko „duchowną". Skądinąd znamy niektóre nazwiska stałych spółpracowników „Monitora"; wymieniają bowiem zazwyczaj bibliografowie ks. Jana Albertrandego, Józefa Epifaniego Minasowicza i Ignacego Krasickiego. Niepodobna z podanéj przez Bohomolca charakterystyki odgadnąć, kto był Neoklesem, kto Filandrem, a kto Ochotnickim; co do „duchownéj osoby" ta zdaje się być Krasickim. Wprawdzie nie wszystkie rysy fizyognomii duchowéj ówczesnego opata wąchockiego odbijają się w charakterystyce „duchownéj osoby"; a jeden z rysów, który w niéj znajdujemy, z trudnością w Krasickim dkryćby można: trzeba jednak pamiętać, że Bohomolcowi nie chodziło bynajmniéj o takie skreślenie charakteru swoich spółpracowników, żeby je każdy odrazu mógł poznać, lecz raczéj o naszkicowanie różnostronnych, a do jednego celu zmierzających usposobień tych osób, co się „uważaniem i roztrząśnieniem" artykułów zajmować miały. Otóż rola,

jaką odgrywać mógł Krasicki w tém zgromadzeniu literackiém, wcale dobrze się nadaje do jego charakteru. Według charakterystyki Bohomolca „duchowna osoba“, biorąca udział w wydawaniu „Monitora“, była przedstawicielem *tolerancyi religijnéj*. Posłuchajmy, jak Bohomolec rzecz tę określa. „Czwarty — powiada — *rzadko kiedy nawiedza nas*, ale skoro się między nami znajduje, przybywa nam świetlejszych myśli i ukontentowania. Jestto duchowna osoba, wielkiéj świątobliwości, głębokiéj nauki i *niewypowiedzianéj w obchodzeniu przyjemności*. Słabość zdrowia nie pozwala mu ani przyjąć na siebie pracowite obowiązki stanu swojego, któreby tak doskonale wykonać potrafił, ani téż wysokiego tego stanu dostojeństwa, *któreby mu tak sprawiedliwie należały* [1]). Za wszystkie współstworzenia upokarza się przed Bogiem, ale *nikogo nie potępia;* żyje na tym świecie jako ten, który nic w nim nie znajduje, coby go przywiązać mogło i śpiesząc do ostatniego celu żądz swoich z słabości zdrowia nabiera nadzieję prędkiego uszczęśliwienia [2]). To nam często powtarza, że *miłość wiary i stałość w wierze a duch prześladowania* w niczém wcale do siebie nie należą, że pierwsze jest cnotą, drugie — obrazą najfundamentalniejszéj cnoty każdéj wiary (a dopiero naszéj) — miłości bliźniego“.

Istotnie Krasicki nie mógł w tym czasie uczęszczać stale na zebrania „Monitora“, gdyż w początkach właśnie tego roku (1765) wybrany został prezesem trybunału małopolskiego, który do kwietnia odbywał swe czynności w Lublinie, a od przewodniéj niedzieli do wilii ś. Tomasza we Lwowie; do Warszawy zatém można było zaglądać

---

[1]) Pamiętać należy, iż wówczas ani marzyło się nawet Krasickiemu o biskupstwie warmińskiém.

[2]) Ten właśnie rys uważam za niezgodny z usposobieniem Krasickiego.

tylko czasami. Czynności Krasickiego, jako prezesa trybunału, nie są dotąd wyjaśnione; mówi się tylko ogólnikowo, że w Lublinie poznał przyszły autor „Przypadków Doświadczyńskiego“ i „Pieniacza“ wszystkie ówczesne praktyki prawne, które tak jaskrawo miał później odmalować. I ja nie mam nic do dodania w przedmiocie zajęć urzędowych prezesa; znajduję tylko we współczesnych owemu trybunałowi numerach „Monitora“ artykuły o sądownictwie i prawnikach w duchu surowéj krytyki pisane. W Nr. VIII mieści się rzecz „duchownego“ o ważności urzędu sędzi, który „ile może, powinien przymioty bóstwa posiadać“. Autor występuje stanowczo przeciwko rozpowszechnionemu wtedy zdaniu, jakoby „z krzesłem sądowym oraz umiejętność chodziła“, a wreszcie kończy bolesnym ucinkiem o deputatach: „Gdym mieszkał w sądowym mieście, nieraz trafiło mi się postrzedz powracające *ładowne bryki* tych, których skarbniczkiem, czyli telegą przyjeżdżających widziałem“. W numerze następnym (IX) podany jest „z opowiadania Filandra“ obraz dobrych i złych sędziów. O złych słyszał, że im „nie słuszność, ale emulacya dyktowała sentencye“; mniejszy był u nich wzgląd sprawiedliwości, byleby mieli partyą, byleby znaleźli takowych z koła swego, którzyby szli ślepo za ich wyrokami i tylko jednę mieli sentencyowania aryngę: „*idę in sensum pryncypała mojego*“. Karci następnie zatrważający wpływ magnatów na odwagę sędziów, wytyka przepełnienie miasta sądowego winiarniami, wstawianie się płci pięknéj i JJWW. korespondencyj; a kończy ironiczną uwagą, że nic podobnego w naszych trybunałach nie przypuszcza.

Bardzo być może, że artykuły te nie wyszły z pod pióra samego prezesa trybunału; ale że spisano je ze spostrzeżeń i uwag jego, o tém prawie wątpić nie można. Na tém atoli ograniczają się cokolwiek wyraźniejsze ślady działalności publicystycznéj w r. 1765, o ile dojść ich mogłem.

Z rokiem następnym rozpoczynają się zabiegi innego rodzaju; szło już o owe „wysokie dostojeństwa“ duchowne. Król widocznie polubił Krasickiego i chciał w nim pozyskać sobie wiernego a nadzwyczaj utalentowanego sprzymierzeńca w sprawie przeprowadzenia reform w Rzeczypospolitéj. Zbliżał się czas sejmu zwykłego, od którego obrad bardzo wiele zależało; na nim bowiem traktować miano o rzeczy niezmiernéj doniosłości politycznéj. Potrzeba więc było działać szybko i gorliwie. Król Stanisław wystarał się dla Krasickiego o koadjutoryą biskupstwa warmińskiego; wypadki zaś tak prędko po sobie następowały, że 28 grudnia 1766 roku koadjutor został biskupem, a 2 stycznia złożył przysięgę senatorską na zamku i miał prawo zasiadania na sejmach w przyszłości. W parę dni po odebraniu téj przysięgi król pisał do staréj swéj przyjaciółki i powierniczki, pani Geoffrin, o biskupie warmińskim, którego nazywa *Minetem:* „Jest dziś bogatym, a szczęściu jego publiczność przyklaskuje. Wiesz, że twarz ma piękną; twarz ta radość wyraża, — a *ja go uczyniłem szczęśliwym.* Pomyśl, czy mi na niego spoglądać miło“... Przyjemność ta jednak niedługo, zdaje się, trwała; bo książę biskup odbywał wprawdzie przejażdżki po kraju, ale bynajmniéj nie w celu jednania stronników królowi, lecz dla zabawy, dla dawania ślubów, dla wizyt urzędowych. Był rozrywany ksiądz biskup: obszerna a świetna koligacya nacieszyć się nim nie mogła, a Krasicki, który zawsze był w kłopotach pieniężnych, nie żałował przecież wydatków na hojne utrzymanie swojéj służby i na uiluminowanie mitry książęcéj. Było to miłém dla Krasickiego i jego rodziny, ale nie dla króla, który pragnął mieć z niego pomocnika politycznego. To téż Poniatowski wkrótce spostrzegł, że nadzieje jego niezbyt prędko się sprawdzają, a spostrzeżenie to zaznaczył w liście do pani Geoffrin z dnia 13-go maja, wyrażając obawę, „ażeby ten

Minet tak miły, tak dowcipny, tak pilny“, który mu tyle był winien, nie stał się próżniakiem, nie dbającym o nic i o nikogo tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. „Przykro mi — dodaje król — że mam pewne poszlaki, które zdają się to zwiastować“.

Krasicki w listach do brata i wogóle do krewnych nie wzmiankuje wcale kwestyj politycznych, a co najwyżéj przysyła jakiś dokument urzędowy lub półurzędowy, dodając, że z niego „uznać“ potrafi adresat, o co idzie. Treść listów zawsze dotyczy tylko stosunków prywatnych. Do pani Geoffrin, z którą tak jak Poniatowski prowadził korespondencyą, również o kwestyach politycznych nie pisał. „Odebrałam list od Mineta — pisze raz pani Geoffrin do króla — Minet ostrożny, słowa nie mówi o sprawach teraźniejszych“. A ówczesne sprawy coraz groźniejszy przybierały charakter. Sejm z roku 1766 był klęską dla stronników reformy; zwalono na nim prawie wszystko, co na poprzednich sejmach dla dobra kraju przeprowadzić zdołano; nie zadowolniono nadto słusznych wymagań dysydentów, którym szło o zupełnie swobodne wyznawanie swojéj wiary, a, jeżeli można, o równouprawnienie obywatelskie. Wskutek tego, wyszła deklaracya rosyjska, powstały konfederacye dysydenckie, konfederacya radomska; chaos w kraju był straszny.

Na dzień 25-go maja naznaczył król pełną radę senatu, na którą jako senator musiał także przybyć i biskup warmiński. Nie występował jednak na niéj w sposób odznaczający się, a przynajmniéj nie pozostał tego ślad żaden. Po trzydniowych obradach znowu się rozpoczynają przejażdżki Krasickiego: to przeprowadza zwłoki Prymasa do Łowicza, to koronuje cudowny obraz w Miedniewicach: ale o sprawach publicznych nie myśli. W sierpniu pisze król zirytowany do pani Geoffrin: „Przypadek nastręczył mi zręczność powiedzieć kazanie, ale nie ostre — Minetowi.

Zrobiło ono pewne wrażenie, bo się przekonał zarazem, że głos publiczny był przeciwko niemu".

Nastąpił smutnéj pamięci sejm zwany delegacyjnym, na którym ze wstydem musiano się zgodzić na to, co lekkomyślnie odrzuczono rok przedtém. Sprawa dysydentów była jednym z głównych przedmiotów, o których mówiono. Papież Klemens XIII w trzech „breve", wystosowanych do króla, do senatu i stanu rycerskiego, pochwalając żarliwość religijną sejmu z r. 1766, zagrzewał do takiegoż samego postępowania i obecnie; nuncyusz Durini w przemowie do szlachty zachęcał, żeby nie przyjmowali „owéj djabelskiéj komisyi (delegacyi), która miała usiłować religią katolicką i prawa narodowe zniszczyć" [1]). Zdaje się rzeczą pewną, że biskup warmiński poszedł za głosem papieża i nuncyusza: ale zbyt czynnie i zbyt śmiało opinii swojéj nie wyrażał, tém bardziéj, że po przeciwnéj stronie stał jego niegdyś opiekun, Franciszek Salezy Potocki, tudzież — przyjaciel od serca, Ignacy Cetner, którzy podpisali między innemi „projekt aktu limity", scharakteryzowany przez biskupa Sołtyka nader dosadnie, że ile w nim słów, tyle ciosów na wiarę i wolność... Jakoż wśród mów mianych na tym sejmie, zarówno przez duchownych jak świeckich, Dyaryusz, wydany przez Sozańskiego, nie wzmiankuje najkrótszego choćby odezwania się biskupa warmińskiego. Henryk Schmitt w „Dziejach panowania Stanisława Augusta", nie cytując wprawdzie źródła swych wiadomości, ale widocznie mając je pod ręką, wspomina tylko ogólnikowo, że „prowincya pruska, która właściwie powinna była naradzać się z wielkopolską, oddzieliła się od niéj i *miewała osobne posiedzenia* pod

---

[1]) Nolite amplecti diabolicam illam commissionem, quae vobis a comitiis nunc imminentibus proponetur, quaeque religionem catholicam et leges vestras evertere conatur.

przewodnictwem biskupa warmińskiego w pałacu tegoż" (II, 279). W drugiém miejscu, już nawet nie wymieniając biskupa warmińskiego i nie zaznaczając, czy obecny był na sesyi, powiada Szmitt, że prowincya pruska mimo groźb nie chciała zezwolić na ów projektowany „akt limity". Zachowania zaś jéj po usunięciu z sejmu Sołtyka, Załuskiego i dwu Rzewuskich (13-go paźdz.), szczegółowo nie kreśli, wzmiankując jednak wytrwałą postawę wojewody malborskiego. Dmochowski w mowie, mianéj na cześć Krasickiego, powiada, że tenże „przejęty sprawiedliwém uczuciem na taką obrazę majestatu narodowego, radził, aby póty zawiesić posiedzenia sejmowe, póki wzięte członki zgromadzeniu powrócone nie będą". Tak zapewnie wielu myślało; ale nikt tego głośno się nie domagał. Synowie Rzewuskiego, Chodkiewicz, Gołejewski gorąco przemawiali za użyciem odpowiednich środków ku powróceniu senatowi członków; ale na przyznanie takiéjże rady wyraźnie i Krasickiemu, nie mamy dostatecznych dowodów. Nieprawdopodobną ona nie jest; ale gdyby ją choć cokolwiek był zaakcentował biskup warmiński, niezawodnieby zanotowali mowę jego pisarze dyaryuszów. Zresztą zgodniejszém to było z usposobieniem Krasickiego dawać podobne rady pocichu, albo na prowincyonalném zebraniu posłów, niż ją wygłaszać wobec wszystkich zgromadzonych stanów. Na tém przypuszczeniu musimy poprzestać, dopóki nowych nie znajdziemy dokumentów. Bartoszewicz wprawdzie utrzymuje, że Krasicki wskutek swéj energicznéj rady „otrzymał w głos *podobno* rozkaz opuścić *natychmiast* i sejm i Warszawę" [1]); ale widocznie jest to jedynie wniosek oparty na słowach pochwały Dmochowskiego, bez żadnego potwierdzającego je dowodu. I owszem, sam Bartoszewicz dodaje, że Krasicki wyjechał

---

[1]) Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku, 1856, III, 43.

z Warszawy do Warmii dopiero dnia 6 listopada, a zatém w dwa tygodnie zgórą po limicie sejmu, która nastąpiła 19 października. Prócz tego w „Kalendarzyku politycznym“ na rok 1768 widzimy biskupa warmińskiego w spisie „rezydentów do boku króla Imci Pana Naszego Miłościwego do przyszłego sejmu“ od 1 czerwca do ostatniego septembra i od 1 octobra do 31 decembra.

Widzimy stąd, że Krasicki nie naraził wcale stosunków swoich, jako senator Rzeczypospolitéj, opinia zaś publiczna wystawiała go nawet sobie jako kapłana niezbyt gorliwego w wierze, a zajętego wyłącznie swojém powodzeniem u kobiet i staraniem o coraz wyższą karyerę. W jednéj z karykatur wystawiono naszego biskupa, odprawiającego mszę przy ołtarzu; wokoło celebranta kręciły się, niby posługując mu, panny w robronach. W komedyi siedmioaktowéj p. n. „Cnota uciemiężona“ bezimienny autor przedstawił pod zmyślonemi nazwiskami osoby, które najważniejsze odgrywały role za czasów konfederacyi radomskiéj i sejmu delegacyjnego. Między innemi znajduje się tu i Krasicki, jak twierdzi Bartoszewicz, przezwany *Umizgalskim*. Gra on tu „dziwną rolę bez koloru“; łasi się przed jednym i przed drugim, a obojętny jest na rzecz publiczną; spekuluje na biskupstwo kujawskie po Ostrowskim, który chciał zająć miejsce Sołtyka; ale i stronnictwo dworskie nie dowierza mu także, gdyż postanawia jednocześnie użyć przeciwko niemu księdza kanclerza Młodziejowskiego (po Jędrzeju Zamojskim, który złożył pieczęć wielką koronną 15-go października 1767 r.). Inny znów bezimienny autor, który „cenzurował wszystkich biskupów polskich“, o Kracickim te wiersze zapisał:

Biskup warmiński *gładysz* gładkich sentymentów
Nie lubi mięć o *wiarę trudów i zakrętów.*

Czyli w téj, czyli w owéj wierze być jest jedno;
Lepiéj zawsze w rozkoszy, niż tam, kędy biedno [1].

Odrzuciwszy nawet wiele z wagi tych zarzutów, które pod piórem pamflecisty zwiększyć się musiały, zawsze przecież prawdopodobną będzie rzeczą, iż gorliwego biskupa w ten sposób nie przedstawianoby wcale.

Podobne było zachowanie się Krasickiego i czasu konfederacyi barskiéj: nie stanął on wyraźnie ani po jednéj ani po drugiéj stronie, nie chcąc się nikomu narazić. Od roku 1768 aż do 1772 porzucił swoję rezydencyą biskupią w Heilsbergu, a mieszkając stale w Warszawie, otworzył dom, dawał wieczory, na które schodzili się wszyscy ówcześni literaci, jak niemniéj i król Poniatowski. Dowcipkowano, czytano wiersze, grano w karty, bawiono się wesoło, nie zachmurzając sobie czoła wspomnieniem okropnego nieładu, jaki w Rzeczypospolitéj panował. Jeżeli mamy wierzyć jednéj wzmiance listu pani Geoffrin do króla, to biskup warmiński miał być w drugiéj połowie 1769 r. w Paryżu. Czy przejażdżka ta połączona była z jaką misyą dyplomatyczną, wiedzieć niepodobna; chociaż łatwiéj przypuścić, że — nie, gdyż król, zwątpiwszy o Krasickim, jako dyplomacie, wybrał sobie innego zdolnego pisarza, Trembeckiego, który od roku 1770 konferuje z jeneralnością konfederacyi barskiéj, aczkolwiek bezskutecznie. Stosunki Krasickiego z królem były coraz bardziéj naprężone. Nie posiadamy wprawdzie listów Poniatowskiego, w których swoje niezadowolenie z biskupa wyrażał; ale z odpowiedzi pani Geoffrin, będących zawsze wiernem echem słów królewskich, dowiadujemy się o „straszliwéj niewdzięczności“ dawnego Mineta, nazywanego teraz już tylko biskupem warmińskim. „Czémże to był wprzódy ksiądz Krasicki? — pisze pani Geoffrin.

---

[1]) Tamże, str. 34, 42, 43.

W. Królewska Mość pozwolisz mi sobie powiedzieć, że niewdzięczność jest przywarą bardzo w Polsce pospolitą, a wogóle — w całéj ludzkości. A co ją u was czyni powszechniejszą, to — to, że W. Kr. M. nie możesz raz wyświadczonych dobrodziejstw cofnąć, ani niewdzięcznych ukarać". W innym znów liście nazywa go „prototypem wszystkich niewdzięczników, jacy kiedykolwiek byli i będą na świecie".

Pierwszy podział kraju w tém chyba zmienił położenie Krasickiego, że uszczuplił jego dochody biskupie, o czém zdaje się przyświadczać znana anegdota o obcięciu poł u płaszcza, a zatém — o niemożności wprowadzenia heretyka Fryderyka II do nieba. Z początku był wprawdzie Krasicki trochę niespokojny o swoję pozycyę, lecz wkrótce zjednał sobie przychylność, a nawet *soi-disant,* przyjaźń króla pruskiego i żył sobie wygodnie, oddany trochę zajęciom duchownym, a więcéj — zabawom świeckim. Urządza sobie apartamenta; ozdabia je; porządkuje bibliotekę zasobną w wiele rękopismów; bawi się sztukami pięknemi; zaprowadza teatr amatorski na swoim dworze, który się roi od ludzi; uprawia ogrodnictwo; zaopatruje piwnice; robi dalsze lub bliższe wycieczki do Berlina, Poczdamu, Królewca, Oliwy, Karlsbadu, Warszawy; odwiedza swoje miejsce rodzinne; stara się o odmianę biskupstwa; a od spraw politycznych stanowczo stroni, albo zbywa je szyderskim uśmiechem. Okres ten czasu najdokładniéj, bo z listów samego biskupa, opowiedział Kraszewski; dla ogólnéj charakterystyki ma on już znaczenie podrzędne.

Poznaliśmy wychowanie Krasickiego i pierwsze jego kroki na arenie publicznéj; przypatrywaliśmy się, jak charakter jego urabiał się i kształcił, jak zewnętrzne okoliczności nań oddziaływały. Krasicki ma już około lat czterdziestu; wielkich zmian w umyśle i w charakterze jego spodziewać się już nie mo-

żemy; owszem, takim, jakim był, pozostanie już do końca życia. Nie utracimy zatém wiele, gdy szczegóły drobne życiorysowe w ich kolejném po sobie następstwie pominiemy, a zwrócimy się do zbadania stanu duszy człowieka i pisarza. Kto chce poznać tryb codziennego życia, jakie się na dworze heilsberskim prowadziło, ten niech odczyta w II tomie zbioru dzieł Krasickiego „list imieniem brata do siostry“ i niech zestawi ze sobą wyjątki z korespondencyi biskupa z rodziną, przywiedzione przez Kraszewskiego. Powstanie z tego miluchny obrazek rodzajowy, na który złożą się ludzie i przedmioty powszednie, ożywione również powszedniemi myślami, a opromienione kiedy niekiedy odbłyskiem poezyi. Ani wielkich zamiarów, ani groźnych katastrof, ani głębokich uczuć, odnoszących się do ogółu spraw krajowych lub europejskich, nie znajdziemy tu wcale. Życie płynęło tu, wedle starego ale trafnego porównania, jak strumień spokojny pomiędzy brzegami nizkiemi, zarosłemi trawą i kwiatami. Tak się ono przedstawiało przynajmniéj nazewnątrz, w tém, co biskup sam dla innych z zajęć swych i myśli wypowiedzieć uważał za stosowne. Ale jakie było wnętrze? — Co tam w głębi duszy zachodziło? — Czy to była natura, która wszystko wypowiadała słowy, co w duszy jéj powstało i zagościło? — Czy też przeciwnie w duszy téj były kryjówki, z których czasami tylko, niespodzianie, może nawet bez woli autora, wydobywały się tajemnice serca i głowy?

IV.

Ktoby z powyższego przedstawienia chwiejności kroków Krasickiego na widowni politycznéj chciał go potępić i odmówić mu uczuć patryotycznych, widząc w nim jedynie egoistę, dbającego przedewszystkiém o *wygodę*, a stąd nie

zabiegającego nawet gwałtownie o dostojeństwa kościelne, nie mającego silnéj ambicyi politycznéj; ten z pewnością popełniłby omyłkę i niesprawiedliwość. Omyłkę — gdyż fałszywieby sobie wystawił charakter człowieka; niesprawiedliwość — gdyż złą, niesłuszną przykładałby miarę do ocenienia wartości takiego charakteru. Nie wszyscy mają usposobienie i zdolność do zostania statystami. Narzucać komuś rolę polityka, kiedy on chce zostać filozofem lub poetą, jest to nie rozumieć natury ludzkiéj, jest to rozkazywać płomieniowi, żeby chłodził.

Krasicki nie należał wcale do tych ludzi, co się rwą do czynu, co rozmyślając ustawicznie o ogóle społeczeństwa, czują w sobie siłę do przetworzenia go z gruntu; zakres i rodzaj jego uczuć, pragnień i popędów w szczuplejszych zamykał się granicach. Obdarzony z natury wrażliwością niepospolitą, ale niezbyt silną i głęboką, chwytał w lot wszystkie myśli, bystro oceniał przedmioty, wypadki i osoby, interesował się wszystkiém; lecz nie przywiązywał się stale do jednéj myśli, którą za zbawczą mógłby poczytywać, nie lgnął mocno do jednego człowieka, któregoby mógł za przewodnika lub wyłącznego przyjaciela uważać. Uogólniając wszystkie szczegółowe wpływy, jakie karmią téj jego wrażliwości się stawały, możemy odróżnić dwa wybitne, a wprost przeciwne sobie, pierwiastki. A naprzód, pierwiastek tradycyjny w najobszerniejszém znaczeniu wyrazu splatał się z najwcześniejszemi pojęciami, jakie w domu rodzicielskim, w szkole, w Rzymie, wśród zajęć kapłańskich przyswajał sobie umysł młody. Gdyby Krasicki żył w wieku XVI-tym, w wieku żywéj jeszcze wiary, namiętnych sporów religijnych, byłby został znakomitym kaznodzieją, apologetą, może nawet pisałby świetne polemiczne utwory, któreby spółczesnych uwielbieniem lub oburzeniem przejmowały. Żył jednak w stuleciu XVIII. Ogół szlachty był i teraz re-

ligijnym, przywiązanym co prawda więcéj do części obrzędowéj, aniżeli do dogmatycznéj, ale zawsze kochającym te obrzędy aż do pewnego stopnia nietolerancyi i fanatyzmu. Dwór natomiast, ludzie wykształceni, lub mający do wykształcenia pretensyę, zapatrywali się już na religią chłodniéj, bo na ustach Woltera widzieli uśmiech szyderczy, któremu odpowiadał takiż uśmiech na ustach „całego świata wyższego" we Francyi, będącego wzorem dla innych „światów wyższych". Wolter był potęgą nietylko wobec oświeconego ogółu, ale nawet wobec głów koronowanych. Trembecki utrzymywał, że samo zbliżenie się do mieszkania filozofa działało skutecznie na ogładzenie i ukształcenie człowieka:

Grubsze straci przesądy i rozumu przetrze,
Kto ma szczęście *fernejskie* oddychać powietrze.

Wolter wysławiał rozum i — tylko rozum; wtórowali mu encyklopedyści z Diderotem na czele; wszystko, co dotychczas miało byt prawny, uległo zaprzeczeniu, krytyce surowéj, napaściom gwałtownym i nieubłaganym, szyderstwu lub nawet cynicznemu naigrawaniu. Siłę wiary zastąpiono wyrozumiałą na wszystko tolerancyą, indywidualną miłość bliźniego zamieniono na abstrakcyjną, a niekiedy zupełnie ułudną filantropią; zamiłowanie tego, co było, tradycyą kościelną i narodową poddano analizie drobnostkowéj, z pod działania któréj cało wyjść nie mogła. Obok niszczenia dawnych pojęć wytwarzano nowe: w historyi, w prawodawstwie, w naukach przyrodniczych porobiono wiele odkryć, których zdobyczami dziś jeszcze się cieszymy. Cywilizacya ta świetna, różnobarwna, mająca w sobie złe i dobre pierwiastki, a będąca odwetem przeciw długoletniemu uciskowi wszelkiéj swobody, musiała całym urokiem nowości działać na umysły świeże, nieprzyzwyczajone do samodzielnego myślenia; a ponieważ łatwiéj przyjmują się powierzchowne

cechy niż zasady sięgające gruntu, przeto nic dziwnego, że na naszę przeszczepiona ziemię, na któréj nauka prawdziwa od lat stu ugorowała, wydała przedewszystkiém ładne z pozoru, ale cierpkie w smaku owoce. Nie jest to prosta igraszka dowcipu, ani téż zdanie upartego w sądzeniu o rzeczach konserwatysty, gdy Krasicki redukuje cały wpływ ówczesnéj filozofii na rodaków naszych jeżdżących za granicę do następujących nader szczupłych rozmiarów:

Cytuje więc autory w reformie powziętéj:
Wolter nie kazał słuchać w niedzielę mszy świętéj;
Helwecyusz powiedział: dobre są rozwody;
Rousseau nieprzyjacielem był święconéj wody;
Locke uznał w dziesięcinach wynalazek prosty;
Newton czterdziestodniowe nienawidził posty;
Diderot mniemał, iż źle bywać na kazaniu;
d'Alembert pisał książkę przeciw bierzmowaniu.

A jak dawni Polacy więcéj się przywiązywali właśnie do wymienionych tu obrządków, tak też „wyperfumowani apostołowie“ reformy, mającéj wyplenić „twardą dzikość“ staréj słowiańszczyzny nie widzieli lepszego środka do jéj przeprowadzenia nad powierzchowne, płytkie lub cyniczne wydrwiwanie starego obyczaju. Z cywilizacyą francuską wchodziły i pożywne pierwiastki, ale one rozpowszechniały się bardzo powoli, przygotowując sobie dopiero umysły do pojęcia nauki na seryo.

Obok Woltera i encyklopedystów wystąpił jako ich i całéj cywilizacyi ówczesnéj przeciwnik Jan Jakób Rousseau. Uważał on obyczaje swojéj przybranéj ojczyzny, Francyi, za zepsute z gruntu, ponieważ nie cnota, ale talent był przedmiotem szczególnych ich uwielbień i nagród. Cofał się więc z rozkoszą w całkiem wymarzoną a niezmiernie oddaloną przeszłość, kiedy jeszcze nie było na ziemi własności ustalonéj, a zatém nie istniały także grabieże, oszustwa i mordy. Całą siłą swego głosu, który

w wypracowanych peryodach brzmiał dźwięcznie i uroczo, nawoływał do prostoty i prawdy, do wychowania naturalnego, nie zaś — sztucznego, do szczeréj a serdecznéj wiary w Boga, z pominięciem wszelakich innych dogmatycznych, a zwłaszcza obrzędowych szczegółów. Równocześnie zaś rzucał podwaliny nowego gmachu społeczno-politycznego, który przy całéj fantastyczności swych zarysów, miał przecież na szczycie wywieszoną chorągiew z napisem mówiącym o wolności i równości. Jakkolwiek tedy nader ważne cechy różnią go od spółczesnych, w tém jednakże zasadnicze ma z nimi podobieństwo, że istniejący porządek rzeczy zarówno w religii jak w polityce i organizacyi socyalnéj poczytuje za nieznośny i dlatego dąży, teoretycznie tylko co prawda, do jego obalenia. I w jego piersi gorączkowo się kołace duch reformy i w jego słowach brzmi hasło rewolucyi.

U nas nietyle polityczne, zwłaszcza w początku, ile wychowawcze poglądy, a społeczne utopie znajdują zwolenników, choć nie bez ważnych zastrzeżeń. Bardzo wcześnie, bo w trzy niespełna lata po wyjściu *Emila*, wypowiedziane tam zasady znajdują u nas wielbicieli: *Monitor* z roku 1765 poświęca kilka numerów sprawie wychowania a w XXXII-gim tak mówi o książce Roussa: „Widziałem w niéj z admiracyą wraz i z żalem przy cudnym stylu i przedziwnie dobrych, mądrych, głębokich refleksyach obok z niemi *straszące każdego prawowiernego* sofizmata. Ile razy mię chęć brała na ojczysty język to dzieło wyłożyć dla nader wybornych w nim zawartych myśli; tyle razy zrażony owemi zdradnemi, com wyżéj wspomniał, pozorami, odstąpiłem imprezy, górala tego przykładem, który złoto kopać przestał dla wybuchających z drogiego kruszcu arsenikowych ekshalacyj“ (str. 244). Prosi tedy pijarów i jezuitów, ażeby z téj książki wyciągnęli „wszystko“, co całéj Europy przy-

znaniem tak doskonale i pożytecznie o edukacyi ten *osobliwy człowiek* napisał; sam zaś przytacza w przekładzie ustęp, w którym Rousseau uczy, „jakiemi sztukami i niby podstępem wzniecić ochotę do nabycia wiadomości w dzieciach, albo w nich tłumić do niekarności skłonność, albo dać im *właśnie* poznać, a bardziéj poczuć prawdziwe prawa i sprawiedliwości krynice“ I „Zabawy przyjemne i pożyteczne“, które od r. 1770 wychodziły pod redakcyą Adama Naruszewicza, a późniéj Jana Albertrandego, dają przekład rozprawy Roussa o wpływie nauk na pogorszenie obyczajów, a jakkolwiek umieszczają i odpowiedź na tę rozprawę, żywo się nią jednak interesują i myśli jéj sobie przyswajają.

Tak się zachowywali względem pism Roussa ludzie najrozumniejsi swojego czasu; ale tak zwany ogół oświecony chwytał i tu raczéj pozór, raczéj sofizmat, niż radę zdrową, niż spostrzeżenie głębokie. I nic dziwnego. Opozycya bowiem katolicka, tak w Europie jak i u nas, była w skutkach słaba, że nie powiem, żadna. Wyklinanie, palenie książek na stosie ręką kata, listy pasterskie: oto była broń, któréj używano przeciw napaściom sławionych i ulubionych pisarzy. Broń ta, dawniéj tak skuteczna, naówczas już straciła moc swoję, a nawet obróciła się przeciwko tym, co nią walczyć jeszcze chcieli. Rozumowania używali we Francyi na pobicie przeciwników jezuici w *Journal de Trévoux*, ale nie zdołali zaćmić ich świetnością ani żywością stylu; a sposób ich dowodzenia nie zyskiwał sympatyi wśród publiki. Jeszcze mniéj mieli powodzenia Fréron i Palissot. Umysły więc były oddane zupełnie pod władzę ludzi, których każde słowo jak pobudka wojenna dźwięczało. U nas opozycya katolicka przedstawiała się daleko mniéj energicznie. Obronę religii podejmują ludzie bez zdolności, którzy tłomaczą liche ramoty francuskie przeciw koryfeuszom oświaty skierowane, a często nawet nie rozumieją

tego, co tłomaczą, jak ów ks. Andrzej Trzciński, co to poemat „O naturze rzeczy“ wziął za utwór „damy rzymskiéj“ Lukrecyi... Dopiero pod koniec wieku zjawia się rubaszny ks. Karol Surowiecki, który oryginalnemi utworami zaczął przeciwdziałać wpływowi oświaty francuskiéj. I poprzednio przez lat kilkadziesiąt najznakomitsi pisarze polscy, przejęci mniéj lub więcéj duchem reformy, byli to właśnie księża, co tłómaczyli lub naśladowali Woltera, Roussa, Thomasa, Raynala itd. Księża to właśnie byli posiewcami nowych idei, nurtujących naówczas wnętrze społeczne.

Jak ks. Bohomolec, ks. Naruszewicz, ks. Albertrandi, tak téż i ks. Krasicki nie został apologetą zagrożonéj wiary, chociaż z drugiéj strony nie stał się ani Staszicem, ani ks. Kołłątajem. Wrażliwa jego w wysokim stopniu natura wchłonęła w siebie oba tak różne od siebie pierwiastki: tradycyjny i reformatorski; ale z powodu, że to, co weszło do składu téj natury, głęboko w niéj nie nurtowało, ułożyły się owe pierwiastki do nader chwiejnéj równowagi, tak że raz jeden, a innym razem drugi brał górę. W charakterach namiętnych i głębokich takie rozdwojenie ducha rodzić zwykło walkę okropną, która się sceptycyzmem lub pesymizmem kończy, gdyż nie mogą one znieść tych gwałtownych sprzeczności, jakie się w umyśle ich rodzą; a nie posiadając zdolności do ich zharmonizowania lub eliminowania, wpaść muszą w krańcowe zwątpienie albo o możności poznania prawdy, albo o możności osiągnięcia bytu szczęśliwego. Ale charaktery łagodne, o uczuciach spokójnych i cichych, nie doznają tych męczarni myślenia i dość łatwo dochodzą do kompromisu mniéj więcéj zadowalniającego z wprost przeciwnemi sobie poglądami. Umysł ich nie zapuszcza się w głębię teoryj, gdyż idzie mu przedewszystkiém o rezultaty praktyczne najbliższego zastosowania; a praktyka ma tę własność, że potrafi ostre kanty

ścierać i do pewnéj wygodnéj, okrąglutkiéj formy wszystko przyprowadzić.

Krasicki nie odrzucał ani powagi wiary, ani praw rozumu; nie sądził nawet, żeby między niemi zachodziła sprzeczność zasadnicza. Nie wnikał on w ostateczne podstawy nowego kierunku myślenia; nie odczuł silnie żadnego z haseł ówczesnéj oświaty, ale łatwo sobie przyswoił niektóre poglądy, niektóre pojęcia i te stawiał spokojnie obok praw religii, nie troszcząc się wcale o ustalenie, ani hierarchicznéj ich wartości, ani nawet ich ze sobą zgodności. Rozdwojenia w duszy nie czuł, choć ono taiło się nieświadome w jéj głębiach; dlatego to zdania Krasickiego są niby zawsze jednolite, niby wypływają z umysłu, który się ostatecznie uformował; a jednak przedstawiają one nieraz takie różnice, jak gdyby od dwóch odmiennych osób pochodziły; dlatego nigdy w nim nie dojrzysz zapału, a lekką warstwę sceptycyzmu na wszystkich jego utworach łatwo dostrzeżesz.

VI.

Odszukaniem tych, pozornie tylko w duszy Krasickiego pokonanych, sprzeczności, nie potrzeba się trudzić zbytecznie; nie potrzeba wyszukiwać pojedyńczych wyrażeń lub zdań; znaleść je można w całych utworach lub ich częściach. Przeczytajmy drugą księgę „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadków“ (z r. 1776), gdzie nasz biskup warmiński skreślił obraz szczęśliwego w prostocie swojéj, cnotliwego, choć nieuczonego społeczeństwa. Obraz ten, bez idei Roussa: o doskonałości człowieka żyjącego w stanie natury, — o szkodliwym wpływie nauk na obyczaje, — o własności indywidualnéj, jako początku niezgód i wojen krwawych na świecie, — nie byłby takim, jak go nam przedstawił

Krasicki, który w chwili pisania sławnych owych „Przypadków“ zostawał widocznie pod bardzo silnym wpływem „obywatela gienewskiego“; chociaż w dwa lata po jego śmierci, ogłaszając swój „Zbiór potrzebniejszych wiadomości“ (1781) nie poświęcił mu ani słówka wspomnienia. „Przypadki“ nie są oczywiście kopią jakiegoś wzoru, ale, myśli zasadnicze są bez żadnéj wątpliwości wzięte z pism Roussa. Społeczeństwo na wyspie *Nipu* żyjące i przedstawiciel jego w osobie *Xaoo*, posiada jeden grunt wspólny, pamiątkowy, który uprawiają kolejno „obywatele“, dzieląc następnie zebrane zboże na tyle części, ile jest osad na wyspie. „Gdy cząstka (zboża) do osady przyniesiona bywa, robi się z niéj chleb i ten, na tyle kawałków, ile jest obywatelów w osadzie, podzielony, przy końcu żniwa każdy z wdzięcznością i uszanowaniem pożywa na pamiątkę, iż jesteśmy wszyscy zarówno jednego ojca dzieci“.

Nie dosyć jednakże na tém uroczystém wspomnieniu, i rzeczywistość odpowiadała mu w części. Osada, w któréj Doświadczyński znalazł przytułek, miała 120 gospodarzów, a „każdy z nich miał dom, pole i ogród, *wszystko pod równym wymiarem*“; wszyscy za równych się uważali, podatków nie płacili najmniejszych. Otóż, w tém idealném społeczeństwie nie było słów wyrażających kłamstwo, kradzież, zdradę, pochlebstwo; nie było terminów prawnych ani lekarskich: „ale też ani dworaków, ani jurystów, ani doktorów niemasz“ — dodaje Krasicki. Nauk żadnych również nie było; książek ani widu; doświadczenie, praktyka, zastępowały u Nipuanów wszystko, nad czém napróżno biedzili się Europejczycy. I księży także, kościołów, zakonów itp. nie znalazł tu nasz Doświadczyński. Najczystszy *deizm* panował tu wszechwładnie; Nipuanie wierzyli w Boga; modlili się prywatnie wśród pewnych okoliczności; ale urzędowego kultu nie mieli wcale.

Rzecz warta zastanowienia, że niektóre nauki i sztuki europejskie, o których opowiadał Doświadczyński, znalazły u Xaoo słowa uznania; gdy tymczasem o religii i o kulcie nie rozmawiali ze sobą wcale, o chrześcijaństwie nawet nie wzmiankowali. Nipuanom dążenie do nabycia cnoty i wykonanie jéj najzupełniéj wystarczało i innego sposobu podobania się Bogu nie pojmowali.

Jeżeli w „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadkach“ Krasicki milcząco pominął kwestyą kultu religijnego, to w „Monachomachii“, żartobliwie wprawdzie, ale niemniej silnie skarcił kultu tego nadużycia. W r. 1778 pojawiła się w Warszawie książeczka z wyobrażeniem satyra i podpisem ПAN, któréj tytuł brzmiał równie zaciekawiająco jak niezwykle: „Monachomachia czyli Woyna mnichów“...

W tym samym roku, w którym umarł Wolter i w którym wyszła niedołężna broszura wymierzona przeciwko temu słońcu XVIII wieku, a tłómaczona z francuskiego przez akademika Andrzeja Trzcińskiego, — wychodzi pismo natchnione po części wpływem mędrca z Ferney, a stanowiące gwałtowną sprzeczność z półtorawiecznym nastrojem literatury polskiéj. Autor śmiało i bez ogródki wyprowadza na jaw całą sromotę życia klasztornego i tém samém — w opinii ogółu — zadaje cios silny jednéj z instytucyj kościelnych...

Od połowy wieku XVII, kiedy ortodoksya katolicka spętała u nas ostatecznie swobodny rozwój pojęć religijnych, unicestwiwszy znaczenie dysydentów, objęła rządy nad myślami teokracya i w potężnych trzymała je okowach. Ukształceni nie tylko nie śmieli, ale nawet nie mogli przekraczać szranek zakreślonych katechizmem, gdyż podejrzenie samo o zamiar podobny pociągało za sobą pogróżkę strasznego losu, jaki rzeczywiście dosięgnął Łyszczyńskiego. Szlachcic nasz mniéj dbał o swobodę myślenia w zakresie nauki i religii aniżeli o swobodę worka, bo gdy o tę cho-

dziło, nie wahał się zaczepić księdza zarówno słowem jak i szablą. Wyższe duchowieństwo posiadało dobra ogromne, a często bardzo usuwało się od ponoszenia ciężarów publicznych; wtedy szlachcic nie mógł tego ścierpieć i rwał się nieraz do korda. Księża brali dziesięcinę, która często wielce dokuczała bratu szlachcicowi; i wtedy także nie żałował gęby i ręki... Myśl swoję atoli, ten swój „czerep rubaszny“, jak Słowacki powiada, szlachta składała kornie na ołtarzu i rada, że kłopot badania na niéj nie cięży, wierzyła we wszystko, co jéj do wierzenia podawano, zarówno w Trójcę ś., jak w cudowność jakiego obrazka, który w interesie swego klasztoru zakonnicy za cudowny ogłosili; zarówno w dogmata jak i we wszelkie obrzędy, a nawet więcéj w obrzędy aniżeli w dogmata. Widząc rozpustnych i przedajnych dostojników kościoła, sarkano wprawdzie, ale po chwilowym gniewie, schylano pobożnie głowę przed „suknią kapłańską“. Szanowano święte a raczéj święcone pozory, nie wglądano zbyt pilnie w czyny duchowieństwa, mówiąc sobie, że należy je poważać za to, co mówi, a nie gorszyć się tém, co robi.

Krytyka rozpoczęła się dopiero z napływem fal oświaty francuskiéj, z rozbudzeniem świadomości położenia narodu, który w bezrozumnych orgiach saskich zasnął był snem... nie błogosławionych, ale odurzonych.

Nie potrzeba tu przypominać, jak silną, jak namiętną była opozycya myślicieli francuskich od początku XVIII wieku przeciw fanatyzmowi i ciasnocie pojęć ortodoksyi ówczesnéj. Rozprawy, poemata, tragiedye, wiersze ulotne, słowa poważne i słowa lekkie spadały gradem na tych, co nieruchomość myśli albo wirowanie w szczupłém i ściśle określoném kółku za cel ukształcenia umysłowego ogłosili.

Opozycya ta przeszła i do Polski, a gdy potężny i na-

der wpływowy zakon jezuitów runął, obalony przez najwyższego pasterza kościoła, w najortodoksyjniejszéj nawet głowie mogła zrodzić się myśl, że szata kapłańska nie koniecznie *sama przez się* godna jest szacunku, że pojedyńczy członkowie i całe zgromadzenia duchowne mogą a nawet powinny ulegać kontroli, sądowi, a nawet i karze. Ślepa wiara w ustalony porządek rzeczy zaczynała się zwolna zachwiewać, a bezwarunkowe zaufanie do religijnych przewodników — słabnąć.

Wśród takiego usposobienia, pojawia się równocześnie w dwu umysłach polskich chęć wyjawienia tych nowych dążności, chęć zaznaczenia, że kościelne także instytucye, podobnie jak wszelkie inne, ulegać muszą ogólnemu prawu oceny publicznéj. Młodziutki szambelan króla Stanisława, Kajetan Węgierski i przeszło czterdziestoletni książę biskup warmiński piszą żartobliwo-satyryczne poemata — o duchownych. Piérwszy w „Organach“ wyśmiewa wygodne próżniactwo, ciasnotę umysłu i kierowniczą nieudolność proboszczów; drugi zagląda w „Monachomachii“ do zacisza klasztornego. „Organy“ znano w r. 1778 tylko w rękopiśmie, gdyż druk rozpowszechnił je późniéj dopiéro; „Monachomachia“ wydrukowana wówczas, doznała nadzwyczajnego powodzenia.

Opowiada Franciszek Ksawery Dmochowski, że Fryderyk II dał Krasickiemu w Sans-souci tenże sam apartament, w którym niegdyś mieszkał Wolter, mówiąc, że książę biskup w takiém miejscu powinienby doznać natchnienia i coś pięknego napisać. Wynikiem onéj zachęty miała być „Monachomachia“. Anegdota ta jest i dość prawdopodobną, gdyż wspomnienie Woltera, pomimo przykrych zajść, było pamięci Fryderyka II zawsze obecne, i charakterystyczną zarazem, gdyż wskazuje dobitnie pewną analogię pomiędzy satyrycznemi utworami filozofia fernejskiego, a poemacikiem

biskupa warmińskiego. Wprawdzie Krasicki jako wzór poematu żartobliwego miał przed sobą „Pulpit“ Boala i czasami naśladował go wyraźnie; duch atoli przenikający całą „Monachomachią“ cechował się częściéj gorzką satyrycznością Woltera, niż swobodnym uśmiechem pisarza z czasów Ludwika XIV.

Na samym zaraz początku poematu mamy smutny obrazek ówczesnych miasteczek naszych, które Krasicki „zbiorem pustek“ nazywa. Cóż w nich znajdujemy? Jakieś stare zamczysko w ruinie, trzy karczmy, cztery ułamki bram, gdzieniegdzie domki, a klasztorów dziewięć. Otóż i piérwsza goryczy pełna antyteza... Naokoło zniszczenie, bieda materyalna, a w środku najporządniejsze, murowane domy dla tych, co sami nie pracując, żywią się z pracy biedoty. Ogromna liczba istot nieprodukujących żadnéj materyalnéj wartości, równie znamienna dla dawnéj Polski jak dla Hiszpanii, już sama przez się razi nas niezmiernie, bo choćby one wytwarzały jakąś wartość moralną, zawsze nadmiar ich byłby zawielki. A jeżeli téj wartości moralnéj nie wytwarzają?...

W wiekach średnich zakonnicy byli krzewicielami kultury i przechowawcami oświaty; uczyli ludzi uprawiać ogrody, wykonywać rzemiosła proste, czytać, pisać, malować, cenić naukę, sztukę i literaturę. Albo téż klasztory były to przybytki rozmyślania, skupienia ducha, modlitwy, surowego życia, oddzielone od wiru barbarzyńskich zabaw, hucznych biesiad, rozpustnéj hulatyki; przybytki, do których chroniły się umysły pragnące spokoju i ciszy, nie wymagające od świata nic oprócz zapomnienia. Taki był zamiar tych, co je zakładali, i zamiar ten spełniały zakony przez czas pewien z chwałą i zasługą...

Czas ten atoli dawno minął, a ksiądz biskup warmiński patrzył już na zupełnie inne usposobienia i pragnienia. W poemacie swoim nie mówi on o takich stosunkowo nie-

licznych zakonach, co się nauczaniem młodzieży zajmowały, ale sięga tam, gdzie istotnie złe się rozpoczynało, bierze na oko zakony „bogomyślności“ tylko poświęcone. Ślubowały one ubóstwo, czystość obyczajów, udoskonalenie i uduchowienie życia... A tymczasem rozsiadło się u nich od wieków „wielebne głupstwo“, które czcicieli swoich doskonale „utuczało“. Próżniactwo i ospalstwo, pijatyka i „pobożne“ stosunki z dewotkami, ciemnota i zabobonność panowały tam bez podziału.

Wielebny ksiądz przeor dominikanów, obudzony hałasem w klasztorze, „pierwszy raz w życiu jutrzenkę zobaczył“, a pytając się o powody zamieszania, nie może innych przypuścić prócz następnych:

Cóż to za rozruch u nas niesłychany?
Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
Czy wyschły kufle, gąsiory i dzbany?..

Jego zdolność rządzenia klasztorem zasadza się na tém, że umie pić doskonale i nie da się nikomu w tym względzie przewyższyć; jego zapobiegliwość względem braci objawia się w tém, że od „przeoryszy“ dostaje spore zapasy pierników toruńskich i sucharków masą cukrową oblanych. „Mięsiste jagody“ jego odpowiadają wybornie całego ciała objętości, bo gdy siadł, „ławy pod nim dubeltowe pękły“. A jego podwładni, to „dzieci kochane Morfeusza“, napiwszy się i najadłszy, nie są zdolne do wysłuchania z uwagą cokolwiek dłuższéj mowy, i podczas niéj snem błogim usypiają; oni zdolni są tylko do jednego — do tęgiego picia. Ojciec Hilary, karmelita, nazywa ich „kuflowemi filarami“ i nie radzi wyzywać ich do walki na kufle:

Nie zdołasz wzruszyć gmachów starodawnych...
Znam ja ich dobrze, zna ich brat Antoni;
Pijemy dobrze, — ale lepiéj oni!..

Jest to świadectwo znawcy.

Dominikanie — to zakon kaznodziejski *par excellence*, mający potęgą wymowy wpływać na poprawę obyczajów, na ugruntowanie wiary. Istotnie, ks. Sadok Barącz dał nam spis paruset nazwisk dominikanów, co się na jakiéjś księdze lub brosurze uwieczniły; ale przeciętnie biorąc książki te są albo mistycznéj albo panegirycznéj treści, a w dodatku liche, i autorom swoim wcale nie zapewniły zaszczytnego miejsca w historyi umysłowości naszéj. Krasicki téż z wielką trafnością dał nam próbkę téj wymowy w sławnym głosie ojca Honorata: „Pisze Chryzyppus o Alfonsie królu“ itd., w którym niedorzeczność i napuszoność łączy się najściśléj z elementarnemi błędami historycznemi. W wydaniu „Monachomachii“ z roku 1778 są *noty*, prawdopodobnie pisane przez samego Krasickiego; w nich wskazywał ks. biskup ciemnotę bohaterów trochę dla ówczesnych czytelników dobitniéj jeszcze niż w samym tekscie. Otóż do owego sławnego głosu dodał on takie objaśnienie: „Podług ojca Honorata Chryzyp filozof, żyjący przed Chrystusem, pisał historyą o którymkolwiekbądź Alfonsie, żyjącym zapewnie po Chrystusie. Alfons wojował z Baktryanami, narodem będącym jeszcze za czasów Aleksandra W. Z Hiszpanii przeniósł plac wojny do Licyi, prowincyi azyatyckiéj; zapewnie wojsko płynęło przez piaski abisyńskie albo morze piaszczyste, a Alfons gryfami zajechał do rzeki Paktolu. U ojca Honorata Maury i Baktryanie są jednym narodem. Można się domyślać, że albo ojciec Honorat wiele czytał i pomieszały mu się w głowie wiadomości, albo że się usadził na to, aby pokazać, że nic nie umiał historyi, chronologii i gieografii“...

Taki był przedstawiciel zakonu kaznodziejskiego.

Nie świetniéj przedstawia się i jego przeciwnik — zakon karmelitów. On właściwie przypadkowo chyba zajmował się u nas nauką i nawet liczbą nazwisk literackich nie

może zaimponować. To téż Krasicki doskonale stan ten charakteryzuje, gdy powiada, że u karmelitów wiedziano z „dawnéj powieści“ o istnieniu biblioteki, która gdzieś tam pod strychem się mieściła:

Był tam brat Alfons, lat temu trzydzieści,
I z starych książek poodzierał wieka.

Co więcéj, wstręt do książek był u nich tak wielki, że żaden z ojców nie chciał się podjąć szukania biblioteki: więc trudne to zadanie powierzono „osłom domowym“ tj. aptekarzowi i krawcowi. Ci na rozwalinach baszty starożytnéj w spróchniałym lamusie znaleźli przecie jakieś stare szpargały, grubą warstwą kurzu pokryte.

Skutkiem tak niewybrednéj uprawy umysłu, ojcowie karmelici wierzyli wprawdzie w zabobony i prognostyki; — ale zarazem cieszyli się łaskami u płci pięknéj, bo odznaczały ich „wdzięki rubaszne i hoża uprzejmość“. Zarówno ojciec Rajmund, który przeczuwa nieszczęście, gdy wychodząc z celi zgubił pantofel, jak i kształtny, wysmukły, okazały Hiacynt u swojéj Dorotki miłe przepędzali chwile... Nie dziwmy się...

W szyszaku, w czapce, w turbanie, w kapturze,
Wszyscyśmy jednéj podlegli naturze...

Dewotka umiała być przyjemną i zręcznie podtrzymywała rozmowę, którą rozpoczynając od historycznych wypadków matki d'Agreda, od upiorów i strachów, umiała urozmaicić nowinkami o wszystkich przygodach mieszkańców miasteczka:

Postać jéj wdzięczna; oczy choć spuszczone
Przecież niekiedy błyszczą się jaskrawie;
Choć w świętéj mowie, słóweczka pieszczone,
Krył się subtelny kunszt w skromnéj postawie.
Westchnienie, wolnym jękiem powleczone
Umiała mieścić w potocznéj zabawie.

Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy,
Przy Hiacyncie — głos synogarlicy.

Takie były dwa walczące ze sobą obozy. Zwarcie się ich odkrywa nam siłę i niemoc zapaśników.

Zaczęli od scholastycznéj dysputy, strzelali do siebie dyalektycznemi argumentami; ale bardzo prędko musieli tę broń porzucić, nie dlatego, że była stara i zardzewiała, nie dlatego, że ją w ucywilizowanéj Europie oddawna już do muzeum archeologicznego złożono, ale dlatego, że nawet i taką bronią szermierzyć już nie potrafili. Oni umieli już tylko wysmażyć w swéj mózgownicy, przy pomocy obfitych wyziewów alkoholowych, jakiś panegiryk, w którymby mecenas musiał być przyrównany do ptaka, do dziwotworu i do statku weneckiego, jeżeli miał się w umyśle słuchaczów jako wielki bohater przedstawić...

A więc po krótkiéj dyspucie musieli się chwycić argumentu ostatniego, ale dotykalnego: poszli na pięście... Siła mięśni musiała wynagrodzić słabość masy mózgowéj.

Przyznać im wszakże trzeba jednę zaletę. Pomimo krewkiego animuszu swego, pomimo gorącéj fantazyi, pomimo rozbudzonéj namiętności, którą zawiścią nazywają, umieją oni być zgodni... jeśli tylko powód do zgody będzie słuszny i rozumny. Czyżby-go znaleźć było niepodobieństwem? Czyżby do tych głów kurzących się „tumanem mądrości"; czyżby do tych ust mięsistych i rumianych; czyżby do tych ciał tłustych i pulchnych nie przemówił żaden pojednawczy argument? Nie! pojednawcę tego znały wybornie czasy saskie, które potrzebowały go bardzo często. Znalazł się on i w klasztorze. Był to puhar, w który wlewano garniec wina odrazu... Taki pojednawca zawsze trafi do głowy i do serca:

Co niegdyś w Troi był posąg Pallady,
Co w Rzymie wieczne westalskie ognisko;

Tém był ten puhar, czczony przez pradziady,
Starożytności wdzięczne widowisko...

On téż i wśród mnichów pokój dawny przywrócił; on sprawił, że ani jeden, ani drugi zakon nie myślał przypisywać sobie pierwszeństwa w nauce, uważając taką kwestyę za rzecz niewartą uwagi. Czyż nie lepiéj w spokoju i w zgodzie zjeść dobrze, wypić po staremu i wyspać się dowoli, nie zaprzątając głowy jakiemiś myślami, które sen i apetyt odbierają?..

Próżność nauka! najszczęśliwsi — głupi!..

Mimowoli przypomina się opat cystersów, Mikołaj Wyżycki, znany powszechnie pod przezwiskiem *Sitio* (opój), o którym Bizardière powiada, że wino wsławiło go więcéj niż opactwo, więcéj niż wysoki urząd koronny, więcéj niż rodzina...

Chociaż „Monachomachia“ wyszła bezimiennie, wszyscy jednakże odgadli autora, bo nikt naówczas nie pisał stylem tak lekkim i żartobliwym, nikt z taką swobodą wierszy nie „odlewał“, nikt zręczniéj ostrzem satyry nie władał nad księcia biskupa warmińskiego. Wrażenie sprawione tym utworem było tém silniejsze i donioślejsze, że autor sam był duchownym, dostojnikiem kościoła...

Byli naturalnie i tacy, co mu za złe wzięli targnięcie się na „szatę kapłańską“, choć żartem tylko; ale większość inteligiencyi była za postępowym biskupem, a uznając trafność charakterystyki i wdzięk wykonania, poemacik za arcydzieło poczytała, uczyła go się na pamięć, przy każdéj sposobności powtarzała jakiś wyjęty z niego docinek... i naśladowała. „Monachomachia“ doczekała się trzech wydań [1]) w samym wieku XVIII; po niéj wyszła „Antimona-

[1]) Zazwyczaj podają bibliografowie, że pierwsze wydanie nie ma oznaczonego roku; niektórzy historycy literatury, niewia-

chomachia, a następnie „Asketomoria“ nieznanego autora, wymierzona przeciwko mniszkom, która także miała drugie wydanie pod zmienionym napisem: „Sejm fartuszkowy“. W témże stuleciu jenerał Jasiński tworzył lekkie ale dotkliwe powiastki rymowane, kolące i szczypiące duchowieństwo zarówno świeckie jak i zakonne.

Niepospolite znaczenie „Monachomachii“ w dziejach walki z rutyną i zastarzałemi pojęciami widział umysł tak poważny, tak ściśle matematyczny jak Jana Śniadeckiego, który w rozprawie „O logice i retoryce“ zapewniał, że poemat ten wyszedł w najlepszéj porze i najwięcéj pomógł usiłowaniu Komisyi Edukacyjnéj i prâcom akademii krakowskiéj.

Dopiero w dobie reakcyi europejskiéj po r. 1815, kiedy umysły, skołatane burzami rewolucyi francuskiéj, skłonne były szukać spokojnego portu w religii, w obrzędowości nawet, wówczas i poemacik Krasickiego uległ srogim zarzutom tak dalece, że fanatycy, którym trudno było przełknąć zdanie, że autorem „Wojny mnichów“ był biskup, co został późniéj arcybiskupem gnieźnieńskim, uciekli się do sofizmatów, ażeby zetrzéć „plamę“ z nazwiska dostojnika kościoła.

Ludzie wolnomyślni, chcąc oddziaływać przeciw obskurantyzmowi, który pod pokrywką religii w zacofanym obozie propagowano, chętnie naówczas zastawiali się nazwiskiem Krasickiego. Oprócz wydań zbiorowych, pojawiła się

---

domo na jakiéj zasadzie, rok tego wydania mienią 1775; zdaje się jednak, że jeżeli ono nie było późniejszém od opisanego w tekscie wydania z r. 1778, to może je na kilka ledwie miesięcy poprzedziło, gdyż Węgierski, dedykujący swoje „Organy“ Krasickiemu dnia 22 stycznia 1777 r. byłby wspomniał Monachomachią, tak jak wysławiał w téj dedykacyi Myszeidę i Doświadczyńskiego.

wtedy „Monachomachia“ oddzielnie. Leon Borowski, profesor uniwersytetu wileńskiego, napisał szczegółowy rozbiór piérwszéj pieśni tego utworu, a minister oświecenia w królestwie polskiém, Stanisław hr. Potocki, pisząc swoję „Podróż do Ciemnogrodu“, która bardzo śmiało a nieraz dowcipnie ścigała fanatyzm i obskurantyzm, również się do przykładu arcybiskupa odwołał, świętym go nazywając. Wtedy to znany żarliwiec, ksiądz Karol Surowiecki w broszurze p. n. „Świstak Warszawski wyświstany“ (str. 23) taką Potockiemu wypalił perorę: „Nie zapieram, że imię tego prałata, niegdyś znanego mi z osoby, mogło z inszych względów tytułować się *świętém*, ale skąd nam dowiedzie Świstak, iż ten prałat autorem wymienionych paszkwilów, które od początku do dziś dnia przynajmniéj z jego strony, kursują bezimiennie? Pewnie się na tém zasadzi: tak ludzie gadają, tak wiemy, tak zatwierdza publiczność... Żartuję ja z takiego gatunku demonstracyi w czasach, gdzie weszło w modę pod najcnotliwsze imiona podszywać najzłośliwsze gryzmoły. Tak robił Wolter, tak Rousseau; czemuż nie który z naszych narodowych *półgłówków?*“...

Dzisiaj do tak grubych sofizmatów nie pozwalają sobie uciekać się nawet fanatycy, dzisiaj zgadzają się z tą myślą, że jednostki chociażby duchowne, chociażby dostojne, mogły błądzić; chcą więc jedynie ocalić honor zgromadzeń... W r. 1878 Stanisław Strojnowski, pisząc artykuł o Krasickim do Encyklopedyi kościelnéj, wolał być niesprawiedliwym względem jednego biskupa, aniżeli przyznać, że niektóre klasztory w XVIII wieku nie spełniały już tych posług, dla jakich je założono. Zrobił on Krasickiego potwarcą, dodając, że nie tylko biskupowi, ale nawet świeckiemu katolikowi nie godziło się napadać na stan Bogu poświęcony. W końcu zapisał pośmiertne monitum, że należało Krasickiemu użyć swéj biskupiéj władzy i naprawić, co było

złém w klasztorach, a nie szydzić z nich, przyczém autor tego napomnienia przeoczył, że nad klasztorami w w. XVIII biskup nie miał władzy, gdyż one należały jedynie do juryzdykcyi swoich prowincyałów i jenerałów...

Na takie i tym podobne zarzuty, które w zamiarze tych, co je wygłaszają, skierowane są przeciw jakiéjbądź krytyce duchowieństwa, niéma lepszéj odpowiedzi nad tę, jaką dał już sam Krasicki: „Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych; śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych“...

Że nie był to wybryk dowcipu chwilowego, że nie żałował biskup tego, co napisał, dowodem jest „Antimonachomacha“, gdzie wyraźnie już wypowiada zdanie, że nierozsądném jest uprzedzeniem kłaść „zakonność w równéj szali z wiarą“; gdzie Gaudenty zasadza sprawiedliwość na „mocy lub sztuce“; nie zaś — na prawdzie; gdzie opilstwo, gnuśność, ignorancya jeszcze raz za charakterystyczne cechy mnichów są podane; gdzie wreszcie uosobiona „prawda“ każe się zakonnikom poprawić, dodając ironicznie, że gdyby to, co autor o mnichach napisał, było potwarzą, to ona samaby „spełzła“.

Obok tych wyraźnych wyznań samego autora niepodobna również pominąć spostrzeżenia, że biskup warmiński, ilekroć mówi o religii, nigdzie nie robi nacisku na dogmata, ale jedynie na przepisy moralności; — że wpośród znacznéj liczby swoich „uwag“, lub w „pismach różnych“, gdzie o najrozmaitszych rozprawia przedmiotach, żadnego nie poświęcił artykułu sprawie religii; — że wreszcie w „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości“ zostawił króciutką i suchą o niéj notatkę. Notatka ta, krótsza niż o „romansie“, brzmi, jak następuje: „Religia: poznanie prawe Boga i czci jemu należytéj. Religia *przyrodzona* jest cześć, którą oddaje stworzenie stwórcy samym rozumu światłem wsparte. Reli-

gia *objawiona* jest cześć, którą stworzenie oddaje Bogu na fundamencie wiadomości, którą jéj objawieniem dać raczył. Słowo *religia* trojakiemi sposoby w piśmie św. jest wyrażone. Bierze się najprzód za cześć powierzchowną, którą naród prawowierny Bogu oddawał. Powtóre — za prawdziwy sposób czczenia Boga, różny od wielorakich — z wymysłu ludzkiego pochodzących. Potrzecie — za też same nieprawne i guślarskie czczenia sposoby, jako twierdzi Paweł św. do Kolosseńczyków: *nemo vos seducat volens in humilitate et religione angelorum*" (II, 446, 447).

Jeżeliby jednak z przywiedzionych tu, jakotéż z niewzmiankowanych ustępów, mianowicie w „powieściach wschodnich" chciał ktoś zawnioskować, że biskup warmiński był w gruncie wyznawcą takiéj „religii przyrodzonéj", jaką ówcześni filozofowie głosili; ten zbyt pośpiesznie przeniósłby charakterystykę Woltera na Krasickiego. Nie poświęcił wprawdzie biskup warmiński osobnego pisma obronie religii, ale téż i filozofom nie dawał spokoju absolutnego, nawet przejmując niektóre ich poglądy. W tych samych bowiem „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach", w których Rousseau dostarczył mu myśli do ułożenia księgi drugiéj, znajdujemy w księdze pierwszéj dowcipną wycieczkę przeciwko zwolennikom Woltera i Roussa w Warszawie. Jeden z mentorów Doświadczyńskiego uważa za konieczny warunek powodzenia na wielkim świecie warszawskim zyskanie sławy „galantoma, junaka i filozofa"; a określiwszy, co przez dwa pierwsze wyrazy rozumieć wypadało, tak o trzecim rozprawia: „Co do trzeciego punktu, masz Wmć Pan wiedziéć, iż wiek nasz teraźniejszy, jest to wiek oświecony: *tak — jak angielskie fraki*, i filozofia w modę weszła. U *najmniejszych* (sic) dam zastaniesz Wmć Pan na gotowalni tuż przy *węzełkach* i bielidle księgi pana Rousseau, filozoficzne dzieła Woltera i inne podobnego rodzaju pisma.

Trzeba więc koniecznie postawić się w stanie prowadzenia dyskursu, gdy Wmć Pana z téj strony zagadną. Nie rozumiéj Wmć Pan, żeby dla téj przyczyny potrzeba było nieustannie czytać, aplikować się i wchodzić *w głębokie spekulacye*. Nie tak to trudno zostać filozofem, jako Wmć Pan rozumiesz: chwal tylko, co drudzy ganią; myśl, jako chcesz, byleby *osobliwie; kiedy-niekiedy z religii zażartuj;* decyduj śmiele, a gadaj głośno: przyrzekam, iż ujdziesz wkrótce za wielkiego filozofa"...

Co prawda, mówi tu Krasicki o powierzchownych jedynie światowcach, którzy z mody filozofią się popisywali; te same jednak szyderstwa stosował on i do głębokich „spekulacyj". Znana jest dosyć powszechnie bajka o owym filozofie, co w Boga nie wierzył i śmiał się z wszystkich świętych, a gdy przyszła słabość, wiarą swą „nawet upiory" uczcił. W satyrze „Złość ukryta i jawna" filozofowie wystawieni są jako jawni gorszyciele, pyszni „mnóstwem szkarady", jako „czcze światła, dymy nikłe":

Leżą grzecznych bluźnierców dzieła na stoliku:
Gotowalniane mędrce, *tajemni badacze,*
Przewodniki złudzonych, wieków *poprawiacze,*
Co w zuchwałych zapędach, chcąc rzeczy dociekać,
Śmieją prawdzie uwłóczyć i na jawność *szczekać.*

W innéj satyrze p. n. „Przestroga młodemu", każe omijać zdaleka „ponurego mędrca" Wojciecha, co to „najeżony miną poważnie żarliwą", wszystkie przedmioty ostréj, a niczém nieposkromionéj, poddaje krytyce, gdyż u niego:

Za nic dawni pisarze, stare księgi — fraszki:
Dzieła wieków, to — płonne u niego igraszki.
Filozof jedném słowem i miną i cerą
Unosi się nad podłą gminu atmosferą:
Depce miałkość uprzedzeń, a dając, *co nie ma,*
Stwarza nowy rząd rzeczy i wiary systema.

Zamiast tych reformatorskich nauk, Krasicki podaje młodemu regułę, która ścisłą zachowawczość za hasło ogłasza:

Okiełznaj dumne zdania pokory munsztukiem:
Wierz, nie szperaj, bądź raczéj cnotliwym nieukiem,
Niż mądrym, a bezbożnym. Tacy byli dawni,
Równie a może więcéj naukami sławni;
Przodki twoi poczciwi, co Boga się bali,
Co mogli, co powinni, oni roztrząsali;
Umieli dzielić w zdaniu, o czym sądzić można,
Od tego, w czym nauka *próżna i bezbożna.*

Tu także wyraźnie nakazuje młodzieńcowi, ażeby się téj trzymał nauki, która na zwolennika swego nie wkłada obowiązku wstydzenia się, że jest chrześcijaninem.

Nawet przeciwko ideom Roussa, które przedtém sam przedstawiał, za dobre je uważając, w późniejszym wieku występuje Krasicki z tą stanowczością, jaka cechowała satyryczne słowa Woltera w tym samym przedmiocie:

Niegdyś mędrzec ponury piórem zbyt swobodnym,
W złéj sprawie sam patronem zostawszy i sędzią
Zapędzał człeka w lasy i *chciał paść żołędzią.*
Znalazł uczniów; któryż błąd nie znachodził ucznie?
Omamiał wdziękiem pisma dość dzielnie i sztucznie;
Nowość była ponętą, a wdziękiem — *zuchwałość.*
(Satyra: *Człowiek i zwierzę*).

Nie zaniedbuje również napominać kapłanów, ażeby w obronie wiary otwarcie i głośno przemówili i — nie dawali modnym filozofom obłąkiwać głów ludzkich (w Satyrze: *Pochwała milczenia*):

Milczenie was potępia, gdy myśl świecka trwoży:
Świętą śmiałość, bezwzględną niesie zakon boży.
Zbyt trwożliwą roztropność jak zgodzicie z stanem?
Znać, czuć, mówić, dać przykład: to — jest być kapłanem.

A w kwestyi zakonów Krasicki w drugiéj części „Pana Podstolego“ (z r. 1784) wypowiada poglądy, które jakkolwiek nie są prostém zaprzeczeniem poprzednio wygłoszo-

nych, przedstawiają przecież bardzo znaczną modyfikacyą, jakiéj te uległy z biegiem czasu. Niéma tu biskup nic do powiedzenia przeciw zmniejszeniu osób i miejsc zakonnych, jeżeli liczba mnichów okaże się zbyt wielka, gdyż to „nie ubliży zakonności“; nie chce się nawet bardzo spierać z temi, co zakonników „nieużytecznemi“ w społeczeństwie członkami nazywają; jednocześnie wszakże podejmuje ich obronę, jako ludzi, którzy się stali „celem powszechnéj prawie nienawiści“. Obronę tę wkłada w usta ojca Teodora, dalekiego „od fanatycznego uprzedzenia“ i poglądającego na rzeczy jako „świadek obojętny“. Otóż ojciec Teodor, przedstawiwszy pokrótce dzieje założenia klasztorów i ich zasługi, zbija po kolei trzy główne zarzuty, odnoszące się do zbyt wielkiéj liczby zakonników, do ich bogactwa i nieużyteczności. „Nie zdawało się przedtym, iż nas nadto — powiada — bo większa była chęć ku służbie bożéj; bo nie mieli ojcowie nasi tego za utratę, co na chwałę bożą oddawali“. Bogactwa zakonów są raczéj płodem imaginacyi niż rzeczywistością, gdyż na wyżywienie braci, na utrzymanie kościołów wiele potrzeba. Co do nieużyteczności, to „jeżeli mądrość świecka miała ten przywiléj, iż nie zdawały się filozofy tylu sekt mniéj potrzebną towarzystwa częścią, czemuż w podlejszéj zostawać mają wartości bogomyślny żywot prowadzące osoby“? Na delikatnie wtrąconą przez jednego z rozmówców uwagę, że wdzięczność za dawno uczynione przysługi mogłaby czasem złe skutki pociągnąć, ojciec Teodor oświadcza: — że można umniejszyć i liczbę osób i liczbę miejsc zakonnych, — że zakonnicy gotowi są przykładać się, „choć z małych ułamków swoich“ do dobra ogólnego, — że przyczyną nieużyteczności mnichów jest samo społeczeństwo. „Niech bez względu na powierzchowność — powiada o. Teodor — mamy szacunek, gdyśmy na niego zasłużyli, staniemy się naówczas coraz bardziéj godniejszemi (sic)

szacunku; niech wzgarda niesłuszna a uciążliwa nie gnębi nas, — wzbije się młodzież nasza w lot dawnych poprzedników swoich; a natenczas znajdzie w zakonach kraj oświecicielów i pozna, jak niesprawiedliwie sądził nieużytecznemi tych, których sam takiemi uczynił". (Część II, ks. II, roz. 11).

Chcąc sobie wyjaśnić tę rozmaitość poglądów Krasickiego, nie można się uciekać do uwagi, że jedne były wyrazem niedojrzałéj myśli, a drugie — głębszego zastanowienia; gdyż biskup warmiński, ogłaszając drukiem pierwsze swoje większe utwory, nie był młodzieniaszkiem; liczył bowiem lat 40, a zatém był w wieku, w którym zazwyczaj pojęcia są już ustalone, a przynajmniéj nie ulegają zmianom zbyt wielkim, radykalnym. Niepodobna téż, témbardziéj, mówić o jakiéjś lekkomyślności księdza biskupa, nie umiejącego ocenić wagi słów zwróconych do ogółu. Nie; — przyczyna owéj rozmaitości leży głębiéj, bo w rodzaju umysłu Krasickiego i w rodzaju wpływów, jakie na ukształcenie jego działały. Oba te czynniki sprawiły, że Krasicki w rozwoju pojęć swoich nie doszedł do jakichś stałych zasad rozumowych, któreby mu dawały nieomylną wskazówkę w rozplątywaniu powikłanych węzłów myśli i stosunków ludzkich, ale na każdy pojedyńczy wypadek szukał rady w zdrowym rozsądku swoim, który mu, stosownie do okoliczności, to — tę, to owę stronę rozpatrywanéj kwestyi ukazywał. I tak, kiedy Krasicki patrzał na zepsucie obyczajów wśród towarzystwa warszawskiego lub w palestrze, albo — na sejmikach i sejmach, wyborném mu się wydawało społeczeństwo, obchodzące się bez salonów, bez jurystów, bez posłów i prawodawców, — społeczeństwo żyjące na łonie natury, poczciwe, zacne, spokojne, nieuczone. Było to marzenie tylko. To téż, gdy się zastanowił nad tém, czy marzenie to urzeczywistnić się może, gdy się

przyjrzał temu idealnemu społeczeństwu dokładniéj, z innéj strony, poprzednio nieoglądanéj, wówczas musiał przyznać Wolterowi słuszność i potępić utopią Roussa. Podobnież rzecz się miała i z zakonami. — Gdy się przysłuchiwał dysputom teologicznym niesmacznym i jałowym; gdy spoglądał na pulchne twarze i „kurzące się łby“ zakonników; a zestawił te objawy z pierwotną myślą założycieli klasztorów; nie mógł żartobliwemu usposobieniu nie pofolgować i nie napisać „Wojny Mnichów“; — ale, przypomniawszy sobie, że ta instytucya kościelna oddała przecież społeczeństwu europejskiemu niejednę ważną usługę, — że zużytkowanie jéj zależeć może od społeczeństwa, — że znajdują się w świecie takie charaktery, które jedynie w odosobnieniu żyć mogą, nie zaniedbał przy sposobności zwrócić uwagę ogółu na te niemałoważne względy.

To się odnosi do saméj wrażliwości Krasickiego i podsycanego przez nią zdrowego rozsądku. A co do wpływów, jakie na nią działały, to oczywiście bez filozofii i obyczajów XVIII-go wieku nie byłoby zapewne „Monachomachii“, a bez religijnego wychowania i stanowiska biskupiego nie byłoby uwag o zakonach w drugiéj części „Pana Podstolego“. Gdyby się Krasicki kierował w pojęciach swoich jakąś stałą zasadą; gdyby miał umysł głęboki i wszechstronny, obejmujący odrazu wszystkie względy, jakie się do pewnego przedmiotu odnoszą; słowem — umysł, jakim odznaczają się wielkie gieniusze świata; to powyższe wpływy wytworzyłyby w nim pewną jednolitą całość, w któréj wszystkie cząstki harmonijnieby z sobą się łączyły. Gdyby znowuż umysł Krasickiego nie był tak wrażliwym, jak był; ale gdyby silnie zatrzymywał w sobie raz doznane wrażenia, raz wyrobione pojęcia; posiadalibyśmy twórcę paradoksów, człowieka jednostronnego, ale w jednostronności swojéj konsekwentnego. Ani jedno, ani drugie nie miało miejsca.

Krasicki nie wytworzył w sobie, a przynajmniéj nam nie przekazał żadnych dokładnych pojęć dotyczących ogółu wszechświata, lub ogółu myśli ludzkiéj; ale cały ogromny szereg szczegółowych spostrzeżeń, które z łatwością wielką, z dowcipem nieraz świetnym i ze zręcznością do owego czasu w literaturze polskiéj nieznaną, przed publicznością wygłaszał. Spostrzeżenia te, jedne — trafne, drugie — fałszywe, przychodziły mu luźnie; luźnie téż były ogółowi przedstawiane.

Kochał on naukę; sławił doświadczenie; uwielbiał mądrość; ale rozumowi ludzkiemu nie przyznawał prawa badania wszystkiego bez wyjątku; wyśmiewał eksperymenta; w mądrości nawet miarę zachowywać radził. Doświadczenie przezeń zalecane była-to obserwacya gołemi zmysłami; gdzie już instrument był potrzebny, tam doświadczenie traciło u niego cenę. Czytelnicy pism Krasickiego łatwo przypomną sobie owę bajkę o spuściźnie po filozofie, otrzymanéj przez jakiegoś „nieboraka“. Znajdowały się tam globusy, alembiki, stosy papierów i szkiełka, a w końcu — wór dziurawy:

Wziął jedno szkiełko, patrzy — aż wór okazały;
Wziął drugie — a woreczek nikczemny i mały!...

Przekonawszy się w końcu, że worek był pusty, rzekł z westchnieniem:

Gdyby był *okiem*, *nie szkłem* na rzeczy poglądał,
I onby użył i ja znalazłbym, com żądał.

Mógłby ktoś zauważyć, że jestto uwaga prostaka, który bezpośrednią użyteczność praktyczną wyżéj cenił, aniżeli dalekie zdobycze naukowe, jakie się teleskopem lub mikroskopem zdobywają; albo też — że to jest protestacya przeciw suchéj, pedantycznéj nauce w imię obserwacyi żywéj i pięknéj przyrody uczyniona. Uwaga ta jednak nie znalazłaby potwierdzenia w pismach Krasickiego, który niejednokrotnie sam staje na stanowisku owego bezpośredniego

utylitaryzmu. Że Xaoo na wyspie Nipu wypowiada swą niechęć przeciw „mierzeniu gwiazd i planet“, kiedy on zadawalnia się ich miłym widokiem; że, zdaniem jego, cel ciekawości naszéj zmierzać winien „jedynie do tych rzeczy, które docieczone być mogą, a docieczeniem — *pożytek* przynieść“: to możnaby jeszcze przypisać owéj dążności do przedstawienia doskonałego kontrastu ze społeczeństwem uczoném a zepsutém.

Ale te same myśli wypowiada Krasicki i w innych swych pismach już wprost od siebie. W satyrze „Pochwała wieku“ znajdujemy ograniczenie badań rozumowych i narzekanie na tych, co granice te przekroczyli:

Jest granica, za którą przechodzić *niewolno,*
Mając porę, ochotę i sposobność zdolną,
Dociekajmy — co możem, — co dociec się *godzi,*
Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi.
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom — godziny;
Z pracy ojców szczęśliwe korzystają syny.
A do *zdatnego* rzeczy *stosując użycia,*
Nowe wiekom późniejszym gotują odkrycia.

W innéj satyrze („Podróż“) czytamy radę, żeby się „trzymać poprostu skutków doświadczenia“ i zaraz potém dodatek: „dobry rozum, ale źle rozumem przesadzać“. Tak więc, tę jedynie naukę za dobrą, godną miłości i szacunku uważa, która pożytek materyalny, albotéż zachętę do cnoty przynosi, jak to przenośnie wyraził w bajce „filozof i chłop“, gdzie filozof, zagrzebany w książkach, musi ustąpić pierwszeństwa człowiekowi, który nawet czytać nie umiał. Jakaż była mądrość chłopka? Rozśmiał się on ze zdumienia filozofa i rzekł:

Moje księgi wszystkie na dworze:
Wół, co orze,
Sposobi mię do pracy, uczy cierpliwwści
Pszczoła — pilności,

Koń — jak być zręcznym,
Pies — jak — wiernym i wdzięcznym;
A sroka, co na płocie ustawicznie skrzeczy —
Jak lepiéj milczeć, niźli gadać niedorzeczy.

Podobnież w powiastce p. n. „Seryf“ uczony Elim, zagłębiony w książkach, nietylko radzić sobie w stosunkach życiowych nie umie, ale nawet do straty wielu ludzi przyprowadza, gdy tymczasem prosty, zdrowym jedynie rozsądkiem kierujący się Seryf dorabia się bogactw i powszechnego poważania.

W bajce „Motyl i Chrząszcz“ wypowiada Krasicki swój wstręt do eksperymentów naukowych. Dziecko łapie chrząszcza, filozof — motyla. Motyl żałował towarzysza swego, że musiał się kręcić w kółko po kiju; ale gdy go filozof wsadził na szkło, uznał, że pozorami się tylko łudził, gdyż „lepsze prostych dziwactwa, niż mądrych pieszczoty“ [1]).

Teoretyczna strona badań nie nęciła ku sobie biskupa; cały obszar dociekań naukowych, jaki za jego czasów tak wielkie robił postępy, mianowicie w dziedzinie nauk przyrodniczych, które bez eksperymentów w żaden sposób obejść się nie mogły, przedstawiał się mu jako ogromne pole mgłą pokryte i nie dające użytecznych owoców. Ztąd téż wytłómaczyć sobie można jego wstręt do agronomii teoretycznéj, wypowiadamy niejednokrotnie zarówno w *Doświadczyńskim*, jak szczególniéj w *Panu Podstolim*. Z tego również źródła, poczęści przynajmniéj, wypływa lekceważenie sztuki lekarskiéj i wyśmiewanie doktorów, które w różnych pismach, a mianowicie w bajkach (*Doktor*; *Doktor*

[1]) W „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości“ zna Krasicki wyraz *„experimentum“* tylko w znaczeniu prawném, według Statutu Litewskiego: *rozpieranie się*, sposób rozkazu sądowego, aby stronę zwłóczącą przymusić do stawania u sądu. (I, 282).

i Zdrowie; Chłop i cielę; Kuglarze; Do doktora; ustęp w *Myszeidzie*) z pewnym uporem przeprowadzał; w czém zresztą nie był bynajmniéj odosobniony; gdyż nietylko komedyopisarze, dla których wzorem i tutaj był Molière, ale tacy nawet ludzie, naukom przyrodniczym oddani, jak — *Staszic*, nader nizko cenili ówczesnych uczniów Eskulapa.

VI.

Z takiém usposobieniem umysłowém łączyła się odpowiadająca mu uczuciowość. Łagodne, spokojne, nigdy miary nie przebierające wzruszenia stanowiły podstawę podmiotowéj strony życia Krasickiego. Namiętność silna, gwałtowna, choćby tylko chwilowa; entuzyazm, podnoszący do stopnia najwyższego uniesienia wszystkie uczucia człowieka wobec jakiéjś osoby lub idei; a nawet głębokie lub rzewne przejęcie się jakąś szczęśliwą lub nieszczęsną okolicznością — nie znajdowały przystępu do tego serca, dla którego hasłem było horacyuszowskie *„ne quid nimis“*. Szanowało ono i umiało uczcić wszystko, co szlachetne i zacne; kochało się w tém, co było piękne; wolało zawsze prawdę niż fałsz; ale nie zapalało się do niczego; bo, tak samo jak umysł, nie zogniskowało w sobie ogółu uczuć i nie miało jednego jakiegoś wielkiego a ogólnego celu miłości, lecz promieniowało powoli i na najrozmaitsze przedmioty. Kierowane zawsze „zdrowym rozumem“ ustrzegło się naturalnie wszelkiéj chorobliwéj przymieszki uczuciowéj; nie podlegało modnéj sentymentalności; owszem — bardzo dowcipnie wyśmiewało ją w *Doświadczyńskim:* chociaż raz jeden, w opisie żalów żony Chodkiewicza („Wojna Choc.“ pieśń III, pod koniec), odnajdujemy obrazek zupełnie sielankowy w duchu drugiéj połowy wieku XVIII-go. Równocześnie jednak nie

wzniosło się nigdy na wyżyny i nie porwało za sobą serc namiętnych, kochających silnie i gwałtowie.

Jak w umyśle Krasickiego, tak i w jego sercu taiła się w głębi pewna dysharmonia, pewien niepokój, który się wyrażał w słowach niejaką sprzecznością; tak... że co raz uwielbiało, to drugi raz potępić było gotowe. Z natury usposobienia Krasickiego wynika, że ta dysharmonia nigdy nie przybrała rozmiarów olbrzymich, takich n. p., jakie nam przedstawił okres poezyi pod wpływem Byrona rozwinięty; a nawet, w gruncie rzeczy, był to objaw odmiennego rodzaju. Rozstrój panujący w umysłach i uczuciach bajronistów pochodził z nadmiernie rozwiniętéj drażliwości i z poczucia głębokiego téj sprzeczności, jaka pomiędzy duszą poetycką a światem prozaicznym zachodziła. U Krasickiego ani takiéj drażliwości, ani takiego poczucia niéma ani śladu. Sprzeczność w wyrażeniu swoich uczuć nie mogła pochodzić z niezgody pomiędzy jego usposobieniem a stosunkami światowemi; gdyż Krasicki był zupełnie prawie z rzeczywistości zadowolony; a to, co go w niéj raziło, satyrą usunąć od siebie się starał, nie dochodząc przez to do rozpaczy, lub krańcowego pesymizmu. Sprzeczność ta wynikała raczéj z tych samych przyczyn, co i sprzeczność w jego poglądach. Uczucie jego w rozmaitych czasach do różnych stron tego samego przedmiotu zwrócone, nie mając ani silnéj nienawiści, ani stałéj miłości za niewzruszoną podstawę, rozmaicie się téż objawiało. A gdy do tego przyłączymy jeszcze maleńką dozę sceptycyzmu, powstającą z uwagi na marność uczuć i zabiegów ludzkich, to wyjaśnimy sobie tę ruchliwą powierzchnią fal uczuciowych w sercu ks. biskupa warmińskiego.

Jednem z uczuć najwznioślejszych na ziemi jest bezwątpienia miłość kraju rodzinnego; bywa ono przedmiotem hymnów wzniosłych, namiętnego, choć najczystszego serc

wzruszenia, i tak zajmuje całą duszę człowieka, że spółcześnie na inne — miejsca nie zostawia. Zmienne jest, prawda, i ustawicznym wrażeniom podległe serce ludzkie, i długo w jakiémś silném natężeniu wytrwać nie może; a jeżeli bije potężnie i gwałtownie, jeżeli ulega częstym rozczarowaniom, — może niekiedy samo siebie wyszydzić i sponiewierać. W chłodném, rozsądném usposobieniu namiętność nie może nam posłużyć za wyjaśnienie nagłéj zmiany; szukać go musimy w tém, że uczucia nie mają potężnéj żywotności, lecz stają się do pewnego stopnia abstrakcyami, które na zimno dają się szeregować w sposób najrozmaitszy, nie dotykając człowieka jako istoty żywéj, czującéj.

Krasicki w poemacie *żartobliwym* („Myszeis") pomieścił stancę, poświęconą poważnemu uczuciu miłości ojczyzny. Stanca ta w *korpusie kadetów* codziennie była odmawiana i wskutek tego spopularyzowała się w kraju. Nie mieści ona w sobie piękności poetycznych, ale wypowiada uczucia szlachetne, poprostu wprawdzie, ale powabnie:

Święta miłości kochanéj ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe.
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie — więzy, pęta nie zelżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny;
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.
Byle cię można wspomódz, byle — wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

W parę lat po wydrukowaniu téj strofy pojawiła się w „Monachomachii" strofa parodyująca wiersz za wierszem jéj myśli i słowa:

Wdzięczna miłości kochanéj szklanice,
Czuje cię każdy: i słaby i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy.
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociécha, w tobie zysk gotowy.

Byle cię można znaleść, byle — kupić,
Nie żal skosztować, nie żal się i upić.

Takie przenicowanie własnego utworu nie dowodzi bezwątpienia zepsutego serca, nie czującego różnicy pomiędzy uczuciem wzniosłém a płaskiém; ale jest oznaką serca lekkiego, ulegającego coraz nowym wrażeniom, które się nie mogło oprzéć poszeptom złośliwego dowcipu.

Do wzniosłego zresztą patosu nigdy się Krasicki nie czuł usposobionym, chociaż sposobności nie brakło. Przykładowo wspomnę tu tylko dzień 3 maja 1791 roku, którego wspomnieniu biskup warmiński hymn poświęcił. Jakżeż utwór ten jest chłodny, jakiemi komunułami przepełniony; jak słabo wyraża uczucia, któremi napełniały się serca tych, co uczestniczyli w ówczesnej uroczystości! Przedstawia się on nam jako wynik musu moralnego raczéj, niż swobodnéj twórczości poetyckiej. Nie żądamy od niego ani wspaniałych obrazów, ani słów porywających, bo to nie były cechy ówczesnego smaku poetycznego; szukamy tylko choćby silniejszego wyrazu, choćby takiego przebłysku uczucia, jakie w przemowie Naruszewicza z powodu téjże saméj okoliczności dostrzegamy. Ale szukamy napróżno. Są to wiersze *rozsądne* w całém znaczeniu tego wyrazu; autor prosi w nich Boga o „ducha rady i męstwa“, o „podległość rządną“, o „wstrzymałość w swobodzie, a w działaniu — trwałość“, a daléj — prozaicznym trybem wymienia tych, którzy się mają stać uczestnikami „łaski bożej“, t. j. króla, radnych, rycerzy i mieszczanina z rolnikiem“. Brak spółudziału uczucia samego autora w tém, co pisze, objawia się nawet w zaniedbaném wierszowaniu, we wstawkach, niepotrzebnych dla myśli, ale niezbędnych dla rymu, w pospolitości tych rymów, w braku wreszcie wszelkiéj obrazowości. Podobneż cechy ma i „Modlitwa“ Krasickiego, składająca się z trzech

zwrotek czterowierszowych, których wartość poetyczną każdy łatwo oceni z przytoczenia jednéj:

Stwórco! my, twoje stworzenia,
Chwałę Twoję świętą głosim;
Czym jesteśmy — twe zdarzenia;
Pozwoliłeś prosić, — prosim.

W jednym tylko kierunku silniéj wyraziła się uczuciowość Krasickiego. Nikczemność spółczesnych, zepsucie obyczajów stołecznych, przedajność sędziów, głupota posłów, drapieżność urzędników — napełniały chwilową goryczą serce biskupa i wywołały na jego usta gwałtowne wyrazy, które musiały trochę zadziwiać spółczesnych, przyzwyczajonych widzieć w pismach podcyfrowanych *X. B. W.* łagodną ironią, strofowanie bez żółci, spokój w uczuciach i zdaniach. Zdarzało się to jednak rzadko, a jednym z najpierwszych do takiego wystąpienia powodów był, jak się zdaje, sejm niecnéj pamięci od r. 1773 do 1775 ciągnący się, na którym gospodarował Poniński z szajką do siebie podobnych. Wówczas to Krasicki napisał wiersz p. n. *Laur*, w którym naprzód zazdrości krzewowi, że nie czuje, ponieważ nieczułość często bywa pożądana, a potém powiada, że już on przestał być nagrodą cnotliwych:

Niegdyś od godnych wieńczenia noszony,
Zdobiłeś, zdobisz Sylle i Nerony...

A w końcu, zrobiwszy uwagę, że z wiekiem zginęły Olimpy, Parnasy, wydobywa z piersi okrzyk bolesny, rozczarowaniem napiętnowany:

Co jest — nie wielbię; *co będzie — nie tuszę;*
Laurze nie kwitnij; *zeszły wielkie dusze* [1]).

---

[1]) Wiersz ten drukowany był po raz pierwszy r. 1776 w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ (tom XIV, str. 154 — 5). Jako ciekawostkę bibliograficzną zaznaczę tu, że musiał być on znany poprzednio w rękopiśmie, gdyż zaraz pod nim wydru-

Poddaństwo albo „niewola“ chłopów, jak ją sam Krasicki nazywa, jest drugim tematem, wzbudzającym w sercu jego oburzenie na niegodnych panów. Jest jedna satyra poświęcona wyłącznie odmalowaniu kontrastu pomiędzy panem a sługą („Pan nie wart sługi“). Tu ironicznie naprzód rozpoczyna, wprowadzając sprawę sługi, który za potrącenie psa faworyta wziął plag „tylko pięćdziesiąt“. Jeden z rozmówców nazywa tego jegomości „najlepszym z panów“ —

---

kowano z jego powodu utwór dosyć obszerny p. n. *Sen.* Tu bezimienny autor, po wstępie przedstawiającym sen jako „prawdy tłómacza i prawdy oszczercę“, przytoczywszy przykłady snów Nabuchodonozora, Józefa w Egipcie, Hekuby, jak nie mniéj — wyobrażenia gminu o nich, opowiada — swój własny. Senne marzenie zaniosło go w tę stronę, gdzie „Sława miała swe łoże“ i gdzie laur ciągle zdobił błonie. Do Sławy przybywa Merkury i oznajmia, że laur, nieużyteczny już ziemi, zawadza. Sława, wysłuchawszy Merkurego, wybiera się wraz z nim do Jowisza z prośbą, ażeby przeniósł roślinę, któréj ziemia niegodną się stała, do nieba. Jowisz słucha łaskawie przełożeń Sławy i Merkurego, do których dołożyli swoje poparcie „Mars, Apollo i Rzesza“, i twarzą nawet daje poznać, że się do ich prośby skłania; wyrok atoli swój zawiesza, nie chcąc absolutnie się rządzić:

Ważne są prośby, słuszne — nalegania,
Które niesiecie do nas za *Wawrzynem;*
Uskuteczniłbym sam wasze żądania,
Gdybym miał sądzić samowładnym czynem;
Chcę samowładnych kroków słodzić ścieżki:
Już mnie znudziły lat przeszłych zamieszki.

* *
*

Wszcząćby się mogły stąd w niebie rozruchy:
Jeden pochwali wyrok, drugi — zwini.
W słuszności ocznéj są niezgodne duchy;
Tych — zysk, złość — owych sprzecznemi uczyni;
Tym zapobiegnę mściwéj bogów *zwadzie,*
Gdy rzecz ułatwim *na sejmowéj radzie.*

Alluzya-to widoczna do sejmu, który w r. 1776 miał się zebrać.

bo stu plag nigdy nie dał. Tu już nie może utrzymać się drugi w spokojném usposobieniu, ale wybucha, piętnując owego pana przydomkiem jednego z owych tyranów:

Co dom czynią katownią; a na płacz nieczuli,
Z wnętrzności się człowieczych ku sługom wyzuli.

Inny znów pan „dał plag dwieście za strawne, a sto — za zasługi“; dwór podobnego jegomości przedstawia nam w następnym obrazku:

A jak niegdyś przed rzymskim konsulem topory
Niosły kar wykonacze, bezwzględne liktory:
Tak przed srogim marszałkiem sążniste pajuki
Niosą *skórom pamiętne* boćkowskie kańczuki.
Wchodzi; — zewsząd jęczenia i płacze się wznoszą.
Oprawcy gdy rozkazy srogie nędznym głoszą,
Dom się wrzaskiem napełnia; — płacz sług pana cieszy.
Wspaniały jękiem nędznych, płaczem służnéj rzeszy,
Rzuca groźnym spojrzeniem nieszczęśliwe losy;
Karmią *słuch Neronowy* płaczliwe odgłosy;
A w powszechnym nieszczęsnéj czeladzi ucisku,
Gdy przekleństw, narzekania dań odnosi w zysku.
Czuje że — pan, bo gnębi...

Obok obrazka, którego jaskrawości nie potrzebujemy podnosić komentarzem, nie trudno mu wypowiedzieć i groźbę dla tych Neronów, nie trudno znaleść słów na przedstawienie okropnego położenia służby:

Katów waszych, nie panów zjadłości igrzyska!
Nędzni! bydlęta z pracy, a sługi z nazwiska,
I płakać wam nie wolno, mówić — jeszcze gorzéj!
Przyjdzie kara za słowem okrutna tym sporzéj.

Ten rys miłości dla biédnych i społecznie upośledzonych, który w mniéj jaskrawych barwach nieraz Krasicki w „Panu Podstolim“ powtórzył, jak jest najpiękniejszą cechą filantropii XVIII-go wieku, tak i w autorze „Satyr“ najsympatyczniéj na nas oddziaływa; dowodzi bowiem, że dla niedoli i cierpienia miał serce.

Trzecim wreszcie tematem, który żywszemi, namiętniejszemi uczuciami duszę Krasickiego przejmował, był widok zepsucia obyczajowego, prowadzącego kraj do ruiny. Szczegóły tego zepsucia kreśli nasz autor zazwyczaj spokojnie (dopiero pod koniec życia surowego na grę w karty powstaje, chociaż dawniéj w „Panu Podstolim“ liczył ją dość obojętnie do przedmiotów wychowania młodzieży); ale je zebrał w jeden widok; nie poprzestał na uśmiechu ironicznym, na rysunku nienamiętnym, lecz zdobywał się na słowa przypominające choć w części oburzenie Naruszewicza:

Duchy przodków, nadgrody cnót co używacie,
Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie;
Jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci,
Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy — ale z gruntu skażeni, wyrodni;
Jesteśmy — ale tego nazwiska niegodni.

A porównywając dawny Rzym z krajem własnym, woła smutmie:

Rzym cnotliwy zwyciężał, Rzym występny zginął,
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły;
Zbrodnie, klęsk poprzedniki i upadków posły,
Te go w jarzmo wprawiły; skoro w cnocie stygnął,
Upadł — i już się więcéj odtąd nie podźwignął.

Podobne objawy dostrzega i w kraju:

Był czas, kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
Ten nas *nierząd*, o bracia, pokonał i zgubił;
Ten nas cudzym w łup oddał; *z nas* się złe zaczęło;
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.

Były to jednak wypadki dość rzadkie. Zwykle Krasicki zachowuje ulubioną przez siebie miarę, nawet w naganach, nawet w wystawieniu najpodlejszych zbrodni, jak niemniéj i — w sławieniu zalet. Pochlebstw, panegiryzmu nie znajdziemy nigdzie w pismach Krasickiego, a jeżeli pochwały, zresztą dość nieliczne, oddawane królowi,

niezbyt usprawiedliwionemi dziś nam się wydają, to nie powinniśmy zapominać, że sąd bezstronny o człowieku i monarsze nie mógł się naówczas wyrobić jeszcze, gdy droga jego życia w połowie zaledwie była znana. Krasicki, tak samo jak Naruszewicz, widział w królu, pomimo że nie zawsze w myśl jego działał, człowieka najlepszych dla kraju chęci, rozproszyciela ciemnoty, stanowczego przeciwnika czasów saskich, rządcę raczéj nieszczęśliwego, niż — niezdolnego.

Tak w mierze utrzymywane uczucia częściéj w każdym razie zwracały się w stronę krytyki, satyry, ironii, aniżeli w stronę pozytywnego kształcenia serc obywateli; częściéj bawiły w krainie żartu niezbyt złośliwego, lekkiego, aniżeli — w dziedzinie ideałów. Wiersz do brata o *obowiązkach obywatela,* odznaczający się rzadką w pismach Krasickiego powagą; niektóre ustępy w Wojnie Chocimskiej, w Panu Podstolim, — Życia z Plutarcha, przekład Ossyana: oto są główniejsze owoce niebardzo silnie uwydatniającego się popędu do stawiania ideałów; poczet natomiast dzieł, w których krytyka ma miejsce, przewyższa je niezmiernie. Wybornie kreśli Kraszewski to usposobienie autora *Satyr.* „Posłannictwem jego — powiada — było chodzić zawsze z uśmiechem na ustach, z tą słodką, dobroduszną ironią bez żółci, spokojną — która szczypie, ale nie rani; łaskoce, ale nie kaleczy; grozi, ale nie smaga; wyszydza bez gniewu, litując się i miłując“ (Aten. 1878, I, 408).

Że i tu nie obeszło się bez pewnego sceptycyzmu, łatwo się domyślić, znając ogólną naturę umysłowości Krasickiego. Stanowczego wypowiadania swych uczuć, tak samo jak zdań, dosyć zręcznie unikał; nawet wogóle złych objawów potępiać nie chciał, jeżeli nie będziemy zwracali uwagi na powyżéj zaznaczone wyjątki. Pokazuje się to z „Pochwały wieku“, gdzie przedstawia bardzo smutny obraz społeczeń-

stwa, gdzie o nauce ówczesnéj, naprzykład, wypowiada zdanie, które później rozsławiło się przez pisma Gervinusa, że „co się wszerz zyskało, wgłąb' się utraciło“, że nauka poszła w handel, że zysk pobudza do pisania i t. d.; a przecież nie orzeka, czy to — lepiéj, czy — gorzéj w stosunku do czasów dawniejszych, ale kończy mantaignowskiém — *może!*

VII.

Zdrowy rozsądek i uczuciowość spokojna, niezdolna do zapału, zastosowane do krytyki przeszłości, uwalniały umysł ludzki od mnóstwa baśni nagromadzonych przez łatwowiernych kronikarzy i łatwowierniejsze jeszcze podania ustne w rodach znakomitych przechowywane; wprowadzały do badań żądanie prawdopodobieństwa; upodobniały dawnych półbogów do ludzi zwykłych; oczyszczały słowem atmosferę dziejów z pierwiastków ułudnych i mglistych. Równocześnie jednak ten zdrowy rozsądek i ta mdła uczuciowość wszystkie osobistości i wszystkie wypadki historyczne ściągały do poziomu jednostajnego, który najlepiéj odpowiadał pojęciom i pragnieniom wieku XVIII; zacierały różnice, zachodzące pomiędzy ludźmi z czasów starożytnych i średnich, ze wschodu i północy; nie dozwalały wniknąć w naturę tak zwanych „przesądów i zabobonów“, tj. mitów i legend; obniżały polot entuzyazmu, bohaterskich poświęceń, nadzwyczajnych wysiłków i sprowadzały je do zwykłéj gry interesów, jaka się w gabinetach dyplomacyi XVIII wieku rozgrywała. Krytyka starożytnych pisarzy ze stanowiska zdrowego rozsądku mogła być dowcipna, a nawet w wielu wypadkach zupełnie słuszna, ale nic więcéj dać nie mogła nad zachwianie wiary w świadectwo jakiegoś pisarza, lub postawienie mniéj więcéj prawdopodobnego

domysłu. Była ona dosyć łatwa dla rozumu bystrego i miała bardzo wiele powabu dla pisarza, który błyszczał dowcipem; nie mogła jednak obiecywać żadnych trwałych rezultatów. Ażeby je osiągnąć, należało porównywać ze sobą źródła, odczytywać napisy, gromadzić wiadomości o monetach, posągach, grobowcach, albo téż (jak odnośnie do czasów średniowiecznych) grzebać się w dyplomatach, układać roczniki i dzienniki, radzić się pomników literackich itd. itd.

Krasicki posiadał niemałą erudycyą, szczególniéj w dziale literatury, jak o tém świadczy „Zbiór potrzebniejszych wiadomości“ i rzecz „O Rymotwórstwie i Rymotwórcach“; ale specyalnego wykształcenia historycznego nie miał: pomimo uporządkowania manuskryptów heilsberskich, do długiego i pracowitego ślęczenia nad staremi rękopismami brakło mu przedewszystkiém cierpliwości; dorywczo robił sobie notatki do swojéj encyklopedyi, do Korony Niesieckiego; wypisywał treść listów Erazma Roterdamczyka do znakomitości polskich XVI stulecia; lecz na tém koniec. A tu uśmiechała mu się myśl Woltera przetrząśnienia dziejów cywilizacyi powszechnéj w całym jéj przebiegu i opowiedzenia publiczności zręcznie i dowcipnie swoich poglądów na ważniejsze w historyi wypadki. Pokusa była zbyt silna, ażeby jéj nie uległ żywy umysł ks. biskupa. Opowiada więc nam, że znalazł przypadkiem zapiski naocznego świadka wypadków dziejowych, który miał balsam, zabezpieczający mu nieśmiertelność, i wędrował z jednego miejsca na drugie, stosownie do tego, gdzie ciekawość jego obfitszéj spodziewała się zdobyczy. Pod tym fantastycznym płaszczem ukrywa Krasicki Plutarcha, Liwiusza i Tacyta; a zbrojny ich powagą wędruje po starożytnym świecie, poczynając od wyprawy Aleksandra Macedońskiego przeciwko Porusowi. Więcéj jednak zawsze dowierza swemu zdrowemu rozsądkowi, niż podaniom historyków i śmiało, że nie powiem—

lekkomyślnie, poprawia ich w tém, co się mu prawdopodobném nie wydaje. Ludzie i wypadki maleją; poważna szata starożytna pokrywa się różnobarwnemi łatkami; ale zarazem ginie cudowność i bajeczność. Nie potrzebujemy zbyt wiele ustępów przytaczać, ażeby czytelnicy nabrali wyobrażenia o sposobie traktowania dziejów. Weźmy np. to, co mówi Krasicki o wychowaniu Aleksandra. „Wychowanie Aleksandra takowe było, jakie *zwyczajnie* dzieci królewskich. Sprowadzony Arystoteles lepiéj się jeszcze *znał na dworszczyznie* niż na filozofii. Uczeń z wiadomością niektórych *terminów uczonych* [1]) zyskał wielką o sobie opinią, mistrz — fawor u dworu. Ów sławny list Filipa do Arystotelesa, w którym bardziéj się cieszy z przyszłego mistrzostwa tego mędrca, niż z urodzenia syna, *dziełem był płodnéj imaginacyi* uczniów Arystotelesowych". I tak, świadectwa dziejopisów jednym zamachem pióra — zniweczone...

O tém, jak Krasicki sądził wypadki ze stanowiska swego czasu, a nie przenosił się myślą w dawne wieki, starając się zrozumiéć ich odmienne obyczaje i pojęcia, łatwo się przekonać z opisu przyjęcia Ottona przez Bolesława Chrobrego: „W lat dwa potym, gdyśmy z Rzymu powrócili, przedsięwziął cesarz pielgrzymowanie do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Przyjął nas ludzko i wspaniale Bolesław, zwany Chrobry, naówczas książę polski, ale nie było tyle sukna w Gnieźnie, a może i w całéj Polsce, żeby na mil kilka drogę nim usłał. Stało nam to za sukno, że od saméj granicy drogi kazał naprawić, mosty ubezpieczyć, karczmy na trakcie porządne postawić". Ze stanowiska zdrowego rozsądku nic nie można zarzucić takiemu przypuszczeniu, ale kto zna wieki średnie i wie o ówczesnych usposobieniach królów i narodów, dbających raczéj o po-

---

[1]) Zupełnie tak jak Mikołaj Doświadczyński.

wierzchowną świetność, niż o rzeczywisty dobrobyt, ten prędzéj uwierzy w owo sukno, aniżeli w naprawione mosty i porządne karczmy.

Z taką samą swobodą przeczy Krasicki zależności Polski od cesarstwa niemieckiego w X wieku. „Wdzięczen ludzkości Bolesławowéj Otton mianował go królem, ale Bolesław śmiało mu odpowiedział, iż w tym jego łaski nie potrzebuje, bo — ani jego poddany, ani mu podległy. Kazał więc natychmiast dawniéj już zrobioną koronę przynieść i sam ją sobie na głowę włożył“. Podobnież w „Powieści prawdziwéj o kamienicy narożnéj w mieście Kukurowcach przez Błażeja bakałarza“, gdzie wypadki i ludzie zostali już z umysłu zmniejszeni, o tym samym fakcie odwiedzin, takie czytamy sprawozdanie: „Powiadają i to, iż burmistrz blizkiego miasta (Otton) przyjechawszy jednego razu *na kiermasz* do Kukurowic, zrobił go (t. j. właściciela kamienicy narożnéj, Bolesława) wójtem; ale co miał za prawo burmistrz *skądinąd* robić wójta u sąsiadów, którzy, gdyby im się było podobało, mogliby sobie sami zrobić takiego wójta, jak on. Bajki-to więc, które podobno owi sąsiedzi wymyślili i podali innym do wiadomości, bo pierwéj od Kukurowczanów umieli pisać i czytać“.

Niemniéj zastanowienia godną jest rzeczą, jak wielkie, wspaniałe wypadki karłowatą i śmieszną nawet przybierają postać, gdy się je w świetle drwiącego dowcipu, albo Marchołtowego rozsądku, obejrzy. Któżby mógł odgadnąć znaczenie unii lubelskiéj z następującego przedstawienia rzeczy, które Błażéj bakałarz o kamienicy kukurowieckiéj podaje? „Już to się powiedziało, jako dwoja czeladź pod jednym panem nie mogła się pomiędzy sobą zgodzić. Jedni powiadali: my dawniejsi; drudzy mówili na to: tacy my dobrzy, jako i wy; i każdy z nich rozumiał, że jemu pierwszość i władza, drugim następstwo i wykonanie tego, co

nakaże, przystoi. Po wielu sprzeczkach i kłopotach do tego przyszło, iż *ostatni pan i dziedzic dwu owych kamienic* nie miał ani czasu, ani sposobności wstrzymywać je tak, jakby należało. Myśląc więc, jakimby sposobem gmach w całości utrzymać, a widząc, iż się już ściany gdzieniegdzie poczynały rysować, spostrzegł, iż *rynna* między dwoma dachami, na którą się wody z obudwu zlewały, nie dostarczała takiemu spadkowi: postanowił przeto *na obudwu kamienicach dać jeden dach*; ile że były sobie równe, a staraniem dawniejszych dzierżycielów *facyatą jednakowa*. Wiele trzeba było koło tego i starań i prób i pogróżek i obietnic, *ba i datków*, żeby przywieść czeladź do imania się takowéj roboty; a to dlatego, iż się już byli na dobrym bycie (jak to mówią) rozbrykali: każdy, zdawna do mieszkania swojego przyzwyczajony i wprawny, połączenia takowego w jedno nie chciał, osobliwie owi, co się to byli następnie złączyli. Musiał więc pan, żeby ich ująć, dać im więcéj jeszcze do mieszkania, niźliby byli pierwéj na jego przodkach wytargowali: wybrali sobie więc, co chcieli. Przecież przyszedł czas nakoniec, iż po wielu krzykach, hałasach i zwłokach stanął na obudwu domach jeden dach. Daléj pomału i na to się dali przywieść i nakłonić, iż *drzwi* z jednéj kamienicy do drugiéj wybito: a czeladź już złączona w mieszkaniu, mając je takie, jak tylko chciała, *zapomniawszy o panu i o budowli*, zaczęła używać dobrych czasów“.

Konfederacya barska dostarczyła Krasickiemu wątku do napisania satyrycznego poematu p. n. *Myszeis* (1775). Taki jest przynajmniéj domysł pana Gruszczyńskiego, którego wywody wydają mi się wielce prawdopodobnemi [1]). Prze-

---

[1]) O znaczeniu Myszejdy Ignacego Krasickiego. Napisał dr. Gruszczyński. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1863, str. 28.

prowadza on w pracy swojéj tę myśl, że Myszeis była utworem allegoryczno-satyrycznym, przedstawiającym stosunki polskie przed — i po pierwszym podziale. Do końca pieśni czwartéj miał Krasicki, jak utrzymuje p. G., krytykę wypadków historycznych za cel swéj alegoryi. Popiel, co to się brzydził „jarzmem publicznéj usługi i wodze rządów słabą ręką trzymał“, zmuszony oddać rzeczywistą władzę faworytom, „harpiom państwa“, którzy niesyci jeszcze byli „łupem zdartego ubóstwa“, przedstawiał Stanisława Augusta. W kraju „ochota mężna zupełnie wygasła“, a okrzyki marsowe w zupełne poszły zapomnienie. Pochlebstwa na dworze monarchy nie dopuszczały głosów prawdy: i „pan i naród szalał na przemiany“. Król kaprysem się jedynie powodował; przez dni dziewięć z okładem kochał statecznie *myszki*, to jest szlachtę, wyobrażającą stronnictwo niechętne wszelkiéj obcéj gwarancyi; ale raz dowiedziawszy się o „kocie wybornym“ Mruczysławie (Repnin), cały swój afekt przeniósł na ten ród myszkom nieprzyjazny: „zginęły myszki z dobrym swoim bytem“. Nieszczęściem myszki zostawały w ciągłym ze szczurami (t. j. stanem senatorskim, magnatami wogóle) sporze. Gryzomir (t. j. Adam Krasiński) żałośnym głosem zachęcał ich do zgody, gdyż nie czas było wtedy wszczynać zwady; ale słowa jego odbiły się o uszy zebranych na naradę myszy i szczurów bez żadnego skutku:

Od dawnych bowiem czasów, na przemiany,
Szczurów i myszy złączone narody
Wspólnie się gryzły; a choć *wszystkie stany*
Traciły przez to ojczyste swobody;
Przecież duch złości niepohamowany
Sprawiał, że sprzeczne w każdéj konjunkturze,
Myszowskie zdania szczurom, myszom — szczurze.

Tak się téż stało i w chwili owéj ważnéj, gdy Mruczysław został Popiela faworytem. Na radzie zaczęły się wzajemne przymówki szczurów i myszy; powstał hałas

i wrzawa; napróżno Gryzomir wołał, żeby ratowali ojczyznę przy zgonie; w odpowiedzi usłyszał tylko krzyk: „niechaj ginie wolność przeszła“. Gryzomir musiał zawezwać pomocy cudzoziemskiéj, co daje się także do konfederacyi barskiéj wybornie zastosować, gdyż i ona szukała poparcia we Francyi i Austryi; następuje walka szczurów i myszy przeciw kotom z bardzo rozmaitém szczęściem prowadzona.

Dokładnemu przeprowadzeniu paraleli pomiędzy wypadkami opowiedzianemi w Myszeidzie, a faktami dziejowemi przeszkadza zakończenie, które myszom zwycięstwo daje, gubi Popiela, zabija Mruczysława. P. Gruszczyński stara się załatwić tę trudność twierdzeniem, że Krasicki przewidział detronizacyą Stanisława Augusta. Wszelkie jednak przewidywanie dosyć wątpliwą ma wartość, jeżeli na naukowych danych się nie opiera; mnie się więc zdaje, że niebezpieczeństwo śmierci, na jakie wystawiony był król wskutek porwania przez konfederatów, mogło usprawiedliwić wzupełności autora, który musiał pozostać wiernym legendzie o Popielu, obranéj za punkt porównania z panowaniem Stanisława Augusta. Trzeba przytém wziąć i to na uwagę, że Krasicki, ogłaszając swój utwór, musiał zatrzeć wiele miejsc zbyt wyraźnie przypominających znane osoby lub zdarzenia, ażeby nie obrazić na siebie króla, któremu Myszeidę ofiarował. Tém także tłómaczyć sobie należy ów rys pijaństwa Popielowego tak niezgodny z usposobieniem i nałogami króla Stanisława. Obecnie w Myszeidzie pozostały tylko fragmenta pomysłu pierwotnego, nie zaś doskonale od początku do końca przeprowadzona i utrzymana alegorya. I z tych ułamków jednak widać, jak, obok trafnych spostrzeżeń do ówczesnych rozterek w kraju zastosowanych, Krasicki chłodno patrzał na wypadki, z żadną stroną nie sympatyzując.

Wogóle biorąc, gdzie Krasicki wspomina jakiś szczegół

z przeszłości krajowéj, a zwłaszcza — przeszłości najbliższéj siebie, to nietylko nie pomija cieniów ją pokrywających, lecz owszem cienie te ze szczególném zamiłowaniem w duchu surowéj krytyki wytyka dosadnie. Obywatele na to się na sejm zjeżdżali, ażeby brać, zwodzić, pić, jeść i „dawnym zwyczajem" gryść się wzajem.

A czyniąc wszystko *płochym* [1]) duchem napastniczym
Jak przyszli bez niczego, tak wrócili z niczém.
(List do J. B.)

Kiedy Doświadczyński, zachęcony przez ministra, chciał zostać posłem, musiał się przedewszystkiém upić z bracią szlachtą kilka razy; a gdy na sejmik *jednego* tylko kucharza przywiózł ze sobą, wyśmiali „dzikość" jego dobrzy sąsiedzi. A kiedy wieść ich doszła, że p. Mikołaj miał ze sobą tylko dwa antały wina, sam Imć Pan Podkomorzy wręcz zdecydował, że o jego poselstwie „nie tuszy". Trzeba mu więc było kupić coprędzéj w poblizkim „klasztorze" wina wybornego beczek kilka, trzeba było dostać kucharzów; „że zaś było pieniędzy dostatkiem, poszło wszystko i prędko i dobrze". Umysł i wola obywateli były na przedaż; głupota, brak zupełny zmysłu politycznego, głównie cechowały wyborców. Gdy odczytano punkta instrukcyi dla wybranych posłów, okazało się, że nie było *żadnego*, któryby się odnosił do dobra publicznego, ale „natomiast rekomendacye jednych do krzeseł senatorskich, drugich — na ministerya, najwięcéj zaś — do łaskawego Jego Kr. Mści szafunku *panis bene merentium*; przydano tylko *reparacyą ratusza* lubelskiego i piotrkowskiego"... Imć Pan Sędzia, nestor owéj ziemi, z któréj Doświadczyński posłował, doprasza się, ażeby wybrani posłowie domagali się odebrenia „sum neapolitań-

---

[1]) Waryant rękopiśmienny (w Bibliotece Krasińskich znajdujący się) brzmi: *podłym.*

skich“ i otwarcia „gór w Olkuszu“. Zgodzili się na to wszyscy; dołożono jeszcze „aprobacyą kilku funduszów i dwóch świętych nowo beatyfikowanych kanonizacye“. Gdy Doświadczyński zaczął krytykować niektóre wyrażenia instrukcyi i gdy zrywanie sejmów nazwał „podłością i niegodziwością“, Imć Pan Podkomorzy przyrównał go do cielęcia, które chce być mędrszym od wołów; a wśród rzeszy szlacheckiéj rozeszła się pogłoska, że szanowny kandydat był heretykiem... Przyjechawszy do Warszawy, był najprzód pytany: do jakiéj partyi należy; a gdy wyraził swoje zadziwienie, że w rzeczypospolitéj są tyrani rozkazujący i jurgieltowi posługacze, usłyszał przycinek, że znać po nim pobyt na dalekiéj wyspie. Ministrowie, senatorowie oblegają Doświadczyńskiego, ażeby zyskać go sobie dla jakiegoś partykularnego interesu. „Przyszedł dzień zaczęcia sejmu; weszliśmy do izby; marszałek staréj laski ze zwykłemi ceremoniami sejm w tumulcie i wrzasku nieznośnym zagaił. Przez *dwa dni* nie mogliśmy się doczekać obrania marszałka; trzeciego — przyniesiono *manifest zrywający sejm*. I tak, sześciomiesięczne całego narodu intrygi i koszty skończyły się na bolesnéj oracyi marszałka staréj laski, przy pożegnaniu uskarżającego się na nieszczęśliwe losy ojczyzny“. (Księga III, rozdz. XIV).

Nie potrzebuję przypominać, jak Krasicki przedstawia trybunał lubelski i jak nam kreśli obraz dawnego wychowania młodzieży, bo szczegóły te są powszechnie znane. Do uwielbienia więc przeszłości nie był wcale skłonny i zarzucał jéj (w wierszu do Krzysztofa Szembeka, koadjutora biskupa płockiego) „dzikość, fanatyzm, płoche uprzedzenie, ślepotę“, których ofiarami padają dusze szlachetne, dążące do poprawy zastarzałych wad i błędów. Na cześć jéj napisał wprawdzie „Wojnę Chocimską“, ale jakże pochwały te są zimne, jak wymuszone! Są one raczéj wynikiem tematu

poetycznego, który domagał się cnót bohaterskich, niż serdecznego ukochania tego, co minęło.

Zdawałoby się z powyższego, że Krasicki nigdy nie powinien był wzdychać za przeszłością i widziéć w niéj ideału, z którym teraźniejszość porównana zawsze tracić musi na uroku i wartości; zdawałoby się, że całém sercem przylgnąć był powinien do nowéj epoki reform zbawiennych, epoki rozszerzonego światła i podniecenych uczuć obywatelskich. Istotnie, Krasicki w wierszu do Szembeka, otwarcie powstaje przeciw „sławnemu hasłu: *niech będzie, jak było*“ i zachęca do śmiałego przeprowadzenia reform:

Walczyć z gminem należy, kto go chce oświecać.

Mimo to, niejednokrotnie żałuje nasz biskup dawnych dobrych czasów; nie powiada wprawdzie, kiedy one były; ucieka w przestrzeń jakąś nieoznaczoną, mglistą, gdzie panowała cnota, gdzie rodzili się zacni obywatele, dbający więcéj o dobro publiczne, niż o swoje własne. Stąd — czytamy u niego ogólnikowe pochwały „bitego gościńca, co starzy ubili“; stąd — pisze „gderania starego Bartłomieja“, według którego wszystko, co było dawniéj, było jak się należy; stąd — „w ścisłym rzeczy obrachowaniu i porównaniu kto wie, czyby nie znalazło się to, iż więcéj jest teraz złego, niż było przedtém“; stąd — zdanie, że „kształtnie czynią dzisiejsi, lepiéj jednak — starzy“, że „my pozorni, oni — trwali“; stąd — takie wykrzyki: „nad nasz polor prostotę ja dawną przenoszę; Świat się przepolerował i bodajby był dziki!“ Co więcéj, nawet oświata bynajmniéj nie cieszy Krasickiego; gnębi go ksiąg rozlicznych mnóstwo: bajki, dykcyonarze i wszelkiego rodzaju piśmidła; nie wielką zasługę przypisuje wynalazcy druku, gdyż ten druk sprawia, że za jedno dobre pismo mamy sto głupstw drukowanych:

Poszła w handel nauka, kramnicą — drukarnie;
Głód kładzie pióro w rękę, zysk do pisma garnie,

Mają dowcip na zbyciu w ten jarmark otwarty,
Jak kramarze na łokcie, autory — na karty.

Jest-to bezwątpienia sprzeczność, gdy widzimy, że ten sam człowiek, który tak surowo ganił przeszłość, teraz ją za wzór stawia czasom swoim; ale sprzeczność ta nie wynika z nagłéj zmiany przekonań, tylko z ogólnego usposobienia autora. Dopóki wpatrywał się w szczegóły owéj przeszłości, satyryczny jego umysł nie mógł nie dostrzedz wad strasznych, które za jego czasów spostrzeżono dokładnie i starano się wykorzenić; gdy atoli tak samo spojrzał w teraźniejszość, dążność do reform zeszła na plan dalszy a nawet znikła, natomiast zaś przedstawił się oczom jego obraz rozkładu obyczajowego. Wiek XVIII obok świetnych zdobyczy naukowych, obok wybornych dzieł dowcipu i filantropijnych usposobień, nie posiadał dzielnych charakterów, któreby nam siłą moralną imponować mogły. Obyczaje, zpoczątku lekkomyślne, stały się w końcu bezwstydne; wyższe warstwy straciły prawie zupełnie poczucie moralne i wszelki ideał etyczny, zamieniając go naprzód na estetyczny, a potém na ideał użycia rozkoszy tego świata w formie jakiéjkolwiek. Szulerstwo, dworactwo, podstęp, hipokryzya, brak godności moralnéj, przedajność, lubieżność są cechami śmietanki towarzystwa. Krasicki wybornie zauważył rozmaite rodzaje tych zdrożności i w pismach swoich, a mianowicie w „Satyrach“, chłostał je lekkim, ale silnie się wrażającym biczykiem. A że dla kontrastu potrzebował przeciwstawić obrazowi zepsucia jakieś ogólnikowe przynajmniéj wspomnienie ideału, wziął więc to, co zwyczaj odwieczny zarówno w społeczeństwie, jak w literaturze uświęcił, to jest zupełnie nieokreślone, na pół mityczne „dawne dobre czasy“. Nie stanowiły one w jego umyśle jakiéjś ściśle określonéj epoki, jakiéjś rzeczywistości, mającéj cechy wyraźne, gdyż nigdy ich szczegółowo nie przedstawił; ale

były raczéj wyrazem życzeń, żeby teraźniejszość starała się je na ziemię z mgły podniebnéj sprowadzić.

VIII.

Zdrowy rozsądek i chłodna uczuciowość, zastosowane do spraw wielkiéj wagi na szerokiéj arenie życia publicznego rozstrzygających się, musiały wydać taki sam rezultat, jak w odniesieniu do poważaych, wspaniałych wypadków dziejowych. Zgodnie ze swoim chłodem, jeżeli nie wstrętem, do akcyi politycznéj, Krasicki nadzwyczaj rzadko zabierał głos w dyskusyi tyczącéj się kwestyj państwowych. Właściwie mówiąc, raz tylko jeden zaznaczył dobitniéj zdanie swoje w tym względzie i to w kształcie broszury, któréj bez obawy nadużycia wyrazu tytuł pamfletu nadaćby można. Istotnie nadzwyczaj zadziwiającą było rzeczą, że w książce, która specyalnie zająć się miała skreśleniem obowiązków szlachcica ziemianina („Pan Podstoli“) nie tylko niema wskazówek postępowania politycznego, ale nawet wypowiada się przekonanie, że ziemianin stronić powinien od „politycyzmu“. Przygodnie zaś poruszono tylko pytanie co do przeznaczenia starostw, które nie „chlebem zasłużonym“, ale „chlebem chytrze wydartym“ nazywa, lecz to dopiero w III-éj części „Pana Podstolego“, która za życia autora nie wyszła z druku (Cz. III, księga III, roz. I). Spółcześni czuli bezwątpienia ten rażący brak w „Panu Podstolim“ i usiłowali go zapełnić według możności. Jakoż we 4 lata po wyjściu drugiéj części „Pana Podstolego“ wyszło z druku pismo w podobnéj formie napisane, a przeznaczone wyłącznie roztrząsaniu obowiązków ziemianina jako *obywatela* kraju [1]).

---

[1]) *Obywatel* z dewizą: *Si quid novisti rectius istis, Candidus imperti; si non, his utere mecum.* Tom I. W Warszawie.

Znając atoli usposobienie księcia biskupa, łatwo nam zrozumieć, dlaczego w ideale swego ziemianina zaprząta się jedynie przepisami moralności, przystojności, oświaty i ekonomiki. „Politycznym“ zdaniem Krasickiego to „coś nakształt febry peryodycznéj, która czy trzydniowa, czyli co czwarty dzień przypadająca zostawia przedział do odpoczynku, nim chorującego zaczepi“. Co dwa lata następuje *crisis*; wtenczas wybierają medyków. „Lekarzów — powiada K. — dosyć; ale choćby dobre recepty dali, w złym stanie apteka; może się więc nie znajdą lekarstwa przepisane, albo, choćby się znalazły, kto wie, czy będą takie, jakowych potrzeba“ (Pisma różne. W wydaniu Lewentala t. IV. str. 357).

Otóż nadeszła była wielka *crisis* w r. 1788, zebrano się na sejm, który najświetniejsze rokował nadzieje, który nietylko Warszawę, ale i kraj cały jakiémś radosném, entuzyastyczném napełnił uczuciem, i który w świecie myśli, w świecie teoryj politycznych tak świetnym od „konstytucyi swojéj zajaśniał blaskiem“. Krasicki występuje wtedy właśnie ze wspomnianym powyżéj pamfletem, któremu daje napis „Organy“ [1]). Przedstawia się on tutaj, jako człowiek

---

W drukarni pana Dufour, kons. Nadw. Jk. Mości i Dyrekt. Druk. korp. kad. 1788, stron 328 w 16-ce. Znany mi jest tylko tom pierwszy.

[1]) Pierwszym, który przyznał „Organy“ Krasickiemu, był Feliks Bentkowski, znający je z egzemplarza rękopiśmiennego. W tomie I swojéj „Historyi literatury polskiéj“ na str. 404 pisze on: „Wiersz przeplatany prozą p. t. *Organy*, wystawujący okoliczności i osoby działające w czasie sejmu r. 1788, znany mi jest tylko w rękopiśmie, lubo trafność dowcipu, żywa imaginacya, owa przyjemna gładkość i dworna satyryczność godnym go ze wszech miar druku czynią“. W drugiém miejscu (I, 485), wymienia sam jedynie tytuł. Odtąd historycy piśmiennictwa i biografowie powtarzali tę wiadomość; a nawet Bartoszewicz nie podał o Organach bliższych szczegółów. Dopiero Kraszewski bliżéj

bardzo, ale to bardzo chłodno zapatrujący się na ówczesną rozgorączkowaną wraz z sejmem Warszawę, jako obserwator bystry, dostrzegający od razu śmieszności pośpiesznego i nierozważnego działania, jako dowcipniś, który nawet w najkrytyczniejszéj chwili nie chce stracić swego *bon mot*, bo to *bon mot*, niewypowiedziane, sprawiłoby mu niezmiernie przykrą emocyą krztuszenia się. Skład sejmowy porównywa do organów, w których każdy klawisz czyni swą powinność, stosownie do tego, jak zagra *Lucchesini*, organista. Głównemi sprężynami działania są „duma wraz z zemstą za ręce ujęte". Z nadziei stronnictwa patryotycznego dowcipnie się wyśmiewa: „król pruski — powiada —

Mówią wszyscy, że wspaniały,
Nie chce zysku, ale chwały;

---

nas z niemi zapoznał z egzemplarza drukowanego. W bibliotece Ordynacyi Krasińskich znajdują się dwa odmienne pod względem redakcyi egzemplarze drukowane i jeden pisany, różniący się od tamtych stylistycznie w wielu miejscach; ja mogłem korzystać z nich przy opracowywaniu studyum niniejszego. — Zadziwiać może, dlaczego Dmochowski nietylko nie pomieścił „Organów" w kompletném wydaniu dzieł Krasickiego, ale nawet nie wspomniał o nich w mowie na cześć K-go mianéj. Okoliczność jednak ta nie powinna decydować o autentyczności autorstwa „Organów", jeżeli zważymy, że jest to utwór satyryczny skierowany przeciwko téj chwili z ostatnich lat bytu Rzpospolitéj, która dla zwolenników konstytucyi 3 maja po upadku była ideałem wszelkiéj doskonałości, tak — że każde targnięcie się na jéj chwałę poczytaneby było za najsroższe ubliżenie przeszłości. Mówca, który chciał wszystkie promienie blasku skupić na czole swego bohatera, nie mógł przypominać owych sarkazmów na działalność sejmu 4-letniego, jeżeli nie pragnął oburzyć na siebie słuchaczów zgromadzonych w sali zebrań Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Są atoli inne trudności, *pozornie* przynajmniéj nie dozwalające uważać K-go za twórcę „Organów". Autor téj broszury opisuje szczegółowo działalność sejmu z pierwszych 10-ciu tygodni jako widz naoczny zasiedziały w Warszawie; przedstawia się nam jako

A widząc orła białego,
Nadto z pierza odartego,
Ofiaruje swe starania
Do piór dawnych odzyskania
Z warunkiem jednak na tym,
By biały został srokatym.

A sarkastycznie dodaje: „patryoci, jak widać, są z strony króla pruskiego; nie wiem zaś dotąd, czyli w wolnym narodzie patryotyzm przez kogo zagrzewany być powinien, i czyli kto obcy władać nim może; słyszę tu jednak głosy powszechności, że nam to na lepsze wyjdzie; ja mówię: daj Boże“!

Marszałków sejmowych (Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Sapiehę) przedstawia w sposób niezbyt pochlebny; przyznaje im wprawdzie pewne zalety, ale zaraz dodaje ta-

---

człowiek, który na każdém posiedzeniu był, wsłuchiwał się w mowy, badał pulsa usposobień publiczności, interesował się posłuchami, anegdotami. Tymczasem wiadomo, że ks. biskup warmiński przybył do Warszawy dopiero w lipcu 1789, a zatém na owych sławnych posiedzeniach, na których rozprawiano o 100 tysiączném wojsku znajdować się nie mógł. Gdyby więc Kr. chciał był opisać sejm z własnego widzenia, wybrałby zapewne chwilę bliższą swego przyjazdu, nie zaś oddaloną prawie o rok cały. Z drugiéj wszakże strony narzekania i szyderstwa Krasickiego tak są podobne do opinij wyrażonych w listach brata jego Antoniego, który w początkach sejmu 4-letniego bawił w Warszawie, starając się o beneficyum jakiekolwiek, byleby intratne, dla ks. biskupa warmińskiego, że łatwo przypuścić, iż ks. biskup napisał swój pamflet wedle relacyj brata; a chcąc starannie zamaskować autorstwo swoje, zmyślił swoję bytność w Warszawie i charakter naocznego widza. Poglądy w „Organach“ wyrażone, tudzież styl są tego rodzaju, że bez trudności przyznać je można Krasickiemu, zwłaszcza gdy się porówna je z tém, co okolicznościowo o sejmach polskich wogóle z powodu sejmu grodzieńskiego i o „politycyzmie“ napisał. Tak rozwiązuję trudności sobie samemu zrobione; a opowiadam o przebiegu swych myśli na tém miejscu dlatego, ażeby w téj ciekawéj sprawie wywołać dyskusyą.

kie wady, które prawie niweczą wrażenie stron dobrych: Oto jego słowa, w których rozpoczyna od sylwetki Małachowskiego:

Pierwszy układny, grzeczny, pokorny;
Frant w gruncie serca, ale frant przezorny:
Przyjaciel tronu i jego powagi;
Lecz ten z narodem nie ma przewagi.
Doczekał się téj cechy na swojéj siwiźnie,
Że króla, tron szanując, wiernym jest ojczyźnie.
Drugiego ty znasz dobrze, a ja — ledwie miernie:
Nadtom słaby w wyrazach, bym go oddał wiernie.
Natura go swojemi obsypały dary:
Dowcip, rozum, przytomność, wymowa bez miary
Pełen wszystkich talentów, lecz cóż z nich, niestety!
Miłość własna nim rządzi i ładne kobiety [1]).

Postępowanie posłów przedstawia nam jako hałaśliwą zabawę nierozmyślnych młodzieniaszków, którzy, nie znając ani potrzeb kraju, ani sposobów zaradzenia im, popisują się patryotycznemi frazesami, stanowią prawa bez względu na to, czy one będą mogły być wykonane, czy nie. Najdotkliwszéj szykanie poddał uchwałę co do stutysięcznego wojska; najwięcéj tu rozwinął dowcipu i bystrości umysłu. Prawodawcy wyznaczają na papierze sto tysięcy wojska, i zamiast pomyśleć o jego wystawieniu, zapłaceniu i opatrzeniu, już niém najswobodniéj rozporządzają, odbierają ziemie, zawierają alianse i poprawiają „rząd w bezrządzie“. „Szczęściem — dodaje nasz satyryk — nastąpione zimna przypomniały gorącym prawodawcom, że gołe wojsko w pole wyjść nie może; a tak zaczęto myśleć o formie ubioru, choć dotąd ubierać niemasz ani czym, ani kogo; uchwalono tedy najprzód wojsku głów golenie: oj! gdyby byli

[1]) W rękopiśmiennym egzemplarzu „Organów“ niektóre miejsca są odmienne. *Drugi* marszałek „wszystko zyskał w narodzie oprócz jednéj wiary; a rządzą nim „duma, lekkość i *mściwe* kobiety“.

zaczęli od swoich, nie stroiliby tak wojska“! Narzeka w dalszym ciągu na przepisanie wojsku stroju narodowego, bardzo trafnie dodając, że zamiast głowy golić, lepiéj otrząsnąć pudr z włosów, zamiast stroić w białe lederwerki, dać czarne, zamiast kontuszów powiększyć płacę (lenung) i lepiéj już, żeby się cały stan cywilny ogolił, i żeby zbytków zaprzestał. Po tym zwrocie poważniejszym ciągnie autor daléj sarkastycznie, że nie myśli przebierać wojska, aby nie przemarzło, „bo podobno zimowe kwatery w konstytucyi odprawi; prócz tego powiadają, że przez papier wiatr nie przewiewa, gdyby nawet i przez lato tak zostać miało, to namiotów potrzebować nie będzie“...

Drugim punktem, na który satyryk uderza, to utworzenie zarządu wojskowego z pomiędzy obywateli, co mu przypomina „komisyą wojskową“, a całą różnicę pomiędzy dawném a nowém urządzeniem w tém upatruje, że „tamten bałwan był z drzewa, a ten jest gipsowym“. Na możliwy zarzut ze strony czytelnika, że naród jest baczny, że obywatel bezpiecznym się staje, „bo rękojmią Stany“, że za przestępstwo rządu może być hetman karany, bez względu na osobę; odpowiada epigramatem:

Tak więc rząd określony; a cóż zrobi złego?
Prawda, że mało; jednak nic dobrego.

W ten sposób załatwiwszy się z obrazem i krytyką „dziesięciu niedziel sejmowania“, zastanawia się nad widokami przyszłości. I tu również daje dowody trafnego przewidywania, bystrego spostrzegania, a zarazem jakiéjś obojętności na los niedaleki. Jeżeli mamy być darci — powiada — niechże nas drze orzeł o jednéj głowie... Kombinując zaś ówczesne wypadki polityczne, przewiduje, że sąsiedzi wzajemne szkody nagrodzą sobie podziałem Polski. Ratunek widzi aż w *cudzie*, chociaż nie zaniedbuje mówić zwykłych ogólników, że rozpacz może jest zbyteczna, że

czas wszystko przerobi. Kończąc zaś, wyrzeka na stronnictwa, mówiąc z westchnieniem: „jak nie dzielić, gdy się dzielim sami“? A na złe, na owę chorobę „polityczyzmu“ przepisuje receptę, bardzo łatwą do skreślenia, ale bardzo trudną do wykonania w aptece krajowéj: zaleca „zgodę“ i „ufność w królu“ [1]).

Satyra ta nie pozostała bez odpowiedzi. Nieznany mi autor dał ją w broszurze p. n. „Wieśniak Warszawskiemu Orgarmistrzowi na Organy z *Myślewic*“. Był to gorący zwolennik stronnictwa patryotycznego i starał się zarówno prozą, jak wierszem, odeprzeć złośliwe zarzuty autora „Organów“, posiłkując się zarówno rozumowaniem, jak uderzeniem w struny sercowe. Odpowiedź ta nie jest tak niedołężną, jaką się Kraszewskiemu wydała; bo jakkolwiek wiersze w niéj są po większéj części liche; proza natomiast jest nieraz bardzo wymowną. A co się tyczy treści, to istotnie nie odznacza się ona tą bystrością, jaka cechuje „Organy“; ale zaleca się natomiast gorącością uczuć i wielką ufnością w przyszłość. Autora „Organów“ traktuje z początku delikatnie, ale w miarę zapalania się przechodzi do ostrych przycinków; widzi w nim wielbiciela „północnego bożyszcza“, nazywa go nieukiem, który nie powinien psuć sobie głowy wymyślaniem wskazówek dla tak rozumnego grona, jakiém były sejmujące Stany. Nie mogę tu przytaczać punktów jego odprawy danéj po szczególe autorowi „Organów“; zwrócę jedynie uwagę na dwa ustępy, w których wyjaśnia swoje

---

[1]) Charakterystyczną jest rzeczą, że gdy Trembecki w roku 1784 przed sejmem grodzieńskim gorąco zachęcał Krasickiego w nadzwyczaj misternie ułożonéj przemowie wierszem do poparcia potężnym wpływem swego słowa polityki królewskiéj, biskup warmiński pozostał na wezwanie głuchym; tak — że za całą odpowiedź pod tym względem pozostał nam list, proszący przyjaciela o donoszenie mu nowin z Grodna.

zapatrywanie się na stosunek stronnictwa patryotycznego i na stosunek króla do narodu:

Biały z czarnym jednogłowym,
Choć odmienne orły z pierza,
Nie chcą ni ten, ni ten owym
Władać; tylko chcą przymierza.
Łączą wspólne wzajem siły
Dla przeciwnych mocarstw spisku,
Pragną, by ich uwielbiły
Wieki późne; — a nie zysku.
Chociaż z sobą staną w rzędzie,
Na murawie, czy na piasku,
Ten białości swéj nie zbędzie,
Ów pozyska więcéj blasku.

Na radę zaś autora „Organów“, żeby mieć „ufność w królu“, i być zgodnemi, nasz republikanin odpowiada:

Potwór natury jedność to takowa,
Gdy ogon, głowę do swojego sądu
Przewrotnym trybem porywa, nie — głowa.
Brońże nas, Boże, takiego nierządu!
Nie od promieni słońce, lecz promienie
Zawisły z blaskiem od słonecznéj kuli.

Jeżeli replikant ulegał złudzeniom optymizmu i każdy krok sejmujących Stanów za dowód najgłębszéj mądrości uważał; to Krasicki, bystro dostrzegłszy ich słabe strony i poddając szczegółowe rady bardzo trafne, nie umiał przecież szerszych wzrokiem swoim ogarnąć horyzontów, nie potrafił ocenić ważności chwili ówczesnéj, która nie tylko nam potomnym, ale i głębszym umysłom tamtéj już epoki przedstawiała się jako niezmiernéj doniosłości sytuacya dziejowa. Nie tak jak Kołłątaj lub Staszic, którzy widząc braki i wskazując zarazem sposób zaradzenia im, wiedzieli, przecież, że sejm rozpoczynający się, — to nie była zwykła *crisis* dwuroczna, lecz *crisis* wiekowa; Krasicki przeciwnie zamyka się w kole spostrzeżeń, któreby były na

miejscu w zupełnie normalnych warunkach. Nie strona wielka, ale komiczna uderza jego satyryczne oko; stąd — to zamiłowanie do wyśmiewania szczegółów drobnych, a dyletanckie traktowanie ogółu sytuacyi.

Nie myślę bynajmniéj robić zarzutu Krasickiemu z tego, że serce jego nie wezbrało ani westchnieniem miłości, ani goryczą oburzenia; że wielki wypadek dziejowy był dla niego zwykłym zjazdem półgłówków; gdyż zarzuty podobne równałyby się żądaniu, ażeby autor miał inną głowę i inne uczucie, t. j. żeby przestał być sobą. Uwagi powyższe mają na celu wskazanie jedynie faktu, że z takiém usposobieniem, jakie miał Krasicki, z takim rodzajem umysłu i uczucia nie podobna było stanąć na równi z sytuacyami wzniosłemi, lub tragicznemi. Ażeby stanąć na równi, potrzeba było mieć serce płomienne i umysł, który swoje przyrodzone przymioty wykształcił głęboką znajomością świata duszy zarówno w teraźniejszości, jak i w przeszłości.

Nie wypada jednak stąd, ażebyśmy lekko mieli cenić takie uczucie i taki umysł, jaki posiadał Krasicki. Są to bowiem potęgi, które rządzą największą liczbą interesów i są sprężyną działania największéj liczby ludzi. Wszystkie niemal szczegóły życia rodzinnego, gospodarskiego należą do ich atrybucyi; wszystkie klasy narodu rozpoczynają od nich, a przeważna liczba jednostek pozostaje na ich poziomie aż do śmierci. Rzadko które indywiduum wdziéra się na szczyty inteligencyi i schodzi w przepaściste głębie namiętności: bo na szczytach boi się dostać zawrotu głowy, a w głębiach lęka się uledz zaduszeniu... Prócz tego i ci nawet, co wdzierają się na wierzchołki, lub się zapuszczają w przepaście, nie potrafią tam długo przebywać, i wyjąwszy chwile wielkiego uniesienia czy natchnienia, żyją tak samo jak przeciętna masa ludzi; posługują się ich pojęciami, ulegają ich usposobieniu i nałogom; gdyż w przeciwnym

razie delikatna natura organizacyi ludzkiéj przy zbyt silném i zbyt częstém natężeniu uległaby rozkładowi.

Krasicki nie pisał dla jednostek wybranych, ale — dla ogółu, chcąc go widzieć jak można najlepszym w zakresie mierności. Wyśmiewał więc wady, karcił występki, odwodził od ślepego, czyli jak sam nazywa „owczego“ naśladownictwa wszystkiego, co dawała zagranica, a mianowicie Francya; występował przeciwko zastarzałym uprzedzeniom i przesądom, o ile one nie były zbyt silnie ugruntowane w sercach czy umysłach narodu; dawał rady i wskazówki nieraz nadzwyczaj trafne i łatwe do wykonania, bo dotyczyły przeważnie drobnych interesów życiowych. Każdy szlachcic mógł się rozkoszować „Żoną modną“ spoglądając na swoję potulną i posłuszną połowicę, mógł się uśmiechać z zadowolnieniem, patrząc na obrazki przebiegów prawniczych, lub intryg sejmowych, siedząc sobie spokojnie w izbie, lub obchodząc pola. Bo i ta strona nawet, która nam tak rażącą się wydaje w pisarzu zeszłowiecznym, ten brak skłonności do polityki podzielała bezwątpienia bardzo znaczna część szlachty, której więcéj chodziło o zagon rodzinny, o sprawy zresztą województwa swojego, niż o szerokie plany polityki ogólnéj, dla jéj umysłu niezbyt przystępne. Długie dwa wieki prywaty przytępiły w jéj umyśle poczucie solidarności w interesach publicznych. Ogół téż doskonale rozumiał swego utalentowanego przedstawiciela i rzecznika; uznawał wyższość jego wiedzy, doskonałość jego talentu i ulegał potężnemu jego wpływowi. Pisma Krasickiego były nadzwyczaj chętnie czytane; krytyka literacka ich nie dotykała, gdyż prawie nie istniała; a krytyka publiczności, objawiająca się naówczas w wierszach okolicznościowych, lub pamfletach wogóle, niezmiernie rzadko pozwalała sobie zganić myśli ks. biskupa. Zdarzyło się to dwukrotnie tylko, o ile dotąd wiadomo. Raz — gdy ks. biskup

napisał swoję „Monachomachią“, oburzył się jakiś anonim na jego satyrę i wyrzucając mu, że nikogo wogóle dotąd nie pochwalił, że „rząd, prawo, szlachcic, kupiec, zakonnik, małżonek trafił na zadzierzgnięty od niego postronek“, w szczególności wyrzuca mu napisanie „Wojny Mnichów“:

W liczbie pism twych napadłem jedno niepoślednie,
W którym drwisz z duchowieństwa zbyt ostro, zbyt przednie.
Szkaplerze, krepy, (hardy!) splamiłeś kaptury,
Odkryłeś człowieczeństwo prawie aż do skóry.
Śmiać się każesz z pijaków, głupców przewielebnych.
Temi gardzisz, których ja miałem za potrzebnych.
Sądziłem, że autorem duch był libertyński;
Zdziwiłem się, poznawszy, że — biskup warmiński.

Drugą burzę wywołały „Organy“. Autor odpowiedzi, robiąc alluzyą do nazwy utworu, który nicuje, odpowiada, że „altówka WPana wrzaśliwa liczne i *wielkie* przeraziła uszy“ (str. 17); a drwiąc z jego satyrycznych zapędów, nie szczędzi przymówek osobistych:

Przewrotny umysł dobre zepsuć może,
Lecz złe naprawić ciężko-to, nieboże.
Lepiéjbyś pono strawił czas ten drogi
Na tym, żeś w zdanie i skromność ubogi!
Pleciesz, co ci się w twéj głowie zaświéci;
Zręczniéjbyś plątał pod kądzielą nici.
Tam białéj plotąc płci takowe fraszki,
Znalazłbyś chwałę, zażyłbyś igraszki;
Lecz między mądrych wszedszy mężów grono,
Strzeż głowy, — by ci jéj nie ogolono!

Lecz obok tych dwu przykrych głosów, ileż to było uwielbień ze strony małych i wielkich, znanych publiczności i pospolitych rymopisów. Dość przypomniéć sobie wspaniałe dwa utwory Trembeckiego, chwale ks. biskupa poświęcone, dedykacyą „Organów“ Węgierskiego i wiersz tegoż na wody karlsbadzkie; tryumfalny niemal przejazd Krasickiego z Heilsberga do rodzinnego Dubiecka; ażeby

mieć wyobrażenie o uczczeniu zasług popularnego pisarza. Z pomiędzy małoznanych hołdów wymienię dwa z dwu różnych chwil piśmiennéj działalności ks. biskupa[1]). Jeden zaadresowany jest do „autora Myszoidy“ (sic); w 6-cio wierszowych słabych strofach nieznany autor opłakuje krewną Krasickiego Kossowską, a na samym początku mieści tę charakterystyczną pochwałę talentu jego, którą późniéj ustawicznie już powtarzano:

Ty, co dowcipem, łatwością myślenia
Bawiąc nauczasz, śmiejąc się, poprawiasz;
Winny ci Muzy polskie zadziwienia;
Sam sobie w dziełach nieśmiertelność stawiasz.
Ale zbyt trudny do naśladowania i t. d.

Drugi wiersz z okoliczności przyjazdu Krasickiego do Warszawy w czasie sejmu czteroletniego dnia 8 lipca 1789. Autor podpisał się literami: W. B. Z. R. Z. B. K., a jakaś nieznana ręka wypełniła ołówkiem skrócenia słowami: Wojciech Zacharkiewicz, Rejent Ziemski Brzeski Kujawski. Po hiperbolicznych pochwałach, w których Krasicki okazuje się wyższym nad Focyona, Sokratesa, Posydoniusza, Antystenesa, Owidyusza, Horacego, kreśli jego zasługi względem piśmiennictwa:

Witam Cię, książę, od wszech ukochany!
Tyś u nas wskrzesił chęć literatury.
Niejeden Polak nie był dotąd znany,
Że pisać, mówić potrafi z natury,
Cztery drukarnie tutaj *próżnowały;*
Rzadki w nich z pismem bywał przywitany,
Bo do pism serca śmiałości nie miały.
Dopiero umysł przez ciebie zagrzany.
Teraz jest *dziewięć* i nie wystarczają:
Każdy dla kraju myśl w piśmie wydaje;
Nawet próżniaki już księgi czytają...

[1]) Dwa te wiersze znajdują się w Bibliotece publicznéj w Warszawie.

Ciekawą wielce jest rzeczą, że autor przypisuje Krasickiemu zasługę nakłonienia Wilhelma do aliansu z Polską, co tak rażąco odbijałoby od myśli wypowiedzianych w „Organach“:

Tyś dał sposoby pisania, myślenia,
Tyś nas uśpionych niedawno obudził,
Tyś nam przełożył wielkie upodlenia...
Twoje-to dzieło, biskupie gorliwy,
Żeś zbłagał serce Wilhelma wielkiego.
Za co i teraz i po śmierci żywy
Będziesz wielbiony momentu każdego.

Życzy mu wreszcie sto lat życia i zdrowia, tudzież przeniesienia na biskupstwo siewierskie, by „zasług pełen tu wiekował z nami“:

Złość i nienawiść nie będąc w przeszkodzie,
Bo któż nie przyzna tobie patryocie,
Gdy lauru nie chcesz, żeś wart być na przodzie,
Wszak tego światła potrzeba twéj cnocie...

Najświetniejszym atoli sposobem uznania była pokupność nowalijek warmińskich. Żaden nasz autor wieku XVIII-go nie doczekał się tak wielkiéj liczby wydań jak Krasicki. To najwymowniéj dowodzi, że usposobienie jego, uczucia i poglądy znajdowały silny oddźwięk w umysłach. Pozostaje nam tylko wskazać, w jakiéj formie treść ta się przejawiała.

IX.

Ażeby ocenić stronę artystyczną utworów Krasickiego, nie dosyć jest znać jego usposobienie, trzeba jeszcze pamiętać wśród jakiéj atmosfery literackiéj na świat je wydawał. Był on jednym z tych, co chcąc oczyścić język i smak z trywialnych naleciałości XVII-go wieku, za wzór obrali sobie piśmiennictwo francuskie klasyczne. Duch kla-

syczny wytworzył się we Francyi pod wpływem wymagań dworu, wśród towarzystwa eleganckiego, ugrzecznionego, nie znoszącego otwartych objawów silnéj namiętności, lecz ukrywającego tego rodzaju objawy pod najwyszukańszemi formami. Język, z którego wyrzucono mnóstwo wyrazów, zarówno technicznych jak malowniczych, stracił barwność i jędrność, a stał się natomiast jasnym i ścisłym. Poezya marzycielska nie znajdowała ani odpowiednich wyrazów w języku, ani odpowiedniego upodobania w guście tych, co się nią zajmowali. „Nigdy tu — jak mówi H. Taine — nie słychać mimowolnego okrzyku wrażenia żywego, ani zwierzeń poufnych duszy przepełnionéj, która dlatego tylko w samotności wyrazów używa, ażeby zrzucić z siebie ciężar jakiś i swobodnie się rozwijać". W malowaniu charakterów odtwarzano tę tylko stronę, która jest spólna wszystkim ludziom dobrze wychowanym, a pomijano najzupełniéj te cechy indywidualne, które odróżniają jednych od drugich. W opisach miejscowości są tylko najogólniejsze określenia, które do każdéj okolicy zastosować się dadzą. Różnica obyczajów w najrozmaitszych epokach dziejów nie istnieje; wszystko się upodabnia do tych przyzwyczajeń i nałogów, jakie w XVIII-tym wieku panowały; wszyscy przemawiają jednakowo stylem wykwintnym, krasomówskim. Fantazya musiała się poddać najściślejszéj komendzie rozsądku.

Krasicki w usposobieniu swojém najmniejszéj nie znajdował przeszkody do poddania się regułom tego smaku, który we Francyi powstawszy i do najwyższego stopnia się wyrobiwszy, przebiegł już całą Europę i wtedy właśnie, gdy w Anglii, a nawet w Niemczech zaczynano już powoli wyswobadzać się z pod jego wpływu, zawitał do nas wraz ze wszystkiemi ideami francuskiemi XVIII-go stulecia. Jemu hołdując, nie doszedł wprawdzie nasz biskup do téj bezbarwnéj gładkości stylu, za jaką ubiegali się poeci księstwa

warszawskiego, ale wykluczył ze słownika wiele wyrazów i wiele zwrotów, które niegdyś w XVI-tym wieku tyle życia nadawały pismom Reja, Górnickiego, Kochanowskiego. Już Brodziński w rozprawie „O klasyczności i romantyczności“ zauważył, że Krasicki „nie zbogacił, prawda, języka tylą szczęśliwemi wyrażeniami co Kochanowski i niektórzy późniejsi; ale piérwszy nadał mu *potoczną łatwość i jasność*, przy szczerości i zwięzłości“ [1]). Wyrzucając mnóstwo wyrazów czysto polskich, używał natomiast w znacznéj ilości, mianowicie w prozie, wyrazów łacińskich, które przeszczepione na grunt polski traciły zupełnie malowniczość, jeżeli ją posiadały, gdyż etymologiczne ich znaczenie dla ucha polskiego było niezrozumiałe; a wskutek tego wyraz przybierał cechy zwykłéj cyfry.

Wraz z zeszczupleniem zasobów językowych, częścią przez ich zaniedbanie, a częścią przez abstrakcyą, zmniejszała się liczba szczegółów malowniczych, charakterystycznych zarówno w opisach miejscowości, jak i w rysunku charakteru. Zamiłowania natury Krasicki nie posiadał, był tylko lubownikiem ogrodów, to jest sztucznych wytworów. Wprawdzie okazał pod tym względem większą skłonność do angielszczyzny aniżeli francuszczyzny; mimo to opisów lasu, góry, strumienia, rzeki nie zostawił, jakkolwiek w tym autorze, z którego wiele zaczerpnął myśli, w Roussie, miał już świetnego poprzednika. Jego krajobrazy o tyle tylko są polskie, o ile europejskie; ale żadnych cech indywidualnych nie posiadają. Weźmy np. pod uwagę krajobraz tak malowniczy jak widok Gopła; cóż o nich powiada nam „Myszeis?“ Oto przedstawia nam „rozległe i żyzne pola“, jezioro „wiekopomnie sławne“, cienie „ponadbrzeżnych drzew: brzóz, topoli, buków *starodawnych*“, daléj „ptastwo *rozliczne*“

[1]) Pisma K. Brodzińskiego. Poznań, 1872, III, 71.

i „echo *zabawne*“, daléj jeszcze „doliny, wzgórki *zielone i żywe*“, które „miłą patrzącym czynią perspektywę“. Dzisiejszy czytelnik mógłby pomyśleć, że to jakieś suche streszczenie poetycznego opisu — i pod tym względem omyliłby się najzupełniéj, gdyżby nie poznał jednéj z cech najcharakterystyczniejszych poezyi „klasycznéj“. Rzeczywiście same abstrakcyjne określenia, same najogólniejsze kontury, bez najmniejszego zamiłowania w malowniczych szczegółach, stanowią tu cechę opisów przyrody.

Podobnież rzecz się ma i co do siedzib ludzkich. Są one przedstawiane w grubych konturach, bardzo pośpiesznie, a tak niemalowniczo, jakby je pióro rejenta kreśliło. Na dowód odczytajmy króciutki opis mieszkania „Pana Podstolego“, a zatém osoby głównéj w całym utworze: „Obszerny dziedziniec, płot z kołów wielkich sporządzony otaczał; ten zewsząd obsadzony był wybujałemi do góry wierzbami; *na środku* cztery lipy rozłożyste stały, pod każdą z darnia siedzenie, *w środku* stół kamienny. Po prawéj ręce była porządna oficyna kuchenna z izbami, jak-em miarkował, dla czeladzi; po lewéj stały stajnie, wozownie, na boku murowany lamus z żelaznemi u okien kratami i okiennicami, na przeciwko niego śpichlerz. Dwór sam był z drzewa na *dobrém* i znacznie od ziemi wzniesioném podmurowaniu. Weszliśmy do izby; na środku stał stół dywanem tureckim okryty; kredens był przy drzwiach tacami, puharami, dzbanami srebrnemi i złocistemi ozdoby; naprzeciwko drzwi wisiał portret króla Jana“. Nie jest to, ściśle biorąc, opis, ale proste wyliczenie przedmiotów, zrobione nie dla sztuki, lecz wyłącznie dla pokazania gospodarności „Pana Podstolego“. Możnaby wreszcie nazwać zbiór tych zarysów planem architektonicznym, ale w każdym razie nie obrazem skończonéj budowli.

A jak w obrazowaniu natury i siedzib ludzkich pomi-

jał Krasicki rysy charakterystyczne, indywidualne, tak w kreśleniu fizyognomij nie obchodzą go istotne cechy osobistości wziętéj pod uwagę; a w przedstawieniu jéj charakteru znajdujemy przymiotniki ogólnikowe, abstrakcyjne, zamiast dobitnych, wyraźnych lub téż subtelnych pociągów pędzla. Pana Podstolego znamy więcéj z jego ubrania, aniżeli z fizyognomii, z któréj autor dał nam poznać tylko „twarz poważną, rumieniec czerstwy, wąs siwy“. Jest to więc, jak widzimy, *maska* jedynie, mająca tę własność, że chodzi i rozprawia. Nie wiedzielibyśmy nawet, czy ma jakie uczucia, gdyby nas sam nie raczył zawiadomić o swojém serdeczném usposobieniu dla żony, dzieci i ludu wiejskiego. Zdrowy jego rozsądek natomiast poznajemy w każdém niemal wymówioném słowie, bo okazanie jego dla autora nie było przecież rzeczą trudną. W „Monachomachii“ występuje około 50 osób; ale bylibyśmy w prawdziwym kłopocie, gdyby nas poproszono o odrysowanie choćby kilku. Wyglądają one jak te głowy w tłumnych zebraniach, kiedy je szkło fotografa odbije; są do ludzkich podobne, ale fizyognomij nie mają. Tak i w Monachomachii wystawiamy sobie tłum opasły, rodzaj masy zbitéj z powtykanemi na wierzchu kurzącemi się łbami. Najwyraźniéj atoli pokazuje się ta cecha fantazyi Krasickiego w poemacie, który z natury swojéj wymaga obrazów plastycznych. Wiadomo, że już spółcześni uważali „Wojnę Chocimską“ za najsłabszy utwór Krasickiego; różne zdania swojego podawali racye; najważniejszą jednak, według mnie, był brak charakterów indywidualnych, żywych, w którychby biła krew, wrzała namiętność. Takich charakterów niema tu ani śladu; są natomiast automaty, które poeta najogólniejszemi zaznacza epitetami.

Takim-to trybem rekomenduje nam poeta Żurawińskiego „szacowną wieku ozdobnego powagą i otoczonego

gronem *wielorakim*", a potém Sobieskiego, idącego „w ubite sławnych przodków ślady"; Zawiszę „pięknego, rażnego i hożego". Nawet naczelny wódz wyprawy, Chodkiewicz, plastyczniéj nam się nie przedstawia (pieśń II, strofa 16). Do takich abstrakcyjnych ludzi, których możnaby wziąć za jeden i ten sam niewyraźny cień osoby, gdyby nie epitet „stary" lub „młody", czytelnik nie może czuć sympatyi, ani antypatyi, z téj prostéj przyczyny, że ich nie zna ani z ciała, ani z duszy: są to uosobienia męstwa, odwagi, porywczości, gniewu, nienawiści i t. p. uczuć, które w téj formie na ziemi się nie pojawiają.

Żywioł fantastyczny o tyle mógł znaleść uwzględnienie, o ile służył albo za allegoryą, albo za sposobność do satyry. Wiadomo, w jak komiczny sposób zużytkował Krasicki baśń ludową o czarownicach, na Łyséj górze sejmikujących (w „Myszeidzie"); a gdy z przepisów poetyki potrzebował tak zwanéj machiny poetycznéj w „Wojnie Chocimskiéj" nie potrafił jéj przeprowadzić nietylko już poetycznie, ale wprost... poważnie. On w istnienie czarownic i widome mieszanie się djabłów do spraw ludzkich nie wierzył; więc jakże mógł dosięgnąć w wystawieniu takiego epizodu téj skali złudzenia, ażeby choć na chwilę czytelników obałamucić? Nie ośmielił się téż wyprowadzić na scenę szatanów; ograniczył się jedynie na opisaniu przygotowań do zaklęć, czynionych „potrzykroć okropnym głosem", przyczém ze stanowiska swego nie zaniedbuje dodać, że czarownik „wyzionął bluźnierstw szkarady zelżywe".

A gdy je coraz mnoży i przyczyni,
Szum głuchy powstał, jęki przeraźliwe
Dały się słyszeć z poblizkiéj jaskini,
Dopiero z trzaskiem jakoby po gromie
Duchy stanęły *widomie*.

Poczém za kulisami poematu następuje narada z piekielnemi duchami, które przyrzekają pomoc wojsku tureckiemu. Ale, jakby na dobitkę, autor nie chcąc pozostawić najmniejszéj wątpliwości, że to tylko puste igraszki, nie zaniedbuje w drugiéj z kolei strofie nacechować wszystkie owe machinacye z djabłami jako „podłe zabobony“. Tak więc, fantazya musiała siedzieć spokojnie i nie psuć wrażenia zdrowych, trzeźwych myśli, nie igrać swobodnie ze światem marzeń, legendy i baśni. Stanowisko takie fantazyi było bezwątpienia korzystne dla wydobycia jednostek i mas całych z więzów zabobonu, ale ubożyło niezmiernie zasoby poezyi, która musiała rozsądkowi w zupełności ulegać. Ale téż w téj sferze zdrowego rozsądku porusza się ona swobodnie, a chociaż nie obejmuje obszernych pomysłów, w ścieśnionym przecież zakresie stwarza arcydzieła.

Należy to do cech charakterystycznych fantazyi Krasickiego, że przeprowadzić jakiegoś wielkiego pomysłu w sposób artystyczny nie potrafi, przekładając iść za natchnieniem dowolnego niemal kojarzenia się myśli, bez starannego obmyślania pewnych grup, któreby w harmonijnym układzie całości należyte miejsce znaleść mogły. Obszerne jego utwory pod względem kompozycyi są szeregiem dosyć luźnie ustawionych szczegółów, które związuje w całość jakaś myśl naczelna, artystycznie nie uczłonkowana. „Pan Podstoli“ jest pod tym względem utworem typowym. Składa się on obecnie z trzech części, a wiemy od Dmochowskiego, że Krasicki miał napisać czwartą; ale gdyby ją nawet był napisał, nie byłby zaokrąglił tego utworu w skończoną artystycznie całość. Takie dzieła mogą mieć zarówno trzy, jak pięć, dziesięć lub sto części, stosownie do tego, jak autorowi przybywa spostrzeżeń; a że spostrzeżenia te wywoływane bywają przez najbliższy otaczający nas przedmiot, a wywijają się skutkiem naturalnego kojarzenia się

wyobrażeń; więc téż mogą być nieskończone, tak jak ilość rzeczy, zjawisk i stosunków w przyrodzie i wśród społeczeństwa. A jak w podziale głównym, tak i w konstrukcyi mniejszych cząstek — ten sam tryb pisania zachowany, tak, że znowuż pojedyńcze księgi i rozdziały mogłyby urosnąć do nieskończoności, lub się zmniejszyć, a rzecz artystycznie pozostałaby w tym samym stopniu niedoskonałości. Mniéj byłoby spostrzeżeń, to prawda; ale strona formalna utworu nicby na tém nie ucierpiała. Podobnąż uwagę zastosować można i do większych, t. j. obszerniejszych dzieł Krasickiego. Przypadki Doświadczyńskiego, Historya, Wojna Chocimska, Myszeis, Monachomachia i Antymonachomachia są to utwory, które nie mają w sobie spójni artystycznéj, nie mają zogniskowania promieni na jakiś punkt wybitny.

Rzecz z pozoru dziwna, że ten autor, co się tak wsławił dowcipem, co tyle pięknych prób tego dowcipu zostawił nam w pismach swoich, tak słabym okazał się w komedyi. Wszystkie jego sztuki komiczne, nie wyłączając nawet stosunkowo najlepszych („Krosienek“ i „Pieniacza“), nie posiadają ani charakterów prawdziwie komicznych, ani akcyi żywo prowadzonéj, chociaż w wyrwanych ustępach mogą się podobać. Jeżeli się zastanowimy nad tém, com poprzednio o rodzaju fantazyi Krasickiego powiedział, zjawisko to dziwić nas przestanie. Wiadomo, że komedye Woltera są najsłabszemi ze wszystkich jego utworów. Krasicki posiadał dowcip tegoż gatunku co i Wolter: był to dowcip słowa, który zachwycać mógł w określeniach i orzeczeniach, w dyalogu wreszcie, ale nie mógł stworzyć sytuacyi komizmem nacechowanéj, gdyż do tego potrzeba *fantazyi plastycznéj*, któraby ludzi przedstawiała w przyrodzonéj ich całości, a nie ułamkowo, częściowo, abstrakcyjnie. Stąd Krasicki na scenę dowcipną niejednokrotnie się zdobył, ale całości komicznéj nie stworzył.

Kreślić malutkie obrazki o niezbyt jasnym kolorycie, robić dowcipne spostrzeżenia, podpatrzyć słabą stronę w ludziach i umiéć ją doskonale ująć: oto zakres, w którym Krasicki dochodził doskonałości. Kilkoma obrazkami ożywił „Przypadki Doświadczyńskiego", opisując jego wychowanie domowe, pobyt w Warszawie, konszachty jurystowskie w Lublinie, zabiegi wreszcie sejmikowe i sejmowe. Mniéj ich już stosunkowo do całości jest w „Panu Podstolim", bo najgłówniejsze to są: odwiedziny całéj rodziny sędziego, po części okrężne, a najbardziéj wizyta pana kasztelanica „z żokejsem" tak doskonała, że ją za najlepszą w całym „Panu Podstolim" uznaćbym się ośmielił.

W utworach atoli, które z rodzaju swojego mniéj wymagają fantazyi, ponieważ źródłem ich głównem jest rozsądek, Krasicki jest nieporównanym. Nie powiem nic nowego, gdy „Bajki" i „Satyry" za najlepsze pod względem artystycznym dzieła jego poczytam. Tu był Krasicki w swoim żywiole, tu tworzył jak mistrz. Bajki jego nie są to bajki Lafontain'a: długie, szczegółowe, opisowe; ale przeciwnie są one jak najzwięźlejsze (mianowicie pierwsza serya, gdyż druga, w późniejszym wieku pisana, czasami rozwlekłością grzeszy). Szło tu o ujęcie jaknajtreściwsze pewnéj przestrogi moralnéj, tudzież o wypowiedzenie jéj w sposób najprzyjemniejszy, najdowcipniejszy: tu każdy epitet ma już swoje znaczenie, już nas nie razi swoją ogólnikowością, tém bardziéj, że autor tak doskonale zazwyczaj charakteryzuje naturę zwierząt, od których maski pożycza. Bajki są tak wykończone, że nie mogą być ani krótsze, ani dłuższe, gdyż poeta matematycznie niemal je odmierzył.

Tęż samę zaletę mają w znacznéj części i „Satyry". Nie są to suche i nudne kazania, nie są paszkwile na osobistości pisane, któreby straciły wartość wraz ze śmiercią zaczepionych; ale są to szkice ułomności i przywar, szkice

nakreślone lekko, z miłością pewną dla osób niemi oszpeconych, z pobłażaniem dla wszystkich wyszydzonych grzeszników. W szkicach tych wszędzie jest dowcip nie gryzący, nie szarpiący wnętrzności, ale dowcip spokojny i łagodny, który pozwala się uśmiechać nawet temu, który czuje jego dotknięcie i do pewnego stopnia słuszność zarzutu uznaje. Niekiedy są tu nawet lekko kreślone obrazki. Przypominam: „Żonę Modną“, to istne arcydzieło Krasickiego, drugie mniejsze, chociaż niemałe: „Pijaństwo“ i trzecie: „Życie dworskie“. Zdaje się, że choćby je kto raz odczytał, nigdy nie zapomni postaci tam przedstawionych i tych rysów, drobnych wprawdzie, ale tak charakterystycznych. Kiedy n. p. zwolennik spirytualiów opowiada kamratowi swoje przygody, czyż to nie z natury zdjęty obrazek:

. . . . W południe się budzę;
Cięży głowa jak ołów; krztuszę się i nudzę;
Jejmość radzi herbatę — lecz to trunek mdlący...
Jakoś koło *apteczki* przeszedłem niechcący,
Anyżek mię zaleciał; trochę nie zawadzi:
Napiłem się więc *trochę;* może mi poradzi.
Nudno przecie: ja znowu; już mi raźniéj było.
Wtym dwu z uczty wczorajszéj kompanów przybyło:
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?

Albo obrazek damy, ówczesnéj elegantki, wychowanéj w Warszawie, kiedy jedzie na wieś ze świeżo zaślubionym małżonkiem:

Siada jejmość, a przy niéj suczka faworyta;
Kładą skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki,
Te od wódek pachnących, tamte — od tabaczki;
Niosą pudło kornetów, jakiś kosz na fanty,
W jednéj klatce kanarek, co śpiewa kuranty,
W drugiéj — sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku,
Daléj kotka z kocięty i mysz na łańcuszku.

Chcę siadać, *niemasz miejsca;* żeby nie zwlec drogi,
Wziąłem klatkę pod pachę, a suczkę na nogi...

Nie skończyłbym tak prędko przytoczeń, gdybym choćby najświetniejsze tylko miejsca chciał uwadze czytelnika uprzytomnić; byłby to trud niepotrzebny; każdy otworzywszy księgi satyr, bez trudności znajdzie dowody tego mistrzowstwa w kreśleniu sylwetek o zarysach lekkich, ale trafnych i poprawnych, lub téż w obrazowaniu sytuacyj, w których jedna, albo najwyżéj trzy osoby występują. Mamy tu już ludzi rzeczywistych, a nie ich abstrakcyjne określenia; ludzie ci są jeszcze wprawdzie oświetleni z jednéj tylko strony, ale punkt obrany przez poetę do patrzenia na nich tak jest wybornie położony, że przy pomocy wyobraźni dopełniającéj możemy odtworzyć sobie to, co poeta w cieniu pozostawił. I sytuacye owe nie są to ogniska wielkich lub małych namiętności ludzkich, nie są to jednak wcale pozy manekinów, lecz co najmniéj czuć w nich tętno żywych modelów. Poecie idzie tu nietylko o nauczenie czytelnika, ale o odtworzenie istotnego życia; dydaktyzm zespolił się tu najlepiéj, najdoskonaléj z artyzmem.

X.

Miejsce, jakie Krasicki w dziejach oświaty naszéj zajmuje, rozmaicie dotychczas było określane. Ci, którzy nie zajmują się szczegółowo rozbiorem zdań o piśmiennictwie naszém, zdziwią się może, gdy powiem, że w sądach o jednym z najwybitniejszych, a zatém najbardziéj znanych pisarzów, panuje chaos niezmierny. Na nicby się jednak nie zdało, gdybym tu porządkiem chronologicznym wypisywał różnorodne, wprost ze sobą sprzeczne niejednokrotnie, po-

glądy; wolę więc ująć je w pewne grupy i wyrzec się chętki zabawienia czytelników kosztem różnorodności ludzkich inteligiencyj. Uprzedzić jednak muszę, że zgrupowanie to będzie miało za zasadę ogólne tylko rysy, że zatém uwzględnić w niém nie mogłem zdań odnoszących się do wszystkich pojedyńczych utworów Krasickiego, które wyjątkowo tylko dla większéj wybitności sądów przytoczę.

Najprzód, osądzili Krasickiego wyznawcy tych samych, co i on, pojęć o pięknie i poezyi. Hasło dał Dmochowski, który w mowie mianéj w Towarzystwie Przyjaciół Nauk po śmierci ks. arcybiskupa gnieźnieńskiego nazwał go gieniuszem i postawił tak wysoko, że nikt nad niego wyższym być nie mógł. Dmochowski nie był bynajmniéj zaślepionym panegirystą, nie taił usterek uwielbianego poety, ale widział w nim takie zalety, że najwyższa nazwa, jaka ludziom dostać się może w udziale, nie wydawała mu się niewłaściwą w zastosowaniu do autora Monachomachii, Podstolego, Bajek i Satyr. Tęż samę miarę do oceny stopnia doskonałości Krasickiego przykładali najznakomitsi krytycy okresu klasycznego: Euzebiusz Słowacki i Stanisław hr. Potocki. Różnili się oni w szczegółach tylko, w sądzie o tym lub owym utworze; ale i dla nich Kracicki był pisarzem, w którym rozum, uczucie i imaginacya doszły do najwyższego stopnia harmonijnego zjednoczenia, i sprawiły, że poeta „zasiadł na szczycie Parnasu polskiego“, a nadto, że „nikt ze współczesnych pisarzów ani więcéj, ani lepiéj, ani nawet użyteczniéj nie pisał polską prozą“ (*Pochwały*, *Mowy i Rozprawy* Stan. hr. Potockiego, I, 149).

Wobec tak bezwarunkowego niemal uwielbienia było to dowodem wielkiéj odwagi, gdy Leon Borowski, wykładający w uniwersytecie wileńskim poetykę i retorykę, poważył się, z całą zresztą ostrożnością i omówieniami, zaprzeczyć „Monachomachii“ wykończenia artystycznego. Na-

pisał on bardzo szczegółowy komentarz do pierwszéj pieśni téj komicznéj „epôpei“, i dopiero po tém mozolném przygotowaniu zakonkludował, że „Monachomachia“ — to igraszka dowcipu, to dorywczy płód pióra; że więcéj w niéj uderzają piękności *szczegółowe*, to jest dowcip i wesołość w pojedyńczych obrazach, w osobnych wymysłach i strofach, niżeli „trudna sztuka w *porządném złożeniu całości*“. Dodaje wszakże natychmiast: „Ta właśnie piękność szczegółów sprawuje, że dzieła Krasickiego tak się podobają i zawsze się podobać będą, bo zawsze większa liczba czytelników zdolną jest czuć przyjemność obrazu lub charakteru osobno wziętego, niżeli oszacować wszystkie zalety powieści rymotwórczéj, mianowicie znaczniejszéj, poważnéj lub wesołéj — w jéj zamiarze, postępie i całkowitym układzie“ [1]). Było to pierwsze bardzo trafne spostrzeżenie pod względem kompozycyi artystycznéj w utworach ks. biskupa warmińskiego. Zrobione ono zostało *à propos* Monachomachii i ostrożnie, jak widzimy, zastosowane do innych obszerniejszych poematów.

Drugi spółcześnie dał się słyszéć głos, który inną cechę charakterystyczną, ale już odnośnie do rodzaju talentu, nieśmiało zaznaczył. Był to cichy głos Kazimierza Brodzińskiego, który w siedlisku klasycyzmu polskiego zauważył mimochodem, że Krasicki nie *wznosi się* w pieśniach lirycznych, nie „używa“ *tkliwego* rodzaju poezyi, nie pisze, „w zapale lub rozrzewnieniu“, ale ma natomiast humor szczęśliwy [2]).

---

[1]) „Uwagi nad Monachomachią Krasickiego“ (w Dzienniku Wileńskim z roku 1818, tom II, str. 284—299 i 471—486). Przytoczone powyżéj, końcowe zdania znajdują się na str. 485.

[2]) W rozprawie o klasyczności i romantyczności drukowanéj najprzód w „Pamiętniku Warszawskim“ z r. 1818.r Pisma, III, 71.

Ten cichy głos zmężniał następnie w prelekcyach w uniwersytecie warszawskim przez Brodzińskiego mianych. Tu już wprost poszedł przeciw opinii panującéj i tytułu „gieniuszu“ zaprzeczył. „Krasicki — mawiał — nie był gieniuszem, któryby znamienitą epokę i zmianę do literatury sprowadził; nie był wielkim filozofem, któryby innego ducha przelał w swoję społeczność. Poezya jego nie zrobiła zmiany w rzeczypospolitéj uczonych polskich, nie zyskała naśladowników, a przynajmniéj — tylko takich, którzyby i na innéj jakiéjkolwiek drodze zawsze jedynie do świątyni zapomnienia trafili“. Nie poprzestaje atoli na tym negatywnym poglądzie; stawia on równocześnie wysoko jego zasługi około oświaty. „Był to — powiada — pożądany dla narodu *i wieku* swojego pisarz, który najprostszą drogą wskazywał ziomkom to, na co ich uwagę najpierwéj zwrócić należało. Nie był on reformatorem, ale ozdobą literatury; nie był utwórcą nowego ducha w narodzie, ale wesołém światłem rozpędzał tę ćmę, która jeszcze z nieszczęśliwych poprzednich czasów została. Żaden szkolny i górny filozof nie byłby tego w swoim czasie, co on, dokonał!“ [1]).

Zarówno jednak Borowski jak Brodziński, stali jeszcze na gruncie tradycyjnym; pojmowali oni, że może być inna, prócz klasycznéj, poezya, ale na chwilę nawet nie przypuszczali, żeby Krasicki poetą, i to znakomitym poetą, być nie miał. Owszem, Brodziński nawet na prelekcyach, a więc tam, gdzie najmniéj potrzebował się krępować względami na zdania klasyków, utrzymywał głośno, że Krasicki jestto najlepszy *malarz* wieku swojego, najwięcéj narodowy poeta, a zarazem, że najwięcéj od dawnych i nowych poetów się różni; stwierdzał tylko dawniéj wyrzeczone przez siebie zdanie, że poecie temu „zbywało na głębokiém czuciu,

---

[1]) Pisma, wyd. Pozn. 1872, IV, 294.

równie jak na wzniosłości imaginacyi" [1]). To ostatnie spóstrzeżenie równie było trafném, ze względu na rodzaj talentu Krasickiego, jak trafném było zdanie Borowskiego ze względu na jego artyzm. Podzielił je potém jeden z głębszych krytyków, Konstanty Podwysocki, który w dwa lata po śmierci Brodzińskiego napisał swój piękny artykuł o Krasickim, będący niemal parafrazą i umotywowaniem słów twórcy „Wiesława", chociaż zapewne znane one były Podwysockiemu tylko w téj formie, w jakiéj się pierwotnie w „Pamiętniku Warszawskim" pojawiły. „Krasicki — powiada on — nie miał mocnych (tj. *silnych*) uczuć, — umysł lekki, wesoły, pełen dowcipu i żartu; gdzie tylko od tych naturalnych własności swoich nie odbiegał, był nieporównany, wolny od widocznego przymusu, od natrętnéj chęci powrotu do własnych swoich natchnień, którą powaga przedmiotu, albo niewłaściwość położenia uporczywie wzbraniały". A akcentując silniéj to, co niegdyś Borowski wypowiedział, powiada, że próby wyższéj poezyi Krasickiego zupełną odznaczają się miernością. „Oceniając je podług prawideł ówczesnych, mało mają ruchu imaginacyi, niezręcznie zastosowanéj czasem do wysokości położenia, mało energicznéj dykcyi, podniesionéj do wielkości obrazu; zgoła wiersz nawet miękki, słaby, *ułożenie przedmiotu* nie odpowiadające wysokim zdolnościom pisarza... Lekkie jedynie poezye stanowią jedyne, ale niezaprzeczone, prawo (Kr-go) do potomności *jako poety*" [2]).

Tymczasem obok estetyki, która nie zrywała stanowczo z temi pojęciami o pięknie, jakie niedawno za jedynie

---

[1]) Tamże, str. 354.
[2]) „Rusałka" wydawana przez Aleksandra Grozę. Część II, Wilno. 1839, str. 32—71.

prawdziwe uchodziły, rozwijała się estetyka inna, niesformułowana jeszcze w zasadach, ale twierdząca dumnie, że od niéj dopiero prawdziwy pogląd na istotę natchnienia datować się będzie. Estetyka ta powstała u nas wraz z objawami tak zwanéj poezyi romantycznéj, a posiłkowała się w razie potrzeby spostrzeżeniami braci Schleglów i transcendentalnéj filozofii. Dla niéj stało się rzeczą bardzo wątpliwą, czy przed wiekiem XIX-tym istniała w literaturze polskiéj poezya, czy téż nie; a w takiém zakwestyonowaniu całéj przeszłości poetyckiéj Krasicki musiał oczywiście stracić na cenie ogromnie.

Ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, jakie miał przekonanie o Krasickim twórca nowego kierunku poetyckiego, Mickiewicz, w okresie swojéj dzielności twórczéj. Na nieszczęście zdania jego o talencie biskupa warmińskiego wogóle nie posiadamy; wiemy tylko, że kiedy jeszcze pisał klasyczną recenzyą Jagiellonidy, niżéj stawiał ten poemat nad Wojnę Chocimską; a potém, gdy do krytyków i recenzentów mowę zwrócił, zarzucając im nieuctwo, zaznaczył, że „dzieła Krasickiego okazują różnostronne kształcenie się poetyckie na wzorach łacińskich, włoskich i francuskich“ [1]). Takie urywane zdania nie mogą nas oczywiście poinformować o tém, jak największy nasz poeta oceniał doniosłość talentu jednego ze swych poprzedników. Dopiero z okresu towianizmu datuje taki sąd całkowity. Mickiewicz, który wtedy uważał zapał i wiarę za jedyne dźwignie wielkich zmian społecznych, który powstawał przeciw pretensyom rozumu analitycznego, nie mógł naturalnie ocenić całkiem objektywnie pisarza, odznaczającego się chłodem uczucia i bystrością rozumu. Mickiewicz powiada, że Krasicki, jako pisarz, zajmuje miejsce wysokie: jest niezmiernie dowcipnym;

---

[1]) Dzieła A. Mickiewicza. wyd. paryz. 1868, IV. 148, 182.

a chociaż w komicznych poematach swoich nie okazał wiele twórczego wynalazku, ma formę zupełnie sobie właściwą, tok leciuchny, styl podobny do śpiewu, do szczebiotania ptasiego poezyi słowiańskiéj; przytém pełen wykończenia i precyzyi prozy francuzkiéj... „W charakterze nie miał zjadliwości; był z przyrodzenia prawdziwym rusinem południowym; posiadał żywość kozacką ukształconą na sposób włoski; był to małorusin w obyczajach, w powierzchowności, w formie poetyckiéj mający coś włoskiego". Dotąd są określenia stron dodatnich, dotyczących jakby powierzchni umysłu; teraz następuje odkrycie niejako sprężyny głównéj ukrytéj w jego wnętrzu: „Jeden fizyolog francuski, chcąc oznaczyć różnicę charakterów, podzielił ludzi na czaszkowych, żołądkowych i piersiowych. Podług tego podziału możnaby powiedzieć, że Krasicki był doskonałym wzorem pisarza żołądkowego (abdoménien); wyborny stan tego organu dawał mu humor przedziwny, obdarzał go wesołością niemal płochą, trzymał w ciągłém usposobieniu do śmiechu. Był on nierównie weselszym od Boileau, a prawie tak dowcipnym jak Wolter" [1]).

Wielki umysł, nawet wtedy, gdy był opanowany przez fałszywą doktrynę, nawet sądząc surowo zasadnicze usposobienie Krasickiego, nie zapomniał o jego zaletach, nie odsądził go od miana poety; nazwał go nawet „znakomitym pisarzem satyr", celującym wesołością i zręcznemi zwrotami. Wprawdzie same satyry jako rodzaj poetyczny nie znajdowały u niego wielkiéj ceny; uważał je bowiem za utwory, w których inteligiencya walczy z imaginacyą i nakoniec ją pożéra. Dla niego prawdziwa poezya mieściła się wyłącznie niemal w „owym pierwiastku boskim, co po-

---

[1]) Literatura słowiańska, rok II (1841 — 42), lekcya XVI (8 marca 1842).

rywa człowieka w górne krainy". W każdym jednak razie umiał przynajmniéj do pewnego stopnia przenieść się w swym sądzie na stanowisko wieku, w którym Krasicki działał.

Inaczéj było u fanatycznych zwolenników romantyzmu ożenionego z filozofią transcendentalną. Jeden z najskrajniejszych przedstawicieli tego kierunku, Edward Dembowski, wydał téż najostrzejszy, znany mi sąd o działalności Krasickiego. *Jako poeta* nie ma K. według niego „najmniejszéj oryginalności", naśladuje lub przekłada bardzo miernie; szczególniéj w rodzaju poważnym brak mu „natchnienia i jedności a takiego braku niezdolna zastąpić ogłada". „Dowcip i afektowana lekkość — mówi D. — rażą w pisarzu, żyjącym w smutnéj i poważnéj życia narodowego dobie. Stąd komika Krasickiego, jako powierzchowna na dowcipkowaniu oparta. a nie wgłębiająca się w serce społeczeństwa rozranione, jest ckliwą i nudną. Jedne tylko bajki nie są bez zalet, ale i te po części miałkie, a często mogące dzieciom w serce miasto miłości i czci narodu samolubną oględność wpoić. *Jako prozaik*, nie mając gruntownego wykształcenia, nic dobrego nie mógł napisać" [1]).

Z potępiającym głosem romantyków łączył się wyrok tych, co chcieli cudzoziemski romantyzm zastąpić literaturą ludowo-narodową, czerpiącą zarówno natchnienie jak barwę ze zdroju słowiańskiego i z obyczajów krajowych. Goszczyński, poczytując za niepoetyczny cały okres stanisławowski (w Nowéj Epoce literatury polskiéj" 1835) nie mógł z niego wyłączyć i Krasickiego. Ropeleski w artykule napisanym z powodu „Pamiątek Imć. Pana Seweryna Soplicy" uważał „Pana Podstolego" za postać nie mającą nic życia, nic prawdy, za figurę zupełnie konwencyonalną, za obraz szlach-

---

[1]) Piśmiennictwo polskie w zarysie, 1845, str. 295, 296.

cica, jakim go widzieć pragnęli panowie XVIII-go wieku, gdy sami scudzoziemczali radzi go byli hodować w swojskich wyobrażeniach, dlatego właśnie, że je uważali za ciasne; a przez to wyrobić pomiędzy nim a sobą różnicę cywilizacyi, gdy innéj prawo krajowe nie przypuszczało... W Satyrach i Doświadczyńskim wyświecił Krasicki, zdaniem Ropeleskiego „niejednę ciekawą stronę polskiego towarzystwa; ale to światło przedrzeźniające, zamiast być pomocą dzisiejszemu malarzowi przeszłości, razi mu owszem źrenicę i przeszkadza temu lubemu wejrzeniu na wsteczne czasy, z którego się rodzą obrazy historyczne".

Przyczyną tych i wielu innych jednostronnych sądów, które w owych czasach rzadko znajdowały przeciwników [1]), było najprzód przekonanie, że to tylko jest pięknem, co poezya romantyczna lub ludowa wytworzyła, a powtóre, wstręt do idei filozoficzno-społecznych XVIII-go wieku, które nazywano płytkiemi, tak jak cywilizacyą tego stulecia, mianem „ogłady" piętnowano. Przychylniejszy atoli pogląd na działalność Krasickiego nie ustalił się skutkiem usunięcia tych dwu przekonań, ale wskutek przesadnego rozwinięcia jednego z żywiołów poezyi narodowéj, a mianowicie: bezkrytycznego uwielbienia przeszłości najbliższéj, z któréj pozostała jeszcze żywa tradycya, a zatém uwielbienie wieku XVIII-go na gruncie krajowym. Wtedy wszystko, co do dawniejszych odnosiło się czasów, otaczano czcią niemal bezwzględną, bo zastrzegano się tylko przeciwko tym lub owym ustępom. Uwielbienie takie bywało gołosłowne i nieraz pełne sprzeczności; gdyż wielbiciele, będąc zarazem zwolennikami tak zwanéj romantycznéj poezyi, nie wiedzieli

[1]) Znany mi jest tylko pisany w r. 1840 artykuł Waleryana Wróblewskiego w „Athenaeum" 1841, V, 87—105, który walczy w obronie oryginalności i narodowości Krasickiego".

częstokroć, jak sobie w zestawieniu tak różnych sfer poetycznych poradzić.

Dopiero w czasach najnowszych, kiedyśmy i z gorączki romantycznéj ochłonęli i na błędy przeszłości krytycznie patrzéć zaczęli; kiedyśmy nadto doszli do sprawiedliwszéj, spokojnéj oceny cywilizacyi francuzkiéj XVIII-go wieku, można było bezstronny wydać sąd o pisarzu, który i bezwarunkowego uwielbienia i bezwarunkowéj nagany już był doznał [1]). Dzisiaj łatwo nam przyjść do przekonania, że zarówno dowcip, jak i entuzyazm, mogą być żywiołem poezyi; dzisiaj wiemy, że epoka racyonalizmu była u nas konieczną, ażeby mgły przesądów i ciemnoty pierzchnęły; dziś zdrowy rozsądek nie doznaje takiego lekceważenia, jak za czasów szalonéj romantyki, zwłaszcza u niższych jéj przedstawicieli. To téż dzisiaj, nie możemy w Krasickim, ze względu zarówno na strony ujemne, jak i dodatnie jego charakteru i talentu nie uznać najświetniejszego, najbardziéj uzdolnionego reprezentanta inteligiencyi polskiéj w XVIII-tém stuleciu. Były w tym wieku daleko uczeńsze, daleko poważniejsze, a nawet nieco poetyczniejsze od niego umysły; w niektórych względach (np. w politycznym) byli ludzie bez porównania większy niż on wpływ wywierający; ale nie było żadnego, któryby przystępnością sposobu pisania, rodzajem talentu, ilością i doborem pomysłów mógł skuteczniéj wpływać na ogół. Nawet najmniéj powabna cecha jego osobistości: brak siły charakteru, oraz brak skupienia i zogniskowania niepospolitych uzdolnień, jest właśnie cechą cha-

---

[1]) Najnowszemi pracami o Krasickim są rozprawa W. Nehringa p. n. „Poezye Krasickiego“, pomieszczona w jego „Studyach literackich“ Poznań, 1884, str. 179—230, oraz studyum A. Asnyka, pomieszczone w „Nowéj Reformie“ i „Wędrowcu“, 1884.

rakterystyczną tego ogółu, dla którego Krasicki pisał. Rozpowszechnił on niezmierną masę wiadomości pewnych, niezawodnych, mnóstwo wskazówek i rad nadzwyczaj praktycznych i zdrowych, ale rozpowszechnił także chwiejność przekonań i ten dyletantyzm myśli, który na każdy specyalny wypadek obmyśla specyalną maksymę.

1879.



SPIS RZECZY.

